

NORA ROBERTS

DRUGA MIŁOŚĆ

DRUGA MIŁOŚĆ
NATASZY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Dlaczego wszyscy przystojni mężczyźni zwykle są już żonaci?

- To podchwytliwe pytanie? - Natasza posadziła na ladzie dużą porcelanową lalkę i odwróciła się do swojej współpracownicy. - No dobrze, Annie, jakiego to przystojnego mężczyznę masz na myśli?

- Tego urodziwego wysokiego blondyna, który stoi przed wystawą ze swoją elegancką żoną i śliczną córeczką. - Annie westchnęła przeciągle. - Wyglądają jak z reklamy w magazynie rodzinnym.

- To może wejdą i kupią którąś z reklamowanych zabawek.

Natasza cofnęła się o krok i z zadowoleniem przyjrzała grupce lalek w staroangielskich strojach. Wyglądały dokładnie tak, jak chciała. Były wytworne, pełne dystynkcji i gracji.

Sklep z zabawkami był nie tylko jej miejscem pracy, ale i największą przyjemnością. Sama wybierała każdą rzecz, od najmniejszej grzechotki po największego pluszowego misia, zwracając uwagę na jakość i nie pomijając żadnego szczegółu. W końcu to był jej sklep i to ona odpowiadała za sprzedawane w nim towary. Zależało jej na najwyższej jakości i na zadowoleniu każdego klienta. Jednakowo traktowała zarówno tego, który kupował lalkę za pięćset dolarów, jak i tego, który kupował miniaturowy samochodzik za dwa dolary.

Od czasu gdy przed trzema laty po raz pierwszy otworzyła drzwi sklepu, uczyniła z niego jedno z najlepiej prosperujących przedsiębiorstw w małym uniwersyteckim mieście na obrzeżach Wirginii Zachodniej. Kosztowało ją to wiele pracy i samozaparca, ale sukces zawdzięczała głównie

temu, że doskonale rozumiała dzieci i miała z nimi świetny kontakt. Nie chciała, by jej klienci opuszczali sklep z jakąś zabawką. Chciała, by opuszczali go z zabawką właściwą.

- Chyba zaraz wejdą - rzuciła Annie, poprawiając krótko przycięte kasztanowe włosy. - Ta mała już nie może ustać w miejscu, tak się niecierpliwi. Mogę otworzyć?

Natasza, jak zawsze dokładna, spojrzała na zegar wiszący na ścianie.

- Mamy jeszcze pięć minut.

- No to co? Mówię ci, ten facet jest wprost niewiarygodny. - Chcąc mu się lepiej przyjrzeć, Annie przesunęła pudełka z grami planszowymi. - Żebyś wiedziała. Co najmniej metr osiemdziesiąt, bajecznie zbudowany, najwspanialsze ramiona, jakie kiedykolwiek widziałam. O rety, tweedowa marynarka. Nie myślałam, że zgłupieję na punkcie faceta w tweedowej marynarce.

- Zgłupiałabyś nawet na punkcie mężczyzny w dżinsach.

- Prawie wszyscy faceci, jakich znam, chodzą w dżinsach - mruknęła. Zerknęła zza regałów, żeby sprawdzić, czy mężczyzna wciąż stoi przed sklepem. - Latem musiał się niezłe wysiedzieć na plaży - zauważyła. - Jest cudownie opalony i ma włosy rozjaśnione słońcem. O Boże, uśmiecha się do tej małej. Chyba się zakochałam.

- Nie pierwszy raz - skwitowała z uśmiechem Natasza. - Wciąż ci się wydaje, że się zakochałaś.

- Wiem - westchnęła Annie. - Szkoda, że nie widzę, jaki ma kolor oczu. Ale ma taką szczupłą, kościstą twarz. Jestem pewna, że jest niesamowicie inteligentny i że bardzo cierpiało.

Natasza rzuciła jej przez ramię krótkie rozbawione spojrzenie. Annie, wysoka i chuda, miała serce miękkie jak

wosk.

- A ja jestem pewna, że jego żona byłaby zafascynowana twoją wyobraźnią - stwierdziła.

- To przywilej, nie, raczej obowiązek kobiety snuć wyobrażenia o takich mężczyznach jak ten.

Natasza nie zamierzała spierać się z przyjaciółką.

- Masz rację. Otwórz sklep.

- Tylko jedna lalka - powiedział Spence, lekko pociągając córeczkę za koniuszek ucha. - Dwa razy bym się zastanowił nad wprowadzeniem do tego domu, gdybym wiedział, że znajduje się w odległości kilkuset metrów od sklepu z zabawkami.

- Gdybyś mógł, kupiłbyś jej cały cholerny sklep z zabawkami - odezwała się kobieta stojąca obok niego.

- Nie zaczynaj, Nino - rzucił półgłosem.

Drobna blondynka w różowym zakiecie z lnu wzruszyła ramionami, po czym przeniosła wzrok na dziewczynkę.

- Miałam na myśli, że twój tatuś rozpieszcza cię, bo bardzo cię kocha. Zresztą zasługujesz na prezent. W czasie przeprowadzki byłaś bardzo grzeczna.

Frederica Kimball wydeła dolną wargę.

- Podoba mi się mój nowy dom. - Wsunęła rączkę w dłoń ojca, dając tym wyraz solidaryzowania się z nim przeciwko całemu światu. - Mam podwórko i huśtawkę tylko dla siebie.

Nina obrzuciła wzrokiem wysokiego smukłego mężczyznę i małą zgrabną dziewczynkę. Mieli takie same uparte podbródki. Jeżeli dobrze pamiętała, jeszcze nigdy nie zdołała żadnego z nich przekonać.

- Wydaje mi się, że tylko ja nie widzę dobrych stron przeprowadzki z Nowego Jorku. - Nina przybrała nagle

cieplejszy ton i pogłaskała dziewczynkę po włosach. - Trochę się o was martwię. Nic na to nie poradzę. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, kochanie. Ty i twój tatuś.

- Jesteśmy. - Żeby przerwać panujące napięcie, Spence chwycił Freddie w ramiona. - Prawda, buziaczku?

- Ona by chciała, żeby bardziej. - Nina ścisnęła dłoń Spence'a. - Otwierają.

- Dzień dobry. - Są szare, zauważyła Annie, patrząc w oczy Spence'a. Cudownie szare, westchnęła w duchu. - Czym mogę służyć? - spytała.

- Moja córka jest zainteresowana lalką. - Spence wypuścił Freddie z objęć.

- A więc jesteś we właściwym miejscu. - Annie w poczuciu obowiązku skierowała swoją uwagę ku dziewczynce. Rzeczywiście była urocza. Miała szare oczy ojca i jasne rozwiane włosy. - Jaką lalkę byś chciała?

- Ładną - odparła bez wahania Freddie. - Ładną, z rudymi włosami i niebieskimi oczami.

- Jestem pewna, że coś znajdziemy. - Wyciągnęła rękę do dziewczynki. - Chcesz się rozejrzeć?

Dziewczynka zerknęła w stronę ojca, a widząc w jego oczach przyzwolenie, podała rękę Annie i poszła razem z nią w głąb sklepu.

- Do diabła - skrzywił się Spence. Nina po raz drugi ścisnęła jego dłoń.

- Spence...

- Sam siebie oszukuję, wmawiając sobie, że to bez znaczenia, że ona niczego nie pamięta.

- To jeszcze nic nie znaczy, że chce mieć lalkę z rudymi włosami i niebieskimi oczami.

- Rude włosy i niebieskie oczy - powtórzył nerwowo. - Takie jak Angela. Ona pamięta, Nino. I nie można tego

lekceważyć. - Wcisnął ręce w kieszenie i odszedł o parę kroków.

Trzy lata, pomyślał. To już prawie trzy lata. Freddie jeszcze nosiła pieluchy. Ale pamięta Angelę, piękną, lek-komyślną Angelę. Nawet ktoś najbardziej liberalny nie uznałby, że Angela nadaje się na matkę. Nigdy jej nie przytuliła ani nie zaśpiewała na dobranoc, nie ukołysała ani nie ukołysała.

Wpatrywał się w małą lalkę z porcelanową buzią, ubraną w jasnoniebieską sukienkę. Długie cienkie palce, ogromne rozmarzone oczy. Oczy Angeli. Nieprawdopodobnie piękne. I zimne jak ze szkła.

Kochał ją tak, jak mężczyzna może kochać dzieło sztuki, podziwiając na odległość doskonałość formy i wciąż doszukując się ukrytego w niej znaczenia. Mimo to udało im się stworzyć cudowną, przemiłą córeczkę, która jakoś chowała się przez pierwsze lata swego życia niemal bez udziału rodziców.

Będzie musiał jej to wynagrodzić. Spence na moment przymknął oczy. Zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby dać Freddie miłość, oparcie i poczucie bezpieczeństwa, na jakie zasłużyła. Poczucie rzeczywistości. To słowo mogło się wydawać banalne, ale najlepiej oddawało sens tego, czego pragnął dla córeczki - prawdziwych, silnych więzów rodzinnych, po prostu prawdziwej rodziny.

Dziewczynka kochała go. Czuł dreszcz wzruszenia, gdy tylko pomyślał o jej oczach błyszczących tak szczególnie, gdy ją utulał do snu, o drobnych ramionkach oplatających jego szyję, gdy się pochylał nad jej łóżeczkiem. Być może nigdy sobie nie wybaczy, że kiedy była malutka, był tak bardzo pochłonięty własnymi problemami, własnym życiem. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nawet prze-

prowadzkę zorganizował z myślą o niej.

Usłyszał śmiech dziewczynki i ponure myśli ustąpiły miejsca radości. Nie było nic słodsze go ponad śmiech dziecka. Można by wokół niego zbudować całą symfonię. Nie będzie jej przeszkadzał. Niech się nacieszy widokiem tych wszystkich lalek, zanim jej przypomni, że tylko jedna będzie do niej należała.

Miał teraz chwilę czasu, by rozejrzeć się po sklepie. Był piękny i jasny. Choć niewielki, mieścił w sobie wszystko, o czym dziecko mogło zamarzyć. Z sufitu zwieszała się złota żyrafa i ogromny pies. Na jednej z lad ustawiono rzędy kolejek, samochodów i samolocików, wszystkie w wesołych kolorach, a tuż obok miniaturowe mebelki dla lalek. Obok modelu stacji kosmicznej stało staroświeckie pudełko z wyskakującym ze środka diabełkiem. I oczywiście były lalki. Dużo pięknych lalek w najrozmaitszych strojach, usadowionych przy małych stolikach z serwisami do herbaty.

Całość, choć przemyślana w najdrobniejszych szczegółach, sprawiała wrażenie improwizacji, a nawet pewnego chaosu. To miejsce musiało urzekać dzieci. Była to istna jaskinia Aladyna, w której każdy mógł dla siebie coś znaleźć. Usłyszał radosny śmiech córeczki. Już wiedział, że nie uda mu się jej powstrzymać od regularnych wizyt w tym bajkowym świecie.

To była jedna z przyczyn, dla których zdecydował się przeprowadzić do małego miasta. Chciał, by jego córka poznała urok małych sklepów, w których sprzedawcy będą znali jej imię. Żeby mogła chodzić sama z jednego końca miasta na drugi, bezpieczna i spokojna. Żeby nikt jej nie uprowadził, nie oszukał, nie wciągnął w narkotyki. Tutaj nie potrzeba alarmów i wymyślnych systemów bezpieczeństwa, murów odgradzających od ulicy i chroniących od intruzów.

Nawet taka mała dziewczynka jak Freddie będzie się tutaj czuła u siebie.

I może on, pomału, stopniowo, odzyska spokój i równowagę ducha.

Od niechcenia wziął do ręki pozytywkę. Była zrobiona z delikatnej porcelany, ozdobiona wdzięczną figurką Cyganki w długiej czerwonej sukni. W uszach miała złote koła, w rękę trzymała tamburyn. Był pewien, że nawet na Piątej Alei nie znalazłby nic bardziej oryginalnego.

Zastanawiał się, jak właściciel mógł postawić to cacko w miejscu, gdzie łatwo mogły je uszkodzić wszędobylskie dziecięce ręce. Zaciekawiony, przekręcił kluczyk i obserwował figurkę obracającą się wokół maleńkiego porcelanowego ogniska.

Czajkowski. Natychmiast poznał charakterystyczne dźwięki utworu, który dobrze znał i lubił. Przedziwne, pomyślał, ta muzyka w takim miejscu. A później podniósł wzrok i zobaczył Nataszę.

Patrzył i nie mógł oderwać od niej wzroku. Stała parę kroków od niego, obserwując go z lekko pochyloną głową. Miała ciemne włosy jak tancerka z pozytywki, bujne loki otaczały jej twarz i w bezładzie spływały na ramiona. Ciemną karnację podkreślała prosta czerwona suknia.

Nie była delikatna. Mimo że niewysoka, sprawiała wrażenie silnej. Może to z powodu twarzy, z wysokimi kośćmi policzkowymi i pełnymi ustami bez śladu szminki...

Oczy miała prawie tak ciemne jak włosy, z ciężkimi powiekami i długimi rzęsami. Było w niej coś bardzo zmysłowego. Aura zmysłowości otaczała ją tak, jak inne kobiety otacza zapach perfum.

Pierwszy raz od lat poczuł nagły przypływ pożądania.

Natasza od razu się zorientowała. Oburzyło ją to. Cóż

to za mężczyzna, pomyślała. Wchodzi do sklepu z żoną i córką, a pożera wzrokiem inną kobietę?

Tacy mężczyźni nie byli w jej guście.

Podeszła do niego. Zdecydowana zignorować to spojrzenie, tak jak w przeszłości ignorowała podobne.

- Mogę panu w czymś pomóc? - spytała.

Pomóc? Ależ tak, natychmiast dostarczyć mu tlenu. Nie miał pojęcia, że na widok kobiety człowiekowi może dosłownie zabraknąć tchu w piersiach.

- Kim pani jest? - spytał.

- Natasza Stanislaski - przedstawiła się z lodowatym uśmiechem. - Jestem właścicielką tego sklepu.

Miała lekko schrypnięty głos, a nieznacznym słowiańskim akcentem przydawał mu szczególnego erotyzmu. Spence'owi skojarzył się z muzyką rozbrzmiewającą z pozytywki. Pachniała mydłem, niczym więcej, uwodzicielskim zapachem świeżości.

Nie odzywał się. Uniosła brwi. Takie zbitcie mężczyzny z tropu mogło być nawet zabawne, ale ona była w pracy, a mężczyzna miał żonę.

- Pańskiej córce podobają się trzy lalki i nie może się zdecydować, którą wybrać. Może pan jej doradzi?

- Za chwilę. Pani ma taki akcent... rosyjski?

- Tak. - Zastanawiała się, czy nie powinna mu powiedzieć, że jego żona czeka przy drzwiach, najwyraźniej znudzona i zniecierpliwiona.

- Od kiedy mieszka pani w Ameryce?

- Od szóstego roku życia. - Spojrzała na niego zimno.

- Byłam mniej więcej w wieku pańskiej córki. A teraz przepraszam, ale...

Położył jej dłoń na ramieniu, zanim zdążyła odejść. Choć zdawał sobie sprawę, iż nie powinien tego robić,

zaskoczył go wyraz niepohamowanej złości w jej wzroku.

- Przepraszam, chciałem spytać o tę pozytywkę. Natasza skierowała na nią wzrok w chwili, gdy muzyka dobiegła końca.

- To jedna z naszych najcenniejszych, ręczna robota. Jest pan nią zainteresowany?

- Jeszcze się nie zdecydowałem, ale pomyślałem, że może pani nie wie, że ona tutaj stoi.

- Nie rozumiem...

- Takiej rzeczy nikt nie szuka w sklepie z zabawkami. Byłoby szkoda, gdyby jakieś dziecko ją zniszczyło.

Natasza przesunęła pozytywkę bliżej ściany.

- Można by naprawić. - Wzruszyła ramionami. - Uważam, że dzieci też powinny słuchać muzyki, nie sądzi pan?

- Tak - zgodził się i po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się uśmiech. Annie miała rację, przyznała w duchu Natasza, on naprawdę jest atrakcyjny. Mimo irytacji coś ją do niego ciągnęło i, co dziwne, wyczuwała w nim pokrewną duszę. - Szczerze mówiąc, całkowicie się z panią zgadzam. Może moglibyśmy porozmawiać o tym przy kolacji - dodał.

Natasza z trudem się opanowała. Miała porywczą naturę, ale przypomniała sobie, że ten mężczyzna jest w jej sklepie nie tylko z żoną, ale i z córką.

Nie powiedziała tego, co cisnęło jej się na usta, ale Spence i tak zorientował się, co myśli.

- Nie - ucieła i odwróciła się od niego.

- Panno... - zaczął Spence, ale w tym momencie podbiegła Freddie, niosąc dużą miękką lalkę z materiału.

- Tatusiu, patrz, prawda, że śliczna? - Oczy jej błyszczały.

Wszystko można było o tej lalce powiedzieć, prócz tego, że jest śliczna, pomyślał Spence. Miała wprawdzie rude

włosy, ale na tym podobieństwo do Angeli się kończyło. Odetchnął z ulgą. Znajac córkę, wiedział, że czeka na jego opinie. Zastanowił się przez chwilę.

- To najlepsza lalka, jaką dzisiaj widziałem - stwierdził w końcu.

- Naprawdę?

Przykucnął, by spojrzeć dziewczynce w oczy.

- Naprawdę. Masz świetny gust, buziaczk.

- Mogę ją wziąć? - spytała, przyciskając lalkę do piersi.

- Myślałem, że to dla mnie - zażartował.

- Zapakuję ją - powiedziała Natasza cieplejszym tonem. Może i jest bufonem, ale kocha swoją córkę.

- Będę ją niosła. - Freddie przycisnęła lalkę mocniej do siebie.

- Dobrze. W takim razie dam ci dla niej wstążkę do włosów. Jaką byś chciała?

- Niebieską.

- Będzie niebieska. - Natasza podeszła do kasy. Nina rzuciła okiem na lalkę i skrzywiła się lekko.

- Kochanie, czy na pewno ta podoba ci się najbardziej?

- Tacie się podoba - mruknęła dziewczynka, schylając głowę.

- Tak. Bardzo mi się podoba - potwierdził z wymownym spojrzeniem i sięgnął po portfel.

Matka z pewnością nie jest aniołem, uznała Natasza. Ale to jeszcze nie daje mężczyźnie prawa do zwracania się do ekspedientki w ten sposób. Wzięła banknot, wydała resztę i sięgnęła po niebieską wstążkę.

- Proszę - powiedziała do Freddie. - Myślę, że lalce spodoba się nowy dom.

- Będę się nią opiekowała - zapewniła dziewczynka,

usiłując związać lalce włosy. - Czy tutaj można przyjść oglądać zabawki, czy trzeba kupować? - spytała.

Natasza uśmiechnęła się, wzięła inną wstążkę i związała dziewczynce włosy w koński ogon.

- Możesz przychodzić, kiedy zechcesz.

- Spence, naprawdę musimy już iść. - Nina stała w otwartych drzwiach.

- Masz rację. - Zawahał się. To przecież małe miasto, uświadomił sobie. A jeśli Freddie może tu przychodzić, to i on będzie mógł. - Miło mi było panią poznać - dodał, uśmiechając się do Nataszy.

- Do widzenia. - Odczekała, aż wyjdą, i Wybuchnęła niepowstrzymanym potokiem słów.

- O co chodzi? - Annie wychyliła się zza regału.

- Ten mężczyzna!

- Tak - westchnęła przeciągle Annie. - Ten mężczyzna...

- Przychodzi z żoną i dzieckiem do sklepu z zabawkami, a potem patrzy na mnie tak, jakby chciał pożreć mnie wzrokiem.

- Cicho. - Annie przycisnęła rękę do serca. - Nie podniecaj mnie, proszę.

- Uważam, że to skandal. - Natasza uderzyła pięścią w ladę. - Zapraszał mnie na kolację.

- Co? - W oczach Annie pojawił się błysk zachwyty, ale szybko zgasł, gdy zobaczyła wyraz twarzy Nataszy. - Masz rację. To skandal, zważywszy, że jest żonaty, nawet jeśli jego żona wygląda jak zimna ryba.

- Nie interesują mnie jego problemy małżeńskie - zachnęła się Natasza.

- Nie... - zawahała się Annie, wciąż jeszcze bujając myślami w obłokach. - Domyślam się, że odmówiłaś.

- Oczywiście, a coś ty myślała?! - Natasza z trudem wydobywała z siebie głos.

- Tak właśnie myślałam - szybko zgodziła się Annie.

- Ależ ten facet ma tupet! - ciągnęła Natasza czerwona z oburzenia. - Przychodzi tu i robi mi niedwuznaczne propozycje.

- No, nie! - Annie chwyciła ją za ramię. - Naprawdę robił ci propozycje? Tutaj?

- Wzrokiem - wyjaśniła Natasza. - Trudno było się nie domyślić. - Irytowało ją, że mężczyźni często zwracają uwagę tylko na jej wygląd. Chcą widzieć tylko jej ciało, pomyślała z niesmakiem. Początkowo, gdy nie wiedziała jeszcze, co te spojrzenia i aluzje naprawdę znaczą, tolerowała je. Ale szybko przestała. - Gdyby nie ta słodka dziewczynka, strzeliłabym go w pysk. - Natasza nie przebierała w słowach. Po raz drugi uderzyła pięścią w ładę.

Annie zbyt często była świadkiem wzburzenia przyjaciółki, by nie wiedzieć, jak ją uspokoić.

- Była słodka, prawda? - podchwyciła. - Ma na imię Freddie. Oryginalnie, co?

Natasza głęboko zaczerpnęła tchu. Pocierała dłoń.

- Tak.

- Powiedziała mi, że dopiero co przenieśli się do Shepherdstown z Nowego Jorku. Ta lalka ma być jej pierwszym nowym przyjacielem.

- Biedna mała. - Natasza aż nadto dobrze знаła lęki i stresy towarzyszące dziecku w nowym miejscu. Mniejsza o ojca, zdecydowała. - Chyba jest w tym samym wieku co JoBeth Riley. - Zapomniała już o swoim wzburzeniu i podniosła słuchawkę telefonu. Nie zaszkodzi zadzwonić do pani Riley.

Spence stał w oknie pokoju muzycznego i patrzył na

grządki pełne kwiatów. Ogród za oknem i trawnik, który aż się prosił, by o niego zadbać, były czymś całkiem nowym w jego życiu. Nigdy jeszcze nie kosił trawy. Uśmiechnął się na samą myśl o kosiarce.

Przed domem rósł duży, rozłożysty klon. Liście były ciemnozielone. Za parę tygodni pożółkną i zaczną opadać. Lubił widok na Central Park West z okna swego nowojorskiego mieszkania, gdy zmieniający się wygląd drzew oznajmiał kolejną porę roku. Tutaj jednak było całkiem inaczej.

Tutaj trawa, kwiaty i drzewa, na które patrzył, należały do niego. To jego oko miały cieszyć i to on miał o nie dbać. Tutaj mógł pozwolić Freddie wyjść z lalkami z domu i nie martwić się, gdy straci ją z oczu. Będzie mi tu dobrze, myślał, będę wiódł normalne życie. Czuł to już wtedy, gdy pierwszy raz przyleciał, by porozumieć się z dziekanem, a potem kiedy oglądał ten duży dom, pełen zakamarków, w towarzystwie depreczającej mu po piętach agentki nieruchomości.

Nie musiała się starać. Został sprzedany w chwili, gdy przekroczył jego próg.

Rozmyślania przerwał mu widok kolibra, który przysiadł na płatkach petunii. W tym momencie był już bardziej niż kiedykolwiek pewny, że decyzja opuszczenia Nowego Jorku była słuszna.

„Chcesz spróbować wiejskiego życia? Szybko ci się znudzi”. Słowa Niny dźwięczały mu w uszach, gdy obserwował promienie słońca tańczące na kolorowych skrzydełkach ptaszka. Trudno ją było winić za te słowa, zważywszy, że zawsze lubił być w samym środku wydarzeń. Nie mógł zaprzeczyć, że gustował w tych wszystkich przyjęciach przeciągających się do wczesnych godzin rannych, w eleganckich kolacjach w najlepszych lokalach, będących

ukoronowaniem udanego wieczoru w filharmonii czy operze.

Urodził się w świecie blasku, dobrobytu i prestiżu. Całe życie obracał się tam, gdzie akceptowano tylko to, co najlepsze. I dobrze się czuł w takiej atmosferze. Lato w Monte Carlo, zima w Nicei lub w Cannes. Weekendy w Cancun lub na Arabie.

Nie mógł wykreślić tego etapu ze swego życia, ale żałował, że wcześniej nie uświadomił sobie odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa.

Zrobił to teraz. Ku własnemu zaskoczeniu i ku zaskoczeniu wszystkich, którzy go znali, cieszył się z tej decyzji. To zasługa Freddie. Ona wszystko zmieniała.

Pomyślał o niej i w tej samej chwili ujrzał, jak biegnie przez trawnik, przyciskając do piersi nową lalkę. Tak jak przypuszczał, kierowała się prosto do huśtawki. Usiadła, trzymając lalkę na kolanach. Uśmiechała się, mrużąc coś do siebie pod nosem.

Ogarnęła go fala czułości, jakiej nie zaznał nigdy przedtem. Było to uczucie tak dojmujące, że nieomal sprawiające ból. Nie odrywał wzroku od córki.

Huśtała się, cały czas tuląc do siebie lalkę i szepcząc jej do ucha jakieś sobie tylko znane tajemnice. Cieszyło go, że Freddie wybrała skromną, szmacianą lalkę. Mogła wybrać jedną z tych najdroższych, z buzią z chińskiej porcelany, ubraną w wykwintną suknię. Tymczasem zdecydowała się na taką, która wyglądała, jakby sama potrzebowała miłości.

Przez cały ranek nie mówiła o niczym innym, tylko o sklepie z zabawkami, i Spence wiedział, że marzy o tym, by pójść tam jeszcze raz. O, nie, ona o nic nie poprosi. W każdym razie nie wprost. Zrobią to za nią jej oczy. Bawiło go i zarazem wprawiało w zakłopotanie, że Freddie, mając zaledwie pięć lat, instynktownie posługuje się

wypróbowanymi kobiecymi sztuczkami.

On też myślał o sklepie z zabawkami, a ściślej mówiąc - o jego właścicielce. Ona nie uciekała się do żadnych sztuczek. Okazała jawnie, co o nim myśli. Skrzywił się z niesmakiem na wspomnienie swego nietaktownego zachowania. Wyszedłem z wprawy, pomyślał z ironią. Co więcej, nie przypominał sobie, kiedy ostatnio doświadczył tak silnego podniecenia. Było to jak grom z jasnego nieba, jak uderzenie pioruna.

Tymczasem jej reakcja... Mrożąca. Spence raz jeszcze odtworzył w pamięci scenę, jaka się między nimi rozegrała. Kobieta była wściekła. Zanim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć, stała się uosobieniem furii.

Nawet nie starała się być uprzejma, odmawiając mu. Ograniczyła się do krótkiego lodowatego „nie”, do jednej sylaby. Zareagowała tak, jakby, nie przymierzając, poprosił, by poszła z nim do łóżka.

Oczywiście, że chciałby. Już w chwili gdy ją ujrzał, wyobraził sobie, że niesie ją do jakiegoś ciemnego leśnego zakątka, gdzie ziemia jest pokryta miękkim mchem, a niebo przysłonięte koronami drzew. Tam mógłby się rozkoszować smakiem jej pełnych, zmysłowych ust, tam mógłby oddać się dzikiej namiętności, jaką obiecywała jej twarz, dzikiemu, nieokiełznanemu seksowi, zapominając o miejscu i czasie, o tym co dobre, a co złe.

Wielkie nieba, zdumiał się, przecież zachowuje się jak nastolatek. Nie, zachowuje się jak mężczyzna, który od lat jest bez kobiety. Nie wiedział, czy powinien być wdzięczny Nataszy Stanislaski, że obudziła w nim uśpione potrzeby, czy wręcz przeciwnie.

Jednego w każdym razie był pewien - że pragnie znów ją zobaczyć.

- Jestem już spakowana. - W drzwiach stała Nina. Westchnęła cicho. Spence nie reagował, bez reszty zaprzątnięty własnymi myślami. - Spence... - Podchodząc bliżej, Nina podniosła głos. - Powiedziałam, że jestem już spakowana.

- Co? Ach, tak. - Uśmiechnął się rozkojarzony. - Będzie nam ciebie brakowało, Nino.

- Raczej będziesz zadowolony, widząc moje plecy - skorygowała i pocałowała go lekko w policzek.

- Nie. - Ścierając z jego skóry ślad szminki, zauważyła, że teraz uśmiechnął się szczerze i spontanicznie. - Doceniam to, co dla nas zrobiłaś. Wiem, jak bardzo jesteś zajęta.

- Nie mogłam pozwolić, żeby mój brat sam penetrował dzikie ostępy Wirginii Zachodniej. - Ujęła jego dłoń z niekłamany wruszeniem. - Spence, jesteś pewien, że postąpiłaś słusznie? Zapomnij o wszystkim, co mówiłam, i przemyśl wszystko jeszcze raz. To dla was duża zmiana. A co będziesz tutaj robił w wolnym czasie?

- Kosił trawę. - Roześmiał się na widok wyrazu jej twarzy. - Siedział na ganku. Może znowu zacznę komponować.

- Mógłbyś komponować w Nowym Jorku.

- W ciągu ostatnich lat nie napisałem nawet dwóch taktów - przypomniał jej.

- W porządku. - Machnęła ręką. - Ale skoro chciałeś zmiany, mogłeś przenieść się na Long Island czy nawet do Connecticut. - Podeszła do fortepianu.

- Nino, naprawdę podoba mi się tutaj. Wierz mi, to najlepsza rzecz, jaką mogłem zrobić dla Freddie. I dla siebie - dodał.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Kochała go, więc uśmiechnęła się, nie chcąc się z nim dłużej spierać. - Mimo to

uwazam, że najdalej za pół roku będziesz z powrotem w Nowym Jorku. A tymczasem, ponieważ to dziecko ma tylko ciotkę, liczę, że będziesz mnie na bieżąco informował o wszystkim, co się dzieje. - Spojrzała na paznokcie, zmartwiona drobnym odpryskiem lakieru. - Ten pomysł ze szkołą publiczną...

- Nino, nie zaczynaj znowu.

- Nieważne. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nie ma sensu ciągnąć tej dyskusji, skoro muszę zdążyć na samolot. A poza tym, to w końcu twoje dziecko.

- No właśnie.

Nina postukała palcem w wypolerowaną powierzchnię fortepianu.

- Spence, wciąż masz poczucie winy z powodu Angeli. Widzę to. Niepotrzebnie.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Wymazanie pewnych błędów wymaga czasu.

- Ona cię unieszczęśliwiła - ciągnęła Nina. - Już w pierwszym roku waszego małżeństwa były problemy. Och, ty nie byłeś skory do zwierzeń - dodała. - Ale inni aż się palili, żeby opowiadać wszystko wszystkim dokoła.

I mnie również. Było tajemnicą poliszynela, że nie chciała dziecka.

- A czy ja byłem dużo lepszy, skoro chciałem mieć dziecko tylko po to, żeby wypełniło pustkę w moim małżeństwie? Dziecko to poważny obowiązek.

- Popełniałeś błędy. Ale zrozumiałeś to i naprawiłeś. Angella nigdy w życiu nie czuła się winna. Gdyby nie umarła, i tak byś się rozwiódł i przejął opiekę nad Freddie. Wyszłoby na to samo. Wiem, że to brzmi cynicznie, ale prawda często jest okrutna. Nie chcę myśleć, że przeprowadziłeś się tutaj, że tak nagle zmieniłeś swoje życie tylko dlatego, że starasz się

nadrobić coś, co już dawno minęło.

- Może po części tak jest. Ale jest i coś więcej. - Wy-
ciągnął rękę, czekając aż Nina podejdzie. - Spójrz na nią -
Wskazał na ławkę przed oknem, gdzie Freddie wciąż się
huštała, unosząc się wysoko w powietrze niczym koliber.

- Ona jest szczęśliwa. I ja też.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Wcale się nie boję.

- Oczywiście, że nie. - Spence patrzył na dzielną twarzyczkę córki odbijającą się w lustrze i delikatnie gładził jej włosy. Nawet gdyby głos jej nie drżał, i tak by wiedział, że jest przerażona. Sam czuł w ucisk w żołądku.

- Niektóre dzieci może płaczą. - Jej duże oczy już były wilgotne. - Ale ja nie.

- Zobaczysz, będzie ci się podobało - uspokajał ją, choć wcale nie był tego taki pewien. Kłopot bycia rodzicem polega i na tym, że zawsze trzeba robić dobrą minę do złej gry i nigdy nie tracić pewności siebie. - Pierwszy dzień w szkole zawsze bywa trochę nieprzyjemny, ale kiedy już się tam zdomowisz i poznasz koleżanki i kolegów, będziesz bardzo zadowolona.

- Naprawdę? - Patrzyła na niego z nadzieją połączoną z niedowierzaniem.

- Lubiałaś chodzić do przedszkola, prawda? - To wymijające stwierdzenie, przyznał w duchu, ale nie może czynić obietnic, których mógłby nie dotrzymać.

- Tak. - Spuściła wzrok, wpatrując się w żółtego wielbłąda stojącego na biurku. - Ale tu nie będzie Amy i Pam.

- Będziesz miała nowe przyjaciółki. Już poznałaś JoBeth. - Myślał o wesołej czarnowłosej dziewczynce, która odwiedziła ich z matką przed paroma dniami.

- Tak. JoBeth jest miła, ale... - Jak miała mu wytłumaczyć, że JoBeth zna już wszystkie dziewczynki? - Może pójdę jutro? - Popatrzyła na niego pytająco.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Oparł brodę na jej ramieniu. Pachniała lawendowym mydełkiem, które uwielbiała, bo było w kształcie dinozaura. Patrzył na ich

twarze obok siebie. Była bardzo podobna do niego, tyle że miała łagodniejsze, subtelniejsze rysy i wydawała mu się nieskończenie piękna.

- Mogłabyś, ale wtedy to jutro byłby twój pierwszy dzień w szkole. I znów burczałoby ci w brzuszku z przejęcia.

- A burczy?

- Pewno, jeszcze jak! Nie słyszysz? Ale mnie też. Ja też idę dziś do szkoły.

- Naprawdę? - Otworzyła szeroko oczy.

- Oczywiście. Studenci już czekają na swego nowego profesora.

Freddie bawiła się różową kokardą, którą zawiązał jej na końcu warkocza. Wiedziała, że to nie to samo, ale nic nie powiedziała, bo nie chciała go martwić. Słyszała kiedyś, jak rozmawiał z ciocią Niną, i pamiętała, jaki był zły, kiedy ciocia zarzucała mu, że wyrywa jej bratanicę ze środowiska, w którym się wychowywała.

Freddie nie bardzo rozumiała, co to znaczy wyrywać ze środowiska, ale wiedziała, że jej tata był smutny i nawet gdy ciocia Nina wyjechała, wciąż miał ten sam zatroskany wyraz twarzy. Nie chciała go teraz martwić i nie chciała, żeby pomyślał, że ciocia Nina miała rację. Gdyby wrócili do Nowego Jorku, huśtawki byłyby tylko w parku.

Poza tym podobał jej się ten duży dom i nowy pokój. I tata pracował tak blisko, że będzie w domu wcześniej, na długo przed kolacją. Postanowiła już się nie dąsać i uznała, że skoro chce tutaj zostać, musi pójść do szkoły.

- Będiesz w domu, jak wrócę? - spytała.

- Myślę, że tak. A jeśli nie, to będzie Vera - powiedział, mając na myśli ich długoletnią gosposię. - Opowiesz mi wszystko, co było w szkole. - Uniósł ją i pocałował w czubek głowy. Wydała mu się taka mała w obszernym białym -

różowym dresie. W jej dużych szarych oczach malował się smutek, dolna warga drżała. Z trudem powstrzymywał się, by nie chwycić jej w ramiona i nie obiecać, że nigdy nie będzie musiała iść do szkoły ani w żadne inne miejsce, które budziłoby w niej lęk. - Zobaczymy, co Vera dała ci na drugie śniadanie - powiedział.

Dwadzieścia minut później stał na poboczu szosy, trzymając dziewczynkę za rękę. Niemal tak samo przerażony jak ona, obserwował duży żółty autobus szkolny zjeżdżający ze wzgórza.

Nagle przyszło mu do głowy, że powinien sam odwozić ją do szkoły, przynajmniej przez kilka pierwszych dni. Powinien z nią być, a nie zostawiać w autobusie pełnym obcych dzieci. Z drugiej strony, może lepiej potraktować całą rzecz normalnie, pozwolić jej wejść w grupę rówieśników, by od początku stała się jedną z nich.

Czy jednak pozwolić jej jechać samej? To jeszcze dziecko. Jego dziecko. A jeśli postępuje niewłaściwie? To nie jest kwestia wyboru koloru sukienki. Tylko dlatego, że nadszedł określony dzień i godzina, ma powiedzieć córce, żeby wsiadła do tego autobusu, a potem odejść jak gdyby nigdy nic?

A jeśli kierowca straci panowanie nad kierownicą? A skąd może wiedzieć, czy ktoś powie Freddie, do którego autobusu ma wsiąść po lekcjach?

Autobus zatrzymał się. Odruchowo zacisnął dłoń na ręczce dziewczynki. A kiedy drzwi otworzyły się, był niemal gotów uciec z nią gdzie pieprz rośnie.

- Dzień dobry. - Za kierownicą siedziała duża, tęga kobieta. Uśmiechała się do nich przyjaźnie. Za nią przepychała się i pokrzykiwała gromadka dzieci. - Zapewne profesor Kimball? - zwróciła się do Spence'a.

- Tak. - Miał już na końcu języka tłumaczenie, dlaczego nie pozwoli Freddie jechać autobusem.

- Jestem Dorothy Mansfield - przedstawiła się kobieta.
- Dzieciaki nazywają mnie panną D. A ty pewnie jesteś Frederica? - zwróciła się do Freddie.

- Tak, proszę pani. - Dziewczynka zagryzła dolną wargę i wtuliła twarz w rękaw marynarki ojca - To znaczy, Freddie - dodała po chwili.

- Świetnie. - Panna D. posłała jej szeroki uśmiech. - Podoba mi się. Frederica to stanowczo za długie. No, to wskakuj, Freddie. Dziś jest twój wielki dzień. Johnie Harman, oddaj książkę Mikeyowi, chyba że chcesz siedzieć za mną do końca tygodnia. Wiesz, że tu nie ma żartów.

Freddie, łykając łzy, postawiła stopę na pierwszym stopniu. Po chwili wahania weszła na drugi.

- Czemu nie usiądziesz z JoBeth i Lisa? - zaproponowała panna D. Odwróciła się do Spence'a i mrugnęła porozumiewawczo. - Proszę się nie martwić, profesorze. Zaopiekujemy się Freddie.

Drzwi zasunęły się automatycznie i autobus ruszył. Spence stał w miejscu, odprowadzając go wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Nie mógł narzekać na brak zajęć. Od chwili gdy wszedł do college'u, nie miał ani sekundy czasu. Musiał przestudiować harmonogram, poznać współpracowników, obejrzeć instrumenty, przejrzeć nuty. Uczestniczył w zebraniu wydziału, potem zjadł lunch w stołówce, wreszcie zabrał się do przeglądania papierów. Znał już ten rytuał. Tak samo było trzy lata temu, gdy obejmował stanowisko w Juilliard School of Music. Tym razem jednak, podobnie jak Freddie, był w mieście nowy i musiał dopiero poznać tutejsze środowisko i panujące obyczaje.

Martwił się o córkę. W czasie lunchu wyobrażał ją sobie w szkolnej stołówce, pachnącej masłem orzechowym i kartonami mleka. Pewnie siedzi skulona na końcu stołu, przestraszona, samotna, nieszczęśliwa, podczas gdy inne dzieci rozmawiają, śmieją się, żartują. Oczyma duszy widział ją gdzieś w kącie, patrzącą tęsknie, jak inne dzieci biegają, krzyczą, bawią się. Takie przeżycia pozostawiają trwałe ślady w psychice dziecka.

A wszystko dlatego, że pozwolił jej wsiąść do tego przeklętego żółtego autobusu.

Pod koniec dnia miał już takie poczucie winy, jakby sam maltretował dzieci. Był pewien, że jego mała córeczka wróci do domu zalana łzami, zdruzgotana rygiem pierwszego dnia w szkole. Nieraz zadawał sobie pytanie, czy jednak Nina nie miała racji. Może powinien zostać w Nowym Jorku, gdzie Freddie miała przyjaciółki i bliskie osoby, gdzie czuła się u siebie?

Z neseserem w ręku i marynarką przerzuconą przez ramię wyruszył do domu. Miał do przejścia niewiele ponad kilometr. Było bardzo ciepło jak na tę porę roku. Wykorzysta pogodę i dopóki nie nadejdzie zima, będzie chodził piechotą do szkoły i z powrotem.

Już zdążył zakochać się w tym mieście. Były tu ładne małe sklepiki i stare domy wzdłuż głównej ulicy, wysadzanymi drzewami. Miasto było dumne ze swego college'u, a także ze swojej historii, tradycji i prestiżu. Ulica pięła się w górę. Tylko gdzieś tam płyty chodnika były pęknięte w miejscach, gdzie podminowały je korzenie drzew. Mimo przejeżdżających samochodów było na tyle cicho, by móc usłyszeć szczekanie psa czy muzykę dochodzącą z okolicznych domów. Jakaś kobieta, sadząca bratki wokół ganku, podniosła głowę i pomachała do niego. Spence

uśmiechnął się i też pozdrowił ją ruchem ręki.

Nawet mnie nie zna, pomyślał, a jednak mnie pozdrowiła. Już się cieszył na następne spotkanie. Może dla odmiany będzie sadzić cebulki albo odgarniać śnieg sprzed domu... Czuł unoszący się w powietrzu zapach jesieni. Z jakichś bliżej niewytłumaczalnych powodów ogarnęła go nagła radość.

Nie, nie popełnił błędu. On i Freddie będą tu u siebie. Nie minie tydzień, a to miasto stanie się ich domem.

Zatrzymał się przy krawężniku, czekając aż przejedzie furgonetka. Po drugiej stronie ulicy zobaczył znany mu już szyld sklepu z zabawkami. „Zabawny Domek”. Podoba mi się, pomyślał. Trafna nazwa. Zapowiada zabawę i radość, tak jak jego wystawa, na której domki dla lalek, pucułowate lalki i malutkie czerwone samochodziki obiecywały w środku prawdziwy skarbiec dla dzieci. W tym momencie nie był w stanie myśleć o niczym innym jak o znalezieniu czegoś, co wywołałoby uśmiech na twarzy jego córki.

Rozpieszczasz ją, zadźwięczały mu w uszach słowa Niny.

A więc? Rzucił okiem w lewo i w prawo i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Jego mała dziewczynka wkroczyła do autobusu szkolnego tak dzielnie, jak żołnierz wyruszający na pole bitwy. Nie będzie zatem nic złego, jeśli dostanie coś w nagrodę.

Dzwonek w drzwiach odezwał się, gdy tylko przekroczył próg sklepu. W środku unosił się miły zapach. Mięta, pomyślał i uśmiechnął się. Z głębi sklepu dochodziły dźwięki pozytywki. Słuchał ich z przyjemnością.

- Już do pani idę.

Uświadomił sobie, że już zapomniał, jak cudownie brzmi ten głos.

Tym razem nie zrobi z siebie głupca. Dziś jest przygotowany na jej widok, na głos i zapach. Przyszedł tutaj, żeby kupić prezent dla córki, a nie podrywać właścicielkę sklepu. A zresztą - uśmiechnął się do dużej pluszowej pandy - dlaczego nie miałby zrobić jednego i drugiego?

- Jestem pewna, że Bonnie będzie zachwycona - powiedziała Natasza, niosąc miniaturową karuzelę dla swojej klientki. - To piękny prezent urodzinowy.

- Zobaczyła ją parę tygodni temu i od tego czasu o niczym innym nie mówi. - Babcia Bonnie udawała, że nie przejmuje się ceną. - Chyba jest już na tyle duża, żeby się z nią należycie obchodzić.

- Bonnie to bardzo rozsądna dziewczynka - powiedziała Natasza i w tej samej chwili zauważyła Spence'a stojącego przy ladzie. - Zaraz do pana podejść - rzuciła. Temperatura jej głosu obniżyła się co najmniej o dwadzieścia stopni.

- Proszę się nie spieszyć - odparł, nie podejmując jej wojowniczego tonu.

Było jasne, że postanowiła go nie lubić.

To może być interesujące, pomyślał, dotrzeć do przyczyn jej stosunku do niego. I spróbować go zmienić, dać w duchu.

- Pięćdziesiąt pięć dolarów, pani Mortimer - powiedziała Natasza.

- Ależ, kochana, tu jest cena sześćdziesiąt siedem dolarów - zaprotestowała pani Mortimer.

Natasza, która знаła trudną sytuację finansową klientki, uśmiechnęła się tylko.

- Ach, przepraszam. Nie mówiłam pani, że jest przeceniona?

- Nie. - Pani Mortimer westchnęła z ulgą, odliczając

banknoty. - Mam dziś dobry dzień - uśmiechnęła się.

- Bonnie też. - Natasza obwiązała paczkę różową wstążką. - To ulubiony kolor Bonnie. Proszę złożyć jej ode mnie życzenia.

- Oczywiście. - Babcia ostrożnie wzięła pakunek. - Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć, jak rozwija paczkę. Do widzenia, Nataszo.

Natasza zaczęła, aż pani Mortimer wyjdzie.

- Życzy pan sobie czegoś? - zwróciła się do Spence'a.

- Nawet bardzo.

- Nie rozumiem - uniosła brwi.

- Wie pani, co mam na myśli. - Miał absurdalną ochotę pocałować ją w rękę. To niewiarygodne, pomyślał. Mam trzydzieści pięć lat, a zadurzyłem się w kobiecie, której prawie nie znam. - Wspominałem o tym poprzednio.

- Tak? Czy córka jest zadowolona z lalki? - zmieniła temat.

- Zadowolona to mało. Ona ją kocha. Wie pani... - Wielkie nieba, jąka się jak uczeń. Pięć minut w jej obecności, a czuje się jak nastolatek przed pierwszą randką. Z trudem się opanował. - Myślę, że poprzednio jakoś nie mogliśmy się porozumieć. Powinienem przeprosić?

- Jeśli pan chce. - Właśnie dlatego, że wyglądał na skruszony i trochę skrepowany, nie zamierzała ułatwiać mu sprawy. - Przyszedł pan tylko po to?

- Nie. - Oczy mu pociemniały. Natasza zastanawiała się, czy się nie pomyliła. Może nie był taki całkiem bezbronny. Było coś głębokiego w tych oczach, coś silniejszego i bardziej niebezpiecznego. A najbardziej zdumiało ją to, że uznała to za podniecające.

Czując niesmak do siebie, posłała mu zdawkowy uśmiech.

- Coś jeszcze?

- Szukam czegoś dla córki.

Do diabła z tą wspaniałą rosyjską księżniczką, pomyślał. Ma teraz ważniejsze sprawy do załatwienia.

- Co by pan chciał?

- Sam nie wiem. - Rzeczywiście tak było. Odłożył neseser i rozejrzał się po sklepie.

Natasza podeszła bliżej.

- Na urodziny?

- Nie - wzruszył ramionami. - Dziś jest pierwszy raz w szkole i była taka... dzielna, kiedy wsiadała do autobusu.

Tym razem Natasza uśmiechnęła się spontanicznie i serdecznie. Spence'owi zamarło serce.

- Proszę się nie martwić - uspokoiła go. - Jak wróci do domu, na pewno będzie miała bardzo dużo do opowiadania. Wydaje mi się, że pierwszy dzień jest trudniejszy dla rodziców niż dla dzieci.

- To najdłuższy dzień w moim życiu - przyznał. Roześmiała się. W tym pomieszczeniu pełnym lalek i pluszowych misiów jej śmiech zabrzmiał głęboko i niezwykle zmysłowo.

- Wygląda na to, że oboje zasłużyliście na prezent.

Poprzednio oglądał pan pozytywkę. Mam jeszcze jedną, która może się panu spodobać.

Poszła na zaplecze. Spence starał się nie zwracać uwagi na delikatne kołysanie jej bioder i unoszący się wokół dyskretny zapach perfum. Przyniosła drewnianą pozytywkę z małymi figurkami kota, skrzypiec, krowy i księżycy. Rozbrzmiał „Stardust”, a kiedy pozytywka przestała grać, zobaczył roześmianego psa.

- Śliczna - zachwycił się.

- To jedna z moich ulubionych. - Uznała, że mężczy-

zna, który tak bardzo kocha swoją córkę, nie może być zły. Uśmiechnęła się. - Myślę, że to będzie miła pamiątka pierwszego dnia szkoły. Gdy tylko usłyszy muzykę, przypomni sobie, że jej tata o niej myślał.

- Jeśli ten tata przeżyje pierwszą klasę. - Przesunął wzrok na Nataszę. - Dziękuję. To świetny pomysł.

To najdziwniejsze, co mogło jej się przytrafić. Ich ciała nie dotykały się, a jednak przechodził ją dreszcz. Na chwilę zapomniała, że on jest klientem, ojcem, mężem. Był teraz tylko mężczyzną. Miał oczy koloru rzeki o zmięczeniu. Jego wargi były nieprawdopodobnie pociągające, nęcące. Na przekór sobie, zaczęła się zastanawiać, jak by się czuła, gdyby dotknął nimi jej ust, jak wyglądałaby jego twarz, gdyby ich usta się zetknęły, a jej oczy odbijały w jego oczach.

Skonsternowana odstąpiła o krok.

- Zapakuję - powiedziała chłodniejszym tonem. Zaintrygowany tą nagłą zmianą, podszedł z nią do lady.

Czyżby dostrzegł coś w jej pięknych oczach? A może tylko tak mu się wydawało, bo tego pragnął? Nagle znowu stały się lodowate. Dlaczego?

- Nataszo... - Położył rękę na jej dłoni.

Powoli podniosła na niego wzrok. Zaczęła już nienawidzić siebie za to, że zwróciła uwagę na jego ręce. Miał szlachetne dłonie, silne, ale smukłe, z długimi palcami. W jego głosie był spokój i cierpliwość, działające kojąco na jej rozedrgane nerwy.

- Słucham.

- Dlaczego mam wciąż wrażenie, że utopiłaby mnie pani w łyżce wody?

- Myli się pan - zaprotestowała. - Wcale tak nie myślę.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco. - Czuł pod palca-

mi jej dłoń, miękką i silną zarazem. - Nie bardzo wiem, co takiego zrobiłem, że traktuje mnie pani jak wroga.

- A więc musi się pan nad tym zastanowić. Płaci pan czekiem czy gotówką?

Nieczęsto spotykał się z odmową. Ugodziło to jego ego niczym żądło osy. Nieważne, że jest piękna. Nie zamierza dłużej walić głową w mur.

- Gotówką - odpowiedział. Słyszac dźwięk dzwonka u drzwi, cofnął rękę z jej dłoni. Do sklepu wpadła trójka roześmianych dzieci. Rudowłosy chłopak o twarzy usianej piegami wspiął się na palce przy ladzie.

- Mam trzy dolary - oznajmił. Natasza stłumiła śmiech.

- Jest pan dziś bardzo bogaty, panie Jensen.

Posłał jej szeroki uśmiech, ukazując puste miejsce po przednim zębie.

- Oszczędzałem. Chcę samochód wyścigowy. Natasza tylko uniosła brwi, wydając Spence'owi resztę.

- A czy twoja mama wie, że zamierzasz tutaj wydać oszczędności swojego życia? - Jej mały klient milczał. - Scott?

Chłopiec Przesłpował z nogi na nogę.

- Nie powiedziała, że nie mogę.

- I nie powiedziała, że możesz - dodała Natasza. Oparła się o ladę i uszczypnęła go w policzek. - Idź do domu i spytaj mamę. Samochód będzie na ciebie czekał.

- Ale Nata...

- Nie chcesz chyba, żeby twoja mama była na mnie zła?

Chłopiec zastanowił się przez chwilę. Natasza wiedziała, że bije się z myślami.

- Chyba nie - przyznał w końcu.

- A więc idź i spytaj, a ja zatrzymam dla ciebie jeden

samochodzik.

- Przrzekasz? - upewnił się. Natasza położyła rękę na sercu.

- Przrzekam. - Rzuciła okiem na Spence'a i z jej oczu znikło całe rozbawienie. - Mam nadzieję, że prezent będzie się Freddie podobał.

- Na pewno. - Wyszedł ze sklepu, żałując, że nie jest dziesięcioletnim chłopcem bez jednego zęba.

Natasza zamknęła sklep o szóstej. Słońce jeszcze grzało, było duszno. Pomyślała o pikniku w cieniu drzew. To przyjemniejsza wizja niż posiłek z kuchenki mikrofalowej, ale w tej chwili zupełnie nierealna.

W drodze do domu minęła parę wchodzącą pod rękę do restauracji. Ktoś pozdrowił ją z przejeżdżającego samochodu, pomachała do niego. Mogła wstąpić do pubu i posiedzieć z godzinę przy szklaneczce wina, gawędząc ze znajomymi. Nie miałyby najmniejszych problemów ze znalezieniem towarzystwa do kolacji. Prawie wszyscy tutaj się znali. Wystarczyło powiedzieć słówko.

Ale nie była w towarzyskim nastroju. Nawet własne towarzystwo wydawało jej sienie do zniesienia.

To przez ten upał, powiedziała sobie. Upał, który wisiał w powietrzu przez całe lato i nie zamierzał ustąpić miejsca jesieni. To ten upał sprawiał, że wciąż była niespokojna, że odżywały wspomnienia.

Bo to właśnie w lecie jej życie zmieniło się nieodwracalnie.

Nawet teraz, po latach, gdy widziała róże w pełnym rozkwicie czy usłyszała brzęczenie pszczoł, czuła ból. I po raz kolejny zaczynała się zastanawiać, co by było... Jak wyglądałoby teraz jej życie, gdyby... Nienawidziła siebie za takie gry wyobraźni.

Teraz też kwitły róże, mimo upału i braku deszczu. Posadziła je na niewielkiej grządce przed swoim mieszkaniem. Pielęgnowała je z radością i bólem. Muskając ich różowe płatki, zadawała sobie pytanie, czymże byłoby życie bez obu tych uczuć? Delikatny zapach róż towarzyszył jej do samych drzwi.

W mieszkaniu panowała cisza. Myślała, czy nie warto byłoby sprawić sobie kota albo papużek, żeby ktoś witał ją, gdy wracała wieczorem, żeby ją kochał i był od niej zależny. Ale później uzmysłowiła sobie, że byłoby nie w porządku zostawiać żywe stworzenie samo, kiedy szła do sklepu.

Włączyła muzykę i zrzuciła buty. To też wywoływało wspomnienia. *Romeo i Julia* Czajkowskiego. Widziała siebie tańczącą w rytm tych romantycznych fraz, otaczało ją światło, muzyka pulsowała niczym krew, jej ruchy były płynne, kontrolowane. Potrójny piruet wykonywała z najwyższą gracją bez najmniejszego wysiłku.

To już przeszłość, napomniała siebie. Tylko słabi żałują tego, co minęło.

Przebrała się, jak zwykle, w luźną domową suknię bez rękawów. Spódnice i bluzkę powiesiła od razu do szafy. Porządku nauczono ją jeszcze w dzieciństwie.

W lodówce miała mrożoną herbatę i jedno z tych gotowych dań, które wystarczyło na moment wstawić do kuchenki mikrofalowej. Była na nie skazana, choć szczerze ich nienawidziła. Roześmiała się, naciskając guzik.

Zachowuję się jak stara kobieta, pomyślała rozdrażniona i wykończona upałem. Westchnęła i przyłożyła do czoła zimną szklankę.

Ten mężczyzna na nią podziałał. Dzisiaj w sklepie przez parę chwil właściwie zaczęła go lubić. Był taki wzruszający, tak się troszczył o córkę, chciał dać jej coś w

nagrodę za to, że dzielnie stawiała czoło nowej szkole. Podobało jej się brzmienie jego głosu, sposób, w jaki uśmiechał się oczami. Przez chwilę wydawało jej się, że znalazłaby z nim wspólny język, że mogliby razem śmiać się i rozmawiać do woli.

Później jednak to się zmieniło. Przyznała, że po części i ona była winna, ale nie umniejszało to jego winy. Poczula coś, czego nie czuła przez bardzo długi czas. Poczula podniecenie, pożądanie. Była o to na siebie zła i wstydziła się. A na niego była wściekła.

To tylko nerwy, pomyślała, wyjmując danie z kuchenki. Podrywał ją, jakby była naiwną idiotką, a potem spokojnie poszedł do domu z żoną i córką.

Kolacja z nim, też coś. Wbiła widelec w dymiący makaron z owocami morza. Tego typu mężczyzna oczekiwaby zapłaty za wspólny wieczór. Świece i wino, pomyślała ironicznie. Aksamitny głos, uwodzicielskie oczy, zręczne ręce. I brak serca.

Dokładnie taki jak Anthony. Zirytowana odstawiała na bok talerz i sięgnęła po szklanę. Teraz była już mądrzejsza niż wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Dużo mądrzejsza. I dużo silniejsza. Nie była już kobietą, która dałaby się zwieść urokowi i słodkim słówkom. Ale ten mężczyzna nie był słodki. On - nie znała nawet jego nazwiska, a już go nie cierpiała - był trochę niezręczny, trochę skrepowany. Miał swój własny urok.

A jednak bardzo przypominał Anthony'ego. Wysoki, jasnowłosy, przystojny w amerykańskim stylu. Stylu, który łączył się z brakiem morale i podstępym sercem.

Tylko ona jedna wie, ile kosztował ją Anthony. Od tamtego czasu postanowiła, że żaden mężczyzna nigdy już nie będzie jej tak drogi.

Jakoś udało jej się wtedy otrząsnąć. Podniosła szklanę, wznosząc toast za samą siebie. Nie tylko się otrząsnęła, ale była nawet szczęśliwa. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy opadały ją wspomnienia. Kochała swój sklep, który dawał jej szansę przebywania z dziećmi i dostarczania im radości. Przez trzy lata pobytu w tym mieście obserwowała, jak rosły. Miała cudowną przyjaciółkę w osobie Annie, ukochane książki, do których wracała, i dom, który lubiła.

Usłyszała tupot nad głową i uśmiechnęła się. To Jorgensonowie przygotowywali się do kolacji. Wyobrażała sobie, jak Don krząta się wokół Marilyn, noszącej w sobie ich pierwsze dziecko. Lubiała, kiedy byli w domu, tuż nad nią szczęśliwi, zakochani, pełni nadziei.

To była taka rodzina, jaką miała w młodości, a jakiej oczekiwała jako dorosła. Wciąż pamiętała, jak tata niepokoił się o mamę, gdy zbliżało się rozwiązanie. Za każdym razem - przypominała sobie, myśląc o trójce młodszego rodzeństwa. Jak płakał ze szczęścia, kiedy okazywało się, że jego żona i dziecko są bezpieczni i zdrowi. Uwielbiał swoją Nadię. Natasza wiedziała, że nawet teraz wciąż przynosi jej kwiaty, wracając do małego domku na Brooklynie. Po pracy zawsze całował żonę, ale nie było to zdawkowe cmoknięcie w policzek, lecz serdeczny, radosny pocałunek. Po prawie trzydziestu latach wciąż był szaleńczo zakochany.

To ojciec powstrzymywał ją przed wrzucaniem do jednego worka wszystkich mężczyzn, gdy zawiodła się na Anthonym. Matka i ojciec mieli cichą nadzieję, że pewnego dnia spotka kogoś, kto będzie ją kochał szczerze i z całego serca.

Pewnego dnia, pomyślała, wruszając ramionami. Ale na razie ma swój sklep, swój dom, swoje życie. Żaden

mężczyzna, choćby miał najpiękniejsze ręce i najbardziej przepastne oczy, nie zmać jej spokoju. W głębi serca miała jednak nadzieję, że żona jej najnowszego klienta nie daje mu niczego prócz strapiień.

- Opowiedz jeszcze coś, tatusiu. - Oczy Freddie zamykały się, ale była zbyt podniecona wydarzeniami pierwszego dnia w szkole, by móc zasnąć. Patrzyła na Spence'a z najprzymilniejszym uśmiechem, na jaki było ją stać.

- Przecież zasypiasz na siedząco - zaprotestował łagodnie.

- Wcale nie. - Przysunęła się do niego, zawzięcie walcząc z opadającymi powiekami. To był naprawdę najlepszy dzień w jej dotychczasowym życiu i robiła wszystko, żeby się nie skończył. - Mówiłam ci już, że JoBeth ma kotki? Aż sześć.

- Dwa razy. - Spence pociągnął ją lekko za koniuszek ucha. Wyczuł pismo nosem, gdy o tym napomknęła po raz pierwszy. - Cóż, zobaczymy.

Freddie uśmiechnęła się. Poznała po tonie ojca, że zaczyna mięknąć.

- Pani Patterson naprawdę jest miła. Pozwoli nam bawić się w teatr w każdy piątek.

- Już mówiłaś. - A on się martwił. Zupełnie niepotrzebnie. - Widzę, że spodobała ci się szkoła.

- Jest fajna - ziewnęła Freddie.

- No, czas gasić światło, buziaczku. - Sięgnął do lampki.

- Jeszcze nie. Jeszcze mi coś opowiedz. - Znowu ziewnęła, przytulona do jego policzka.

Zgodził się, wiedząc, że zaśnie na długo przed końcem bajki. Zaczął opowieść o pięknej ciemnowłosej księżniczce z

dalekiego kraju i o rycerzu, który chciał uwolnić ją z wieży z kości słoniowej.

Idiotyczne, pomyślał, dodając jeszcze dla urozmaicenia czarnoksiężnika i dwugłowego smoka. Jego myśli znowu powędrowały ku Nataszy. Była rzeczywiście piękna, ale ona nie potrzebowała uwolnienia.

Co za pech, że wracając z uczelni, codziennie musi przechodzić obok jej sklepu.

Nie będzie na nią zwracał uwagi. Mimo wszystko jednak powinien być jej wdzięczny. Ożywiła w nim pragnienia i uczucia od dawna uśpione. Może teraz, gdy się tutaj z Freddie zadomowią i unormują jakoś swoje życie, zacznie znowu nawiązywać kontakty towarzyskie. Na uczelni było wiele atrakcyjnych samotnych kobiet. Ale myśl o ewentualnej randce nie nastrajała go entuzjastycznie.

O spotkaniu, skorygował sam siebie. Randki są dobre dla nastolatków, którzy chodzą do kina, na pizzę i do dyskoteki. On jest dojrzałym mężczyzną i najwyższy czas, by znowu zaczął się obracać w towarzystwie kobiet, które już dawno skończyły pięć lat, dodał w duchu, patrząc na małą rączkę Freddie, ściskającą jego dłoń.

A co ty sobie pomyślisz, spytał w duchu, jeśli przyprowadzę na kolację jakąś panią? Pamiętał, jakim urażonym wzrokiem patrzyła, gdy on i Angela wychodzili wieczorem do teatru czy opery.

To się już nigdy nie powtórzy, obiecał, przesuwając ją delikatnie na poduszkę. Lalkę położył obok i podciągnął kołdrę pod brodę. Wstał i rozejrzał się po pokoju.

Już się w nim zadomowiła. Na półkach z książkami siedziały lalki, duży różowy słon stał obok adidasów. W pokoju pachniało szamponem i kredkami. Przyćmiona nocna lampka rzucała delikatne światło, żeby Freddie nie

przestraszyła się ciemności, jeśli się nagle obudzi.

Postał jeszcze przez chwilę, po czym cichutko wymknął się z pokoju, pozostawiając uchylone drzwi.

Na dole zastał Verę z tacą w ręku. Właśnie przygotowała mu kawę. Była Meksykanką, rozłożystą kobietą, która przechodząc z pokoju do pokoju, sprawiała wrażenie małego pociągu towarowego. Od czasu narodzin Freddie była wręcz niezastąpiona. Spence wiedział, że pieniędzmi można sobie zapewnić lojalność pracownika, ale nie jego miłość. Od chwili pojawienia się w domu Freddie Vera była uosobieniem miłości.

Podniosła ku niemu wzrok i uśmiechnęła się szeroko.

- Miała dziś swój wielki dzień, prawda? - powiedziała.

- Tak, i wykorzystała go aż do ostatniego ziewnięcia.

Jesteś już wolna, Vero.

Gospodyni wzruszyła ramionami i zaniósła tacę do jego gabinetu.

- Mówił pan, że będzie dzisiaj pracować.

- Tak, jeszcze przez chwilę.

- A więc naleję panu kawy, a potem pooglądam telewizję. - Postawiła tacę na biurku. - Moja maleńka - rozczuliła się. - Podobała jej się szkoła i nowi koledzy. - Nie dodała, że płakała jak bóbr, kiedy Freddie wsiadała do autobusu. - Nikogo nie było, więc miałam masę czasu, żeby zrobić wszystko, co trzeba. Niech pan nie siedzi za długo, panie profesorze.

- Nie. - Oczywiście skłamał. Wiedział, że nie ma najmniejszej ochoty na sen. - Dziękuję, Vero.

- *De nada!* - Przygładziła siwe włosy. - Chciałam panu powiedzieć, że bardzo mi się tutaj podoba. Bałam się wyjeżdżać z Nowego Jorku, ale teraz jestem szczęśliwa.

- Nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie.

- *Si.* - Uznała, że tak być powinno. Siedem lat pracuje dla *señora* i jest dumna, że jest gosposią u tak ważnej osoby, u szanowanego muzyka, doktora muzyki i profesora w college'u. Od czasu narodzin jego córki była tak zakochana w małej, że została u Spence'a bez względu na wszystko.

Trochę burczała, gdy przeprowadzali się z pięknego wieżowca w Nowym Jorku do domu w małym mieście, ale doskonale wiedziała, że *señor* myśli o Freddie. Zaledwie parę godzin temu dziewczynka wróciła ze szkoły, roześmiana, podekscytowana, wymieniając imiona wszystkich nowych przyjaciół. A więc Vera była zadowolona.

- Jest pan dobrym ojcem, panie profesorze.

Spence popatrzył na nią uważnie i usiadł przy biurku. Wiedział, że był czas, gdy Vera oceniała go inaczej.

- Staram się - przyznał.

- *Si.* - Mimochodem poprawiła książkę na półce. - W tym dużym domu nie będzie pan przeszkadzał Freddie, grając w nocy na fortepianie.

Popatrzył na nią znowu, wiedząc, że zachęca go, by zajął się muzyką.

- Nie, nie powinno jej to przeszkadzać, *Vero*. Dobrej nocy!

Upewniwszy się, że nie będzie mu już potrzebna, *Vera* wyszła z pokoju.

Spence pociągnął łyk kawy i zaczął przeglądać papiery rozłożone na biurku. Oprócz własnej pracy czekało go jeszcze wypełnienie formularzy Freddie. Miał przed sobą sporo roboty, mimo że zajęcia ze swoją grupą zaczynał dopiero w przysłym tygodniu.

Nie mógł się już tego doczekać, choć starał się nie żałować, że muzyka, która kiedyś tak spontanicznie rozbrzmiewała w jego głowie, umilkła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Natasza podpięła włosy spinką, mając nadzieję, że fryzura utrzyma się dłużej niż pięć minut. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze i po krótkim namyśle pociągnęła usta szminką. Nieważne, że miała za sobą długi i męczący dzień i że dosłownie leciała z nóg. Dzisiaj wieczór czeka ją uczta duchowa, jej własna nagroda za dobrą pracę.

Każdego semestru zapisywała się na jakiś kurs w college'u. Wybierała albo coś zabawnego, albo intrygującego, albo niezwykłego. Jednego roku poezję renesansu, innym razem wątki mistyczne w literaturze, tym razem zdecydowała się na historię muzyki. Dziś odbędzie się pierwszy wykład. Kolekcjonowała wiedzę wyłącznie dla własnej przyjemności, tak jak inne kobiety kolekcjonują biżuterię lub futra. Wiedziała, że przypuszczalnie ta wiedza do niczego konkretnego jej się nie przyda. Ale błyskotki też, jej zdaniem, były bezużyteczne. Po prostu nauka ją ekscytowała.

Miała notatnik, długopisy, ołówki i masę entuzjazmu. Aby się przygotować do zajęć, każdą wolną chwilę w ciągu ostatnich dwóch tygodni spędzała w bibliotece. Duma nie pozwalała jej okazać się zupełną ignorantką. Była ciekawa wykładowcy. Zastanawiała się, czy potrafi ubarwić suche fakty i sprawić, że wykład będzie naprawdę interesujący.

Nie ulegało wątpliwości, że wykładowca budził zainteresowanie w mieście. Annie właśnie tego ranka doniosła jej, że wszyscy mówią o nowym profesorze. To doktor Spencer B. Kimball.

Nazwisko wydawało się Nataszy niezwykle dystyngowane, całkiem nie pasujące do opisu superprzystojniaka, jaki przekazała jej Annie. Informacje Annie pochodziły od córki jej kuzynki, uczennicy szkoły muzycznej. „Wygląda jak aktor filmowy” - Annie w zachwycie powtarzała słowa

dziewczyny.

Nataszy nazwisko wykładowcy nie było obce. Dobrze знаła utwory Kimballa, które komponował, zanim nagle z niewiadomych przyczyn przestał się parać muzyką. Ba, tańczyła nawet do jego *Preludium d - moll*, kiedy była w zespole baletu w Nowym Jorku.

To już prehistoria, pomyślała, wychodząc na ulicę. Teraz będzie miała okazję spotkać geniusza, wysłuchać jego poglądów i być może zapoznać się z nową interpretacją wielu z tych wielkich dzieł, które kochała i których słuchała.

Może jest typem artysty pełnym temperamentu, zastanawiała się, wystawiając twarz na chłodny podmuch wieczornego wiatru. A może jest bladym ekscentrykiem z kolczykiem w jednym uchu? Nieważne. Zamierzała ciężko pracować. Każdy kurs, w jakim uczestniczyła, traktowała bardzo ambicjonalnie. Wciąż pamiętała, jak nikła była jej wiedza, gdy miała osiemnaście lat. Jak nie interesowało jej nic prócz tańca. Z własnej woli skoncentrowała się tylko na tej jednej dziedzinie, zaniedbując wszystkie inne. A kiedy jej tego zabrakło, poczuła się jak dziecko zagubione we mgle.

Odnalazła w końcu drogę, tak jak kiedyś jej rodzina odnalazła drogę ze stepów Ukrainy do dżungli Manhattanu. Woląa siebie taką, jaką była teraz - niezależną, ambitną Amerykanke. Mogła wkroczyć z podniesioną głową do pięknego starego gmachu w mieście uniwersyteckim, dumna niczym świeżo upieczony student.

W długich przepastnych korytarzach słyszała echo swoich kroków. Czowała się podniosłe i uroczyście. Zawsze w ten sposób nastrojały ją kościoły i uniwersytety. W pewnym sensie uczelnia była dla niej też świątynią - świątynią nauki.

Szła do sali wykładowej z nabożnym szacunkiem. Jako pięcioletnia dziewczynka ze wsi nigdy nawet nie

wyobrażała sobie takich budynków, tyłu książek i takiej atmosfery, jaka tutaj panowała.

W sali było już kilkunastu studentów. Mieszanina, oceniła, od całkiem młodych po osoby w średnim wieku. Wszyscy byli niezwykle podnieceni perspektywą rozpoczęcia zajęć. Rzuciła okiem na zegar. Za dwie minuty ósma Sądziła, że doktor Kimball już tu będzie, zajęty przeglądaniem papierów, rzucający znad okularów okiem na studentów, z rozwichrzonymi włosami sięgającymi ramion.

Uśmiechnęła się mimo woli do młodego mężczyzny w rogowych okularach, który patrzył na nią tak, jakby właśnie wyrwano go ze snu. Usiadła gotowa do zajęć i ponownie na niego spojrzała, gdy trochę niezdarnie wciskał się w ławkę obok niej.

- Cześć - powiedziała.

Wyglądał, jakby smagnęła go batem, a nie pozdrowiła. Nerwowo poprawił okulary.

- Cześć. Jestem... Terry Maynard - przedstawił się.

- Natasza. - Ponownie posłała mu uśmiech. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat i sprawiał wrażenie bezbronny jak szczeniak.

- Nie widziałem... cię przedtem - wyjąkał.

- Nie. - Rozbawiło ją, że choć jest starsza, bierze ją za koleżankę. - Chodzę tylko na ten kurs. Dla zabawy.

- Dla zabawy? - zdziwił się. Najwyraźniej traktował muzykę bardzo poważnie. - Wiesz, kim jest doktor Kimball?

- Wyszepała to nazwisko z niekłamanaą czią.

- Słyszałam o nim. Jesteś muzykiem?

- Tak. Mam nadzieję, że pewnego dnia zagram z nowojorskimi symfonicami. - Nerwowo poprawił okulary. - Gram na skrzypcach.

Uśmiechnęła się ponownie. Chłopiec był wyraźnie

zmieszany.

- To cudownie. Jestem pewna, że świetnie grasz - powiedziała.

- A ty?

- Ja gram w karty. - Roześmiała się i rzuciła na niego rozbawione spojrzenie. - Przepraszam, żartowałam. Nie gram na żadnym instrumencie. Ale uwielbiam słuchać muzyki i myślę, że będę zadowolona z zajęć. - Spojrzała na zegar. - Powinniśmy już zaczynać - zauważyła. - Nasz szanowny profesor się spóźnia.

W chwili gdy to mówiła, szanowny profesor biegł korytarzem, złorzecząc sam sobie, że zgodził się na te wieczorne zajęcia. Oderwał się od zadani domowych z Freddie i zmienił koszulę, ponieważ jej paluszki pozostawiły na rękawie jakieś dziwne plamy. Właściwie nie marzył teraz o niczym innym jak o dobrej książce i kieliszku brandy.

Tymczasem miał stanąć przed rozgorączkowanymi słuchaczami żądnymi wiedzy, co miał na sobie Beethoven, kiedy pisał *IX Symfonię*.

W ponurym nastroju wszedł do sali.

- Dobry wieczór, jestem doktor Kimball - przedstawił się. Szmer rozmów ucichł. - Przepraszam za spóźnienie. Jak tylko zajmiecie miejsca, zaczynamy.

Obrzucił wzrokiem salę. I nagle jego spojrzenie napotkało zdumioną twarz Nataszy.

- No nie! - Nawet nie uświadomiła sobie, że wymówiła te słowa głośno, ale i tak byłoby jej wszystko jedno.

To jakiś kiepski żart, pomyślała. Ten mężczyzna w eleganckiej marynarce to Spencer Kimball, kompozytor, którego muzykę tak bardzo lubiła i do której tańczyła. Mężczyzna, który został obwołany geniuszem, gdy mając niewiele ponad dwadzieścia lat, zagościł w Carnegie Hall.

Mężczyzna, który próbował ją poderwać w sklepie z zabawkami. To jest doktor Kimball?

To jest niedorzeczne, to jest irytujące, to...

Cudowna, pomyślał Spence, wpatrując się w jej twarz. Absolutnie cudowna. Z trudem opanowywał śmiech radości. A więc ta wschodnia piękność jest jego studentką. To coś znacznie, znacznie lepszego niż brandy i spokojny wieczór w domu.

- Jestem pewien - odezwał się po dłuższej chwili - że następne parę miesięcy spędzimy bardzo ciekawie.

Powinłam się była zapisać na kurs astronomii, pomyślała Natasza. Dowiedziałyby się wszystkiego o planetach, gwiazdach i asteroidach. Uczyłyby się o inercji i przyciąganiu ziemskim, niezależnie od znaczenia tych słów. Oczywiście o wiele ważniejsze byłoby dowiedzieć się, ile księżyców ma Jowisz, niż studiować kompozytorów burgundzkich piętnastego wieku.

Postanowiła, że zmieni kurs. Następnego dnia zapisze się na inne zajęcia. Najchętniej wstałaby i wyszła od razu, gdyby nie bała się ośmieszenia w oczach doktora Spencera Kimballa.

Obracała długopis w palcach, wpatrywała się w sufit i starała się nie słuchać, o czym on mówi.

Szkoda, bo miał bardzo interesujący głos.

Niecierpliwie zerkała na zegar. Jeszcze prawie godzina. Będzie robić to, co zwykle robi, czekając na wizytę u dentysty. Udawać, że jest gdzie indziej. Usiłując nie zwracać uwagi na głos Spence'a, zaczęła kiwać nogą i bazgrać coś na kartce.

Nie zauważyła nawet, kiedy bazgroły zmieniły się w notatki, a ona zaczęła śledzić każde słowo padające z ust wykładowcy. Piętnastowieczni muzycy w jego opowieściach

ożywali, a ich muzyka stawała się tak realna jak ciało i krew. Ronda, ballady, pieśni. Nieomal słyszała dźwięki muzyki późnego renesansu, podniosłe, strzeliste *Kyrie* i *Gloria* rozbrzmiewające w czasie mszy.

Siedziała jak odurzona, całkowicie pochłonięta rolą muzyki w życiu państwa i Kościoła. Oczami wyobraźni widziała ogromne sale wypełnione arystokracją, która przy dźwiękach muzyki ucztowała przy suto zastawionych stołach.

- Następne zajęcia poświęcimy szkole franko - flamandzkiej i rozwojowi rytmu. - Spence uśmiechnął się do słuchaczy. - I postaram się być punktualny.

Już koniec? Natasza znowu spojrzała na zegar i zdziwiła się, że minęła dziewiąta.

- Niesamowite, prawda?

Popatrzyła na Terry'ego. Oczy mu błyszczały.

- Tak - przyznała niechętnie. Ale cóż, co prawda, to prawda.

- Powinnaś go posłuchać na zajęciach z teorii. Kilkoro studentów skupiło się już wokół swego idola.

Terry nie mógł usiedzieć na miejscu.

- No, to do czwartku.

- Co? Ach tak, dobranoc, Terry.

- Mogę cię podwieźć do domu. - W rozgorączkowaniu nie pomyślał o tym, że w baku prawie nie ma benzyny, a tłumik ledwo się trzyma.

- To miło z twojej strony, ale mieszkam niedaleko.

Zamierzała wyjść z sali, zanim Spence skończy rozmawiać ze studentami. Nie doceniła go jednak. Po prostu położył jej dłoń na ramieniu i zatrzymał ją.

- Chciałbym z panią przez chwilę porozmawiać - powiedział.

- Spieszę się.

- Nie zajmę pani dużo czasu. - Skinął głową ostatniemu ze studentów, oparł się o biurko i uśmiechnął. - Powiniennem dokładniej przejrzeć listę słuchaczy, choć z drugiej strony to miłe, że wciąż jeszcze na świecie zdarzają się niespodzianki.

- To zależy od punktu widzenia, panie doktorze.

- Spence - poprawił. - Jesteśmy już po zajęciach.

- Rzeczywiście. Przepraszam. - Skinęła głową z taką dystynkcją, że nasunęło mu się skojarzenie z rosyjską rodziną carską.

- Nataszo... - Zaczekał, niemal widząc niecierpliwość, jaka z niej biła, gdy się odwracała. - Nie rozumiem, jak ktoś z twoim pochodzeniem może nie wierzyć w przeznaczenie.

- Przeznaczenie?

- Ze wszystkich kursów we wszystkich uniwersytetach na świecie los skierował cię do mnie.

Nie roześmieje się. Będzie skończona, jeśli to zrobi. Ale zanim zdołała się opanować, uśmiezek zagościł w kąci-
kach jej ust.

- A ja myślałam, że to pech.

- Dlaczego wybrałaś historię muzyki?

- Wahałam się między nią a astronomią.

- To brzmi fascynująco. Chodźmy na kawę, żeby o tym porozmawiać. - I znowu zobaczył w jej oczach gniew, który zmienił ich kolor z fiołkowego na niemal czarny. - Dlaczego to cię irytuje? - spytał. - Czyżby w tym mieście zaproszenie na kawę kojarzyło się z niedwuznaczną propozycją?

- Sam pan powinien wiedzieć, doktorze Kimball. - Odwróciła się, ale dobiegł do drzwi pierwszy i zatrzasnął je, zmuszając ją do cofnięcia się o krok. Zauważyła, że był prawie tak samo zły jak ona. Nie miało to dla niej znaczenia,

ale wydawało jej się, że jest z natury łagodny - irytujący, ale łagodny. Tymczasem teraz nie było w nim nic łagodnego. Te fascynujące rysy twarzy wydawały się wykute z kamienia.

- Wyjaśnij mi, o co chodzi.

- Proszę otworzyć drzwi.

- Z przyjemnością. Ale najpierw chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie. - Był zły. Uzmysłował sobie, że od lat nie czuł takiej złości. To wspaniale, uznał. - Nie musisz mnie tak traktować tylko dlatego, że czuję do ciebie sympatię.

Odrzuciła głowę, nienawidząc się za to, że te stalowe oczy działają na nią tak hipnotyzująco.

- Nie - przyznała.

- Świetnie, Ale, do diabła, chcę wiedzieć, dlaczego atakujesz mnie i wpadasz w złość, ilekroć coś ci zaproponuję.

- Bo takich mężczyzn jak pan należałoby wystrzelać.

- Mężczyzn jak ja - powtórzył, ważąc słowa. - Co to dokładnie znaczy?

Stał blisko niej, przyprawiając ją o drżenie. Tak jak w sklepie, kiedy nieomal otarł się o nią, była podniecona, pobudzona, zakłopotana. To wystarczyło, by czuła się jak w potrzasku.

- Myślisz - odruchowo też przeszła na ty - że jeśli masz przystojną twarz i miły uśmiech, możesz robić co chcesz? Tak - odpowiedziała, zanim zdążył się odezwać, i uderzyła go notatnikiem w pierś. - Wydaje ci się, że wystarczy strzelić palcami - uczyniła wymowny gest - a każda kobieta padnie ci w ramiona. Może, ale nie ta kobieta.

Zauważył, że kiedy była zdenerwowana, zmieniał jej się akcent.

- Nie zamierzam strzelać palcami - bronił się. Mruknęła coś pod nosem w swoim języku i chwyciła za

klamkę.

- Chcesz iść ze mną na kawę? Dobrze. Wypijemy kawę, zadzwonimy do twojej żony i poprosimy, żeby się do nas przyłączyła.

- Do kogo? - Chwycił ją za nadgarstek i zatrzasnął drzwi. - Nie mam żony.

- Czyżby? - spytała ironicznie. Oczy jej pały. - Domyślam się więc, że ta kobieta, która była z tobą w sklepie, to twoja siostra.

Zabrzmiało to jak żart, który nieoczekiwanie okazał się prawdą.

- Nina? Prawdę mówiąc, tak.

Natasza otworzyła drzwi i spojrzała na niego z niesmakiem.

- Co za zbieg okoliczności.

Zirytowana jeszcze bardziej, wypadła na korytarz i pobiegła do drzwi. Obcasy stukwały w rytmie staccato, odpowiadającym jej nastrojowi. Przeskakiwała po dwa stopnie naraz.

- Zaczekaj, nie denerwuj się - zawołał za nią.

- Wcale się nie denerwuję. - Była już na dole.

- Co ty sobie wykombinowałaś? - Stał na schodach i spoglądał na nią z góry. Spochmumiał. Widziała, że z trudem się opanowuje. - Wydaje ci się, że wszystko o mnie wiesz?

- Trochę. - Poczowała palce zaciskające się na jej ramieniu. Była wściekła, że ten mężczyzna działa na jej zmysły. Odrzuciła włosy z twarzy. - Jesteś naprawdę bardzo typowy.

- Zastanawiam się, czy twoja opinia na mój temat może być jeszcze gorsza?

- Wątpię.

- W takim razie mogę już pozwolić sobie na wszystko.

Notatnik wypadł jej z ręki, gdy pociągnął ją ku sobie.

Zanim poczuła jego wargi na swoich ustach, wydała zduszony okrzyk. Był nachalny, namiętny, zmysłowy.

Powinna go odepchnąć. Powinna się bronić. Ale zaskoczył ją, to był szok - a w każdym razie tak sobie wmawiała - więc stała bez ruchu z opuszczonymi rękami.

Nie powinna się tak zachowywać. To niewybaczalne. Ale, wielkie nieba, to cudowne. Instynktownie znalazł klucz otwierający od dawna uśpione uczucia i tęsknoty. Krew w niej zawrzała. Zakręciło jej się w głowie. Nie była w stanie trzeźwo myśleć. Słyszała z oddali jakiś śmiech, klakson samochodu, słowa pożegnania czy powitania, po czym nagle wszystko ucichło.

Mruczała coś pod nosem, starając się protestować, ale nie zwracał na to uwagi. Jego wargi były coraz bardziej natarczywe, a pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Smak jego ust wydawał jej się uczta po długim poście. Mimo że stała z opuszczonymi rękami, poddawała się jego pieszczotom z odchylną głową.

Całowanie jej było niczym poruszanie się po polu minowym. W każdej chwili mógł wybuchnąć pocisk i rozerwać go na strzępy. Powinien się wycofać, ale niebezpieczeństwo go podniecało.

Była niebezpieczna. Kiedy wplótł palce w jej włosy, czuł, jak drży. Była jedną wielką obietnicą burzy zmysłów i namiętności. Poznawał to po smaku jej ust, mimo że za wszelką cenę starała się nad sobą panować. Mogłaby z nim teraz zrobić wszystko, uczynić go swoim niewolnikiem do końca życia. Gdyby tylko chciała.

Ogarnęło go pożądanie, jakiego dotychczas nie zaznał. W jego mózgu tańczyły obrazy pełne ognia i dymu. Coś usiłowało wydostać się na wolność, niczym ptak trzepoczący

się po klatce. Wreszcie Natasza odepchnęła go, stanęła wyprostowana i popatrzyła na niego wzrokiem wymowniejszym niż słowa.

Z trudem oddychała. Przez chwilę miała wrażenie, że umrze z powodu pożądania, którego nie chciała i które napawało ją wstydem. Wreszcie głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Nie mogłabym nikogo nienawidzić bardziej niż ciebie - wykrztusiła.

Potrząsnął głową, nie bardzo świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Był zbity z tropu i bezbronny. Dla własnego dobra odczekał chwilę, zanim nabrał pewności, że zdoła wydobyć z siebie głos.

- Co ty ze mną robisz, Nataszo? - powiedział, schodząc o parę stopni w dół. Ich oczy się spotkały. Zobaczył łzy na jej rzęsach, ale patrzyła na niego ze wzdargą i potępieniem. - Chciałbym tylko mieć pewność, że miałaś powody do takiego zachowania. Czy dlatego tak mnie traktujesz, że cię pocałowałem, czy że sprawiło ci to przyjemność?

Natasza zrobiła gwałtowny ruch ręką. Mógł bez trudu uniknąć uderzenia, ale uznał, że wymierzenie mu policzka dobrze jej zrobi. W pustym korytarzu echo powtórzyło uderzenie. No, to jesteśmy kwita, pomyślał.

- Nie zbliżaj się do mnie więcej - wycodziła przez zęby. - Ostrzegam cię, że jeśli to zrobisz, nie będę się oglądać na to, czy ktoś mnie słyszy. Gdyby nie twoja córeczka... - Urwała, by zebrać myśli. Czuła się urażona, ucierpiała jej duma i ambicja. - Nie zasługujesz na takie śliczne dziecko.

Chwycił ją znowu za ramię, ale tym razem wyraz jego twarzy ją zmroził.

- Masz rację. Nigdy nie zasługiwałem i prawdopodobnie nigdy nie będę zasługiwał na Freddie, ale

jestem wszystkim, co ma Jej matka, moja żona, zmarła trzy lata temu.

Puścił ją, odwrócił się i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknął w mroku ulicy. Natasza przyciskając do piersi notatnik, osunęła się na schody.

Co, u licha, ma teraz zrobić?

Nie miała wyboru. Niezależnie od tego, jak bardzo go nienawidziła, miała tylko jedno wyjście. Nerwowo potarła dłonie o biodra i weszła na świeżo pomalowane drewniane schody.

Ładny dom, uznała. Oczywiście mijała go setki razy, ale nigdy nie zwracała na niego uwagi. Był to jeden z tych domów ze starej cegły, cofniętych od ulicy, otoczonych drzewami i wysokim zielonym żywopłotem.

Letnie kwiaty już przekwitwały, ale jesienne prezentowały się niezwykle okazale. Widać było, że ktoś o nie dba. Widziała, że ziemia na grządkach jest spulchniona, chwasty powyrywane, kwiaty świeżo podlane.

Zatrzymała się, by lepiej przyjrzeć się budynkowi. W oknach wisiały cienkie, przepuszczające światło zasłony w kolorze kości słoniowej. Wyżej zauważyła kolorowe firanki w wesołe wzory i domyśliła się, że kryje się za nimi pokój dziecienny.

Zdobyła się na odwagę i przez ganek podeszła do frontowych drzwi. Załatwi to szybko. Na pewno nie będzie to miłe, ale postara się zabawić tu jak najkrócej. Zapukała, odetchnęła głęboko i czekała.

Otworzyła jej niska, otyła kobieta o twarzy ciemnej i pomarszczonej jak rodzynka. Patrzyła na nią świdrującym spojrzaniem, wycierając ręce o fartuch.

- Słucham, pani w jakiej sprawie? - spytała.

- Chciałabym zobaczyć się z doktorem Kimballem, je-

śli można. - Uśmiechnęła się, udając, że nie czuje się skrepowana. - Jestem Natasza Stanisłaski.

Gospodyni zmrzyła ciemne oczy, tak że niemal znikły w fałdach twarzy.

W pierwszej chwili wzięła Nataszę za jedną ze studentek *señora* i chciała odprawić ją z kwitkiem.

- Pani ma sklep z zabawkami, prawda? - upewniła się.

- Owszem.

- No tak. - Skinęła głową i otworzyła szerzej drzwi.

Natasza weszła do środka. - Freddie mówiła, że pani jest bardzo miła, dała jej pani niebieską wstążkę dla lalki. Obiecałam, że zaprowadzę ją znowu do pani sklepu, żeby sobie pooglądała zabawki. - Gestem wskazała, by poszła za nią.

Idąc korytarzem, Natasza usłyszała dźwięki fortepianu. Zobaczywszy w lustrze swoje odbicie, ze zdumieniem stwierdziła, że się uśmiecha.

Spence siedział przy fortepianie. Trzymał na kolanach Freddie, która mozolnie wystukiwała „Wlazł kotek na płótek”. Przez duże okno padały na nich promienie słońca. Przez chwilę Natasza pomyślała, że chciałaby ich namalować. Bo jak inaczej można by uwiecznić ten obraz?

Był doskonały - światło, cienie, pastelowy wystrój wnętrza, wszystko stanowiło zharmonizowane tło. A zarys postaci był tak naturalny i pełen wdzięku, że aż prosił się o rękę artysty. Dziewczynka była ubrana w białą - różową sukienkę, jedna kokarda u warkocza była rozwiązana. On zdjął marynarkę i krawat, rękawy jasnej koszuli miał podwinięte do łokci.

Delikatne, prawie białe włosy dziecka kontrastowały z ciemniejszym odcieniem jego czupryny. Dziewczynka opierała główkę o pierś ojca, uśmiech radości błąkał jej się po

twarży. W powietrzu unosiły się dźwięki piosenki, którą grała.

On opierał dłonie na kolanach, wystukując długimi, kształtnymi palcami rytm równocześnie ze staroświeckim metronomem stojącym na fortepianie. Był uosobieniem miłości, cierpliwości, dumy.

- Nie, proszę im nie przeszkadzać - szepnęła Natasza, chwytając Verę za rękę.

- Teraz ty zagraj, tatusiu. - Freddie popatrzyła przy-
milnie na ojca. - Zagraj coś ładnego.

Dla Elizy. Natasza natychmiast rozpoznała utwór, subtelny, romantyczny, pełen zadumy. Trafiał wprost do jej serca, gdy patrzyła, jak jego palce uderzają, muskają, pie-
szczą klawisze.

O czym myślał? Czują, że jego myśli kierują się do wewnątrz - do muzyki, do siebie. Grał bez najmniejszego wysiłku, ale wiedziała, że aby tak grać, trzeba to było okupić pracą i mozolnymi ćwiczeniami.

Melodia płynęła dalej, smutna, nieprawdopodobnie piękna, niczym waza z liliami stojąca na błyszczącym blacie fortepianu.

Za dużo emocji, pomyślała Natasza. Za dużo bólu, mimo że słońce wciąż świeci przez przezroczyste zasłony, a dziecko na jego kolanach wciąż się uśmiecha. Ogarnęła ją tak ogromna chęć, by podejść do niego, położyć mu dłonie na ramionach, przycisnąć go do serca, uspokoić, pocieszyć, że musiała zacisnąć pięści, by się opanować.

I wtedy ostatnie takty wybrzmiały, ostatnia nuta uleciała niczym westchnienie.

- Bardzo ładne - powiedziała Freddie. - Ty to napisałeś?

- Nie. - Popatrzył na swoje palce, poruszył nimi, zgiął,

rozprostował, wreszcie położył dłonie na jej rączkach. - To napisał Beethoven. - Uśmiechnął się i przycisnął wargi do jej szyi. - Wystarczy na dziś, buziaczk?

- Mogę się pobawić na dworze do kolacji?

- Cóż... A co mi za to dasz?

To była ich stara i ulubiona zabawa. Dziewczynka, chichocząc, dała mu krótkiego, mocnego całusa. Jeszcze nie wydostała się z objęć ojca, gdy zauważyła Nataszę.

- O! - ucieszyła się.

- Panna Stanislaski chciałaby się z panem widzieć, panie doktorze - oznajmiła Vera i poszła z powrotem do kuchni.

- Dobry wieczór. - Natasza usiłowała się uśmiechnąć. Spence zdjął córkę z kolan i odwrócił się. Natasza wciąż jeszcze miała w uszach muzykę, która przed chwilą rozbrzmiewała w tym pokoju. Płynęła przez nią jak łyż.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie.

- Właśnie skończyliśmy lekcję. Przyszła pani pograć?

- Freddie podbiegła do niej.

- Nie, nie tym razem. - Pochyliła się i pogładziła dziewczynkę po policzku. - Właściwie przyszedłam porozmawiać z twoim tatusiem. - Ależ ze mnie tchórz, pomyślała z niesmakiem. Nie patrzyła na niego, zwracając się cały czas do Freddie. - Podoba ci się szkoła? Uczy cię pani Patterson, prawda?

- Jest miła. Nie krzyczy, a ja czytałam „Kubusia Puchatka”.

Natasza pochyliła się, by mogły patrzeć sobie w oczy.

- Tak? Lubisz Misia o Bardzo Małym Rozumku? Freddie roześmiała się, zadowolona, że Natasza zna jej ulubioną książeczkę.

- Pewno. Ale najbardziej Prosiaczka. Jest taki

śmieszny.

- A ja Kłapouchego. - Natasza odruchowo zawiązała wstążkę u jej warkocza. - Przyjdiesz do mnie do sklepu?

- Przyjdę - ucieszyła się dziewczynka i pobiegła do drzwi. - Do widzenia, panno Stano... Stani...

- Nata. - Natasza pomachała ręką. - Wszystkie dzieci mówią do mnie Nata.

- Nata. - Freddie uśmiechnęła się, słysząc to imię, i wybiegła z pokoju.

Natasza głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Przepraszam, że przeszkadzam ci w domu, ale uznałam, że tak będzie... - Jakiego słowa użyć? Odpowiedniej, właściwiej, wygodniej? - Że tak będzie lepiej - dokończyła wreszcie.

- W porządku. - Miał lodowaty wzrok, nie pasujący do mężczyzny, który przed chwilą grał tak porywającą muzykę.

- Usiądziesz?

- Nie. - Powiedziała to za szybko, po czym uzmysłowiła sobie, że byłoby lepiej, gdyby oboje zachowali oficjalną uprzejmość. - Nie zabiorę ci dużo czasu. Chciałabym cię tylko przeprosić.

- O! Za coś szczególnego?

W jej oczach rozbłysły ogniki gniewu. Ucieszyło go to, zwłaszcza że większość nocy spędził na przeklinaniu jej.

- Jeśli popełniam błąd, mam odwagę przyznać się do tego. Ale skoro reagujesz tak... - Dlaczego zawsze brak jej odpowiedniego angielskiego słowa, kiedy jest zła?

- .. .arogancko? - zasugerował. Podniosła brwi zdumiona.

- To ty powiedziałaś.

- Myślałem, że jesteś jedyną osobą tutaj, która ma się do czegoś przyznać. - Rozbawiony usiadł na poręczu bu-

janego fotela.

- Nie przerywaj mi.

Uniosła się, ale wciąż jeszcze panowała nad sobą. Jej duma dorównywała temperamentowi. Powie, co ma do powiedzenia, i czym prędzej o wszystkim zapomni.

- To, co mówiłam o tobie i twojej córce - zaczęła - było nieuczciwe i nieprawdziwe. Nawet jeśli... myliłam się co do pewnych spraw, to nie powinnam była tego powiedzieć. Wybacz mi, proszę. Jest mi bardzo przykro.

- Widzę. - Kątem oka zobaczył jakiś ruch. Odwrócił głowę. To Freddie przebiegła korytarzem. - Zapomnijmy o tym.

Natasza podążyła za jego spojrzeniem i od razu złagodniała.

- Ona jest naprawdę śliczna. Mam nadzieję, że pozwolisz jej przyjść od czasu do czasu do mojego sklepu.

Ton jej głosu sprawił, że popatrzył na nią uważniej. Czy był w nim smutek, tęsknota?

- Wątpię, czy zdołałbym jej zabronić. Lubisz dzieci? Nataszy udało się nie okazywać emocji.

- Tak, oczywiście. To konieczne w mojej pracy. Nie będę ci dłużej zabierać czasu, doktorze - dodała, wyciągając do niego rękę.

- Spence - skorygował, delikatnie ściskając jej dłoń. - A co do czego się myliłaś?

A więc nie pójdzie jej tak łatwo. Natasza znowu pomyślała, że on zasługuje na trochę upokorzenia.

- Sądziłam, że jesteś żonaty, więc byłam zła i obrażona, kiedy zaproponowałeś mi spotkanie.

- Ale wierzysz mi już, że nie jestem żonaty?

- Tak, sprawdziłam w leksykonie kompozytorów. Popatrzył na nią przeciągle, po czym roześmiał się ser-

decznie.

- Boże, ależ z ciebie niewierny Tomasz. Znalazłaś jeszcze coś ciekawego na mój temat?

- Tylko parę informacji dotyczących życiorysu i twórczości, dopełniających twój wizerunek. Ale i tak wiem swoje.

- Powiedz mi tylko, czy nie lubisz mnie w ogóle, czy tylko dlatego, że myślałaś, że jestem żonaty i nie powinienem z tobą flirtować?

- Flirtować? - Aż ją zatkało. - Wiesz, jak na mnie patrzyłeś? Jak gdybyś...

- Jak gdybyś... ? - podchwycił.

Jak gdybyś już był moim kochankiem, pomyślała, czując, że się czerwieni.

- Nie podobało mi się to spojrzenie - skwitowała.

- Bo myślałaś, że jestem żonaty?

- Tak. Nie - poprawiła się, uświadomiwszy sobie, dokąd może prowadzić ta rozmowa. - Po prostu mi się nie podobało. - Spence pochylił się nad jej dłonią. - Nie trzeba - rzuciła, nie chcąc, żeby całował ją w rękę.

- A jak powinienem patrzeć? - zainteresował się.

- Nie musisz w ogóle patrzeć.

- Ale patrzę. - I znowu poczuł się tak, jakby za chwilę miał eksplodować. - Jutro będziesz siedziała na wykładzie naprzeciw mnie.

- Mam zamiar zmienić zajęcia.

- Nie zrobisz tego. - Dotknął palcem małego złotego kółka w jej uchu. - Wiem, że interesuje cię mój przedmiot. Widzę to po twoich reakcjach. A jeśli to zrobisz - ciągnął, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć - będę cię nachodził w sklepie.

- Dlaczego?

- Bo jesteś pierwszą kobietą, jakiej zapragnąłem od

bardzo długiego czasu.

W jego głosie słysząc było z trudem tłumione podniecenie. Natasza nie była w stanie walczyć z własnymi myślami. Zbyt żywe było wspomnienie ich pocałunku. Tak, on jej pragnął. I ona, żeby nie wiem jak się przed tym broniła, pragnęła jego.

Ale to był przecież tylko jeden jedyny pocałunek. Na razie, pomyślała. Wiedziała aż nadto dobrze, dokąd może ich zawieść pożądanie.

- To absurd - zachnęła się.

- To po prostu szczerść - zaripostował. - Myślę, że należało sobie wszystko wyjaśnić. A teraz, skoro już wiesz, że nie jestem żonaty i że mi się podobasz, nie powinnaś mieć mi tego za złe.

- Nie mam za złe - sprostowała. - Po prostu mnie to nie interesuje.

- Zawsze całujesz mężczyzn, którzy cię nie interesują?

- Nie całowałam cię. To ty mnie całowałeś - zachnęła się i cofnęła o krok.

- Możemy to naprawić. - Objął ją ramieniem. - Teraz ty mnie pocałuj.

Powinna go odepchnąć. Obejmował ją, ale tym razem czule, delikatnie. Jego wargi były miękkie, ciepłe, wyczekujące. Czula ciepło, które sączyło się w jej żyły jak narkotyk. Westchnęła cicho i objęła go za szyję.

Spence miał wrażenie, że trzyma świecę i czuje wolno roztopiający się воск z gorejącym w środku płomieniem. Czuł, jak jej usta powoli zapraszają się rozchyłają. Ale nawet gdy poddawała się jego pieszczotom, jakaś jej część stawiała opór. Nie chciała czuć tego, co czula, nie chciała okazać swoich uczuć.

Przyciągnął ją bliżej. Ich ciała zetknęły się. Odrzuciła

głowę, przymknęła oczy. Zapraǳnął czegoś więcej niż uścisku.

Wreszcie ją puścił. Brakowało jej tchu. Z trudem odzyskała kontrolę nad sobą.

- Nie chcę się angażować - oświadczyła rzeczowo.

- Chodzi ci o mnie czy w ogóle?

- W ogóle.

- Dobrze. - Przesunął dłonią po jej włosach. - Postaram się, żebyś zmieniła zdanie.

- Jestem uparta.

- Wiem, zauważyłem. Może zostaniesz na kolacji?

- Nie.

- W porządku. A więc zapraszam cię na kolację w sobotę.

- Nie.

- Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej.

- Nie.

- Chyba nie chcesz, żebym przyjechał do sklepu w sobotę po południu i stał tam tak długo, aż ze mną wyjdiesz.

Tym razem ostatecznie straciła cierpliwość.

- Nie pojmuję, jak ktoś, kto z takim uczuciem gra na fortepianie, może być takim grubianinem.

Ale i szczęściarzem, pomyślał, gdy zatrzasnęła drzwi, po czym uśmiechnął się pod nosem i zaczął cicho gwizdać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W soboty w sklepie z zabawkami zawsze było tłoczno i hałaśliwie. Nic dziwnego. Dla dziecka już samo słowo „sobota” miało coś magicznego, oznaczało cudowne godziny z dala od szkoły. Można było jeździć na rowerze, grać w różne gry, urządzać zawody sportowe. Od kiedy Natasza prowadziła sklep, zawsze cieszyła się na sobotę i swoją nieletnią klientelę.

Tym razem jednak sobota nie sprawiała jej tyle radości co zwykle, a to z powodu Spence'a.

Powiedziałam mu „nie”, powtarzała sobie, rozstawiając plastikowe dinozaury, zawieszając kolorowe balony, układając ubranka dla lalek. Powiedziała „nie”, i tak też myślała.

Ale ten mężczyzna najwyraźniej nie rozumiał, co się do niego mówi.

Bo dlaczego przysłał jej czerwoną różę? I to właśnie do sklepu, mając do wyboru tyle innych miejsc. Nie mogła już znieść entuzjazmu Annie. Przyjaciółka od razu pobiegła do sklepu naprzeciwko i kupiła plastikowy wazon, który postawiła na honorowym miejscu przy kasie.

Natasza robiła, co mogła, by na niego nie patrzeć, nie dotykać delikatnych stulonych płatków, ale nie mogła zignorować subtelnego zapachu, który ją owiewał, ilekroć podchodziła do kasy.

Dlaczego mężczyźni myślą, że mogą kobietę oczarować, darując jej kwiaty?

Bo mogą, przyznała w duchu i westchnęła głęboko.

Nie znaczy to jednak, że pójdzie z nim na kolację. Odgarnęła włosy i zajęła się liczeniem garści drobniaków, które dzieciak Hampstonow położył na ladzie za serię komiksów. Życie powinno być takie proste, pomyślała, gdy

chłopiec wybiegł ze sklepu z najnowszym wydaniem przygód Ramba. Do diabła, było proste.

Jej życie było proste, mimo że Spence starał się je skomplikować. Aby tego dowieść, zamierzała pójść do domu, wziąć gorącą kąpiel i spędzić resztę wieczoru wyciągnięta na kanapie, oglądając jakiś film w telewizji i chrupiąc popcornem.

Był sprytny. Odeszła od kontuaru, żeby pomóc braciom Freedmont podjąć decyzję, na co wydać swoje oszczędności. Zastanawiała się, czy szanowany profesor traktował ich stosunki - raczej ich brak - jak rozgrywkę szachową. Nigdy nie odnosiła sukcesów w tej grze, nie była w stanie dostatecznie się skoncentrować, ale podejrzewała, że Spence grałby dobrze i cierpliwie. I że zawsze miałby ostatni ruch.

Spence wspaniale prowadził wykłady, nie patrzył na nią dłużej niż na innych, nie wyróżniał jej, na zadawane przez nią pytania odpowiadał takim samym tonem jak innym studentom. Tak, był bardzo wytrawnym graczem.

I kiedy już się uspokoiła i rozluźniła, dał jej pierwszą czerwoną różę, kiedy wychodziła z sali. Bardzo sprytny ruch, by pognać jej królową.

Jeśli dalej będzie się tak zachowywał, ludzie zaczną plotkować. W takim małym mieście wieści o czerwonych różach rozchodziły się szybko - ze sklepu do pubu, z pubu do szkoły, ze szkoły na zebrania kółka pań. Musi znaleźć sposób, by powstrzymać plotki. Na razie nie przychodziło jej do głowy nic lepszego, niż nie zwracać na nie uwagi. I nie zwracać uwagi na Spence'a, dodała w duchu. Chciałaby, żeby to było możliwe.

- Dość - zwróciła się do braci Freedmont. - Przestańcie się już kłócić. Co to za słowa! Idiota? Kretyn? Jeśli nie przestaniecie, powiem waszej mamie, żeby nie puszczała was

do mnie przez dwa tygodnie.

- Ale Nata...

- A to by znaczyło, że inni zobaczą przed wami te wszystkie wspaniałe rzeczy, jakie będą mogli kupić na Halloween. - Poklepała chłopców po policzkach. - Mam dla was propozycję. Rzućcie monetę i niech ona zdecyduje, czy macie kupić piłkę, czy magiczną skrzynkę. A o to, czego teraz nie kupicie, poproście Świętego Mikołaja Dobry pomysł?

Chłopcy uśmiechnęli się do siebie.

- Dość dobry.

- O, nie, macie powiedzieć, że bardzo dobry. Zostawiła ich kłócących się, którą monetę rzucić.

- Minęłaś się z powołaniem - powiedziała Annie, gdy chłopcy wybiegli wreszcie ze sklepu z piłką.

- Jak to?

- Powinnaś pracować w ONZ. - Wskazała ruchem głowy na ulicę, gdzie chłopcy już kopali nową piłkę. - Godzić zwaśnione strony.

- Najpierw im pogroziłam, a potem podsunęłam rozwiązanie - powiedziała Natasza.

- Idealny materiał na rozjemcę. Natasza roześmiała się, potrząsając głową.

- Najłatwiej rozwiązywać problemy innych. - Znowu spojrzała na rózę. Jeśli w tym momencie mogłaby wypowiedzieć jedno życzenie, to chciałyby, żeby zjawił się ktoś, kto rozwiązałby jej problem.

Godzinę później poczuła, że ktoś chwyta ją za spódnice.

- To ja - usłyszała cienki głosik.

- O, Freddie, witaj. - Popatrzyła na dziewczynkę. Miała włosy związane błękitną wstążką, którą dała jej przy

pierwszym spotkaniu w sklepie. - Ładnie dziś wyglądasz.

Dziewczynka rozpromieniła się.

- Podoba ci się mój strój?

Natasza obrzuciła wzrokiem nowy komplecik ze sztruksu.

- Bardzo. Mam podobny.

- Naprawdę? - Nic nie ucieszyłoby Freddie bardziej od czasu, kiedy postanowiła uczynić Nataszę swoim idolem. - Tatuś mi kupił.

- To miło. - Mimo swoich uprzedzeń, Natasza musiała przyznać, że Spence jest bardzo dobrym ojcem. - Przyszedł z tobą?

- Nie, Vera ze mną przyszła. Mówiłaś, że mogę poglądać zabawki.

- Oczywiście. Cieszę się, że mnie odwiedziłaś. - Rzeczywiście była zadowolona, a jednocześnie rozczarowana, iż to nie Spence przyszedł z córką.

- Niczego nie będę dotykała. - Freddie przyłożyła dłoń do piersi. - Vera powiedziała, że mam oglądać oczami, a nie rękami.

- To bardzo dobra rada. Ale niektóre rzeczy możesz wziąć do ręki. Tylko najpierw mnie spytaj.

- Dobrze. Chcę się zapisać do zuchów, dostać mundurek i wszystko.

- To świetnie. Przyjdiesz, żeby mi się pokazać? Dziewczynka popatrzyła na nią z uwielbieniem.

- Pewnie, że tak. I będę chodzić na zbiórki i nauczę się robić różne rzeczy. I majsterkować. Zobaczysz. Tobie też coś zrobię.

- Będę się cieszyć. - Natasza poprawiła kokardę we włosach Freddie.

- Tatuś mówił, że dziś wieczorem idziecie do

restauracji.

- Cóż... - zawahała się.

- Ja niezbyt lubię restauracje, wolę pizzerie, no to zostanę w domu. Vera przygotuje tortillę dla mnie i JoBeth. Zjemy w kuchni.

- To brzmi zachęcająco.

- Jak nie będzie ci się podobało w restauracji, to przyjdź do nas. Vera zawsze robi dużo jedzenia.

Natasza westchnęła bezradnie i przykucnęła, żeby związać Freddie sznurowadło.

- Dziękuję za zaproszenie.

- Twoje włosy ładnie pachną - powiedziała dziewczynka.

Już prawie w niej zakochana, Natasza przysunęła się bliżej.

- Twoje też.

Freddie, zafascynowana jej lokami, wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć.

- Chciałabym mieć takie włosy jak ty. Moje są proste jak drut - dodała, cytując ciocię Ninę.

Natasza uśmiechnęła się i pogładziła dziewczynkę po policzku.

- Kiedy byłam mała - powiedziała - co roku na szczycie choinki umieszczałam anioła. Był piękny i miał takie śliczne włosy jak ty.

Twarz dziewczynki rozjaśniła się radością.

- A, tu jesteś. - Vera szła przez sklep z wiklinowym koszem w jedną rękę i płócienną torbą w drugiej. - Chodź, musimy być w domu, żeby twój tatuś nie pomyślał, że się zgubiłyśmy. - Wyciągnęła rękę do Freddie i skinęła głową Nataszy. - Do widzenia - rzuciła.

- Do widzenia. - Ciekawe, Natasza uniosła brwi. Ko-

bieta przeszła ją wzrokiem na wylot, jakby się czegoś domyślała. - Mam nadzieję, że wkrótce znów przyprowadzi pani Freddie.

- Zobaczymy. Dziecku trudno oprzeć się zabawkom, tak jak mężczyźnie pięknej kobiecie.

Poprowadziła dziewczynkę w kierunku drzwi, nie oglądając się za siebie. Dziewczynka pomachała Nataszy, uśmiechając się do niej przez ramię.

- O co tu chodzi? - Annie wychyliła głowę zza regału. Natasza poprawiła włosy. Nie było jej do śmiechu.

- Odnoszę wrażenie, że ta kobieta uważa, że mam jakieś zamiary względem jej pracodawcy.

- Jeśli już, to pracodawca ma zamiary względem ciebie - zachnęła się Annie. - Chciałabym być na twoim miejscu - westchnęła z lekką zazdrością. - Teraz, kiedy już wiemy, że nasz nowy przystojniak nie jest żonaty, wszystko jest w porządku. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wychodzicie wieczorem?

- Bo nie wychodzimy.

- Ale słyszałam, jak Freddie mówiła...

- Prosił mnie, ale odmówiłam - wyjaśniła Natasza.

- Ach, tak. - Annie zamilkła na chwilę. - Kiedy miałaś wypadek? - spytała, przyglądając się jej uważnie.

- Wypadek?

- Tak, wypadek, który uszkodził ci mózg.

Natasza roześmiała się i podeszła do lady.

- Mówię poważnie - dodała Annie po chwili, gdy zostały w sklepie same. - Doktor Spencer Kimball jest fantastycznym facetem i w dodatku wolnym. - Pochyliła się nad ladą, żeby powąchać różę. - Cudowna. Dlaczego nie wyjdiesz wcześniej, żeby się zająć prawdziwymi problemami, jak choćby tym, co na siebie włożyć wieczorem?

- Wiem, co włożę. Szlafrok. Annie nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Czy nie za bardzo przyspieszasz bieg spraw? Sądzę, że szlafrok powinnaś włożyć najwcześniej na trzeciej randce.

- Nie będzie nawet pierwszej. - Natasza podeszła do kolejnego małego klienta.

Pół godziny później Annie wróciła do tematu.

- A właściwie czego się boisz? - spytała.

- Urzędu skarbowego.

- Nata, pytam poważnie.

- A ja poważnie odpowiadam. Każdy Amerykanin prowadzący biznes boi się urzędu skarbowego.

- Mówimy o Spencerze Kimballu - przypomniała jej Annie.

- Nie - sprostowała Natasza. - To ty mówisz o Spencerze Kimballu.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Zaskoczona tym tonem, Natasza przerwała na chwilę układanie toru wyciągowego, który zniszczyli jej sobotni klienci.

- Jesteśmy, przecież wiesz - zapewniła.

- Przyjaciółki zwierzają się, radzą się sobie. - Annie prychnęła i wsunęła dłonie w kieszenie džinsów. - Posłuchaj, wiem, że takie rzeczy ci się zdarzały, zanim tu przyjechałaś, choć ty nigdy o tym nie mówisz. Sądziłam, że będę lepszą przyjaciółką, nie zadając ci pytań.

Czyżby to było takie oczywiste? zastanawiała się Natasza Przez cały czas była przekonana, że na zawsze pogrzebała przeszłość i wszystko, co się z nią wiązało. Wyciągnęła rękę do Annie trochę bezradnym gestem.

- Dziękuję ci - szepnęła.

Annie wzruszyła ramionami i poszła zamknąć frontowe drzwi. W sklepie było już pusto i cicho.

- Pamiętasz, jak wyplakiwałam się na twoim ramieniu, kiedy rzucił mnie Don Newman? - wróciła do tematu.

- Nie był wart twoich łez. - Natasza zacisnęła usta.

- Ale to mi dobrze zrobiło. - Annie uśmiechnęła się. - Musiałam się wyplakać, wygadać i trochę upić. A ty wtedy byłaś przy mnie, pocieszałaś mnie i mówiłaś o nim te wszystkie wredne rzeczy.

- To nie było trudne - stwierdziła Natasza. - Był podły. Podły kretyń. - Z przyjemnością użyła tego słowa.

- Tak, ale wyjątkowo przystojny kretyń - dodała Annie w zamyśleniu. - Tak czy inaczej, pomogłaś mi przejść przez ten trudny okres, dopóki wreszcie nie zdałam sobie sprawy, że lepiej mi będzie bez niego. Ty nigdy nie potrzebowałaś mego ramienia, Nata, bo nigdy nie pozwoliłaś, żeby facet tu się dostał. - Podniosła zaciśniętą pięść.

Natasza, rozbawiona, oparła się o ścianę.

- Tu, to znaczy gdzie?

- Na Wielkie Pole Minowe Nataszy - powiedziała Annie. - Gwarantowane porażenie wszystkich mężczyzn w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat.

Natasza zmarszczyła czoło, nie będąc pewna, czy ta rozmowa nadal ją bawi.

- Nie bardzo wiem, czy starasz się mi pochlebić, czy mnie obrazić - zawahała się.

- Ani jedno, ani drugie. Posłuchaj mnie tylko przez chwilę, dobrze? - Annie głęboko zaczerpnęła tchu, żeby nie przyspieszać tam, gdzie należało iść krok za krokiem.

- Nata, widziałam, że opędzasz się od facetów jak od komarów. Sprawia ci to przyjemność. Nie widziałam, żebyś choć raz dała mężczyźnie drugą szansę. Od razu odprawiasz go z kwitkiem. Nawet cię za to podziwiałam, za taką pewnością siebie, za to, że jesteś tak samowystarczalna, że nie

potrzebujesz sobotniej randki, żeby się dowartościować.

- Nie jestem taka pewna siebie - mruknęła Natasza.

- Tylko nie interesują mnie żadne związki.

- W porządku. Szanuję to. Ale tym razem to coś innego.

- Dlaczego? - Natasza zaczęła podliczać kasę.

- Widzisz? Wiesz, że zaraz wymienię jego imię, i od razu się denerwujesz.

- Nie denerwuję się - skłamała Natasza.

- Ależ tak, od chwili kiedy Kimball pojawił się tu po raz pierwszy, jesteś nerwowa, rozstrojona, rozkojarzona. W ciągu minionych trzech lat nigdy żaden mężczyzna nie zaprzął cię dłużej niż przez pięć minut. Aż do teraz.

- Tylko dlatego, że jest bardziej namolny niż inni.

- Rzuciła okiem na Annie. - Już dobrze, dobrze, jest w nim coś - przyznała. - Aleja nie jestem zainteresowana.

- Raczej boisz się nim zainteresować.

Nataszy nie podobało się to stwierdzenie, ale nie zamierzała spierać się z przyjaciółką.

- Na jedno wychodzi.

- Wcale nie. - Annie nie ustępowała. Ścisnęła dłoń Nataszy. - Posłuchaj, wcale cię nie pcham w ramiona tego faceta. Z tego co wiem, równie dobrze mógł zamordować żonę i spalić ją w ogrodzie różanym. Mówię tylko, że nie uporasz się sama ze sobą, dopóki nie przestaniesz się bać facetów.

Annie ma rację, pomyślała Natasza, kiedy siedziała już w domu na łóżku z głową opartą na dłoni. Jest rozkojarzona, rozstrojona. I naprawdę się boi. Ale nie Spence'a, zapewniła samą siebie. Żaden mężczyzna już nigdy jej nie przestraszy. Boi się uczuć, jakie w niej budzi. Zapomnianych, niechcianych uczuć.

Czy to znaczy, że nie panuje już nad swoimi emocjami? Nie. Czy to znaczy, że będzie się zachowywać irracjonalnie, impulsywnie tylko dlatego, że pragnienia znowu wtargnęły w jej życie? Nie. Czy to znaczy, że będzie się zamykać w czterech ścianach, bojąc się być z mężczyzną? Na pewno nie.

Boi się tylko dlatego, że jeszcze nie jest sobie pewna, że musi się sprawdzić, przetestować. Podeszła do szafy. A więc dziś wieczór pójdzie na kolację z upartym doktorem Kimballem, udowodni sobie, że jest silna i potrafi się oprzeć przelotnej przygodzie. A potem wszystko wróci do normalnego stanu.

Otworzyła szafę i zaczęła przeglądać rzeczy. W końcu zdecydowała się na granatową suknię koktajlową z ozdobnym paskiem. Nie ubierała się dla niego. On naprawdę nie miał tu nic do rzeczy. Była to po prostu jedna z jej ulubionych sukien, a rzadko miała okazję włożyć coś bardziej odświętnego.

Zapukał dokładnie o siódmej dwadzieścia osiem. Natasha była na siebie zła, że nerwowo spoglądała na zegarek.

Dwa razy pociągała usta szminką, kilkakrotnie sprawdzała zawartość torebki i gorączkowo pragnęła, żeby jak najbardziej opóźnić chwilę, gdy będzie musiała podjąć decyzję, co zrobić.

Zachowuję się jak nastolatka, strofowała siebie, idąc do drzwi. Przecież to tylko kolacja, pierwsza i ostatnia w jego towarzystwie. A on jest tylko mężczyzną, dodała, otwierając drzwi.

Niewiarygodnie atrakcyjnym mężczyzną.

Wyglądał wspaniale z włosami szczesanymi do tyłu i uśmieżkiem błakającym się po twarzy. Nigdy dotychczas nie uświadamiała sobie, że mężczyzna w garniturze i krawacie

może być aż tak seksowny.

- Witaj. - Podał jej czerwoną różę.

Natasza niemal westchnęła. Pożałowała wręcz, że szary garnitur nie nadawał mu bardziej oficjalnego wyglądu. Uderzyła lekko różą w policzek.

- To nie różę spowodowały, że zmieniłam zdanie.

- Co do czego?

- Co do kolacji z tobą. - Cofnęła się o krok, nie mając innego wyjścia, jak wpuścić go do środka, żeby mogła wstawić kwiat do wody.

Uśmiechnął się szeroko, wyglądał czarująco i uwodzicielsko.

- A dlaczego zmieniłaś zdanie? - zainteresował się.

- Bo jestem głodna. - Położyła aksamitny żakiet na oparciu kanapy. - Tylko wstawię różę do wody - powiedziała.

- Usiądź, jeśli chcesz.

Nie zamierza ustąpić ani o krok, pomyślał Spence, obserwując, jak Natasza wychodzi z pokoju. Może to i dziwne, ale wydaje się przez to jeszcze bardziej interesująca. Potrząsnął głową. Nie do wiary. Właśnie wtedy, kiedy był przeświadczony, że nic nie pachnie seksowniej niż mydło, ona sprawiła, że zaczął myśleć o ciemnościach i o sam na sam przy dźwięku skrzypiec.

Uznał, że bezpieczniej będzie myśleć o czymś innym, i zaczął się rozglądać po pokoju. Zauważył, że Natasza lubi żywe barwy - poduszki na kanapie były szmaragdowe, a narzuta szafirowa. Obok stała duża waza z mosiądzu, wypełniona jedwabistymi pawimi piórami. Wokół świece w różnych rozmiarach i kolorach, rozsiewające nastrojowy zapach wanilii, jaśminu i gardenii. Na półce w rogu pokoju stały książki. Od popularnych powieści poczynając, poprzez poradniki domowe, na klasyce kończąc.

Na stolikach pełno było oprawionych w ramki fotografii, suchych bukietów, wyszukanych figurek z baśni. Był tam mały domek, nie większy niż jego pięść, dziewczyna w stroju pasterki, świnka wyglądająca przez okno malutkiej słomianej chatki, piękna kobieta trzymająca szklany pantofelek.

Praktyczne rady dla majsterkowiczów, uderzające kolory i świat baśni, dziwił się, dotykając kryształowego pantofelka. Intrygujące i zadziwiające połączenie, takie jak ona sama.

Słyszając, że Natasza wraca do pokoju, odwrócił się.

- Piękne - powiedział, wskazując figurki. - Freddie oczy wyszłyby z orbit.

- Miło mi. Mój brat je robił.

- Naprawdę? - Spence wziął do ręki drewniany domek, by mu się lepiej przyjrzeć. - Nie do wiary. Rzadko się ogląda taką robotę - powiedział z uznaniem.

- Rzeźbił od dziecka - powiedziała, podchodząc bliżej.

- Pewnego dnia jego sztuka znajdzie się w galeriach i muzeach.

- Już powinna tam być.

Szczerłość w jego głosie poruszyła jej najczulszą strunę - miłość do rodziny.

- To nie takie proste - wyjaśniła. - Jest młody, butny i dumny, więc żeby zarobić na rodzinę, pracuje w tartaku zamiast rzeźbić. Ale pewnego dnia... - Uśmiechnęła się do swojej kolekcji. - Robi to dla mnie, ponieważ bardzo ciężko pracowałam, żeby nauczyć się angielskiego, kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Chciałam czytać te wszystkie cudowne bajki, które znalazłam wśród rzeczy, jakie dostaliśmy z kościoła. Obrazki były takie śliczne, a ja chciałam jak najprędzej się dowiedzieć, o czym one są - Nagle zmieniła temat, lekko zakłopotana swoim wybuchem

szczerości. - Powinniśmy już iść.

Skinął głową, postanawiając cierpliwie poczekać, aż opowie mu więcej o sobie i swojej rodzinie.

- Włóż żakiet. Później może być chłodno - powiedział.

Restauracja, którą wybrał, znajdowała się zaledwie o parę przecznic dalej, na zalesionym wzgórzu, z widokiem na Potomak. Gdyby miała zgadywać, trafiłaby bezbłędnie, że lubi spokojne eleganckie wnętrza i dyskretną obsługę. Przy pierwszym kieliszku wina powiedziała sobie, że ma się zrelaksować i dobrze bawić.

- Freddie była dziś w sklepie - zaczęła.

- Słyszałem. - Spence podniósł kieliszek. - Chciałaby mieć takie kręcone włosy jak ty.

- O, to miłe.

- Dobrze ci mówić. Dopiero co nauczyłem się zaplatać warkocze.

Natasza bez trudu wyobraziła go sobie, cierpliwie splatającego miękkie włosy dziewczynki.

- Ona jest piękna - powiedziała, przypominając sobie ich przy fortepianie. - Ma twoje oczy.

- Sam nie wiem, ale chyba powiedziałaś mi komple-
ment.

Skonsternowana, pochyliła się nad kartą dań.

- Wiem, co robię - powiedziała. - Zamierzam poweto-
wać sobie brak obiadu - dodała, studiując kartę.

Tak jak powiedziała, tak zrobiła. Dopóki je, atmosfera będzie spokojna. Skierowała rozmowę na tematy przerabiane w czasie zajęć. Dyskutowali o muzyce piętnastego wieku, o wędrownych muzykantach. Spence z uznaniem stwierdził, że Natasza jest tym niezwykle zainteresowana, ale wolałby objaśniać jej sprawy bardziej osobiste.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosił. Natasza

włożyła do ust kęs delikatnego łososia polanego masłem.

- Jestem najstarsza z naszej czwórki - zaczęła, po czym nagle uświadomiła sobie, że on delikatnie pieści jej palce. Cofnęła rękę.

Podniósł kieliszek, by ukryć uśmiech.

- Wszyscy jesteście szpiegami?

- Skąd ten pomysł!

- Przyszedł mi do głowy, bo tak niechętnie o nich mówisz - wyjaśnił, pochylając się ku niej.

Zanurzyła łososia w rozpuszczonym maśle i zaczęła się rozkoszować kolejnym kęsem.

- Mam dwóch braci i siostrę. Moi rodzice wciąż mieszkają w Brooklynie.

- Dlaczego przeniosłaś się tutaj, do Wirginii Zachodniej?

- Chciałam jakiejś zmiany - wzruszyła ramionami. - A ty nie?

- Też. - Lekko zmarszczył brwi. Przyglądał się jej uważnie. - Mówiłaś, że kiedy przyjechaliście do Stanów, byłaś w wieku Freddie. Dużo pamiętasz z wcześniejszego okresu?

- Oczywiście. - Wyczuwała, że z jakichś powodów Spence bardziej myśli o swojej córce niż o jej wspomnieniach z Ukrainy. - Zawsze uważałam, że przeżycia z pierwszych paru lat zostają w nas najdłużej. Dobre czy złe, ale wywierają na nas wpływ i nas kształtują. - Pochyliła się ku niemu z uśmiechem. - A ty co najlepiej pamiętasz z dzieciństwa?

- Pamiętam, jak siedziałem przy pianinie i ćwiczyłem gamy. - Wydało mu się to tak oczywiste, że omal się nie roześmiał. - Pamiętam zapach róż w ogrodzie i śnieg za oknem. Wahanie, czy ćwiczyć, czy iść do parku i rzucać śnieżkami w nianię.

- W nianię - powtórzyła Natasza i zachichotała. Oparła twarz na rękach i pochyliła się jeszcze bardziej, kusząc go grą światła i cieni na swojej twarzy. - I na co się zdecydowałaś?

- Na jedno i drugie.

- Co za odpowiedzialne dziecko.

Ujął jej nadgarstek i zaskoczony poczuł, że zadrżała. Zanim cofnęła rękę, poczuł przyspieszone uderzenie tętna.

- A co ty zapamiętałaś? - spytał.

Zaniepokojona własną reakcją na jego dotyk, postanowiła nie dać mu już nic po sobie poznać. Wzruszyła ramionami.

- Pamiętam ojca, jak przynosił drewno na opał, jego włosy i płaszcz pokryte śniegiem. Pamiętam płaczące dziecko, najmłodszego brata. Pamiętam zapach chleba, który piekła mama. Pamiętam, jak udawałam, że śpię, a słuchałam, co tata mówił jej o planach naszej ucieczki.

- Bałaś się?

- Tak. - Powędrowała wzrokiem w dal, jakby chcąc sobie lepiej przypomnieć wszystkie szczegóły. Nieczęsto wracała pamięcią do przeszłości, nie miała takiej potrzeby. Ale kiedy to robiła, obraz był bardzo wyraźny. - Bardzo się bałam. Chyba już nigdy nie będę się tak bać.

- Opowiesz mi o tym?

- Po co?

- Bo chciałbym zrozumieć.

- Czekaliśmy do wiosny i wzięliśmy tylko tyle rzeczy, ile zdołaliśmy unieść. Nikomu nic nie mówiąc, załadowaliśmy wszystko na furę i wyruszyliśmy. Tata powiedział, że jedziemy odwiedzić siostrę mojej matki. Myślę jednak, że byli tacy, którzy wiedzieli, którzy obserwowali nas, nasze zmęczone twarze i przerażone oczy. Ojciec miał papiery, kiepsko podrobione, ale miał mapę i liczył, że uda nam się

ominać straż graniczną.

- Było was tylko pięcioro?

- Prawie sześcioro. - Wodziła palcem po krawędzi kieliszka. - Michaił miał ze cztery lata, Aleksij dwa. Nocą, gdy mogliśmy rozpalić ognisko, siadaliśmy obok ojca i słuchaliśmy jego opowieści. To były dobre noce. Zасыпалиśmy przy dźwięku jego głosu i zapachu ogniska. Przez góry przedostaliśmy się na Węgry. Zajęło nam to dziewięćdziesiąt trzy dni.

Nie był w stanie sobie tego wyobrazić. Patrzył w jej szeroko otwarte oczy. Słuchał niskiego, pozornie beznamiętnego głosu, ale wyczuwał, że kłębią się w niej niepokohamowane emocje. Pomyślał o małej dziewczynce wędrującej przez góry i ujął ją za rękę, czekając na ciąg dalszy.

- Ojciec planował to przez całe lata. Może całe życie o tym marzył. Miał nazwiska osób, które pomagały uciekinierom. Trwała wtedy zimna wojna, ale ja byłam za mała, żeby to zrozumieć. Rozumiałam tylko strach rodziców i tych, którzy nam pomagali. Z Węgier przerzucono nas do Austrii. Pomocy finansowej udzielił nam Kościół i umożliwił wyjazd do Ameryki. Dużo czasu upłynęło, zanim przestałam czekać na policję, która przyjdzie po ojca.

Zamilkła, zakłopotana swoimi słowami, zaskoczona, że jej dłoń spokojnie spoczywa w jego dłoni.

- To za dużo jak na dziecko - zauważył.

- Pamiętam też, jak zjadłam pierwszego hot doga. - Uśmiechnęła się i podniosła do ust kieliszek. Nigdy nie rozmawiała na temat tamtych czasów. Nigdy. Nawet z rodziną. Poczula rozpaczliwą chęć zmiany tematu. - I dzień, kiedy ojciec przyniósł do domu telewizor. Żadne dzieciństwo, nawet z nianiami, nie jest absolutnie bezpieczne. Ale wydorosleliśmy. Ja jestem kobietą interesu, a ty szanowanym

kompozytorem. Dlaczego nie piszesz? - Poczowała jego palce zaciskające się na jej dłoni. - Przepraszam - zmytygowała się. - To nie moja sprawa.

- Dlaczego? Chętnie ci odpowiem. Nie piszę, bo nie mogę.

Zawahała się, ale postanowiła kontynuować ten temat.

- Znam twoją muzykę. Ona się nie zestarzeje. Jest bardzo dobra.

- W ciągu paru ostatnich lat nie miała dla mnie większego znaczenia. Dopiero ostatnio zaczęła się znowu liczyć.

- Nie zwlekaj.

Uśmiechnął się, a ona energicznie potrząsnęła głową. Mocno ścisnęła jego rękę.

- Mówię poważnie. Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Ludzie zawsze się wykręcają. Mówią: w odpowiednim czasie, w odpowiednim nastroju, w odpowiednim miejscu. I w ten sposób tracą całe lata. Gdyby mój ojciec czekał, aż będziemy starsi, aż droga będzie bezpieczniejsza, może wciąż żylibyśmy na Ukrainie. Są rzeczy, których bieg trzeba przyspieszyć. Życie może być bardzo, bardzo krótkie.

Widział, jak bardzo jest rozgorączkowana, i widział cień żalu w jej oczach. Zaintrygowało go to bardziej niż jej słowa.

- Może masz rację - przyznał po chwili namysłu i uniósł jej dłoń ku ustom. - Czekanie nie zawsze jest najlepszym wyjściem.

- Robi się późno. - Natasza cofnęła rękę. - Powinniśmy iść.

Była w dobrym nastroju, gdy odprowadzał ją do domu. Podczas krótkiej jazdy samochodem rozbawił ją, opowiadając o tym, jak Freddie stara się go przekonać, żeby pozwolił jej

wziąć kotka.

- Myślę, że bardzo sprytnie postąpiła, wycinając zdjęcia kotów z kolorowych pism, żeby ci zrobić plakat - zażyła Natasza. - Zgodzisz się?

- Staram się nie być zbyt uległy.

- W takich dużych domach jak twój mogą się w zimie zagnieździć myszy. Właściwie powinienes wziąć dwa koty od JoBeth.

- Jeśli Freddie mnie do tego nakłoni, będę już wiedział, skąd ten pomysł. - Kręcił na palcu pukiel jej włosów. - Pamiętasz, że w przyszłym tygodniu macie test?

- Czy to szantaż, doktorze Kimball? - Uniosła brwi.

- No chyba.

- Mam zamiar dobrze napisać twój test i mam nieodparte wrażenie, że Freddie sama cię namówi na wzięcie całego miotu.

- Tylko jednego, szarego.

- A więc już je widziałeś.

- Parę razy. Nie zaprosisz mnie do środka?

- Nie.

- W porządku. - Objął ją w pasie.

- Spence... - próbowała oponować.

- Ja tylko stosuję się do twojej rady - mruknął, zbliżając usta do jej warg. - Nie zwlekaj. - Przyciągnął ją do siebie i chwycił zębami koniuszek jej ucha. - Bierz, co chcesz. - Skubnął jej dolną wargę. - Nie trać czasu.

Przycisnął wargi do jej ust. Czuł smak wina i wiedział, że może się nim upić. Pachniała zmysłowo, podniecająco, egzotycznie. Niczym powiew jesieni, sprawiała, że jego myśli wędrowały ku wypalającym się ogniskom, opadającym mgłom.

Namiętność nie zakwitała powoli, nie szeptała. Wy-

buchła tak gwałtownie, że nawet powietrze wokół nich zdawało się drżeć.

Ogarnęło go szaleństwo. Niepomny tego, co mówi, okładał pocałunkami jej twarz, wracając za każdym razem do gorących, spragnionych ust Nataszy. Dłonie błędziły po jej ciele.

Poczuła zawrót głowy. Żeby to było tylko wino. Wiedziała jednak, że to Spence sprawił, że kręciło jej się w głowie, że nie wiedziała, co robi i co się z nią dzieje. Chciała, by jej dotykał. Odchyliła głowę i poczuła jego wargi przesuujące się po szyi.

To niebezpieczna gra. Odżyły nagle dawne wątpliwości i lęki, które pozostawiły w niej wypalone dziury, czekające, by je wypełnić. Z chwilą gdy wypełniały się rozkoszą, strach wzrastał.

- Spence. - Wbiła paznokcie w jego ramiona, rozdarta między chęcią powstrzymania go a pragnieniem kontynuowania tej gry. - Proszę.

Był tak samo wstrząśnięty jak ona, ukrył twarz w jej włosach.

- Ile razy jestem z tobą coś się ze mną dzieje. Nie potrafię tego wytłumaczyć - powiedział.

Rozpaczliwie pragnęła przytrzymać go przy sobie, ale zmusiła się do opuszczenia ramion.

- Dajmy spokój - poprosiła.

Odsunął się o krok i ujął w dłonie jej twarz.

- Nawet gdybym chciał dać spokój, a nie chcę, nie mógłbym.

- Chcesz pójść ze mną do łóżka. - Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Tak. - Nie był pewien, czy powinien się roześmiać, czy złościć, że ujęła to tak trzeźwo. - Ale to nie takie proste.

- Seks nigdy nie jest prosty.
- Nie interesuje mnie uprawianie z tobą seksu - skorygował.
- Przecież powiedziałaś...
- Chcę się z tobą kochać. A to co innego.
- Nie mam zamiaru ubierać tego w tak romantyczne słowa.

Niepokój w jego oczach znikł równie szybko, jak się pojawił.

- A więc przykro mi, że będę cię musiał rozczarować. Jeśli będziemy się kochać, kiedykolwiek i gdziekolwiek, będzie to bardzo romantyczne. - Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem. - To obietnica, której zamierzam dotrzymać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Natasza! Zaczekaj! Natasza! Oderwawszy się od swoich niezbyt produktywnych myśli, obejrzała się i zobaczyła Terry'ego. Miał na sobie długi biało - żółty szalik, chroniący go przed pierwszymi chłodami. Kiedy biegł za nią, końce szalika powiewały na wietrze.

- Cześć, Terry. - Zatrzymała się i poprawiła mu przekrzywione okulary.

Terry zmęczył się biegiem. Miał tylko nadzieję, że nie dostanie ataku astmy.

- Cześć, widziałem cię z daleka - powiedział. Nie przyznał się, że czekał na nią od dwudziestu minut.

Natasza owinęła go szczelniej szalikiem.

- Powinieneś nosić rękawiczki - zwróciła mu uwagę. Terry chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Przeziębiles się? - Podała mu chusteczkę.

- Nie - odchrząknął głośno. Wziął jednak chusteczkę i przysiągł sobie, że przechowają aż do śmierci. - Właśnie się zastanawiałem, czy dziś wieczór, po wykładzie, no wiesz... czy masz jakieś plany... Pewno tak, ale gdybyś nie miała, to może... może byśmy skoczyli na filiżankę kawy - popatrzył na nią z nadzieją w oczach. - To znaczy, na dwie. Ty byś miała swoją, a ja swoją - uśmiechnął się.

Biedny chłopak, jest bardzo samotny, pomyślała Natasza, odpowiadając mu zdawkowym uśmiechem.

- Dobrze.

Cóż jej szkodzi dotrzymać mu towarzystwa przez godzinę czy dłużej, uznała, wchodząc do sali. Będzie mogła oderwać myśli od...

Od mężczyzny, który przed dwoma tygodniami całował ją do utraty tchu i który teraz stał przed salą i

przekomarzał się z pulchną blondynką, mającą nie więcej niż dwadzieścia lat.

W ponurym nastroju usiadła w ławce i wsadziła nos w notatnik.

Spence zauważył ją, gdy wchodziła do sali. Wyraz zadości na jej twarzy sprawił mu cichą satysfakcję. Najwyraźniej los nie był taki złośliwy, gdy przez ostatnie dwa tygodnie kazał mu tkwić po uszy w sprawach zawodowych i prywatnych. Drobne naprawy w domu, zebrania w szkole, spotkania w klubie sprawiły, że nie miał dosłownie chwili czasu. Ale wszystko powoli wracało do normy. Obserwował Nataszę pochyloną nad zeszytem. Teraz wreszcie postara się nadrobić stracony czas.

Przysiadł na skraju biurka i rozpoczął dyskusję o różnicach między świecką a kościelną muzyką baroku.

Natasza nie zamierzała w niej uczestniczyć i była pewna, że on o tym wie. Bo inaczej dlaczego dwukrotnie pytałby ją o zdanie?

O, on jest sprytny, pomyślała. Najmniejszym gestem czy tonem głosu nie zdradził się, że łączy ich coś więcej niż stosunki służbowe. Prawdopodobnie nikt nie podejrzewa, że ten elegancki, błyskotliwy wykładowca tak namiętnie ją całował, nie raz, nie dwa, lecz trzy razy. A teraz spokojnie opowiada o operze barokowej.

W czarnym golfie i szarej tweedowej marynarce wyglądał jak właściwy człowiek na właściwym miejscu. I jak zwykle studenci byli w niego wpatrzeni z zachwytem. Kiedy uśmiechał się, słuchając ich komentarzy, Natasza usłyszała, jak mała blondynka z tyłu tęsknie wzdycha. Zesztywniała, bo sama z trudem opanowała westchnienie.

Prawdopodobnie niejedna kobieta jest nim zafascynowana. Nic dziwnego, mężczyzna, który tak wygląda, tak

mówi i tak słucha, musi budzić żywe uczucia kobiet. Był typem mężczyzny, który w nocy czynił obietnice jednej kobiecie, by śniadanie jeść już w łóżku innej.

Czyż nie szczęśliwie się składa, że ona już nie wierzy w obietnice?

Coś tam się dzieje w tej ślicznej główce, pomyślał Spence. W jednej chwili słuchała go, jakby znał odpowiedzi na wszystkie tajemnice wszechświata. W następnej siedziała sztywno, wpatrzona w przestrzeń ponad sobą, jak gdyby pragnęła być jak najdalej stąd. Przysięgłaby, że jest zła i że ta złość jest wymierzona prosto w niego. Nie wiedział tylko, dlaczego.

Za każdym razem, gdy w ciągu ostatnich dwóch tygodni chciał z nią zamienić słowo po wykładzie, wypadła z budynku jak strzała. Dziś będzie musiał jakoś ją podejść.

Wstała, gdy tylko skończył wykład. Obserwował, jak uśmiecha się do studenta siedzącego obok. Później schyliła się, by podnieść książki i długopisy, które rozsypał wstając.

Spence usiłował przypomnieć sobie jego nazwisko. Maynard. Właśnie. Maynard chodził na różne zajęcia prowadzone przez niego i na każdym pozostawał gdzieś w tyle, nie rzucając się w oczy. Teraz jednak ten niepozorny pan Maynard przykląkł tuż obok Nataszy.

- No, chyba wszystkie. - Natasza przyjacielskim gestem poprawiła okulary na nosie Terry'ego.

- Dziękuję.

- Nie zapomnij szalika... - zaczęła i spojrzała w górę. Czyjaś ręka podtrzymała ją, gdy się podnosiła. - Dziękuję, panie doktorze - powiedziała.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Nataszo.

- Naprawdę? - Rzuciła okiem na jego dłoń, wciąż spoczywającą na jej ramieniu, po czym chwyciła płaszcz i

książki. Czując się jak gracz, zdecydowała się na kontrę. - Przykro mi, ale jestem umówiona.

- Umówiona? - powtórzył i natychmiast oczami wyobraźni ujrzał jakiegoś ciemnowłosego, śniadego kulturystę.

- Tak. Przepraszam. - Strzepnęła jego dłoń i zaczęła wkładać płaszcz. Mężczyzna stojący obok patrzył jak zahipnotyzowany. Zapięła guziki.

- Możemy iść, Terry? - spytała.

- Oczywiście. - Popatrzył na Spence'a z lękiem połączonym z niepokojem. - Ale mogę poczekać, jeśli chcesz porozmawiać z doktorem Kimballem.

- Nie, nie trzeba. - Chwyliła go pod ramię i pchnęła w kierunku drzwi.

Kobiety! - pomyślał Spence, siadając przy biurku. Pogodził się już z faktem, że nigdy ich nie rozumiał. I z pewnością nigdy nie zrozumie.

- Na Boga, Nata - przekonywał Terry - nie uważasz, że powinnaś się dowiedzieć, o co chodzi doktorowi Kimballowi?

- Wiem, o co mu chodzi - wycodziła przez zęby i pchnęła drzwi. Poczowała na policzkach chłodny powiew jesiennego powietrza. - Nie jestem dziś w nastroju do takich rozmów. Poza tym wydawało mi się, że mamy iść na kawę. - Zwolniła nieco kroku, by się z nią zrównać.

- Oczywiście.

Weszli do małego baru, gdzie połowa stolików była wolna. Przy bufecie dwóch mężczyzn kiwało się nad piwem. W rogu tuliła się jakaś para, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie.

Natasza zawsze lubiła to miejsce z przyciemnionym światłem i czarno - białymi plakatami z Jamesem Deanem i

Marilyn Monroe. W powietrzu unosił się zapach papierosów i wina z dzbanów. Na półce nad barem stał przenośny aparat stereo, z którego rozlegał się głos Chucka Berry'ego. Usiadła przy jednym ze stolików.

- Kawę, Joe! - zawołała do mężczyzny za barem. - A więc - zwróciła się do Terry'ego - jak leci?

- W porządku. - Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Jest tu z nią, siedzi obok niej, na randce. Sama powiedziała, że to randka.

Natasza zrzuciła płaszcz i zawinęła rękawy swetra do łokci. W lokalu było gorąco.

- Ciekawa jestem, jak się tutaj czujesz. Do jakiego college'u chodziłeś przedtem? - zaczęła rozmowę, by ośmielić swego towarzysza.

- Ukończyłem college stanu Michigan. - Jego okulary znowu były zaparowane. - Kiedy się dowiedziałem, że doktor Kimball będzie tutaj wykładał, zdecydowałem się przyjechać.

- Przyjechałeś tu z powodu doktora Kimballa?

- Nie chciałem stracić okazji. W zeszłym roku pojechałem do Nowego Jorku posłuchać jego wykładu. Jest niesamowity.

- Chyba tak - bąknęła.

- Gdzie się podziewałaś? - spytał barman, podając kawę. - Nie widziałem cię od miesiąca.

- Miałam dużo pracy. A co u Darli?

- To już przeszłość. - Joe mrugnął do niej po przyjacielsku. - Jestem cały twój, Nata.

- Będę o tym pamiętać. - Roześmiała się i zwróciła z powrotem do Terry'ego. - Coś się stało? - spytała, widząc, jak nerwowo skubie kołnierzyk koszuli.

- Tak, nie, to znaczy... to twój chłopak?

- Mój... - Szybko pociągnęła łyk kawy, żeby nie roze-

śmiać mu się prosto w twarz. - Masz na myśli Joe? Nie. - Znowu upiła kawy. - Nie, nie jest. Jesteśmy... - Szukała właściwego słowa - .. kumplami.

- Ach tak. - Terry odetchnął z ulgą. - Tak tylko pomyślałem, bo on...

- Żartował. - Ścisnęła rękę chłopaka, chcąc go uspokoić. - A co z tobą? Masz dziewczynę w Michigan?

- Nie, nikogo tam nie mam. W ogóle nie mam dziewczyny. - Przytrzymał jej dłoń.

- O Boże - westchnęła, uświadomiwszy sobie to, czego dotychczas nie zauważyła.

Tylko ślepy by się nie zorientował, pomyślała, patrząc w zachwycone nią krótkowzroczne oczy Terry'ego. Albo głupiec, tak pochłonięty własnymi problemami, że nie dostrzega, co się dzieje tuż obok. Będzie musiała być ostrożna.

- Terry - zaczęła. - Jesteś bardzo miły...

Już te słowa wystarczyły, by ręka mu zadrżała. Rozlał trochę kawy na koszulę. Szybko przesunęła krzesło i zaczęła serwetką ścierać plamę.

- Dobrze, że nigdy nie podają tu gorącej kawy - zauważyła. - Jeśli od razu namoczysz koszulę w zimnej wodzie, plama zejdzie.

Terry ujął jej dłonie. Zapach jej włosów sprawił, że zaszumiało mu w głowie.

- Kocham cię - wyszeptał, zbliżając usta do jej twarzy. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa.

Natasza poczuła jego usta na policzku, zimne i drżące. Uznała, że nie może czynić mu fałszywych nadziei i że musi być z nim całkowicie szczerą.

- Nie, nie kochasz - powiedziała, odsuwając się od niego.

- Nie? - powtórzył zbity z tropu. To było coś całkiem

innego niż fantazje, jakie snuł w swej wyobraźni. Raz na przykład wyobrażał sobie, że wyciągają spod kół pędzącej ciężarówki. Innym razem widział oczami wyobraźni, jak gra napisaną dla niej piosenkę, a ona rzuca mu się w ramiona. Jego wyobraźnia nie przewidziała jednak sytuacji, w jakiej się znaleźli: że siedzą przy kawiarnianym stoliku, ona wyciera rozlaną kawę i spokojnie mu oświadcza, że nie jest w niej zakochany.

- Jestem - powtórzył z desperacją.

- Ależ to śmieszne - powiedziała, uśmiechając się, by złagodzić ostrość swoich słów. - Lubisz mnie i ja ciebie lubię.

- Nie, to coś więcej. Ja...

- W porządku. A więc dlaczego mnie kochasz?

. - Bo jesteś piękna. - Patrzył na nią z zachwytem. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- I to wystarczy, żeby mnie kochać? - Uwolniła rękę z jego uścisku. - A co by było, gdybym ci powiedziała, że jestem złodziejką albo że lubię rozjeżdżać samochodem małe bezbronne zwierzątka? A może byłam trzy razy mężatką i zamordowałam swoich mężów?

- Nata... - przerwał jej z niesmakiem. Roześmiała się. Chciała go pogłodzić po policzku ale się powstrzymała.

- Chodzi mi o to, że nie znasz mnie na tyle, żeby mnie kochać. Gdyby tak było, wygląd nie miałby znaczenia.

- Ale... ale ja cały czas o tobie myślę.

- Bo wmówiłeś sobie, że byłoby fajnie zakochać się we mnie. - Sprawiał wrażenie tak bardzo nieszczęśliwego, że wzięła go za rękę. - Ale owszem, bardzo mi to pochwlebia.

- Czy to znaczy, że nie będziesz się ze mną spotykać?

- Spotkałam się przecież. Siedzimy tu razem - uśmiechnęła się. - Jako przyjaciele - dodała szybko, żeby znowu nie robić mu próżnych nadziei. - Jestem starsza od

ciebie. Możemy się tylko przyjaźnić.

- Nie, nie jesteś - zaprotestował.

- Ależ jestem. - Nagle poczuła się jak staruszka. - Jestem.

- Myślisz, że jestem głupi - bąknął z pokorą.

- Nie, wcale nie. - Znowu ujęła jego dłoń. - Posłuchaj,

Terry...

Odepchnął krzesło, zanim zdołała go powstrzymać.

- Muszę iść - rzucił.

Przeklinając się w duchu, Natasza podniosła szalik, który upuścił na podłogę. Nie ma sensu za nim biec, uznała. Potrzebuje czasu, żeby się uspokoić, a ona świeżego powietrza.

Liście zaczęły już opadać z drzew. Wirowały na wietrze. Lubiała takie jesienne wieczory jak ten, ale teraz nie zwracała na to uwagi. Zostawiła nietkniętą kawę, by pójść na długi spacer po mieście.

Zmierzając w kierunku domu, zastanawiała się, czy mogła jakoś inaczej ostudzić młodzieńczy zapał Terry'ego. Swoją niezręcznością zraniła tego wrażliwego, subtelnego chłopca. Mogła tego uniknąć, gdyby zwracała większą uwagę na to, co się wokół niej dzieje, a nie była pochłonięta wyłącznie własnym stanem ducha i własnymi uczuciami.

Aż za dobrze wiedziała, co to znaczy uważać się za zakochanego, rozpaczliwie, beznadziejnie. I wiedziała, jak bardzo może zranić stwierdzenie, że ten, kogo się kocha, nie odwzajemnia uczuć. Odrzucenie miłości, niezależnie od tego czy w sposób okrutny, czy delikatny, zawsze pozostawia ranę w sercu.

Westchnęła i ścisnęła szalik, który włożyła do kieszeni. Czy była kiedykolwiek tak ufna i bezbronna? Tak, odpowiedziała sobie. A nawet dużo, dużo bardziej.

Nareszcie, pomyślał Spence, obserwując ją, jak zbliża się do domu. Najwyraźniej myślami była bardzo daleko. Na swojej randce, uznał z irytacją. Cóż, postara się, żeby miała jeszcze o czym pomyśleć.

- Nie odprowadził cię do domu?

Stała jak wryta. W bladym świetle lampy zauważyła Spence'a siedzącego na ganku. Tylko tego mi jeszcze potrzeba - pomyślała. Z Terrym czuła się tak, jakby kopnęła bezbronne szczenię. Teraz będzie musiała stawić czoło wielkiemu, głodnemu brytanowi.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się.

- Marznę.

Mało brakowało, a roześmiałyby się. Z ust Spence'a wydobywał się biały obłoczek pary. Uznała, że nie jest w dobrym stylu wyśmiewanie się z kogoś, kto siedzi na zimnie przez ponad godzinę.

Wstał, gdy się zbliżyła. Jak mogła zapomnieć, że jest taki wysoki?

- Nie zaprosiłaś swego przyjaciela na drinka? - spytał z ironią.

- Nie. - Nacisnęła klamkę. Jak większość mieszkańców miasta, nie zamykała drzwi na klucz. - Gdybym to zrobiła, byłbyś mocno zakłopotany.

- To nieodpowiednie słowo.

- Mam szczęście, że nie zastałam cię w środku.

- Zastałaśbyś, gdyby przyszło mi do głowy otworzyć drzwi.

- Dobranoc.

- Poczekaj chwilę. - Przytrzymał drzwi, zanim zdążyła je zatrzasnąć. - Nie siedziałem na tym zimnie dla przyjemności. Chcę z tobą porozmawiać.

Przez chwilę w milczeniu mocowali się z drzwiami.

- Już późno.

- I będzie jeszcze później. Jeśli zamkniesz drzwi, będę w nie walił tak długo, aż wszyscy sąsiedzi rzucą się do okien.

- Ale tylko pięć minut - powiedziała łaskawie, bo i tak planowała okazać mu taką wielkoduszność. - Wypijesz brandy i pójdziesz.

- Jesteś wielka, Nataszo.

- Nie. - Rzuciła płaszcz na oparcie kanapy i zniknęła w kuchni. Kiedy wróciła, zastała go stojącego na środku pokoju z szalikiem Terry'ego w ręku.

- W co ty grasz? - spytał. Podała mu kieliszek.

- Nie rozumiem.

- Co ty najlepszego robisz? Umawiasz się z jakimś dzieciakiem, który ma jeszcze mleko pod nosem?

- Nie twoja sprawa, z kim się umawiam.

- Owszem, moja - odparł, uświadamiając sobie, jakie to dla niego ważne.

- Nie, a Terry jest bardzo miłym młodym człowiekiem.

- Aż za młodym. W każdym razie dla ciebie. - Cisnął szalik na podłogę.

- Czyżby? - Co innego, gdy ona to mówiła, a co innego, gdy Spence rzucił jej w twarz te słowa jak oskarżenie.

- Sądzę, że to ja powinnam o tym decydować.

Opanuj się, mruknął do siebie. Był czas, gdy uważano go za bardzo eleganckiego wobec kobiet.

- Może powinienem powiedzieć, że ty jesteś dla niego za stara.

- O, tak. - Mimo woli zaczęła ją bawić ta rozmowa.

- To zasadnicza różnica. Masz zamiar wypić tę brandy czy nie?

- Wypiję, dzięki. - Podniósł kieliszek, ale nie zbliżył go do ust.

Zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Jestem zazdrosny, stwierdził. Może to absurdalne, ale był zazdrosny o nieśmiałego, zalęknionego uczniaka. Robię z siebie głupca, uznał.

- Posłuchaj, może powinienem zacząć od nowa.

- Nie wiem, dlaczego miałbyś zacząć od nowa coś, czego w ogóle nie powinienes zacząć.

- Dlatego, że on nie jest w twoim typie. - Spence uparcie wracał do tematu.

- Coś podobnego! A skąd ty możesz wiedzieć, jaki jest mój typ? - uniosła się.

- Dobrze, a więc ostatnie pytanie i dam spokój. Jesteś nim zainteresowana?

- Oczywiście. - Po chwili się zreflektowała. Nie może używać Terry'ego i jego uczuć jako tarczy przeciw Spence'owi. - To bardzo miły chłopiec.

Spence już niemal odetchnął z ulgą, gdy jego wzrok ponownie padł na szalik.

- Co to tutaj robi? - spytał.

- Wzięłam go. - Widok szalika sprawił, że przez chwilę poczuła się jak przewrotna *femme fatale*. - Zostawił go gdy złamałam mu serce. Myśli, że jest we mnie zakochany. - Opadła na krzesło. - Idź już. Nie wiem, po co w ogóle z tobą rozmawiam.

Patrząc na jej nieszczęśliwą minę, miał nieodpartą ochotę roześmiać się i pogłaskać ją po włosach. Powstrzymał się jednak.

- Bo jesteś w kiepskim nastroju, a jedyną osobą, z którą możesz pogadać, jestem ja.

- Chyba tak. - Umknęła wzrokiem w bok. - Był bardzo miły i zdenerwowany, a ja nie miałam pojęcia, co on czuje, czy też myśli, że czuje. Powinnam się była domyślić, ale

zorientowałam się dopiero, kiedy rozlał kawę na koszulę i... Nie śmieję się z niego.

Spence potrząsnął głową.

- Nie śmieję się. Wierz mi, doskonale wiem, co musiał czuć. Są kobiety, które wprawiają mężczyzn w zakłopotanie.

- Nie czaruj mnie. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie czaruję.

Wstała i zaczęła bezradnie krążyć po pokoju.

- Zmieniasz temat - zauważyła.

- Naprawdę?

- Zraniłam jego uczucia. Gdybym wiedziała, na co się zanoszę, mogłabym temu zapobiec. Nie ma nic, ale to nic gorszego - uniosła się - niż kochać kogoś i zostać odrzuconym.

- Masz rację. - Rozumiał to. I poznał po jej oczach, że i ona to rozumiała. - Ale nie myślisz chyba poważnie, że on jest w tobie zakochany.

- Ja nie, ale on w to wierzy. Spytałam go, dlaczego tak uważa, i wiesz, co mi powiedział? - Odwróciła się gwałtownie. - Powiedział, że to dlatego, że jestem piękna. Ot, i wszystko. - Znowu zaczęła krążyć po pokoju. Spence obserwował ją w milczeniu. - Miałam ochotę potrząsnąć nim i spytać, co się z nim dzieje. Twarz jest tylko twarzą. Nic o mnie nie wie. Nie wie, co myślę, co czuję. Ale miał takie przepastne, smutne oczy, że nie mogłam na niego krzyknąć.

- A na mnie możesz.

- Ty nie masz przepastnych, smutnych oczu i nie jesteś chłopcem, któremu się wydaje, że jest zakochany.

- Chłopcem nie jestem - zgodził się, chwytając ją za ramiona i obracając ku sobie. - I podoba mi się coś więcej niż twoja twarz, Nataszo. Choć i ona bardzo mi się podoba.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Owszem, wiem. Wiem, że masz za sobą doświadczenia, jakie trudno sobie wyobrazić. Wiem, że kochasz swoją rodzinę i tęsknisz za nią że rozumiesz dzieci i je lubisz. Jesteś kobietą dobrze zorganizowaną, upartą i namiętną.

- Ujął jej ręce. - Wiem, że kiedyś byłaś zakochana. - Ścisnął mocniej jej dłonie. - I na razie nie chcesz o tym mówić. Masz bystry umysł i wielkie serce i chciałabyś, żebym ci był obojętny. Ale nie jestem.

- Wygląda na to, że wiesz o mnie więcej niż ja o tobie.

- Spuściła wzrok.

- Można to naprawić.

- Nie wiem, czy chcę. A raczej, dlaczego powinnam.

Musnął wargami jej usta, zanim zdążyła się usunąć.

- Jest wiele przyczyn.

- Może, ale nie. - Cofnęła się gwałtownie, gdy raz jeszcze chciał ją pocałować. - Daj spokój. Jestem zmęczona.

- A więc będę miał poczucie winy, gdy wykorzystam swoją przewagę.

Puścił ją. Poczowała rozczarowanie połączone z ulgą.

- Zrobię ci kolację - zaproponowała.

- Teraz?

- Jutro. Tylko kolację - zaznaczyła, zastanawiając się, czy nie powinna żałować, że go zaprosiła. - Jeśli przyprawisz Freddie.

- Będzie zachwycona.

- Dobrze, a więc o siódmej. - Podała mu płaszcz. - A teraz idź już.

- Powinnaś się nauczyć mówić to, co myślisz - uśmiechnął się, biorąc płaszcz. - Jeszcze jedna sprawa.

- Tylko jedna?

- Tak. - Wziął ją w objęcia i złożył na jej ustach długi, gorący pocałunek. Z satysfakcją patrzył, jak osunęła się na

kanapę, gdy wypuścił ją z ramion.

- Dobranoc - powiedział, wychodząc. Z ulgą zaczerpnął powietrza.

Po raz pierwszy Freddie została zaproszona na kolację z dorosłymi. Nie mogła się już doczekać, kiedy wyjdą z domu. Obserwowała, jak Spence się goli. Zawsze ją to bawiło. Nieraz nawet myślała, że chciałaby być chłopcem, żeby też odprawiać ten codzienny rytuał. Tego wieczora jednak wydawało jej się, że ojciec strasznie się guzdrze.

- Możemy już iść? - spytała, przestępując z nogi na nogę.

Spence stał przy umywalce, splukując resztki piany.

- Nie sądzisz, że powinienem się ubrać?

- Kiedy wreszcie to zrobisz? - niecierpliwiła się.

- Jak tylko doliczysz do stu.

Trzymając go za słowo, zbiegła do holu i zaczęła liczyć, przy siódmej dziesiątce usiadła na najniższym stopniu i zaczęła bawić się sznurowadłem.

Wszystko już sobie zaplanowała. Jej ojciec ożeni się albo z Natą, albo z panną Patterson, bo obie są piękne i mają ładny uśmiech. Potem ta, z którą się ożeni, zamieszka w ich domu. Wkrótce Freddie będzie miała siostrzyczkę. Może to będzie braciszek, ale wolałaby dziewczynkę. Wszyscy będą szczęśliwi, bo wszyscy będą się bardzo kochać. A tatuś znowu będzie w nocy grał na fortepianie.

Zerwała się, gdy usłyszała ojca, i spojrzała mu w oczy.

- Tatusiu, ile razy mam liczyć do stu?

- Założę się, że poszachrowałaś. - Wyjął z szafy jej płaszcz.

- Nie, nie szachrowałam. Ale ty okropnie się grzebałeś.

- Kochanie, i tak będziemy za wcześnie.

- To nic, ona nie będzie zła.

Natasza właśnie wkładała bluzkę, zastanawiając się, dlaczego zaprosiła kogoś na kolację, a zwłaszcza mężczyznę, którego powinna unikać. W każdym razie tak jej mówiła intuicja. Cały dzień była rozkojarzona, martwiła się, czy jedzenie będzie im smakowało, czy wybrała odpowiednie wino. A teraz już po raz trzeci się przebierała.

Zupełny brak charakteru. Spojrzała w lustro. Widok wybranej na chybił trafił niebieskiej bluzki i legginsów uspokoił ją. Wygląda spokojnie i naturalnie, a więc postara się zachować spokój. Wpięła w uszy srebrne koła, poprawiła włosy i pobiegła do kuchni. Właśnie próbowała sos, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Są wcześniej, stwierdziła i zakłęła pod nosem.

Wyglądali pięknie. Od razu wrócił jej dobry humor.

Widok małej dziewczynki z rączką w dłoni ojca sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Pochyliła się i ucałowała Freddie w oba policzki.

- Cieszę się, że jesteście.

- Dziękuję za zaproszenie - wyrecytowała Freddie i rzuciła wzrokiem na ojca.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnęła się Natasza.

- Tatusia nie pocałujesz? - Dziewczynka najwyraźniej była rozczarowana.

Natasza zawahała się chwilę.

- Ależ tak! - Musnęła ustami jego policzek. - To tradycyjne powitanie ukraińskie.

- Jestem bardzo wdzięczny za *głasnost'*. - Spence pochylił się i pocałował ją w rękę.

- Będziemy jeść barszcz? - spytała Freddie.

- Barszcz? - zdziwiła się Natasza, pomagając dziewczynce zdjąć płaszcz.

- Pani Patterson powiedziała, że barszcz to rosyjska zupa z buraków. - Dziewczynka starała się, żeby to nie zabrzmiało zbyt obcesowo.

- Przykro mi, nie ugotowałam barszczu - tłumaczyła się Natasza. - Ale zrobiłam inną tradycyjną potrawę. Pulpety z kluseczkami.

Wieczór przebiegł nadspodziewanie spokojnie. Siedzieli przy starym stole ustawionym koło okna, a w rozmowie poruszali najrozmaitsze tematy, od kłopotów Freddie z arytmetyką po operę neapolitańską. Nataszy nie trzeba było specjalnie zachęcać, by opowiedziała o swojej rodzinie. Freddie chciała wiedzieć wszystko o jej rodzeństwie.

- Nie biliśmy się często - opowiadała, kiedy siedzieli już przy kawie, a Freddie usadowiła się jej na kolanach.

- Ale kiedy już do tego doszło, zawsze wygrywałam, bo byłam najstarsza. I najbardziej podła.

- Nie jesteś podła.

- Czasem tak, jak jestem zła. - Popatrzyła na Spencer, pamiętając, że powiedziała mu, iż nie zasługuje na Freddie. Żałowała tych słów. - Potem jest mi przykro - dodała.

- Nie zawsze, kiedy ludzie ze sobą walczą, znaczy to, że się nie lubią - wtrącił Spence.

Starał się nie myśleć o tym, jak wspaniale, jak idealnie wygląda jego córka na kolanach Nataszy. Nie posuwaj się za daleko, napomniął siebie, i nie za szybko.

Freddie nie była pewna, czy rozumie, o co tu chodzi, ale miała dopiero pięć lat. Nagle przypomniała sobie z radością, że wkrótce skończy sześć.

- Niedługo mam urodziny - oznajmiła.

- Tak? - Natasza wykazała żywe zainteresowanie. - Kiedy?

- Za dwa tygodnie. Przyjdiesz do mnie na przyjęcie?

- Z przyjemnością. - Popatrzyła wymownie na Spence'a, słysząc, jak Freddie wymienia wszystkie cudowne rzeczy, które były w jej sklepie.

Nie należy aż tak bardzo angażować się w stosunku do tej dziewczynki, pomyślała. W każdym razie nie w sytuacji, gdy ta dziewczynka jest tak bardzo związana z mężczyzną, który obudził w niej wszystkie uspięne tęsknoty i pragnienia. Spence uśmiechnął się. Nie, to nierozsądne, powtórzyła w duchu. Ale i nie do odparcia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Ospa wietrzna. - Spence powtarzał te dwa słowa, obserwując śpiącą córeczkę. Ładny prezent urodzinowy, nie ma co mówić.

Za dwa dni Freddie skończy sześć lat i akurat wtedy, jak powiedział lekarz, pokryje się cała drobnymi pęcherzykami, które na razie pojawiły się tylko na brzuchu i piersiach.

To normalny rozwój choroby, powiedział pediatra. Każde dziecko musi przez to przejść. Dobrze mu mówić, pomyślał Spence. To nie jego córeczka miała dziś oczy pełne łez. To nie jego dziecko ma wysoką gorączkę.

Uświadomił sobie nagle, że Freddie nigdy dotychczas nie chorowała. Była czasem przeziębiona i bolało ją gardło, ale wystarczyła aspiryna i wszystko mijało. Przeciągnął ręką po włosach. Dziewczynka stękała przez sen i wierciła się niespokojnie.

Telefon od Niny niewiele pomógł. Musiał się nieźle nagimnastykować, żeby odwieść ją od chęci natychmiastowego przyjazdu. Nie powstrzymało jej to jednak od kaśliwej uwagi, że Freddie na pewno zaraziła się ospą, bo chodzi do szkoły publicznej. Był to oczywisty nonsens, ale kiedy patrzył teraz na pokrytą potem rozgorączkowaną twarz dziewczynki, miał ogromne wyrzuty sumienia.

Rozum podpowiadał mu, że ospa wietrzna to nieodłączny element dzieciństwa. Serce jednak mówiło, że powinien był się postarać, by jego córka jej uniknęła.

Po raz pierwszy uzmysłowił sobie, jak bardzo pragnąłby mieć obok siebie kogoś bliskiego. Nie po to, by wyręczał go w obowiązkach rodzicielskich, lecz po prostu po to, żeby był. Żeby potrafił zrozumieć, co się czuje, gdy dziecko jest chore lub nieszczęśliwe. Kogoś, z kim mógłby porozmawiać w środku nocy, kiedy lęki i zmartwienia nie pozwalają

zasnąć.

Gdy myślał o kimś takim, przed oczami niezmiennie stawała mu Natasza.

Próżne marzenia, zreflektował się i podszedł do łóżka Freddie. Nie miał pojęcia, czy mógłby zaryzykować i czy tym razem by się udało.

Przetarł wilgotną chusteczką czoło dziewczynki. Otworzyła oczy.

- Tatusiu.

- Tak, buziaczku. Jestem tutaj.

- Pić. - Wargi jej drżały.

- Przyniosę ci coś zimnego.

Chora czy nie, ale umiała wyegzekwować to, co chciała.

- Może być fanta?

- Oczywiście. - Pocałował ją w policzek. - Zaraz wracam.

Był w połowie schodów, gdy równocześnie rozległ się dzwonek telefonu i pukanie do drzwi.

- Do licha! Vero, odbierz, dobrze? - Zirytowany niespodziewanymi odwiedzinami, otworzył drzwi energicznym szarpnięciem.

Uśmiech, który Natasza ćwiczyła przez cały wieczór, znikł jej z twarzy.

- Przepraszam. Przychodzę nie w porę - zorientowała się.

- Raczej tak - powiedział, cofając się, by wpuścić ją do środka. - Zaczekaj chwilę. Vero, dobrze, że jesteś - zwrócił się do gosposi. - Zanieś, proszę, Freddie fantę. Bardzo chce pić.

- Już idę. Dzwoni pani Barklay - dodała.

- Powiedz jej... - Urwał na widok wymownej miny

Very. Nie chciała niczego mówić Ninie. - No dobrze, zaraz podejść.

- To ja już pójść - wtrąciła Natasza, czując się zbędna.

- Przyszłam tylko dlatego, że nie było cię na wykładzie i chciałam się dowiedzieć, czy nic się nie stało.

- To z powodu Freddie - wyjaśnił, zerkając na telefon i zastanawiając się, co by tu zrobić ze swoją namolną siostrą. - Ma ospę wietrzną.

- Biedactwo. - Natasza miała nieodpartą chęć natychmiast pobiec na górę i zobaczyć, co się dzieje z dziewczynką. Powstrzymała się jednak. To nie twoje dziecko, nie twój dom, nie twoja sprawa. - To ja już pójść - powtórzyła.

- Wybacz, ale wszystko trochę się skomplikowało.

- Nie martw się - starała się pocieszyć Spence'a.

- Wkrótce wszystko będzie dobrze. Daj mi znać, gdybym mogła w czymś pomóc.

W tym momencie Freddie zawołała ojca rozpaczliwym, schrypniętym głosem.

Bezradny wzrok Spence'a kazał Nataszy zapomnieć o tym, co przed chwilą myślała.

- Może wstąpię do niej na chwilę? - zaproponowała.

- Posiedzę z nią trochę, a ty spokojnie porozmawiasz.

- Nie. Dobrze. - Odetchnął z ulgą. Jeśli nie porozmawia z Niną teraz, ona zadzwoni jeszcze raz. - Będę ci wdzięczny - dodał i ujął słuchawkę. - Nino...

Natasza poszła do pokoju dziewczynki. Zastała ją siedzącą w łóżku, otoczoną lalkami. Po policzkach spływały jej dwie duże łzy.

- Chcę tatusia. - Rozpłakała się.

- Zaraz przyjdzie. - Natasza usiadła na brzegu łóżka i przytuliła ją do siebie.

- Źle się czuję.

- Wiem, kochanie. Wydmuchaj nossek. - Przytrzymała chusteczkę.

Freddie posłuchała. Przytuliła główkę do piersi Nataszy. Westchnęła. Było jej o wiele wygodniej niż przy twardej piersi ojca.

- Byłam u doktora i dostałam lekarstwo - opowiedziała. - Nie będę mogła pójść jutro na zbiórkę.

- Będzie jeszcze dużo zbiórek, a ty musisz teraz przede wszystkim wyzdrowieć.

- Mam ospę wietrzną - oznajmiła z niepokojem połączonym z dumą. - Mam gorączkę i krosty.

- To nic strasznego - pocieszyła ją Natasza. - Ospa wietrzna szybko przechodzi.

- W zeszłym tygodniu JoBeth była chora. I Mikey też. A teraz ja. Nie będę mogła urządzić przyjęcia urodzinowego.

- Urządzisz je później, jak już wszyscy wyzdrowieją.

- Tatuś też tak powiedział. - Po policzku spłynęła jej następna łza. - Ale to nie to samo.

- Nie, ale czasami nie to samo jest lepsze. Freddie popatrzyła na nią wyraźnie zaciekawiona.

- Jak to?

- Będiesz miała więcej czasu na zastanowienie się, jak wszystko przygotować. Pokołysać cię?

- Jestem za duża na kołysanie - obruszyła się dziewczynka.

- A ja nie. - Natasza owinęła ją w koc i wzięła na ręce. Usiadła na białym bujanym fotelu. - Kiedy byłam mała i byłam chora, mama zawsze kołysała mnie w dużym skrzypiącym fotelu, który stał przy oknie. Śpiewała mi piosenki. I od razu czułam się lepiej.

- Moja mamusia mnie nie kołysała. - Freddie bolała głowa i bardzo chciała włożyć palec do buzi. Ale wiedziała,

że nie może tego zrobić, bo jest już za duża. - Nie lubiła mnie.

- To nieprawda. - Natasza odruchowo przytuliła ją do siebie. - Jestem pewna, że bardzo cię kochała.

- Chciała, żeby tatuś mnie odesłał.

Natasza przytuliła policzek do główki dziewczynki. Co mogła jej powiedzieć? Freddie na pewno sobie tego nie wymyśliła.

- Ludzie czasem mówią różne rzeczy, choć wcale tak nie myślą, a później tego żałują. Czy tatuś cię odesłał?

- Nie.

- No widzisz.

- A ty mnie lubisz?

- Oczywiście. - Delikatnie poruszała fotelem. - Bardzo cię lubię.

Kołysanie, subtelny kobiecy zapach i łagodny głos uspokoiły dziewczynkę.

- Dlaczego nie masz córeczki?

Natasza zamknęła oczy. Poczowała ból, tępy i dojmujący.

- Może pewnego dnia będę miała.

- Zaśpiewasz mi coś, tak jak twoja mamusia?

- Dobrze, a ty postaraj się zasnąć.

- Nie odchodź.

- Nie, zostanę z tobą.

Spence obserwował je, stojąc w progu. W przytłumionym świetle nocnej lampki widział śliczne delikatne dziecko o lnianych włosach w ramionach ciemnowłosej kobiety. Fotel kołysał się lekko, a Natasza śpiewała jedną z tych starych ukraińskich dumek, które pamiętała z dzieciństwa.

Był poruszony. Czuł się tak, jakby sam kołysał w ramionach kobietę, a równocześnie ogarnął go taki spokój, że

miał ochotę stać nieporuszony w miejscu i obserwować tę scenę w nieskończoność.

Natasza podniosła wzrok. Wyglądał tak bezradnie, że aż musiała się uśmiechnąć.

- Zasnęła - powiedziała ściszym głosem.

Nogi miał jak z waty. Miał nadzieję, że to dlatego, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przemierzał schody w górę i w dół niezliczoną ilość razy. Usiadł na brzegu łóżka.

Obserwował zarumienioną twarz córeczki, wtuloną w ramiona Nataszy.

- Podobno zanim nastąpi poprawa, musi nastąpić pogorszenie - powiedział.

- Tak to jest - przyznała i pogładziła główkę Freddie. - Wszyscy chorowaliśmy w dzieciństwie na ospę. I jakoś przeżyliśmy.

- Zachowuję się jak idiota - stwierdził, oddychając z ulgą.

- Nie, jesteś bardzo kochany.

Kołysząc Freddie, zastanawiała się, jak trudno musi mu być wychowywać dziecko pozbawione matczynej miłości. Zaslugiwał na uznanie. Freddie była szczęśliwa, bezpieczna i otoczona miłością. Uśmiechnęła się.

- Ile razy któreś z nas było chore, ojciec najpierw zamawiał lekarza, a potem i tak szedł do kościoła zapalić świece. Robi tak zresztą do dziś. Potem śpiewał starą cygańską modlitwę, której nauczył się od swojej babki. Wykorzystywał więc wszelkie znane sobie sposoby.

- Na razie ograniczyłem się do lekarza. - Spence usiłował się uśmiechnąć. - Pamiętasz tę modlitwę?

- Nauczę cię. - Natasza powoli się podniosła, trzymając Freddie. - Mam ją położyć? - spytała.

- Chyba tak. - Odgarnął koc. - Dziękuję.

Natasza położyła dziewczynkę na łóżku. Nagłe poczuła się nieswojo.

- Powinnam już iść. Rodzicom chorych dzieci też należy się odpoczynek.

- Mogę ci chyba zaproponować drinka. - Wziął szklanke. - Co byś powiedziała na fantę?

- Myślę, że już pójdę, - Odwróciła się w stronę drzwi. - Jak gorączka spadnie, mała będzie się nudzić. Będziesz musiał się nią zająć.

- Może mi coś doradzisz? - Wziął Nataszę za rękę, gdy schodzili ze schodów.

- Daj jej kredki. Nowe. Najlepsze są najprostsze metody.

- Jak to jest, że ktoś taki jak ty nie ma gromadki własnych dzieci? - zdziwił się i natychmiast pożałował tych słów. Natasza zeszywniała, a w jej oczach pojawił się smutek. - Wybacz, nie chciałem - zreflektował się.

- Nie szkodzi. - Wzięła płaszcz. - Wpadnę znowu zobaczyć, jak się czuje Freddie.

- Jeśli nie masz ochoty na fantę, to może napijesz się herbaty? Byłoby mi miło - zaproponował.

- Dobrze.

- Zaraz... - odwrócił się i niemal zderzył z Verą.

- Zaparzę - powiedziała, wymownie spoglądając na Nataszę.

- Twoja gosposia myśli, że mam wobec ciebie jakieś nieczne zamiary - zauważyła Natasza.

- Liczę, że jej nie rozczarujesz - roześmiał się i zaprosił ją do pokoju muzycznego.

- Obawiam się, że rozczaruję was oboje. - Natasza podeszła do fortepianu. - Przecież musisz być rozrywany.

Wszystkie dziewczyny w college'u mówią o doktorze Kimballu. Jesteś superprzystojniakiem, Spence. Głosy opinii kobiecej dzielą się równo między ciebie a kapitana drużyny futbolowej.

- Ale śmieszne.

- Nie żartuję. Widzę, że jesteś zakłopotany, to dziwne.

- Usiadła i przebiegła palcami po klawiszach. - Tutaj komponujesz? - spytała.

- Kiedyś komponowałem - skorygował.

- To źle, że nie piszesz. - Zagrała parę akordów. -

Sztuka to coś więcej niż przywilej, to odpowiedzialność. - Próbowała zagrać jakąś melodię, ale zrezygnowała. - Nie umiem grać. Za późno zaczęłam się uczyć.

Podobała mu się, gdy siedziała przy fortepianie, z włosami opadającymi na ramiona, przykrywającymi połowę twarzy, z palcami spoczywającymi na klawiszach fortepianu, na którym grał od najwcześniejszych lat.

- Będę cię uczył, jeśli chcesz - zaoferował się.

- Wołałabym, żebyś napisał piosenkę - powiedziała wiedziona nagłym impulsem. Dziś wieczór wyglądał tak, jakby potrzebował przyjaciela. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. - Teraz, ze mną - dodała.

Do pokoju weszła Vera z tacą.

- Postaw ją tutaj, Vero. Dziękuję.

- Będzie pan jeszcze czegoś potrzebował?

Rzucił okiem na Nataszę. O, tak, potrzebowałby jeszcze czegoś. I to bardzo.

- Nie, dobranoc. Gospościa wyszła.

- Dlaczego to robisz? - zwrócił się do Nataszy.

- Bo potrzebujesz trochę radości, śmiechu. Chodź, napisz dla mnie piosenkę. Nie musi być dobra.

- Chcesz, żebym napisał dla ciebie złą piosenkę?

- roześmiał się.

- Może być okropna. Kiedy ją zagrasz Freddie, zatka sobie uszy i będzie chichotać.

- A więc złą piosenkę o tym, co robię w tych dniach.

- Usiadł obok niej, lekko rozbawiony. - Jeśli to zrobię, musisz mi przyrzec, że nikt ze studentów się o tym nie dowie.

- Przysięgam.

Uderzał w klawisze, co chwilę zerkając na Nataszę, jakby szukał w niej inspiracji. Melodia nie jest wcale taka zła, uznał, biorąc parę akordów. Trudno ją nazwać perełką, ale ma w sobie jakiś naturalny urok.

- Pozwól, że spróbuję. - Natasza odrzuciła włosy i spróbowała powtórzyć frazę.

- Tutaj - podpowiadał i tak jak to nieraz robił z Freddie, położył ręce na dłoniach Nataszy, by poprowadzić jej palce. Tym razem jednak uczucie było całkiem inne.

- Rozluźnij palce - szepnął, przybliżając usta do jej ucha.

Gdyby tylko mogła...

- Nie znoszę robić czegoś źle, wolę w ogóle nie robić - narzekała. Spence usiłował skoncentrować się na muzyce, choć nie było to łatwe, gdy czuł pod palcami jej dłonie.

- Dobrze grasz - pocieszył ją.

Pochylony nad klawiaturą, uzmysłowił sobie nagle, że od lat nie grał dla przyjemności. Owszem, grał Beethovena, Mozarta, Gershwina, Bernsteina, ale nie dla rozrywki.

- Nie, raczej a - moll - powiedział.

- Mnie się bardziej podoba tak. - Natasza z uporem uderzała B - dur.

- Wykluczone.

- No widzisz.

- Chcesz ze mną współpracować? - roześmiał się.

- Lepiej graj sam.

- Dlaczego? - Uśmiech zniknął z jego twarzy. Pogładził ją po policzku. - Nie o to mi chodziło.

Jej też nie o to chodziło. Chciała poprawić mu nastrój, być jego przyjacielem. Nie chciała, by znów wkradły się między nich uczucia, które powinni raczej odsunąć od siebie. Ale te uczucia były. I żeby nie wiem jak bardzo chciała, nie mogła się ich wyprzeć. Nawet najlżejszy dotyk jego palców sprawiał jej ból, budził tęsknotę, ożywiał wspomnienia.

- Herbata wystygnie - zauważyła, ale nie odsunęła go, nie próbowała wstać. Gdy pochylił się, żeby dotknąć ustami jej warg, tylko przymknęła oczy. - To do niczego nie doprowadzi - wyszeptała.

- Już doprowadziło. - Jego dłoń gładziła jej plecy, silna, władcza, całkiem inna niż usta, delikatnie muskające wargi. - Cały czas o tobie myślę, o tym, żeby z tobą być, dotykać cię. Nigdy nikogo tak nie pragnąłem jak ciebie. - Przesuwał rękę wzdłuż jej ramion aż do palców opartych na klawiaturze. - To jest jak pragnienie, Nataszo, ustawiczne pragnienie. I kiedy jestem z tobą, tak jak teraz, wiem, że ty czujesz to samo.

Chciała zaprzeczyć, ale jej nie pozwolił. Pokrywał jej twarz zachłannymi pocałunkami, aż zadrżała z pożądania.

Chciała tego, pragnęła. Chciała być pożądana. W przeszłości łatwo było udawać, że tego nie potrzebuje, zresztą naprawdę nie potrzebowała. Aż do teraz. Ale z nim jest inaczej.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko się zmieniło. Pragnęła go, tęskniła za nim, krew płynęła szybciej w jej żyłach na myśl, że i on jej pożąda. Choćby przez chwilę, powiedziała do siebie, chwytając go za włosy i przyciągając ku sobie. Choćby przez tę jedną chwilę.

Znowu ogarnęło ją to samo uczucie co zawsze, gdy byli razem. Było natychmiastowe, gorące, aż nadto realne. Zbyt ogłuszające, by można mu się było oprzeć.

Miała wrażenie, jakby on był pierwszym, choć nie był. Miała wrażenie, jakby był jedyny, choć tak nie było. Kiedy trwał ich pocałunek, rozpaczliwie pragnęła, żeby jej życie zaczęło się ponownie w tym właśnie momencie, z nim.

To było coś więcej niż namiętność. Uczucia, które w niej wirowały, niemal go pochłonęły. Była w niej desperacja, strach i nieskończona szlachetność. Oszłomiło go to. Nic już nigdy nie będzie proste. Zdając sobie z tego sprawę, jakaś jego część próbowała się wycofać, zastanowić, rozważyć. Ale jej bliskość, jej zapach, jej smak tylko jeszcze bardziej rozjarzyły ogień, który w nim buzował.

- Poczekaj. - Po raz pierwszy przyznała się do własnej słabości i oparła głowę o jego ramię. - To za szybko.

- O, nie - zaprotestował. - To już lata.

- Spence. - Wyprostowała się, usiłując się opanować. - Nie wiem, co robić - powiedziała, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. - Muszę wiedzieć, co robić. To dla mnie ważne.

- Chyba coś wymyślimy. - Kiedy jednak chciał ją ponownie objąć, uchyliła się i cofnęła o krok.

- Dla mnie to nie takie proste. - Nerwowo poprawiała włosy. - Wiem, że może się tak wydawać, ale tak nie jest. Dla mężczyzn to prostsze, mniej osobiste.

- Dlaczego się tłumaczysz?

- Chodzi mi tylko o to, że wiem, iż mężczyznom łatwiej przychodzi usprawiedliwić takie rzeczy.

- Usprawiedliwić - powtórzył, odchylając się w krzesło. Dlaczego tak szybko robi się zły? - Mówisz to tak, jakby chodziło o zbrodnię.

- Nie zawsze znajduję odpowiednie słowa - wyjaśniła.

- Nie jestem profesorem w college'u. Zaczęłam mówić po angielsku dopiero w wieku ośmiu lat, a czytać nauczyłam się jeszcze później.

Powściągnął emocje. Obserwował ją. Oczy jej pociemniały. Było w nich coś więcej niż gniew. Stała sztywno wyprostowana, z uniesioną głową, ale nie bardzo mógł zgadnąć, czy ta postawa była wyrazem dumy czy samoobrony.

- Co to ma do rzeczy?

- Nic. I bardzo dużo. - Odwróciła się i po raz kolejny tego dnia sięgnęła po płaszc. - Nienawidzę czuć się głupia, być głupia. Nie powinnam była przychodzić. To nie moje miejsce.

- Ale przyszłaś. - Chwycił ją za ramiona, tak że płaszc osunął się na schody. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiem. Zresztą to bez znaczenia.

- Dlaczego mam wrażenie, jakbym prowadził dwie rozmowy w tym samym czasie? Co ci się kłębi w głowie, Nataszo?

- Chcę ciebie - wyrzuciła z pasją. - I nie chcę.

- Chcesz mnie. - Zanim zdążyła się wycofać, przyciągnął ją do siebie. W tym pocałunku nie było ani cierpliwości, ani perswazji. Brał i brał, aż była pewna, że nic już więcej nie może mu dać. - Dlaczego cię to dręczy?

Niezdolna mu się oprzeć, ujęła w dłonie jego twarz, jakby chciała zapamiętać jej kształt.

- Mam swoje powody.

- Opowiedz mi o nich.

Potrząsnęła głową. Tym razem, gdy go odepchnęła, nie zatrzymał jej.

- Nie chcę niczego w moim życiu zmieniać - zaczęła - Jeśli coś między nami się zdarzy, twoje życie się nie zmieni,

ale moje tak. Chcę mieć pewność, że nic takiego nie nastąpi.

- Czy znowu wracamy do poprzedniego tematu o różnicach w myśleniu mężczyzn i kobiet?

- Tak.

Ta uwaga skłoniła go do zastanowienia się, kto złamał jej serce. Spoważniał.

- Jesteś bardzo inteligentna, a jednak się mylisz. To, co czuję do ciebie, już zmieniło moje życie.

Przestraszyła się, choć bardzo chciała, żeby to była prawda.

- Uczucia przychodzą i odchodzą.

- To prawda. Niektóre tak. A co by było, gdybym ci powiedział, że zakochałem się w tobie?

- Nie uwierzyłabym. - Głos jej drżał, schyliła się, by podnieść płaszcz. - I byłabym zła, że coś takiego mówisz.

Może należałoby zaczekać, aż przekonają, żeby uwierzyła.

- A gdybym ci powiedział, że dopóki cię nie spotkałem, nie wiedziałem, że jestem samotny?

Spuściła wzrok, bardziej poruszona tymi słowami niż jakimkolwiek wyznaniem miłości.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedziała.

- Przemyślisz wszystko, co powiedziałem? - Ponownie dotknął jej włosów.

- Tak. - Jej spojrzenie mówiło samo za siebie.

- A więc się zastanów. Nie miałem zamiaru cię uwieść, choć może takie odniosłaś wrażenie.

- Nie uwodziłeś mnie.

- No, no, bo urazisz moją męską ambicję.

- To nie było uwodzenie - uśmiechnęła się. - Uwodzenie to czynność zaplanowana. Nie chcę być uwodzona.

- Zapamiętam to. Tak czy inaczej, nie zamierzam ni-

czego planować ani kalkulować. Zabiłoby to wszelki romantyzm.

- Nie chcę żadnego romantyzmu.

- Szkoda. - Kłamstwo, pomyślał, przypominając sobie, jak na niego patrzyła, gdy dał jej różę. - Przez chorobę Freddie będę bardziej zajęty w ciągu najbliższych dni. Może znowu do nas wpadniesz?

- Przyjdę, żeby zobaczyć Freddie. - Zapięła płaszcz. - I ciebie - dodała po chwili.

Dotrzymała słowa. Wpadła, żeby dać Freddie prezent, a została przez cały wieczór, pocieszając biedne dziecko i dodając otuchy wyczerpanemu, zdenerwowanemu ojcu. Ku swemu zaskoczeniu, stwierdziła, że ją to bawi. Przez następne dziesięć dni zaglądała do nich w porze obiadu lub po pracy, żeby trochę odciążyć Spence'a.

Mimo że starała się powściągać uczucia, była pod coraz większym jego urokiem i coraz bardziej kochała jego córkę.

Towarzyszyła mu w dniu urodzin Freddie, pomagając mu uporać się z dwoma kotkami, które były wymarzoną prezentem urodzinowym dziewczynki. Wyrecała także Spence'a w opowiadaniu Freddie bajek na dobranoc. A gdy brakowało jej już pomysłów, zaczynała opowiadać o sobie.

- Opowiedz coś jeszcze - prosiła dziewczynka.

- Nie mogę opowiadać w nieskończoność. - Otuliła Freddie kołdrą.

- Ale ty tak ładnie opowiadasz.

- Nic z tego. Muszę już iść spać. - Natasza wskazała na duży zegar ścienny. - I ty też.

- Doktor powiedział, że w poniedziałek mogę iść do szkoły. Już nie zrażam.

- Nie zrażam - poprawiła Natasza. - Pewnie się cie-

szysz, że zobaczysz koleżanki.

- Bardzo. - Freddie zamyśliła się przez chwilę. - Będziesz do mnie przychodzić, jak będę zdrowa?

- Myślę, że tak. - Pochyliła się i podniosła jednego kotka. - I żeby zobaczyć Lucy i Desi.

- I tatusia.

- Tak, myślę, że tak.

- Lubisz go, prawda?

- Oczywiście. Jest bardzo dobrym nauczycielem.

- On też cię lubi. - Freddie nie dodała, że widziała, jak ojciec całował Nataszę poprzedniej nocy w jej pokoju, myśląc, że ona śpi. Obserwując ich, czuła coś dziwnego w żołądku. Ale po chwili zaczęło jej się to podobać. - Weźmiesz z nim ślub i będziesz z nami mieszkać?

- Cóż, czy to propozycja? - Natasza usiłowała się uśmiechnąć. - To miło, że tego chcesz, ale jesteśmy z twoim tatą tylko przyjaciółmi. Tak jak my jesteśmy przyjaciółkami.

- Będziemy dalej przyjaciółkami, jak z nami zamieszkaasz?

To dziecko, stwierdziła w duchu Natasza, jest tak samo sprytne jak jego ojciec.

- A jeśli będę mieszkać w swoim domu, to nie będziemy się przyjaźnić? - spytała.

- Tak. Ale wolę, żebyś tu mieszkała, tak jak mama JoBeth. Ona robi ciasteczka.

- A więc chcesz, żebym była tutaj, żeby robić ciasteczka? - Skubnęła ją w policzek.

- Kocham cię. - Freddie zarzuciła jej ramiona na szyję i mocno się do niej przytuliła. - Będę grzeczna, obiecuję.

- Ja też cię kocham - powiedziała Natasza łamiącym się głosem.

- No, to ożeń się z nami.

Natasza nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

- Nie sędę, że powinnam teraz wychodzić za mąż. Ale będę twoją przyjaciółką, będę przychodzić i opowiadać ci różne historie.

Freddie westchnęła ciężko. Wiedziała, kiedy dorosły robi unik, i uznała, że rozsądnie będzie się wycofać. Zwłaszcza że już wszystko przemyślała. Natasza dokładnie odpowiadała jej marzeniom o matce. A na dodatek tatuś śmiał się, jak z nią był. Freddie uznała zatem, że jej najbardziej skrytym życzeniem na Boże Narodzenie będzie, żeby Natasza wyszła za mąż za jej tatę i dała jej siostrzyczkę.

- Obiecujesz? - spytała.

- Przyrzekam. - Natasza położyła dłoń na sercu. - A teraz śpij. Poszukam taty i powiem, żeby przyszedł ucałować cię na dobranoc.

Freddie zamknęła oczy i uśmiechnęła się pod nosem.

Natasza wzięła kotki i zesłała na dół. Muszę być bardzo ostrożna, uznała. Muszę uważać, jak się zachowuję. Co innego pokochać takie dziecko, a całkiem co innego, gdy to dziecko pokocha cię tak bardzo, że chce, byś stała się jego matką. Jak może oczekiwać, że sześciolatka zrozumie problemy i lęki dorosłych, które często uniemożliwiają im wybranie najprostszego, zdawałoby się, rozwiązania?

Dom był pogrążony w ciemności i ciszy. Tylko z pokoju muzycznego dochodziło mdłe światelko. Zostawiła kotki i weszła do pokoju.

Spence rozłożył się na kanapie. Z gołymi stopami i w rozciągniętym swetrze nie wyglądał ani na cenionego kompozytora, ani na szanowanego profesora. Był nie ogolony. Natasza musiała przyznać, że cień zarostu czynił go jeszcze atrakcyjniejszym, zwłaszcza przy trochę za długich włosach, które aż prosiły się o fryzjera.

Spał mocno. Nic dziwnego. Vera powiedziała jej, że przez dwie kolejne noce oka nie zmrużył, czuwając przy Freddie.

Wiedziała też, że tak zmienił rozkład zajęć, by w ciągu dnia móc zaglądać do domu. Nieraz, gdy ich odwiedzała, zastawała go pogrążonego w papierkowej robocie.

Kiedyś myślała, że los był dla niego aż nadto łaskawy, dając mu talent i pozycję. Może dał mu talent, myślała teraz, ale Spence ciężko pracował dla siebie i swojej córki. Niczego bardziej nie mogła podziwiać w mężczyźnie.

Zakochałam się w nim, przyznała. W jego uśmiechu i temperamencie, w jego oddaniu i poświęceniu. Być może możemy sobie coś wzajemnie ofiarować. Ostrożnie, z rozmysłem, bez żadnych obietnic.

Chciała być jego kochanką. Nigdy przedtem niczego takiego nie pragnęła. Z Anthonym to się po prostu zdarzyło, przytłoczyło ją, porwało i pozostawiło zdruzgotaną. Ze Spence'em tak nie będzie. Nikt więcej już jej tak głęboko nie zrani. Z nim może się udać. To szansa, szansa na szczęście.

Czy powinna ją wykorzystać? Rozłożyła miękką wełnianą narzutę zawieszoną na oparciu kanapy i nakryła go. Od dawna już nie podejmowała żadnego ryzyka. Może teraz był ku temu właściwy czas? Pochyliła się i musnęła wargami jego czoło. I właściwy mężczyzna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czarny kot fuknął ostrzegawczo. Gwałtowny poryw wiatru z trzaskiem otworzył drzwi i rozległ się mechaniczny śmiech. Słysząc było plusk wody ściekającej na betonową podłogę i grzechot łańcuchów potrząsanych przez więźniów. Po przejmującym krzyku nastąpił długi, rozpaczliwy jęk.

- Wspaniała muzyka - skomentowała Annie, wkładając do ust gumę.

- Powinnaś zamówić więcej tych płyt. - Natasza wzięła maskę przypominającą czaszkę i włożyła ją na głowę pluszowego misia. Pocziwa zabawka od razu zmieniła się w upiora. - To ostatni - dodała.

- Jutro i tak zapomnisz o Halloween i zaczniesz myśleć o Bożym Narodzeniu - powiedziała Annie, uśmiechając się szeroko. - O, idą chłopcy Freedmontów. - Potarła dłonie i spróbowała zarechotać. - Jeśli ten kostium jest cokolwiek wart, będę mogła zmienić ich w żaby.

Niezupełnie jej się to udało, ale sprzedała im sztuczną krew i lateksowe blizny.

- Zastanawiam się, co te małe diabły szykują na wieczór dla sąsiadów.

- Nic dobrego. - Annie porządkowała coś na dolnej półce. - Nie powinnaś już wyjść?

- Tak, za chwilę. - Natasza przerzucała maski i sztuczne nosy. - Świńskie ryje sprzedały się lepiej, niż myślałam.

Nie sądziłam, że tyle osób zechce się przebrać za zwierzęta domowe. - Podniosła jeden. - Może powinnyśmy mieć je w sprzedaży przez cały rok?

- Wiesz, to bardzo miło z twojej strony, że chcesz udekorować pokój Freddie na dzisiejsze przyjęcie - zauważyła Annie, zorientowawszy się, do czego nawiązuje Natasza.

- To nic wielkiego. - Natasza była na siebie wściekła,

że się denerwuje. Przystawiła ryj, po czym sięgnęła po trąbę słonia przyczepioną do szkieł powiększających.

- Skoro poradziłam jej, żeby urządziła przyjęcie z okazji święta duchów zamiast urodzin, pomyślałam, że powinnam jej pomóc.

- Uhm, zastanawiam się, czy w roli księcia z bajki wystąpi jej tata.

- On nie jest księciem.

- To może dużym złym wilkiem? - Widząc minę przyjaciółki, Annie podniosła ręce w przeproszającym geście.

- Wybacz, żartowałam. Chciałam po prostu, żebyś się trochę rozluźniła. Jesteś strasznie podenerwowana.

- Nie jestem podenerwowana. - Oczywiście skłamała.

- Wiesz, że też jesteś zaproszona.

- Dziękuję, ale raczej zostanę w domu, żeby go chronić przed małymi okrutnikami. I nie martw się - dodała, zanim Natasza zdążyła odpowiedzieć. - Zamknę sklep.

- Dobrze. Myślę, że powinnam... - przerwała, usłyszawszy dzwonek u drzwi. Następny klient, pomyślała. Będzie miała pretekst, żeby zostać w sklepie jeszcze przez chwilę. Na widok Terry'ego niemal zaniemówiła. - Cześć - wykrztusiła po chwili.

- Nata? - odezwał się, z trudem wydobywając głos. Był nie mniej zdziwiony niż ona.

- Tak, to ja - uśmiechnęła się. Mając nadzieję, że nie czuje już do niej żalu, podała mu rękę. Na wykładach Terry przesiadł się do innej ławki, z dała od niej, a ilekroć chciała do niego podejść, uciekał. Teraz stał w miejscu skonsternowany, nie wiedząc, jak się zachować. Uścisnął jej dłoń.

- Nie spodziewałem się ciebie w takim miejscu - powiedział wreszcie.

- Nie? To mój sklep. - Zastanawiała się, czy dotrze do

niego wreszcie, że miała rację mówiąc, iż jej nie zna i nic o niej nie wie. - Jestem jego właścicielką.

- Naprawdę? - Rozejrzył się dokoła, nie będąc w stanie ukryć wrażenia, jakie wywarła na nim ta wiadomość. - To fantastycznie!

- Dzięki. Przyszedłeś coś kupić czy tylko się rozejrzeć? Zaczerwienił się. Co innego wejść do jakiegoś sklepu, a co innego wejść do sklepu kobiety, której wyznał miłość.

- Ja... tylko... - jąkał się.

- Chcesz coś na Halloween - domyśliła się. - W college'u urządzają imprezę.

- Tak, cóż, pomyślałem, że mogę znaleźć tu jakieś przebranie. To głupie, ale...

- Oczywiście, przygotowaliśmy się na tę okazję - zapewniła go Natasza. W tym momencie z głośnika rozległ się kolejny krzyk. - Widzisz?

Terry aż podskoczył, ale spróbował się uśmiechnąć.

- Tak, myślałem o jakiejś masce, no wiesz... - Zakłopotany rozejrzył się dokoła.

- Ma być straszna czy śmieszna?

- Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym.

- Może coś ci przyjdzie do głowy, jeśli obejrzysz sobie, co jeszcze zostało. Annie, to mój przyjaciel, Terry Maynard - przedstawiła go przyjaciółce. - Jest skrzypkiem.

- Miło mi. - Annie uśmiechnęła się z sympatią, widząc jego zakłopotanie i okulary zsunięte na czubek nosa. - Co prawda nie mamy już tak dużego wyboru jak parę dni temu, ale coś nam jeszcze zostało. Chodź, rozejrzyj się - zachęciła go. - Pomogę ci coś wybrać.

- Muszę lecieć. - Natasza chwyciła obie torby z zakupami. - Baw się dobrze, Terry.

- Dzięki.

- Do jutra, Annie.

- Do jutra. Dobrej zabawy. - Annie pożegnała przyjaciółkę i ponownie zwróciła się do Terry'ego. - A więc jesteś skrzypkiem.

- Tak. - Po raz ostatni popatrzył na wychodzącą Nataszę. Gdy zamknęły się za nią drzwi, poczuł lekkie ukłucie serca. - Jestem na ostatnim roku w college'u.

- Wspaniale. Potrafisz zagrać *Lot trzmiela*? Biegając do domu po samochód, Natasza zastanawiała się nad swoją sytuacją. Chłodne czyste powietrze zmieniło jej nastrój. Drzewa wyglądały zupełnie inaczej niż jeszcze parę dni temu. Pozbyły się już złotych i czerwonych liści i straszyły gołymi gałęziami. Liście, suche i bezbarwne, kłębiły się na chodniku, unoszone wiatrem. Tu i ówdzie widać jeszcze było pojedyncze jesienne kwiaty, które dzielnie opierały się chłodom i wiatrom.

Skręciła z głównej ulicy w alejkę, gdzie domy stały wśród starych rozłożystych drzew. W oknach i na gankach widziała dynie ze świeczką w środku. Tu i ówdzie z gałęzi zwisały kukły we flanelowych koszulach i postrzępionych dżinsach. Na schodach siedziały czarownice i duchy wypchane słomą, czekając, by postraszyć przechodniów.

Gdyby ktoś ją spytał, dlaczego wybrała małe miasto, wiedziałaby, co odpowiedzieć. Tutejsi ludzie mieli czas, by wydrążyć dynie, by ze starych ubrań zrobić jeźdźca bez głowy. Dziś wieczór, zanim wzejdzie księżyc, dzieci będą pędzić ulicami przebrane za duszki i chochliki. W torbach będą miały cukierki i domowe ciasteczka, a dorośli będą udawać, że nie poznają małych włóczęgów, klaunów i demonów.

Jej dziecko miałoby teraz siedem lat.

Natasza przystanąła na chwilę, przyciskając dłoń do brzucha, jakby to mogło zablokować pamięć. Ileż to już razy powtarzała sobie, że to co było, należy do przeszłości i minęło bezpowrotnie? Ileż to jeszcze razy przeszłość będzie do niej wracać?

Ostatnio wracała rzadziej, ale zawsze równie boleśnie i nieoczekiwanie. Mogły minąć tygodnie, a nawet miesiące, a potem nagle czuła się tak, jakby cały świat się na nią walił, jakby uderzyła głową w mur.

Minął ją jakiś samochód. Usłyszała klakson.

- Cześć, Nata.

Podniosła rękę i pozdrowiła kierowcę, choć nie rozpoznała, kto nim był.

Musi myśleć o terażniejszości, o tym, co ją czeka tu i teraz. Nie ma powrotu do przeszłości. Już przed laty przekonała się, że jedynym właściwym kierunkiem jest posuwanie się do przodu. Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać równowagę. Dziś wieczór nie czas na smutki. Obiecała innemu dziecku przyjęcie i dotrzyma obietnicy.

Wchodząc do domu Spence'a, nie mogła się nie uśmiechnąć. Dało się zauważyć, że nie próżnował. Przy ganku świeciły się dwie ogromne latarnie z dyni - jedna szczyrzyła zęby w uśmiechu, druga miała ponurą minę i groźne spojrzenie. Na ogrodzeniu powiewało białe prześcieradło udrapowane tak, by przypominało lecącego ducha. Z poddasza zwisały kartonowe nietoperze z czerwonymi oczami. W starym fotelu na biegunach obok drzwi siedział obrzydliwy upiór, który trzymał w rękach własną głowę. Na drzwiach wymalowano czarownicę mieszającą coś w dymiącym kotle.

Natasza zapukała. Śmiała się, gdy Spence otworzył drzwi.

- Powróżyć? - spytała.

Zaniemówił. Przez chwilę myślał, że cała ta scena rozgrywa się w jego wyobraźni. Stała przed nim Cyganka z pozytywki ze złotymi kołami w uszach i złotymi bransoletami na rękach. Gęste brązowe włosy przewiązała szafirową wstążką, która sięgała do talii. Złotymi łańcuchami ozdobiła szyję. Czerwona suknia otulała jej ciało, podkreślając smukłą sylwetkę i zgrabną kibić.

Miała ciemne przepastne oczy i pełne wargi, podkreślone jaskrawoczerwoną szminką. Chwilę trwało, zanim przyjrzał się jej dokładnie. Wydawało mu się, że upłynęły godziny, zanim przyszedł do siebie.

- Mam magiczną kulę - powiedziała i sięgnęła do kieszeni. - Jak piękny pan da grosik, Cyganka powie, co widzi w kuli. Cyganka prawdę powie.

- Boże - westchnął - ależ ty jesteś piękna. Roześmiała się i weszła do środka.

- Wydaje ci się. Dziś jest noc złudzeń i iluzji. - Rozejrzała się dokoła. - Gdzie Freddie?

- Ona... - Położył rękę na klawce. - Jest u JoBeth. Chciałem wszystko przygotować, zanim przyjdzie.

- Dobry pomysł. - Patrzyła na jego szary sweter i zakurzone trampki. - To twoje przebranie?

- Nie. Wieszalem pajęczyny.

- Pomogę ci. Mam tu trochę drobiazgów. Co chciałbyś najpierw?

- Musisz pytać? - Chwycił ją w pól i unióśł. Odrzuciła głowę i już chciała głośno wyrazić swoje oburzenie, gdy poczuła na ustach jego wargi. Wypuściła z rąk torby i wsunęła palce w jego włosy.

Nie chciała tego, ale potrzebowała. Rozchyliła wargi, nie wzbraniała się przed pocałunkami. Jęknęła cicho. Było jej

dobrze w jego ramionach. Czula jego ciało i to nie była iluzja. To była rzeczywistość. Mimo fantastycznego przebrania była sobą i była u niego, z nim.

- Słyszę muzykę - wyszeptał.

- Spence. - Ona słyszała tylko bicie swego serca. - Zmuszasz mnie, żebym robiła rzeczy, których nie powinnam robić. - Wysunęła się z jego ramion. - Przyszłam ci pomóc w przygotowaniu przyjęcia Freddie.

- Doceniam to. - Zamknął cicho drzwi. - Tak jak doceniam twój wygląd, twój smak, twój zapach.

Nie powinna być aż tak podniecona samym jego spojrzeniem.

- To nieodpowiednia chwila - powiedziała.

- A więc znajdziemy odpowiedniejszą.

- Pomogę ci wszystko przygotować, jeśli mi obiecasz, że na razie będziesz tylko ojcem Freddie, nikim więcej.

- Zgoda. - Nie widział innego sposobu na przetrwanie wieczoru z dwudziestoma poprzebieranymi dziećmi. A przyjęcie nie będzie w końcu trwać wiecznie, uznał. - A więc na razie zostajemy kumplami.

Podobała jej się taka postawa. Otworzyła jedną z toreb i wyjęła gumową maskę przerażającej, pełnej blizn twarzy. Nałożyła mu ją na głowę.

- Wyglądasz cudownie - stwierdziła.

Spence poprawił maskę i podszedł do lustra w holu.

- Uduś się - wymamrotał.

- Nie przez dwie godziny - wręczyła mu drugą torbę. *
Zaczynamy. Musimy zbudować dom duchów, a to trochę potrwa.

Potrzebowali dwóch godzin, żeby elegancki salon Spence'a zmienić w jaskinię duchów. Na suficie i ścianach przyczepili czarną i pomarańczową bibułę. W rogach

porozciągali pajęczyny z anielskich włosów. W jednym kącie umieścili mumię. Pod sufitem zawiesili czarownicę na miotle, a pod oknem spragnionego krwi Drakulę gotowego do ataku.

- Jak myślisz, nie jest to wszystko zbyt przerażające? - spytał Spence. - Oni są dopiero w pierwszej klasie.

- Skądże. - Natasza lekko uderzyła wielkiego gumowego pająka bujającego się pod lampą - Kiedyś moi bracia urządzili dom duchów. Zawiazali oczy Rachel i mnie i wprowadzili nas do środka. Michaił włożył moją rękę do miski z winogronami i powiedział, że to oczy.

- Niesmaczne - skrzywił się Spence.

- Masz rację - roześmiała się ubawiona tymi wspomnieniami. - Było też spaghetti...

- Daruj sobie - przerwał jej. - Mam pomysł.

- Tak czy inaczej, miałam świetną zabawę i żałowałam, że pierwsza na to nie wpadłam. Dzieci byłyby bardzo rozczarowane, gdyby nie czekało na nie kilka upiorów. Kiedy już się dobrze przestraszą, a bardzo tego chcą, zapalisz wszystkie światła, żeby zobaczyły, że to tylko zabawa.

- Szkoda, że nie mamy winogron - zażartował.

- Nie, to lepiej. Kiedy Freddie będzie starsza, pokażę ci, jak z gumowej rękawiczki zrobić urwaną dłoń.

- Nie mogę się wprost doczekać.

- A co zjedzeniem?

- Vera o wszystkim pomyślała. - Ściągnął maskę na czubek głowy i raz jeszcze obrzucił spojrzeniem pokój. Podobało mu się. Był dumny, że to ich wspólne dzieło. - Przygotowała wszystko, od diabelskich jajek po napój czarownic. Wiesz, czego nam brakuje? Maszyny do wytwarzania mgły.

- Świetna myśl. - Roześmiała się, widząc jego zaafektowany wyraz twarzy. - W przyszłym roku.

Lubił brzmienie tych słów. W przyszłym roku i w jeszcze następnym. Obserwował ją, oszołomiony gonitwą własnych myśli.

- Co się stało? - spytała.

- Nic. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Mam tu nagrody. - Natasza przysiadła na poręczu fotela, chcąc rozprostować nogi. - Za kostiumy i gry.

- Nie musiałaś tego robić.

- Ale chciałam. Mówiłam ci przecież. To moja ulubiona. - Wyciągnęła czaszkę, potem położyła ją na podłodze.

- Twoja ulubiona? - Spence wziął ją do ręki.

- Tak. Przerazająca. - Natasza pogładziła ją pieszczotliwie. - Mój biedny Yoricku - zwróciła się do czaszki.

Spence roześmiał się i naciągnął maskę.

- Pocałuj nas. - Zbliżył się do Nataszy.

- Nie. Jesteście paskudni.

- W porządku. - Ściągnął maskę. - A teraz?

- Jeszcze gorzej. - Włożyła mu maskę.

- Bardzo śmieszne.

- Nie, ale chyba potrzebne. - Wzięła go pod rękę i rozejrzała się po pokoju. - Myślę, że odniesiesz sukces..

- Odniesiemy - skorygował. - Wiesz, że Freddie oszalała na twoim punkcie.

- Wiem - uśmiechnęła się Natasza - I to z wzajemnością.

- O wilku mowa - powiedział Spence, słysząc trzask otwieranych drzwi.

Dzieci powoli się schodziły. Kiedy zegar wybił szóstą pokój był już pełen tancerek i piratów, upiórów i supermanów. Na widok jaskini duchów dzieci niemal oszalały z emocji. Drżały, oddychały ciężko, piszczwały ze strachu. Żadne nie miało odwagi wejść tam w pojedynkę, ale wchodziły po dwa,

trzy razy. Niekiedy któreś zbierało się na odwagę, żeby dotknąć mumii lub zbliżyć się do wampira.

Gdy wreszcie rozblęły światła, rozległy się jęki rozczarowania i parę westchnień ulgi. Freddie rzuciła się do rozpakowywania spóźnionych prezentów urodzinowych.

- Jesteś bardzo dobrym ojcem - szepnęła Natasza.

- Dzięki. - Wziął ją za rękę, szczęśliwy, że mogą razem obserwować bawiące się dzieci. - Dlaczego?

- Bo nie poszedłeś po tabletkę od bólu głowy i nie zareagowałeś, gdy Mikey rozlał sok na dywan.

- To dlatego, że muszę oszczędzać siły na chwilę, gdy Vera to zobaczy. - Spence odskoczył, by nie wpadła na niego rozpędzona dziewczynka przebrana za ducha. Pokój rozbrzmiewał muzyką nastawioną na cały regulator. - A co do tabletki... Jak długo oni to wytrzymają?

- O, dużo dłużej niż my.

- Pocieszające - westchnął.

- Zorganizujemy im teraz gry. Zobaczysz, że dwie godziny miną bardzo szybko.

Miała rację. Gdy skończyły się tańce i konkurs kostiumów, gdy rozegrano już wszelkie możliwe gry i rozdano wszystkie nagrody, zaczęli się schodzić rodzice po swoich Frankensteinów.

Dochodziła dziesiąta, gdy Spence'owi udało się wreszcie zagonić Freddie do łóżka. Dziewczynka była wykończona, ale szczęśliwa.

- To były moje najlepsze urodziny - powiedziała - Cieszę się, że miałam ospę.

- Nie wiem, czy akurat to było najfajniejsze, ale cieszę się, że dobrze się bawiłaś.

- Mogę jeszcze...?

- Nie. - Pocałował czubek jej nosa. - Jeśli zjesz jeszcze

choć jeden kawałek ciasta, pękniez.

Zachichotała, a że była zbyt zmęczona, by próbować jakichś sztuczek, wtuliła się w poduszkę.

- W przyszłym roku przebiorę się za Cygankę, tak jak Nata, dobrze?

- Pewno. A teraz śpij. Vera będzie z tobą. Ja muszę odwieźć Nataszę do domu.

- Czy szybko się z Nataszą ożenisz? Żeby mogła zostać z nami?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - mruknął.

- Jak długo będę musiała czekać na siostrzyczkę? - spytała Freddie i obróciła się na bok.

Spence bezradnie potarł czoło, wdzięczny losowi, że zasnęła i że nie musi odpowiadać na to pytanie. Na dole zastał Nataszę kończącą porządky.

- Jeśli pokój tak wygląda, możesz być pewien, że zabawa się udała. Co się stało? - spytała na widok dziwnego wyrazu jego twarzy.

- Nie, nie, to Freddie.

- Pewnie boli ją brzuch - domyśliła się Natasza.

- Jeszcze nie. - Uśmiechnął się. - Zawsze udaje się jej mnie zaskoczyć. - Zostaw. - Wziął od niej worek z odpadkami. - Dość się napracowałaś.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak.

- Powinam już iść. Jutro sobota, mój pracowity dzień. Zastanawiał się, jak by to było, gdyby po prostu poszli razem na górę, do jego sypialni, do jego łóżka.

- Odwiozę cię.

- Nie trzeba. Dam sobie radę.

- Zrobię to z przyjemnością - nie ustępował. Ich oczy spotkały się. - Nie jesteś zmęczona?

- Nie. - Wiedziała, że nadszedł czas na odrobinę prawdy. Zrobił to, o co prosiła. Przez całe przyjęcie był tylko ojcem Freddie. Jednak przyjęcie się skończyło. Ale nie noc.

- Chciałabyś się przejść? - spytał.

- Tak. Bardzo. - Podała mu rękę.

Na dworze było chłodno, w powietrzu wyczuwało się już zapowiedź zimy. Na niebie jaśniał księżyc, od czasu do czasu przysyłany przez chmury.

- Kocham tę porę roku - szepnęła Natasza. - Zwłaszcza nocą, gdy wieje lekki wiatr. Czuć wtedy dym z kominów.

Na głównej ulicy spotkali starsze dzieci i studentów w maskach i z pomalowanymi twarzami. Jezdnią wolno sunął odkryty samochód pełen duchów.

- Nie widziałem, by gdziekolwiek tak celebrowano święto duchów - zdziwił się Spence.

- Zaczekaj do Bożego Narodzenia. Wtedy dopiero zobaczysz.

Na ganku domu Nataszy stała ogromna dynia ze świecą w środku. Obok była miska wypełniona cukierkami. Na drzwiach przypięła napis „Weź tylko jednego”.

- Posłuchają? - Spence potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Oczywiście. Znają mnie. Pochylił się i wziął jednego cukierka.

- Czy mógłbym dostać kieliszek brandy? - spytał. Zawahała się. Jeśli go zaprosi, zaczną od tego, na czym skończyli. Od pocałunku. Minęły dwa miesiące rozmyślania, uników, udawania. Oboje wiedzieli, że prędzej czy później musi się to skończyć.

- Oczywiście. - Otworzyła drzwi.

Poszła do kuchni przygotować drinki. Trzeba się zdecydować, tak albo nie - powiedziała sobie. Znała odpo-

wiedź, była na nią przygotowana, ale jak to będzie z nim? Jak będzie z nią? A kiedy staną się sobie bliscy, czy będzie mogła udawać, że nie potrzebuje niczego więcej?

Nie może potrzebować niczego więcej. Niezależnie od swoich uczuć, które były coraz intensywniejsze, życie musiało iść naprzód, tak jak dotychczas. Żadnych obietnic, żadnych przyrzeczeń. Żadnych złamanych serc.

Odwrócił się, gdy wróciła do pokoju, ale nic nie powiedział. Miał zamęt w głowie. Czego chciał? Jej oczywiście. Ale co był w stanie zaakceptować? Był pewien, że nigdy już nie będzie odczuwał tego, co teraz. Był więcej niż pewien, że nigdy nie będzie nikogo tak pragnął jak jej.

- Dziękuję. - Wziął kieliszek, nie spuszczać z niej wzroku. - Wiesz, kiedy pierwszy raz stanąłem przed studentami, w głowie miałem absolutną pustkę. Przez jeden straszliwy moment nie mogłem przypomnieć sobie nic z tego, co miałem powiedzieć. Teraz mam dokładnie ten sam problem.

- Nie musisz nic mówić.

- To nie takie proste, jak myślałem. - Ujął jej dłoń, zaskoczony, że jest zimna i drżąca. Odruchowo uniósł ją do ust. Wiedział, że Natasza jest tak samo zdenerwowana jak on. - Nie chcę cię przestraszyć.

- To mnie przeraża. Czasem ludzie mówią, że ja za dużo myślę - Może tak jest istotnie. To dlatego, że czuję za dużo. Były czasy... - Wsunęła rękę, chcąc zachować kontrolę nad sobą. - Były czasy - powtórzyła - kiedy kierowałam się uczuciami. Pozwalałam, by za mnie decydowały. Człowiek popełnia niekiedy błędy, za które płaci do końca życia.

- To nie był błąd. - Odstawił kieliszek i ujął w dłonie jej twarz.

Dotknęła palcami jego nadgarstków.

- Nie chcę, żeby to się powtórzyło, Spence - powiedziała - Nie może być żadnych obietnic. Nie zniósłabym, gdyby nie zostały dotrzymane. Nie potrzebuję i nie chcę pięknych słów. Bardzo łatwo sieje wypowiada. - Zaciśnęła mocniej palce. - Chcę być twoją kochanką, ale potrzebuję szacunku, a nie poezji.

- Skończyłaś?

- Potrzebuję twego zrozumienia.

- Zaczynam rozumieć. Musiałaś go bardzo kochać.

- Tak. - Opuściła rękę.

Poczuł ból. Niemożliwe, żeby zagrażał mu ktoś z przeszłości. On przecież też miał przeszłość. Ale czuł się zagrożony i zraniony. - Nie interesuje mnie, kto to był ani co się wydarzyło. - To kłamstwo, uświadomił sobie, prędzej czy później będzie się z tym musiał uporać. - Ale nie chcę, żebyś o nim myślała, kiedy jesteś ze mną.

- Nie myślę, w każdym razie nie tak, jak sądzisz.

- W ogóle nie powinnaś myśleć. Uniosła brwi.

- Nie możesz kontrolować moich myśli - zaprotestowała.

- Mylisz się. - Ogarnięty bezzasadną zazdrością, porwał ją w ramiona. Tym razem jego pocałunek był gwałtowny, gniewny, zaborczy. I zachęcający. Zachęcający do uległości, przed którą tak się broniła.

- Nie chcę, żeby ktoś nade mną panował - broniła się nieśmiało, nie mając pewności, czy się nie myli.

- Twoje zasady, Nataszo?

- Tak. Tak będzie uczciwiej.

- Wobec kogo?

- Wobec nas obojga. - Przycisnęła palce do skroni.

- Nie powinniśmy się kłócić - powiedziała łagodniej.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Po prostu się boję.

Od dawna z nikim nie byłam, nie chciałam być.

- Nie ułatwiasz mi sytuacji.

- Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Nigdy nie przyjaźniłam się z kochankiem.

I on nigdy nie przyjaźnił się z kochanką. Jak ma jej to powiedzieć?

- Jesteśmy przyjaciółmi - stwierdził wreszcie. - Przyjaciele sobie ufają.

- Tak.

Wziął ją za rękę.

- Dlaczego nie mielibyśmy... - Hałas przy oknie nie pozwolił mu skończyć. Odwrócił się. Natasza ścisnęła jego dłoń. Nie była przerażona, raczej rozbawiona. Położyła palec na ustach.

- Myślę, że to dobry pomysł zaprzyjaźnić się ze swoim profesorem - powiedziała, podnosząc głos i wskazując na niego.

- Ja... ach, Freddie jest szczęśliwa, a ja spotkałem tutaj tylu miłych ludzi. - Zaintrygowany obserwował Nataszę, po cichutku podchodzącą do okna.

- To miłe miasto. Oczywiście i tu są czasem problemy.

Nie słyszałaś o kobiecie, która uciekła z zakładu dla obłąkanych?

- Jakiego zakładu? Nie, chyba nie.

- Policja to ukrywa. Wiedzą, że kręci się po okolicy, ale nie chcą wywoływać paniki. - Natasza zapaliła latarkę, którą wyjęła z szuflady, i skinęła głową. - Jest obłąkana i porywa małe dzieci, zwłaszcza chłopców. Później ich torturuje. Przy pełni księżyca skrada się i zanim zdążą krzyknąć, chwytą za gardło.

Mówiąc to, cały czas zapalała i gasiła latarkę. Nagle podświetliła sobie twarz i przycisnęła ją do szyby. Rozległy

się przerażone okrzyki i tupot nóg.

- Chłopcy Freedmontów - wyjaśniła - W zeszłym roku powiesili na drzwiach Annie zdechłego szczura.

- Myślę, że tym razem nie będą mieli na to ochoty.

- Szkoda, że nie widziałeś ich min. - Natasza aż się popłakała ze śmiechu. - Myślę, że ich serca zaczną znowu bić, dopiero gdy znajdą się z głową pod kołdrą.

- Nie zapomną tego święta duchów.

- Każde dziecko powinno się raz tak przestraszyć, żeby zapamiętać to do końca życia. - Podświetliła od dołu twarz. - Co o tym myślisz?

- Jest za późno, by wystraszyć mnie na dobre. - Wziął latarkę i odłożył ją na bok. - Czas, by sprawdzić, co jest złudzeniem, a co realne.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Było to aż nazbyt realne, boleśnie realne. Dotknięcie jego ust sprawiało, że zaczynała go pragnąć. Czas i miejsce nie odgrywały roli. Mogły być iluzją. Ale on nią nie był. Pożądanie też nie było iluzją. Czuła iskrę przeskakującą między nimi, gdy tylko ich usta się spotykały.

Nie, to nie będzie proste. Wiedziała od pierwszej chwili - od momentu, gdy pierwszy raz go dotknęła, gdy pierwszy raz go poczuła - że cokolwiek wydarzy się między nimi, nie będzie proste. Tym bardziej że tego chciała. Ale nie chciała, by powtórzyło się to, co już kiedyś przeżyła.

Nie z nim. I nigdy więcej.

Objęła go, ulegając wpływowi chwili. Tej nocy nie będzie ani przeszłości, ani przyszłości. Tylko ten moment uchwycony obiema rękami, tu i teraz.

Przywarli do siebie, kierowani tą samą potrzebą, tym samym pragnieniem i pożądaniem. W mdłym świetle nocnej lampki ich postaci rzucały na ścianę jeden cień. Poruszający się, by już za chwilę zastygnąć w bezruchu.

Zaprotestowała nieśmiało, gdy zamknął ją w ramionach. Powiedziała, że nie chce, by ją brano, i tak też myślała. Ale gdy tylko przytulił ją, poczuła, że jest kochana. W przyptywie wdzięczności przycisnęła usta do jego szyi. Kiedy niósł ją do sypialni, poddała mu się całkowicie.

Było ciemno, tylko księżyc rozświetlał pokój. Blask padał przez cienkie zasłony niczym kochanek wkradający się przez okno. Jej kochanek w milczeniu postawił ją na podłodze przy łóżku. Milczał. To milczenie było wymowniejsze niż słowa.

Tyle razy to sobie wyobrażał. A teraz to, co wydawało mu się niemożliwe, stało się rzeczywistością. Obraz był jasny i żywy. Widział ją z burzą loków okalających twarz, z

ciemnymi oczami i złocistą skórą. W swojej wyobraźni widział jeszcze dużo, dużo więcej.

Wyciągnął rękę i rozwiązał wstążkę, którą wplotła we włosy. Czekala. Nie spuszczać z niej wzroku, rozwiązywał kolejne wstążki - szafirowe, szmaragdowe, bursztynowe. Uśmiechnęła się. Delikatnie rozchylił jej suknię i przycisnął wargi do nagiego ramienia.

Westchnęła i zadrżała. Chwyliła go za koszulę i gwałtownym ruchem ściągnęła. Poczula pod palcami gładką, napiętą skórę. Przesunęła dłonie wzdłuż mięśni ramion i popatrzyła mu w oczy. Pociemniały z namiętności i pożądania.

Musiał walczyć ze sobą, by nie poszarpać na niej sukni, usuwając wszystkie dzielące ich bariery i biorąc to, co mogła mu ofiarować. Nie wstrzymywałyby go. Czytał to z jej oczu. Było w nich wyzwanie połączone z przyzwoleniem i niewypowiedzianą tęsknotą.

Ale przecież coś jej przyrzekł. I choć domagała się, żeby złamał obietnicę, miał zamiar jej dotrzymać. Czekają romantyczne przeżycie, na tyle, na ile będzie jej to w stanie zaoferować.

Zmuszając się do cierpliwości, pomału rozpinął guziki jej sukni. Błądziła wargami po jego piersi, delikatnie zsuwała mu spodnie. Gdy wreszcie suknia znalazła się na podłodze, pocałował ją, długo i namiętnie.

Odchyliła się i poczuła zawrót głowy. Pokój zawirował jej przed oczami. Gdy podniósł do ust jej dłonie, zadźwięczały srebrne bransolety.

Nie wierzył własnym oczom. Była piękniejsza niż przypuszczał. Wydawało mu się, że nie wytrzyma tego widoku. To było więcej, niż mężczyzna może znieść.

Powoli podniosła ręce i ściągnęła prześwitującą czer-

woną koszulkę. Stała przed nim naga, oświetlona promieniami księżyca. Podniecająca, egzotyczna, pełna erotyzmu. Po chwili znowu podniosła rękę, tym razem do niego.

- Pragnę cię - szepnęła.

Ich ciała zetknęły się, jęknęli. Usta dotknęły ust, pożądanie spotkało się z pożądaniem i wymknęło wszelkiej kontroli.

To było nieuchronne. Cierpliwość się skończyła. Zbyt długo czekał na tę chwilę. Rozbudziła w nim od dawna uspiomy głód. Chciał wszystkiego, czym była, co miała. Zanim zdążył zażądać, dała. Gdy opadli na łóżko, ich ręce gorączkowo szukały tego, co mogły dać i wziąć.

Czy kiedykolwiek mógł się spodziewać takich wrażeń? Wszystko w niej było cudowne. Smakowała jak miód zmieszany z winem. Jej skóra pachniała jesiennymi różami.

Wypreżyła się, poddając jego pocałunkom. Krzyczała, gdy badał ustami każdy zakątek jej ciała. Przyciskała do niego swoje drobne smukłe ciało. Nagle znalazła się nad nim i teraz to ona przejęła inicjatywę. Poczul ogień w piersiach, zabrakło mu tchu, bał się, że za chwilę eksploduje. Gdy ponownie pochylił się nad nią zobaczył jej dzikie spojrzenie, usłyszał przyspieszony oddech, głośnie bicie serca.

Nigdy przedtem nie spotkał kobiety, która by mu tak odpowiadała, z którą tworzyliby tak doskonałą jedność.

Czegokolwiek pragnął, tego pragnęła i ona. Czegokolwiek potrzebował, i ona potrzebowała. Zanim zdążył spytać, odpowiadała. Zanim zdążył poprosić, dawała. Po raz pierwszy w życiu poznał, co to znaczy kochać się z kimś duszą, sercem i umysłem, a nie tylko ciałem. Wiedział, że z nikim innym już tego nie zazna.

I ona pragnęła go całą sobą. Pochłonął ją bez reszty.

Kiedy jej dotykał, było tak, jakby nie dotykał jej przedtem nikt inny. Kiedy wymawiał jej imię, było tak, jakby słyszała je po raz pierwszy. Kiedy jego usta dotykały jej ust, było tak, jakby to był pierwszy pocałunek, jedyny, na który czekała, jedyny, którego pragnęła przez całe swoje życie.

Ich dłonie spotkały się, palce splotły, stawali się jednością. Czuli, że coś sobie obiecują. W porywie paniki potrząsnęła głową. A później on zaczął się poruszać, a ona razem z nim.

- Jeszcze - powiedział tylko.

- Spence.

- Jeszcze. - Przycisnął usta do jej ust, budząc ją z półsnu i od nowa rozpalając zmysły.

Teraz, gdy wiedział, co może się między nimi wydarzyć, pragnął jej jeszcze bardziej. Tym razem wszystko odbywało się spokojniej, nie tak zachłannie. Napawał się jej widokiem, jej kształtami, każdym fragmentem jej ciała. Wzdychała ciężko, gdy jej dotykał.

Czy kiedykolwiek miała pojęcie, co to znaczy kochać mężczyznę czy być kochaną? Doznawała takiej rozkoszy, jakiej nie doświadczyła nigdy przedtem. Wędrowała dłońmi po jego ciele, odpowiadała pocałunkiem na każdy pocałunek, doświadczając za każdym razem czegoś nowego, niespotykanego, nieoczekiwanego. To była rozkosz, jakiej dotychczas nie znała. A smak tej rozkoszy oznaczał wolność.

Jęknęła i oddała się jej całą sobą.

- Myślałem, że tylko sobie wyobrażałem, jak to może być. - Spence delikatnie pieścił jej ramię. - Ale to, co się stało, przerosło moją wyobraźnię.

- Myślałam, że nigdy z tobą nie będę - uśmiechnęła się. - Myliłam się.

- Dzięki Bogu. Nataszo...

- Nie mów za dużo. - Położyła mu palce na ustach. - Łatwo się mówi przy świetle księżycy. - I łatwo się wierzy, dodała w duchu.

Powstrzymał się. Kiedyś już popełnił ten błąd, gdy chciał mieć czegoś za dużo, za szybko. Nie zamierzał powtórzyć tego błędu w stosunku do Nataszy.

- Czy mogę ci powiedzieć, że nigdy nie doświadczyłem tak cudownych chwil?

- Tak, możesz. - Musnęła wargami jego ramię.

- Mogę ci powiedzieć, że jestem szczęśliwy? - Bawił się jej włosami.

- Tak.

- A ty?

- Też. Szczęśliwsza niż myślałam. Sprawiasz, że czuję się... - spojrzała mu w oczy - magicznie.

- Ta noc była magiczna.

- Bałam się - szepnęła. - Ciebie, tego. Siebie - przyznała. - Tyle czasu upłynęło.

- U mnie też. - Ujął ją za podbródek. - Nie byłem z żadną kobietą od śmierci żony.

- Bardzo ją kochałeś? Przepraszam, nie powinnam pytać.

- Pytaj. Kiedyś ją kochałem albo kochałem swoje wyobrażenie o niej. To wyobrażenie znikło na długo przed jej śmiercią.

- Proszę, przestań. Nie mówmy dziś o przeszłości.

- Dobrze, choć są rzeczy, o których muszę ci powiedzieć, o których musimy porozmawiać.

- Czy to, co wydarzyło się kiedyś, jest takie ważne? Słyszał rozpacz w jej głosie i chciał znać tego przyczynę.

- Myślę, że może być ważne.

- Ale teraz jest teraz. - Chwyciła go za rękę. - Teraz

chcę być twoją kochanką i przyjacielem.

- A więc bądź. Zastanowiła się przez chwilę.

- Może po prostu nie chcę rozmawiać o innych kobietach, kiedy jestem z tobą w łóżku - powiedziała.

Wyczuł, że była spięta i rozdrażniona.

- A więc na razie dajmy temu spokój. - Pogładził ją po policzku.

- Dziękuję. Chciałabym spędzić z tobą tę noc, całą noc. - Potrząsnęła głową. - Ale wiem, że nie możesz zostać.

- Niestety. - Pocałował jej dłoń. - Gdybym wrócił dopiero na śniadanie, Freddie zasypałaby mnie gradem kłopotliwych pytań.

- Jest bardzo szczęśliwą dziewczynką.

- Nie lubię odchodzić w ten sposób. Uśmiechnęła się i pocałowała go.

- Rozumiem, ale dobrze, że ta druga kobieta ma dopiero sześć lat - zażartowała.

- Zobaczymy się jutro. - Pocałował ją.

- Tak. - Westchnęła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Jeszcze raz - szepnęła, pociągając go na łóżko. - Jeszcze tylko raz.

Natasza siedziała w kantorku za sklepem. Przyszła wcześniej, żeby uporządkować parę spraw urzędowych. Sprawdziła księgi rachunkowe, przejrzała faktury. Na niecałe dwa miesiące przed Bożym Narodzeniem miała już zrealizowane wszystkie zamówienia. Dostawcy nie kazali na siebie czekać. W pomieszczeniu magazynowym nie było dosłownie gdzie szpilki wetknąć. Starła się, by wszystkie życzenia jej małych klientów były zaspokojone. Niemal widziała już ich zachwycone oczy wpatrzone w to, co spoczywało na razie w pudłach i skrzyniach.

Czekały ją jeszcze sprawy czysto praktyczne. Musi po-

myśleć nad udekorowaniem sklepu i wystawą, a także zdecydować, czy wziąć kogoś do pomocy na najgorętszy przedświąteczny okres.

Rozłożyła na biurku notatki. Annie jest w sklepie, więc będzie się mogła zająć nauką. Czekał ją sprawdzian z muzyki baroku, a więc chciała pokazać swemu nauczycielowi - i kochankowi zarazem - na co ją stać.

Być może nie ma to aż takiego znaczenia, żeby dowieść mu, że potrafi się uczyć i zapamiętać to, czego się nauczyła. Były jednak takie okresy w jej życiu, czego Spence na pewno by nie zrozumiał, kiedy miała wrażenie, że do niczego się nie nadaje, że jest głupia. Była małą dziewczynką posługującą się łamaną angielszczyzną, chudą nastolatką, bardziej pochłoniętą tańcem niż nauką w szkole, tancerką, która walczyła zaciekle, by jej ciało zniosło trudy treningu, młodą kobietą, która posłuchała głosu serca, a nie umysłu.

Dziś nie była już żadną z tych osób, a równocześnie była po trosze każdą z nich. Chciała, by Spence docenił jej inteligencję, by dostrzegł w niej równego sobie partnera, a nie tylko kobietę, której pożądał.

Była niemądra. Odchyliła się, by dotknąć płatków czerwonej róży stojącej obok na półce. Więcej niż niemądra. Była w błędzie. Spence nie miał w sobie nic a nic z Anthony'ego. Z wyjątkiem paru cech zewnętrznych, różnili się od siebie diametralnie, można powiedzieć, że stanowili swoje przeciwieństwo. To prawda, jeden był wspaniałym tancerzem, drugi wspaniałym kompozytorem, ale Anthony był egoistą, człowiekiem nieuczciwym, a koniec końców, jak się okazało, tchórzem.

Nigdy natomiast nie znała mężczyzny bardziej wspaniałomyślnego, bardziej szarmanckiego niż Spence. Był uczciwy i współczujący. A może to jej serce tak go oceniało?

Zapewne. Ale na serce, pomyślała, nie było gwarancji jak na zabawkę mechaniczną. Z każdym dniem z nim spędzonym była coraz bardziej zakochana. Zakochana tak bardzo, że zdarzały się momenty, przerażające momenty, kiedy miała ochotę machnąć na wszystko ręką i powiedzieć mu o tym.

Przedtem oddała już raz serce mężczyźnie, serce czyste i delikatne. Kiedy je odzyskała, było pełne nie zabliznionych ran.

Nie, na serce nie ma gwarancji.

Czy mogła znowu zaryzykować? Nawet wiedząc, że to, co ją teraz spotyka, jest czymś całkiem innym od tego, co przydarzyło się siedemnastoletniej dziewczynie, czy powinna była ponownie otworzyć swoje serce? Znowu narazić się na ból i upokorzenie?

Sytuacja jest teraz lepsza, zapewniła sobie. Wszystko wygląda lepiej. Oboje są dorośli, cieszą się sobą. I są przyjaciółmi.

Wyjęła różę z flakonu i przyłożyła kwiat do policzka. Szkoda, że mogą wykraść tylko godziny, by być ze sobą sam na sam. Jest przecież jego córka, z którą muszą się liczyć, są obowiązki i praca. Ale w tych chwilach, kiedy jej przyjaciel stawał się jej kochankiem, poznawała, czym jest prawdziwa rozkosz.

Oderwała się wreszcie od tych rozmyślań i wróciła do notatek. Nie na długo. W kantorku rozległ się dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę.

- „Zabawny Domek”, dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry, kobieto interesu - usłyszała.

- Mama!

- Jesteś zajęta czy możesz chwilę porozmawiać?

Natasza ścisnęła słuchawkę w obu dłoniach, szczęśliwa, że słyszy głos matki.

- Oczywiście, że mogę. Ile tylko chcesz.

- Zastanawiałam się, czemu już dwa tygodnie nie dzwonisz.

- Wybacz, mamo. - Przez ostatnie dwa tygodnie w centrum jej życia był mężczyzna. Nie mogła tego jednak powiedzieć matce. - Co u was? Jak tata i reszta?

- Tata i ja czujemy się dobrze. Reszta też. Tata dostał podwyżkę.

- Gratuluję.

- Michał nie spotyka się już z tą Włoszką. - Nadia po ukraińsku wyraziła radość z tego powodu, co bardzo rozbawiło Nataszę. - Aleksij za to rozgląda się za dziewczynami. Ładny chłopiec, ten mój Aleks. A Rachel nie widzi świata poza studiami. A co u ciebie, Nataszo?

- Wszystko w porządku. Dobrze się odżywiam i dużo śpię - dodała, zanim Nadia mogła zadać następne pytanie.

- To dobrze. A jak sklep?

- Przygotowujemy się do świąt. Spodziewam się większego ruchu niż w zeszłym roku.

- Ale nie musisz już przysyłać nam pieniędzy.

- Muszę. Nie chcę, żebyś się martwiła o dzieci. Nadia westchnęła. To wypróbowany argument Nataszy.

- Jesteś bardzo uparta - powiedziała.

- Tak jak moja mama.

Była to prawda, z którą Nadia nie mogła polemizować.

- Porozmawiamy o tym, jak przyjedziesz na Święto Dziękczynienia - dodała.

Święto Dziękczynienia, uzmysłowiła sobie Natasza. Jak mogła zapomnieć? Przerzuciła kartki kalendarza. To za niecałe dwa tygodnie.

- W świąteczny dzień nie będę się sprzeczać z własną mamą - przyznała i zapisała, że ma zarezerwować bilet. -

Będę najpóźniej w środę wieczór. Przywiozę wino.

- Przywieź siebie.

- Siebie i wino. - Natasza zrobiła następną notatkę. Choć była w tym okresie bardzo zajęta, nie mogła nie pojechać w ten dzień do domu. - Cieszę się, że was zobaczę.

- Może przyjedziesz z przyjacielem? - rzuciła matka. Była to rutynowa uwaga, ale tym razem Natasza się zawahała. Nie. Dlaczego Spence miałby chcieć spędzić Święto Dziękczynienia na Brooklynie?

- Nataszo... - Intuicja podpowiedziała Nadii, że za jej milczeniem coś się kryje. - Masz przyjaciela?

- Oczywiście. Mam masę przyjaciół.

- Daj spokój. Kto to jest?

- Nikt. - Westchnęła, gdy Nadia zarzuciła ją kolejnymi pytaniami. - No dobrze, już dobrze. Jest profesorem w college'u, wdowcem - powiedziała. - Ma córeczkę. Myślałam po prostu, że może chcieliby mieć towarzystwo w świątecznym dniu, to wszystko.

- Ach.

- Nie lubię tego wymownego „ach”, mamó. To przyjaciel, a ja bardzo lubię jego córkę.

- Długo się znacie?

- Przeprowadził się tutaj dopiero pod koniec lata. Chodzę na jego zajęcia, a jego córeczka zagląda od czasu do czasu do mojego sklepu. - To wszystko prawda, pomyślała. Nie cała prawda, ale prawda. Miała nadzieję, że powiedziała to obojętnym tonem. - Mogę go przy okazji spytać, czy nie miałby ochoty pojechać ze mną.

- Dziewczynka mogłaby spać z tobą i Rachel.

- Tak jeśli...

- Profesor dostałby pokój Aleksa. Aleks spałby na kanapie w salonie.

- Ale on może już mieć jakieś plany - przerwała matce Natasza.

- A więc go spytaj.

- Dobrze, jeśli będzie okazja.

- Spytaj - powtórzyła Nadia. - A teraz wracaj do pracy.

- Tak, mam. Kocham cię.

A więc stało się, pomyślała Natasza, odkładając słuchawkę. Wyobrażała sobie, jak matka stoi przy telefonie i zaciera ręce z zadowolenia.

Co Spence pomyślałby o jej rodzinie, a co oni o nim? Czy odpowiadałby mu zgiełk i ruch przy stole? Przypomniała sobie ich pierwszą wspólną kolację, elegancki stolik, dyskretną obsługę. Na pewno ma już jakieś plany, uznała. A więc nie ma się czym martwić.

Po dwudziestu minutach ponownie rozbrzmiał dzwonek telefonu. Pewno mama chce zadać dziesiątki pytań na temat jej „przyjaciela”. Z wahaniem podniosła słuchawkę.

- „Zabawny Domek”, dzień dobry.

- Natasza?

- Spence? - Odruchowo zerknęła na zegarek. - Dlaczego nie jesteś na uczelni? Coś się stało? - zaniepokoiła się.

- Nie, nie. Wpadłem do domu między wykładami. Mam wolną godzinę. Możesz przyjść?

- Do ciebie? - Było coś naglącego w jego głosie, ale nie niepokojącego. - Dlaczego? O co chodzi?

- Po prostu przyjdź. Nie mogę tego wyjaśnić. Muszę ci to pokazać. Proszę.

- Dobrze, zaraz będę. Na pewno nie jesteś chory?

- Nie. - Usłyszała jego śmiech i odetchnęła z ulgą. - Nie jestem chory. Nigdy nie czułem się lepiej. Pospiesz się, proszę.

- Będę za dziesięć minut. - Natasza chwyciła płaszcz.

Jego głos brzmiał jakoś inaczej. Było w nim... szczęście? Nie, raczej podekscytowanie. Co mogło podekscytować mężczyznę z samego rana? Może jednak jest chory. Włożyła rękawiczki i weszła do sklepu.

- Annie, muszę... - Stała jak wryta na widok Annie w objęciach Terry'ego Maynarda. - Ja... przepraszam - wyjąkała.

- Och, Nata, Terry właśnie... On... - Annie odgarnęła włosy z czoła i uśmiechała się niepewnie. - Wychodzisz?

- Tak. Muszę się z kimś zobaczyć. - Zagryzła wargi, żeby się nie roześmiać. - Nie będzie mnie przez godzinę. Dasz sobie radę?

- Oczywiście. - Annie poprawiła włosy. Terry stał obok z twarzą mieniającą się wszystkimi odcieniami czerwieni. - Dzisiaj nie ma ruchu. Nie śpiesz się.

Świat chyba postanowił dziś zwariować, uznała Nata-sza i wybiegła na ulicę. Najpierw telefon od matki, gotowej wyrzucić Aleksa z łóżka dla obcego mężczyzny. Potem Spence, który prosi, żeby natychmiast przyszła coś zobaczyć. I wreszcie Annie całująca się przy kasie z Terryem. Cóż, musi się z tym wszystkim jakoś uporać. Zacznie od Spence'a.

Wbiegała na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, podejrzewając, że zastanie go pogrążonego w chorobie. Gdy otworzył drzwi, była już tego pewna. Oczy mu błyszczały, twarz poczerwieniała. Miał na sobie pognieciony sweter, rozwiązany krawat.

- Spence, czy ty...

Zanim skończyła zdanie, chwycił ją, przycisnął usta do jej ust i zaczął kręcić się wkoło, trzymając ją w ramionach.

- Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz.

- Przyszłam najszybciej jak mogłam. - Odruchowo przyłożyła dłoń do jego policzka. Nie, nie ma gorączki,

uznała. W każdym razie nie wymaga pomocy lekarza. - Jeśli tylko dlatego kazałeś mi biec całą drogę, to popamiętasz.

- Po... nie - odpowiedział śmiejąc się. - Chociaż to cudowna myśl. Naprawdę cudowna. - Całował ją tak długo, aż w końcu przyznała mu rację. - Czuję się tak, że mógłbym kochać się z tobą całymi godzinami, dniami, tygodniami.

- Uczniowie by za tobą tęsknili - wymamrotała, odsuwając się nieco. - Byłeś taki przejęty, kiedy do mnie dzwoniłeś. Wygrałeś na loterii?

- Lepiej. Chodź tutaj. - Zatrzasnął drzwi wejściowe i zaprowadził ją do pokoju muzycznego. - Nic nie mów. Usiądź.

Posłuchała, ale kiedy podszedł do fortepianu, wstała.

- Spence, lubię koncerty, ale...

- Nic nie mów - zniecierpliwił się. - Tylko posłuchaj. I zaczął grać.

Już po paru taktach zorientowała się, że nigdy przedtem nie słyszała tego utworu. Dreszcz przebiegł jej ciałem. Zacisnęła dłonie.

Muzyka przenikała ją na wskroś. Nie była w stanie się poruszyć. Mogła tylko patrzeć, śledzić napięcie w jego oczach i wprawne ruchy palców na klawiaturze. Piękno muzyki urzekło ją, poruszyło do głębi jej serce i duszę. Jak to jest możliwe, że jej uczuciom, jej najintymniejszym uczuciom, nadano kształt muzyczny?

Serce biło jej w rytm muzyki. Nie mogła wypowiedzieć słowa, z trudem oddychała. Muzyka była przepelniona smutkiem, ale miała w sobie jakąś tajemniczą moc. I życie. Zamknęła oczy, nie zdając sobie sprawy, że po policzkach spływają jej łzy.

Nie poruszyła się, gdy skończył.

- Nie muszę cię chyba pytać, co myślisz - powiedział

Spence. - Widzę to.

Potrząsnęła tylko głową. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

- Kiedy to napisałeś? - spytała.

- W ciągu kilku ostatnich dni. - Podszedł do niej i wziął ją za rękę. - Wróciło. - Przycisnął wargi do jej dłoni. - Najpierw byłem przerażony. Słyszałem muzykę w głowie, tak jak kiedyś. Nataszo, to tak, jakbym się znalazł w niebie. Nie potrafię tego wyrazić.

- Nie musisz. Słyszałam.

Ona rozumie, pomyślał. Przeczynał, że tak będzie.

- Kiedy siadałem do fortepianu, myślałem, że to tylko pobożne życzenie. - Rzucił okiem na klawiaturę. - Że to zniknie, ale tak się nie stało. Boże, to tak, jakbyś odzyskała rękę albo wzrok.

- To było tutaj zawsze. - Dotknęła jego głowy. - Pozostawało w uśpieniu.

- Nie, ty to sprawiłaś. Powiedziałem ci, że kiedy cię poznałem, moje życie się zmieniło. Nie wiedziałem tylko, w jakim stopniu. To dla ciebie, Nataszo.

- Nie, dla ciebie. Tylko dla ciebie. - Objęła go i pocałowała. - To dopiero początek.

- Tak. - Wsunął dłonie w jej włosy i spojrzał prosto w twarz. - Masz rację. To początek. Jeśli zrozumiałaś tę muzykę, to wiesz, co mam na myśli. I wiesz, co czuję.

- Spence, nie mów teraz nic więcej. Ponoszą cię emocje. Nietrudno pomylić to, co czujesz w stosunku do swojej muzyki, z innymi sprawami.

- Ależ to absurd. Nie chcesz usłyszeć, jak mówię, że cię kocham.

- Nie. - Ogarnęła ją panika. - Nie chcę. Jeśli ci na mnie choć trochę zależy, nie powiesz tego.

- Nie rozumiem. Czego ty właściwie chcesz?
- Chcę, żebyś był szczęśliwy. Dopóki jest tak jak jest...
- Jak długo ma być tak jak jest?
- Nie wiem. Nie potrafię ci odpowiedzieć takimi samymi

słowami ani takimi samymi uczuciami. Wierz mi, że bardzo bym chciała.

- Mam jakiegoś rywala?

- Nie. - Szybko wzięła go za rękę. - Nie. To, co czułam dla... co czułam kiedyś - poprawiła się - było fantazją Marzeniami młodej dziewczyny. Teraz jest rzeczywistość. Po prostu nie mam dość siły, by ją udźwignąć.

Lub jej ulec, dodała w duchu. Poczowała się zraniona.

Może dlatego, że pragnął jej tak bardzo, jego niecierpliwość stanowiła dodatkową presję, która zamiast łączyć, mogła ich rozdzielić.

- A więc nie powiem ci, że cię kocham. - Ucałował jej brew. - I że jesteś mi potrzebna. - Ucałował jej usta. - Jeszcze nie. - Delikatnie pieścił jej palce. - Ale nadejdzie czas, gdy ci to powiem. A ty mnie wysłuchasz. I odpowiesz.

- Brzmi to jak groźba.

- Nie, to jedna z tych obietnic, których nie chcesz słuchać. - Pocałował ją w oba policzki. - Muszę wracać na uczelnię.

- A ja do sklepu. - Wzięła rękawiczki. - Spence, to dla mnie bardzo ważne, że chciałeś, bym wysłuchała twojej muzyki. Że chciałeś się nią ze mną podzielić. Jestem z ciebie bardzo dumna. I cieszę się, że ten moment uczciliśmy razem.

- Dopiero uczcimy. Zapraszam cię do nas na kolację.

Nieczęsto kupowała szampana, ale tym razem to zrobiła. Butelka wina to i tak za mało, żeby uczcić to, co razem przeżyli, co jej ofiarował tego przedpołudnia. Muzyka była podarunkiem najcenniejszym z cennych. Ofiarowując ją,

dawał jej czas i iskrę nadziei.

Może naprawdę ją kocha... Jeśli w to uwierzy, będzie musiała oswoić się z tą myślą. Jeśli uwierzy, będzie musiała powiedzieć mu wszystko, wszystko, co wciąż jeszcze budziło jej lęk.

Potrzebuje czasu.

Ale dziś wieczór będzie święto.

Zapukała do drzwi i uśmiechnęła się do Very.

- Dobry wieczór - powiedziała.

- Witam, panno Stanislaski - odpowiedziała dyplomatycznie Vera, otwierając szerzej drzwi.

To prawda, przy tej kobiecie *señor* był szczęśliwy, Freddie też bardzo ją lubił. Ale po przeszło trzech latach spędzonych tylko z nimi Vera nie chciała tu nikogo więcej. Nie zamierzała się nimi z kimkolwiek dzielić. Choć wiedziała, że to może być konieczne.

- Doktor Kimball i Freddie są w pokoju muzycznym - oświadczyła.

- Dziękuję. Przyniosłam szampana.

- Proszę dać.

Natasza westchnęła, odprowadzając Verę wzrokiem. Im bardziej nieugięta była gospodyni, tym bardziej chciała pozyskać jej sympatię.

Zbliżając się do pokoju, usłyszała śmiech Freddie. I jeszcze czyjś. Stanąwszy w drzwiach, zobaczyła dziewczynkę w towarzystwie JoBeth. Był z nimi Spence. Miał na głowie coś w rodzaju hełmu, a w rękę karton udający tarczę.

- Pasażerowie na gapę na moim statku zostaną pożarci przez potwora z morskich głębin - ostrzegł. - Ma potężne zęby i ziele ogniem.

- Nie! - Freddie schowała się za kotarę. - Tylko nie potwór.

- Najbardziej lubi małe dziewczynki. - Z szatańskim uśmiechem chwycił piszczącą JoBeth. - Małych chłopców połyka od razu, ale dziewczynki żuje, żuje i żuje.

- To wstrętne. - JoBeth zasłoniła usta.

- A pewnie! - Chwycił Freddie pod drugie ramię.

- Módlcie się, bo będziecie jego głównym daniem. - Rzucił obie dziewczynki na kanapę.

- My cię pokonamy! - wrzasnęła Freddie. - Waleczne siostry cię pokonają, nie boją się potwora.

- Tym razem, bo następnym to potwór was pokona.

- Odgarnął z czoła włosy i zauważył stojącą w drzwiach Nataszę. - Cześć. Jestem piratem kosmicznym - oznajmił.

- A, to wyjaśnia wszystko.

- Zawsze zwyciężamy - zawołała Freddie, podbiegając do niej. - Zawsze, zawsze.

- Cieszę się. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek został pożarty przez potwora.

- On tylko udawał - powiedziała rezolutna JoBeth.

- Doktor Kimball naprawdę bardzo dobrze udaje.

- O, tak.

- JoBeth zostanie u nas na kolacji. Ty jesteś gościem tatusia, a ona moim - powiedziała Freddie.

- Bardzo się cieszę. - Natasza pochyliła się, by pocałować w policzek najpierw Freddie, potem JoBeth. - Co u twojej mamy? - spytała dziewczynkę.

- Będzie miała dziecko - skrzywiła się JoBeth, wrzuszając ramionami.

- Słyszałam. - Natasza pogłaskała ją po głowie.

- Opiekujesz się mamą?

- Już nie wymiotuje rano, ale tatuś mówi, że wkrótce będzie gruba.

Najwyraźniej zazdrosna o Nataszę, Freddie Przystępowała z nogi na nogę.

- Chodźmy do mojego pokoju - powiedziała do koleżanki. - Pobawimy się lalkami.

- Proszę umyć ręce i buzie. - Do pokoju wkroczyła Vera z tacą, na której stał kubełek z lodem i kieliszki.

- Później zejdziecie na kolację, spokojnie, jak damy, a nie jak słonie. - Skinęła głową do Spence'a. - Panna Stanisłaski przyniosła szampana.

- Dziękuję, Vero. - Spence szybko ściągnął hełm.

- Kolacja będzie za piętnaście minut - oznajmiła Vera i wyszła z pokoju.

- Teraz już jest pewna, że mam wobec ciebie określone zamiary - mruknęła Natasza. - I że czyham na twoje pieniądze.

Roześmiał się i wyjął korek z butelki.

- To dobrze, ale ja wiem, że czyhasz tylko na moje ciało. - Rozlał szampana do kieliszków.

- Bardzo je lubię, nie powiem.

- To może zechcesz później z niego skorzystać. - Stuknął kieliszkiem o kieliszek. - Freddie skłoniła mnie, żebym zgodził się puścić ją na noc do Rileyów. Chce spać u JoBeth. A więc bym nie czuł się opuszczony, może zostanę u ciebie? Całą noc.

Natasza wypita łyk szampana, rozkoszując się jego smakiem.

- Dobrze - powiedziała tylko i uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obserwowała cienie tańczące na ścianach, na zasłonach, starym skórzanym fotelu, na porcelanowych figurkach na serwantce. To jej pokój. Zawsze był tylko jej. Do czasu gdy...

Westchnęła i położyła dłoń na sercu Spence'a.

Słyszała szum wiatru za oknem i uderzenia deszczu o parapet. Noc była zimna, zwiastowała równie zimny, mroźny poranek. Zima często przychodziła w te okolice wcześniej niż gdzie indziej. Ale jej było ciepło i przytulnie w ramionach Spence'a.

Spowijała ich cisza. Przytuleni do siebie leżeli bez ruchu szczęśliwi, spokojni. Każde z nich wiedziało, że kiedy się obudzi, zobaczy obok ukochaną osobę.

W głowie Nataszy rozbrzmiewała muzyka, melodia, którą podarował jej tego przedpołudnia. Wiedziała, że do końca życia zachowa w pamięci każdą nutę, każdy akord. Dla niego był to tylko początek albo nowy początek. Radowała ją ta myśl. W latach, które nastąpią, będzie słuchać jego muzyki i przypominać sobie czas, jaki razem spędzili. Będzie go przeżywać wciąż na nowo, nawet jeśli jego muzyka ich rozdzieli.

Musiała zadać to pytanie.

- Wrócisz do Nowego Jorku?

- Po co?

- Zacząłeś znowu komponować. - Wyobrazila go sobie w odświętnym stroju na prapremierowym wykonaniu jego nowej symfonii.

- Nie muszę być w Nowym Jorku, żeby komponować. A nawet gdyby tak było, to i tak mam więcej powodów, by zostać tutaj.

- Freddie.

- Owszem. Freddie. I ty.

Poruszyła się niespokojnie. Oczami wyobraźni widziała go na ekskluzywnym przyjęciu po koncercie, w jakimś prywatnym klubie albo w eleganckiej restauracji, tańczącego z piękną kobietą.

- Twój Nowy Jork jest inny niż mój - zauważyła.

- Domyślam się. - Zastanawiał się, dlaczego ma to dla niej jakieś znaczenie. - Czy myślałaś kiedykolwiek o tym, żeby tam wrócić?

- Żeby mieszkać, nie. Tylko pojechać w odwiedziny. - To głupie, że denerwuje się z powodu takich zwyczajnych pytań. - Dzisiaj dzwoniła moja mama.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Chciała mi przypomnieć o Święcie Dziękczynienia. O mały włos, abym zapomniała. Co roku urządzamy wielką kolację i jemy bez opamiętania. Ty też jedziesz do domu?

- Jestem w domu.

- Myślałam o twojej rodzinie. - Uniosła się nieco, by spojrzeć mu w twarz.

- Mam tylko Freddie. I Ninę - dodał. - Ale ona zawsze wyjeżdża do Waldorf.

- A rodzice? Nie wiem nawet, czy żyją.

- Mieszkają w Cannes. - A może w Monte Carlo? Nagle dotarło do niego, że nawet nie wie, gdzie teraz są. Nie utrzymywali ze sobą prawie żadnych kontaktów od lat, co zresztą odpowiadało obu stronom.

- Nie przyjadą na Święto Dziękczynienia?

- Nigdy nie przyjeżdżają do Nowego Jorku zimą.

- Ach, tak. - Nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie to święto bez rodziny.

- Nigdy nie jedliśmy w domu w ten dzień. Zawsze

gdzieś wychodziliśmy, a najczęściej wyjeżdżaliśmy. - W jego wspomnieniach z dzieciństwa było więcej miejsc niż ludzi, więcej muzyki niż słów. - Po ślubie na ogół spotykaliśmy się z Angelą z przyjaciółmi w restauracji albo szliśmy do teatru.

- Ale... - zaczęła i umilkła.

- Ale co?

- Przecież urodziła się Freddie.

- Wtedy też nic się nie zmieniło. - Wbił wzrok w sufit.

Chciał jej opowiedzieć o swoim małżeństwie, o sobie, o tym, jakim człowiekiem był kiedyś, ale wciąż odkładał to na później. Za długo, uznał teraz. Jak może chcieć zbudować coś nowego, jeśli nie uporządkował jeszcze spraw z przeszłości? Nie uporał się z jej emocjonalnymi pozostałościami. - Nigdy ci nie opowiadałem o Angeli.

- Nie ma takiej potrzeby. - Wzięła go za rękę. Chciała zaprosić go do swego rodzinnego domu, a nie wywoływać duchy przeszłości.

- Owszem, jest. - Usiadł i sięgnął po szampana, którego przynieśli tu ze sobą. Napełnił kieliszki i podał jej jeden.

- Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień, Spence.

- Ale wysłuchasz mnie?

- Tak, jeśli to dla ciebie takie ważne.

Milczał przez chwilę, starając się zebrać myśli.

- Poznaliśmy się, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Byłem już wtedy u szczytu sławy i prawdę mówiąc, niewiele się dla mnie liczyło prócz muzyki. Spędzałem niemal cały czas w podróży, robiłem to, co sprawiało mi przyjemność, i odnosiłem sukcesy, a to było dla mnie najważniejsze. Nikt nigdy mi nie powiedział: „Tego nie możesz mieć. Tego nie możesz robić”. A więc kiedy ją zobaczyłem, zapragnąłem jej.

Wypił łyk szampana. Natasza w milczeniu wpatrywała się w bąbelki w kieliszku.

- I ona zapragnęła ciebie.

- Na swój sposób. Problem w tym, że jej zainteresowanie mną było zaledwie ułamkiem mego zainteresowania jej osobą. Koniec końców, okazało się to dla mnie zgubne. Kochałem piękne rzeczy. - Dolał sobie szampana. - I byłem przyzwyczajony, że je mam. Ona była doskonała, niczym delikatna lalka z porcelany. Obracaliśmy się w tych samych kręgach, bywaliśmy na tych samych przyjęciach, lubiliśmy tę samą muzykę i literaturę.

Natasza przekładała kieliszek z ręki do ręki. Nagle poczuła się nieszczęśliwa.

- Wspólne zainteresowania są bardzo ważne - zauważyła.

- O, mieliśmy dużo wspólnego. Była tak samo rozpieszczona i zepsuta jak ja, egoistyczna i ambitna. Nie sądzę, byśmy prezentowali szczególnie dobre cechy.

- Za surowo siebie osądzasz.

- Nie znałaś mnie wtedy. - Był za to wdzięczny losowi.

- Byłem bardzo bogatym młodym człowiekiem, zbyt pewnym siebie, który zawsze miał to, czego chciał. Wszystko się zmienia.

- Tylko ludzie, którzy się rodzą bogaci, mogą to uważać za wadę - zauważyła.

- Tak, masz rację. - Uśmiechnął się do siebie. - Zastanawiam się, co by było, gdybym cię spotkał, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. - Dotknął lekko jej włosów. - Tak czy inaczej pobraliśmy się w ciągu roku i znudziliśmy się sobą w parę miesięcy po tym, jak wysechł atrament na akcie ślubu.

- Dlaczego?

- Bo byliśmy do siebie zbyt podobni. Kiedy nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać, bardzo chciałem je naprawić. Nigdy jeszcze nie poniosłem porażki. Najgorsze było to, że

bardziej ze względów ambicjonalnych niż z powodu uczuć do Angeli chciałem, żeby to małżeństwo trwało. Byłem zakochany w jej wizerunku, jaki sobie stworzyłem.

- Rozumiem. - Natasza pomyślała o sobie i o swoich uczuciach do Anthony'ego.

- Naprawdę? - mruknął. - Mnie zrozumienie tego zajęło lata. W każdym razie kiedy już to zrozumiałem, dołączyły się inne względy.

- Freddie - domyśliła się Natasza.

- Tak, Freddie. Choć wciąż byliśmy małżeństwem, oddaliliśmy się od siebie. Ale że byliśmy ludźmi kulturalnymi, na poziomie, więc zachowywaliśmy pozory zarówno na zewnątrz, jak i wobec siebie. Nie wyobrażasz sobie, jak poniżające i destrukcyjne może być kulturalne małżeństwo. To jedno wielkie oszustwo, i to dla obu stron. Oboje byliśmy winni. Pewnego dnia przyszła do domu wściekła, nie panowała nad sobą. Pamiętam, jak podeszła do barku, rzuciła na podłogę futro z norek, naląła sobie drinka, wypiła i cisnęła szklanką o ścianę. Po czym oznajmiła mi, że jest w ciąży.

- Co czułeś?

- Byłem ogłuszony, wstrząśnięty. Nigdy nie planowaliśmy dzieci. Sami byliśmy jeszcze rozpieszczonymi dziećmi. Angela miała trochę więcej czasu, by się zastanowić i podjąć decyzję. Powiedziała, że pojedzie do prywatnej kliniki w Europie i usunie ciążę.

Nataszy ścisnęło się serce.

- A ty też tego chciałeś?

Jakżeż pragnął móc jednoznacznie odpowiedzieć „nie”.

- Z początku sam nie wiedziałem. Moje małżeństwo się rozpadało, nigdy nie myślałem o dzieciach. Wydawało mi się, że to sensowny pomysł. A później, sam nie wiem

dlatego, wpadłem w złość. Myślę, że dlatego, że to znowu było najprostsze wyjście, najprostsze dla nas obojga. Chciała, żebym strzelił palcami i pozbył się... kłopotu.

Natasza patrzyła na swoje zacisnięte pięści. Jego słowa poruszyły w niej najczulszą strunę. Znała to aż nazbyt dobrze.

- I co zrobiłeś? - spytała.

- Zawarłem z nią układ. Albo urodzi dziecko i damy naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę, albo zrobi zabieg i rozwiedziemy się. Ale nie dostanie ani grosza z moich pieniędzy.

- Bo chciałeś mieć dziecko.

- Nie. - Było to bolesne wyznanie, ale musiał je uczynić. - Bo chciałem, żeby moje życie toczyło się tak, jak to sobie zaplanowałem. Wiedziałem, że jeśli usunie ciążę, nigdy już nie naprawimy tego, co się między nami popsulo. Uważałem, że ponieważ oboje się do tego przyczyniliśmy, musimy to razem naprawić.

Natasza milczała przez chwilę, analizując jego słowa, które w bolesny sposób ożywiały jej wspomnienia.

- Ludziom nieraz się wydaje, że dziecko uratuje ich związek - powiedziała wreszcie.

- A tak nie jest - dokończył. - I nie powinno tak być. Zanim Freddie się urodziła, rozstałem się z muzyką. Nie mogłem pisać. Angela urodziła Freddie i oddała ją w ręce Very, jakby to był mały kociak. Ja byłem niewiele lepszy.

- O, nie - zaprotestowała. - Widziałam cię z nią. Wiem, jak bardzo ją kochasz.

- Teraz tak. Wiesz, dlaczego tak bardzo mnie dotknęło to, co powiedziałaś wtedy w college'u, że nie zasługuję na taką córkę? Bo to była prawda. - Widział, jak Natasza potrząsa głową, ale nie dał sobie przerwać. - Zawarłem układ z Angelą i przez ponad rok dotrzymywałem go. Rzadko

widywałem dziecko, bo byłem zbyt zajęty towarzyszeniem Angeli do opery czy teatru. Zupełnie przestałem pracować. Nic nie robiłem. Nie karmiłem Freddie, nie kąpałem, nie kołysałem do snu. Czasem słyszałem jej płacz z drugiego pokoju i zastanawiałem się, co to za hałas. Nigdy tego nie zapomnę.

Podniósł butelkę, żeby dolać szampana. • - . Któregoś dnia, zanim jeszcze Freddie skończyła dwa lata, cofnąłem się myślą i zastanowiłem nad swoim życiem. Załamane się. Przecież mam dziecko. Potrzebowałem ponad roku, żeby to sobie uświadomić. Nie mam małżeństwa, nie mam żony, nie mam muzyki. Ale mam dziecko. Uznałem, że mam obowiązek, że ciąży na mnie odpowiedzialność i że najwyższy czas wziąć się w garść. Tak właśnie na początku myślałem o Freddie, kiedy w ogóle zacząłem o niej myśleć. Była dla mnie obowiązkiem. - Wypił i potrząsnął głową. - To i tak trochę lepiej niż ignorowanie jej. W końcu popatrzyłem, naprawdę popatrzyłem na tę śliczną dziewczynkę i zakochałem się w niej. Wyjąłem ją z łóżeczka i trzymałem w ramionach. Przestraszyła się i zaczęła wołać Verę. Roześmiał się na to wspomnienie.

- Uplynęły miesiące, zanim się do mnie przyzwyczaiła. W tym czasie poprosiłem Angelę o rozwód. Zgodziła się bez zmruczenia oka. Kiedy jej powiedziałem, że zatrzymuję dziecko, życzyła mi szczęścia i wyprowadziła się. Nigdy nie wróciła, by zobaczyć Freddie, nawet w czasie tych miesięcy, gdy prawnicy toczyli bój o ugodę. A później dowiedziałem się, że zginęła w wypadku na Morzu Śródziemnym. Niekiedy boję się, że Freddie pamięta, jaka była jej matka. Więcej, że będzie pamiętać, jaki ja byłem.

Natasza przypomniała sobie, co Freddie mówiła o Angeli, kiedy kołysała ją do snu. Odstawiła kieliszek, ujęła w

dłonie twarz Spence'a.

- Dzieci wybaczą - powiedziała. - Łatwo jest wybaczyć, gdy jest się kochanym. Trudniej wybaczyć sobie. Ale musisz to zrobić.

- Chyba już zaczynam.

- Pozwól mi cię kochać - powiedziała i wzięła go w ramiona.

Tym razem kochali się inaczej. Wolniej, delikatniej, w sposób bardziej dojrzały, emocjonalnie bogatszy. Ich usta spotkały się w długim, przeciągłym pocałunku. Chciała mu pokazać, co dla niej znaczy i że tę noc od poprzedniej będą dzielić świąty. Chciała go pocieszyć, dodać mu otuchy, podniecić i ukoić zarazem.

Westchnienie, a potem cichy jęk. Delikatny dotyk palców. Znała teraz jego ciało niemal tak dobrze jak własne, każde załamanie, każdy zakamarek, każdy szczegół. Obserwując go w świetle świec, muskała ustami jego policzki, szyję, piersi. Słyszała uderzenia jego serca. Biło dla niej, głośno i szybko.

Była ucieleśnieniem wszystkich jego erotycznych fantazji. Jej ciało reagowało natychmiast na każdą jego pieszczotę, oczy wpatrzone w niego błyszczały, włosy rozsypywały się na nagie ramiona.

Odchyliła głowę i wyprężyła się. Czekwała, prosiła, żądała.

Dotknął ustami jej piersi, całował sutki, sycił się ich smakiem. Poddawała mu się całkowicie. I nagle usłyszała muzykę. Dźwięki symfonii, kantat, preludiów. Przycisnęła się do niego całą sobą. Pragnęła tylko jednego - czuć jego ciało przy swoim ciele, czuć go w sobie.

I wreszcie stało się to, czego pragnęła.

Obudził ją zapach kawy i mydła.

- Jeśli nie oprzytomniejesz - mówił Spence wprost do jej ucha - za chwilę znowu będę się z tobą kochać.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Popatrzył na jej nagie ramiona wychylające się spod koca.

- To bardzo kuszące, ale za godzinę powinienem być w domu.

- Dlaczego? Przecież jest wcześniej. - Natasza wciąż nie otwierała oczu.

- Dochodzi dziewiąta.

- Dziewiąta? Rano? - Natychmiast otrzeźwiała i wyskoczyła z łóżka. - Jak to możliwe?

- Możliwe. Była już ósma, a teraz jest dziewiąta.

- Nigdy tak długo nie śpię. - Odgarnęła włosy i popatrzyła na niego. - Jesteś już ubrany.

- Niestety - przyznał, obserwując, jak owija się prześcieradłem. - Freddie ma być w domu o dziesiątej. Wziąłem prysznic. - Zaczął bawić się jej włosami.

- Chciałem cię obudzić, żebyś mi towarzyszyła, ale nie miałem sumienia. Tak smacznie spałaś. - Dotknął jej ust.

- Nigdy przedtem nie widziałem, jak śpisz.

- Powinieneś był mnie obudzić. - Podniecała ją sama myśl o wspólnym prysznicu.

- Tak, masz rację. Zrobiłem błąd. - Podał jej kawę.

- Uważaj, jest okropna - przyznał. - Nigdy nie parzyłem kawy.

- Naprawdę powinieneś był mnie obudzić. - Skrzywiła się, wypiwszy łyk kawy. Ale mimo to była szczęśliwa, że ją przygotował. - Masz czas na śniadanie? Zaraz coś przygotowuję - zaproponowała.

- Chętnie. Zamierzałem kupić paszteciki w piekarni po drodze.

- Nie umiem robić pasztecików, ale zrobię jajecznicę.
- Uśmiechnęła się. - I zaparzę kawę.

W dziesięć minut później, ubrana w krótką czerwoną sukienkę, kroїła bekon i rzucała go na patelnię. Podobała mu się taka jak teraz, z zaspanymi jeszcze oczami i włosami w nieładzie.

Na dworze mżył listopadowy deszcz. Spence słyszał czyjeś kroki na górze, potem słabe dźwięki muzyki. Jazz z radia sąsiadów. Spod okna dochodził szum grzejnika, z kuchni skwierczenie bekonu na patelni. Poranna muzyka, pomyślał.

- Mógłbym się do tego przyzwyczaić - wyraził głośno swoje myśli.

- Do czego? - Natasza włożyła grzanki do opiekacza.

- Do budzenia się przy tobie, do wspólnego śniadania
Nie odpowiedziała.

_ Znowu powiedziałem coś niewłaściwego?

_ Ani niewłaściwego, ani właściwego. - Podowała mu kawę. Chciała wrócić do kuchenki, ale chwycił ją za nadgarstki. Zmusiła się, by na niego popatrzeć. Wpatrywał się w nią z napięciem. - Nie chcesz, żebym się w tobie zakochał, ale żadne z nas nie ma na to wpływu.

- Owszem, ma - zawahała się. - Czasem tylko trudno dokonać właściwego wyboru.

- A więc ja już go dokonałem. Zakochałem się w tobie. Jego twarz zmieniła się, złagodniała. Oczy zasnuły się mgłą były niewypowiedzianie piękne.

- Jajecznica się przypali - mruknęła. Zacisnął pięści, gdy odchodziła od stołu.

- Powiedziałem, że cię kocham, a ty się martwisz o jajecznicę.

- Jestem kobietą praktyczną, Spence, muszę być. - Ale

serce mówiło co innego niż rozum. Postawiła talerze z takim namaszczeniem, jakby wydawała przyjęcie dyplomatyczne. Usiadła naprzeciw niego. Myśli kłębiły jej się w głowie, zastanawiała się, co powiedzieć. - Bardzo krótko się znamy - zauważyła w końcu.

- Wystarczająco długo.

W jego głosie nie było gniewu, raczej ton urazy. A ona naprawdę nie chciała mu sprawić przykrości.

- Wiele rzeczy o mnie nie wiesz - powiedziała. - A ja jeszcze nie jestem gotowa do wyznań.

- Nie ma znaczenia.

- Ma. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Coś między nami jest. Nonsensem byłoby zaprzeczać. Ale miłość... to wielkie słowo. Jeśli będziemy go używać, sytuacja się zmieni.

- Masz rację.

- Nie chcę tego. Od początku ci mówiłam, że nie chcę żadnych obietnic ani planów. Nie chcę zmieniać niczego w swoim życiu.

- Czy dlatego, że mam dziecko?

- I tak, i nie. - Była wyraźnie zdenerwowana. - Kochałabym Freddie, nawet gdybym nienawidziła ciebie. Dla niej samej. A że nie jesteś mi obojętny, kocham ją tym więcej. Ale dla ciebie i dla mnie większe zaangażowanie niż teraz zmieniliby i to. Nie jestem gotowa przejąć odpowiedzialność za dziecko. - Nerwowo zaciskała dłonie. - Ale niezależnie od tego nie chcę posuwać się dalej w stosunku do ciebie. Wybacz mi, ale tak jest. Nie będę miała pretensji, jeśli nie zechcesz się już ze mną widywać.

Wstał i zaczął niespokojnie przemierzać pokój, na przemian targany złością i rozpaczą. Deszcz wciąż padał. Ona coś przemilczała, coś bardzo ważnego. Jeszcze mu nie ufa - uświadomił sobie nagle. Wciąż mu nie ufa, mimo tego,

co razem przeżyli.

- Dobrze wiesz, że nie przestanę cię widywać, tak jak nie przestanę cię kochać - oznajmił. - Nie mógłbym.

Mógłbyś przestać być zakochany, pomyślała, ale bała się powiedzieć to głośno. Może to było egoistyczne i wstrętne, ale chciała, żeby ją kochał.

- Spence, trzy miesiące temu nawet cię nie znałam.

- A więc przyspieszam rozwój sytuacji.

Natasza nie odezwała się. W milczeniu pochyliła się nad jajecznicą.

Obserwował ją, sposób, w jaki siedziała, trzymała widlec, podnosiła do ust filiżankę. Niczego nie przyspieszy. Oboje o tym wiedzieli. Ona się boi. Oparł się o parapet. Jakiś drań złamał jej kiedyś serce i teraz ona boi się, żeby ponownie nie zostało złamane.

Dobrze, pomyślał. Poczekam. Dam jej trochę czasu, nie będę nalegał. Kiedyś, gdy był bardzo młody, nie było dla niego nic ważniejszego od muzyki. W ostatnich kilku latach jego poglądy się zmieniły. Znacznie ważniejsze i cenniejsze stało się dziecko. A teraz, w ciągu kilku ostatnich tygodni, przekonał się, że na swój sposób równie ważna może być kobieta.

Freddie czekała na niego. Teraz on będzie czekał na Nataszę.

- Chcesz pójść na poranek?

Wciąż jeszcze zła na niego, spojrzała przez ramię.

- Co?

- Pytałem, czy chcesz pójść na poranek. Do kina.

- Obszedł stół i usiadł. - Obiecałem Freddie, że zabiorę ją do kina.

- Ja... tak. Chcę pójść. Nie jesteś na mnie zły?

- Jestem - uśmiechnął się. - Myślę, że jak z nami pój-

dziesz, to kupisz popcorn.

- Oczywiście.

- Największą torbę.

- A, przejrzałam twoją strategię. Chcesz, żebym poczuła się winna i wydała wszystkie pieniądze.

- Właśnie. A kiedy już zbankrutujesz, będziesz musiała za mnie wyjść. - Świetna jajecznicza - dodał. - Jedz, bo wystygnie.

- Skoro ty mnie zaprosiłeś do kina, to i ja mam dla ciebie zaproszenie. - Natasza zebrała się na odwagę.

- Chciałam ci o tym powiedzieć wieczorem, ale byliśmy zajęci czym innym.

- Pamiętam. - Dotknął stopą jej stopy. - Nietrudno cię zająć.

- Może. To w związku z telefonem od mojej mamy i Świętem Dziękczynienia. Pytała, czy może chcę z kimś przyjechać - zawahała się. - Ale ty masz już pewnie jakieś plany.

Uśmiechnął się, szczerze zadowolony. Może nie będzie musiał aż tak długo czekać.

- Zapraszasz mnie na Święto Dziękczynienia do swojej matki?

- Matka zaprasza - uściśliła Natasza. - Zawsze przygotowuje mnóstwo jedzenia, a oboje z ojcem bardzo lubią gości. A więc pomyślałam o tobie i Freddie.

- Cieszę się, że o nas myślisz.

- Głupstwo - powiedziała, zła na siebie, że rozwodzi się nad czymś, co miało być zwykłym zaproszeniem. - Zawsze jadę pociągiem w środę po pracy i wracam w piątek wieczorem. Uzmysłowiłam sobie, że przecież masz wolne, a więc moglibyście jechać ze mną.

- Dostaniemy barszcz?

- Spytam - uśmiechnęła się. Odsunęła talerz, widząc błysk radości w jego oczach. Nie ma żadnych planów, pomyślała. - Nie chcę, żebyś sobie za wiele obiecywał. To po prostu przyjacielskie zaproszenie.

- Masz rację.

- Myślę, że Freddie będzie się podobać obiad w dużym gronie rodzinnym.

- I znów masz rację.

- To, że zabieram cię do domu moich rodziców, nie znaczy jeszcze, że chcę... - zastanawiała się nad właściwym słowem - ...ich aprobaty albo że chcę się tobą pochwalić.

- Sądzisz, że twój ojciec nie weźmie mnie do swego gabinetu i nie wypyta o zamiary wobec ciebie?

- Nie mamy gabinetu - mruknęła. - A zresztą nie zrobi tego. Jestem dorosła. - Spence roześmiał się, słysząc te słowa.

- Może wybada cię dyskretnie - dodała.

- Będę się zachowywał najlepiej jak potrafię.

- A więc pojedziesz?

Odchylił się na krześle i sączył kawę, uśmiechając się do siebie.

- Nie przepuszczę takiej okazji.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Freddie siedziała otulona kocem na tylnym siedzeniu, trzymając w ramionach ukochaną lalkę. Pograżona w świecie marzeń, udawała, że śpi. A udawała tak dobrze, że od czasu do czasu rzeczywiście drzemała. Podróż z Wirginii Zachodniej do Nowego Jorku trwała długo, ale dziewczynka była zbyt przejęta, żeby się nudzić.

Z samochodowego radia płynęła spokojna ściszona muzyka. Jak na córkę kompozytora przystało, poznała, że to jeden z utworów Mozarta. Żałowała tylko, że nie ma do niego słów, które mogłaby śpiewać. Po drodze zostawili Verę u siostry na Manhattanie, gdzie miała być do niedzieli, i skierowali się w stronę Brooklynu.

Dziewczynka była trochę rozczarowana, że nie pojechali pociągiem, ale w dużym, cichym samochodzie ojca czuła się dobrze i z przyjemnością słuchała jego rozmów z Nataszą. Nie zwracała uwagi na sens wypowiedzianych słów. Wystarczył jej sam dźwięk ich głosów.

Była nieomal chora z podniecenia na myśl o spotkaniu z rodziną Nataszy i wspólnym świątecznym obiedzie. Co prawda niezbyt lubiła indyka, ale Natasza powiedziała jej, że będzie dużo sosu żurawinowego i puree z kukurydzy i fasoli. Freddie nigdy jeszcze nie jadła takiego puree, ale z góry cieszyła się na to danie, bo uwielbiała kukurydżę. A nawet gdyby jej nie smakowało, to i tak zje, bo postanowiła być grzeczna i uprzejma. JoBeth powiedziała, że jej babcia bardzo się denerwuje, kiedy ona nie je jarzyn, więc Freddie nie chciała ryzykować.

Uśmiechnęła się, słysząc radosny śmiech Nataszy i ojca. W jej wyobraźni już stanowili rodzinę. Jechali do dziadków, a ona nie trzymała w ramionach lalki, tylko małą siostrzyczkę Katie.

Katie miała czarne kręcone włosy, takie jak Natasza. Jak tylko zaczęła płakać, Freddie już była przy niej i tylko ona jedna potrafiła ją pocieszyć i uspokoić. Katie spała w białym łóżeczku w jej pokoju i Freddie zawsze sprawdzała, czy jest dobrze przykryta. Wiedziała, że malutkie dzieci łatwo się przeziębiają. Wtedy trzeba im kroplomierzem podać lekarstwo. Nie potrafią same wysiąkać noska. Wszyscy mówili, że Katie zażywa lekarstwo najchętniej wtedy, gdy podaje je Freddie.

Mocniej przytuliła lalkę.

- Jedziemy do babci - szepnęła i zaczęła wyobrażać sobie, jak przebiegnie ta wizyta.

Kłopot w tym, że nie wiedziała, czy ludzie, których uważała za dziadków, ją polubią. Nie każdy przecież lubi dzieci. Może woleliby, żeby ona nie przyjeżdżała. Jak już tam będzie, zechcą na pewno, żeby siedziała cichutko na krześle z rękami na kolanach. Ciocia Nina powiedziała, że tak zachowują się młode damy. Freddie bardzo nie chciała być młodą damą. Ale będzie tak siedzieć, choćby nie wiadomo jak długo, nie przerywając dorosłym, nie mówiąc zbyt głośno, a już na pewno nie będzie biegać po całym domu.

Na pewno będą źli, jeśli coś rozleje na dywan. Może nawet będą krzyczeć. Słyszała, jak krzyczał ojciec JoBeth, kiedy starszy brat JoBeth, który był już w trzeciej klasie i powinien wiedzieć, jak się zachować, wziął jeden z kijów golfowych ojca i zaczął nim walić w kamienie na podwórku. Jeden kamień wpadł z trzaskiem do kuchni, rozbijając szybę w oknie.

Może i ona na przykład stłucze szybę. Wtedy Natasza nie wyjdzie za męża za jej tatę i nie zamieszka z nimi. Freddie nie będzie miała ani mamy, ani siostrzyczki, a tatuś znowu przestanie grać i pisać muzykę.

Niemal sparaliżowana ze strachu, wtuliła się w oparcie, w momencie, gdy samochód zwolnił.

- Tak, teraz w prawo. - Na widok znajomego otoczenia, serce Nataszy podskoczyło z radości. Od razu się ożywiła. - To mniej więcej w połowie ulicy, po lewej stronie. O, tutaj. Chyba uda się gdzieś zaparkować. - Zauważyła wolne miejsce za starą furgonetką ojca. Najwyraźniej rodzice powiedzieli sąsiadom, że oczekują córki z przyjaciółmi, a ci zadbali o to, żeby mieli gdzie postawić samochód.

Nic się nie zmieniło, pomyślała. Poffenbergerowie z jednej strony, Andersonowie z drugiej. Mieszkali tak, odkąd sięgała pamięcią. Jeśli w domu była choroba, jedna rodzina przynosiła jedzenie, druga zajmowała się dziećmi po lekcjach. Dzielono się smutkami i radościami. I oczywiście plotkowano.

Michał spotykał się ze śliczną Andersonówną, a w końcu został drużbą na jej ślubie, kiedy wychodziła za jednego z jego przyjaciół. Rodzice Nataszy byli chrzestnymi jednego z dzieci Poffenbergerów. Może dlatego, gdy uznała, że potrzebuje nowego miejsca do życia, wybrała miasto, które przypominało jej atmosferę rodzinnych stron. Nie z wyglądu, lecz ze stosunków łączących ludzi.

- O czym myślisz? - spytał Spence.

- Po prostu wspominam. - Uśmiechnęła się do niego.

- Jak dobrze jest wrócić. - Zadrżała, wysiadając z ciepłego samochodu. Otworzyła tylne drzwiczki i zajrzała do środka. Spence wyładowywał rzeczy z bagażnika. - Śpisz, Freddie? - spytała.

- Nie. - Dziewczynka potarła powieki.

- Jesteśmy na miejscu. Wysiadaj.

Freddie przycisnęła lalkę do piersi. Zawahała się.

- A jak oni mnie nie polubią?

- A to co znowu? ~ Natasza przykucnęła i odgarnęła jej włosy z czoła. - Miałaś jakiś zły sen?

- Mogą mnie nie polubić. Może nie chcą, żebym tu była. Może będą myśleć, że jestem utrapieniem - przypomniała sobie zasłyszane kiedyś słowo. - Dużo ludzi myśli, że dzieci to utrapienie.

- A więc dużo ludzi jest głupich - skwitowała Natasza, zapinając jej płaszcz.

- Może. Ale i tak mogą mnie nie polubić.

- A co będzie, jeśli ty ich nie polubisz?

O tym Freddie nie pomyślała. Zastanawiała się nad słowami Nataszy, pocierając nos wierzchem dłoni. Natasza podała jej chusteczkę.

- Czy oni są mili? ~ spytała.

- Myślę, że tak. Sama ocenisz, jak ich poznasz, dobrze?

- Dobrze.

- Moje panie, później sobie porozmawiacie - zniecierpliwił się Spence. Stał o parę kroków od samochodu obładowany torbami. - Cóż to była za konferencja? - zainteresował się, gdy do niego podeszły.

- Takie tam babskie sprawy. - Natasza mrugnęła do Freddie.

- Doskonale. Niczego tak nie lubię jak stać na mrozie ze stu kilogramami bagażu. Coś ty tam naładowała? Cegły?

- Tylko kilka, a poza tym trochę niezbędnych rzeczy. - Roześmiana odwróciła się i pocałowała go w policzek, w chwili gdy Nadia otwierała drzwi.

- No, tak. - Nadia uradowana rozłożyła ręce. - Mówiłam papie, że przyjedziecie, zanim się skończy serial.

- Mamo! - Natasza wbiegła do holu i rzuciła się Nadii w ramiona. Pamiętała ten zapach. Talk i gałka muszkatołowa.

I pamiętała silne, opiekuńcze ciało matki. Ciemne oczy Nadii były otoczone zmarszczkami, śladami zmartwień, śmiechu i upływającego czasu.

Szepnęła coś pieszczotliwie i ucałowała Nataszę w oba policzki. Odsunęła się o krok i popatrzyła na córkę. Widziała siebie o dwadzieścia lat młodszą.

- Dość tego, nasi goście stoją na mrozie.

Do holu wszedł ojciec. Chwycił Nataszę wpół i uniósł do góry. Nie był wysoki, ale po latach pracy w budownictwie miał silne ramiona. Roześmiał się i ucałował córkę w oba policzki.

- Co to za maniery - obruszyła się Nadia, zamykając drzwi. - Jurij, Natasza przywiozła gości.

- Witajcie. - Jurij wyciągnął rękę i uściśnął mocno dłoń Spence'a. - Witajcie.

- Spence i Freddie Kimball - przedstawiła Natasza swoich gości. Kątem oka zauważyła, że Freddie trwożliwie wsunęła rączkę w dłoń ojca.

- Bardzo nam miło was poznać - powiedziała serdecznie Nadia i spontanicznie ucałowała ich oboje. - Wezmę wasze płaszcze. Proszę, wejdźcie do środka i rozgośćcie się. Na pewno jesteście zmęczeni.

- Dziękujemy za zaproszenie... - zaczął Spence, ale zauważył, że Freddie jest wprost sparaliżowana ze zdenerwowania. Wziął ją na rękę i zaniósł do salonu.

Pokój był mały ze starymi tapetami i zużytymi meblami. Ale na poręczach foteli leżały koronkowe serwetki, wszystkie drewniane elementy aż lśniły, a tu i ówdzie rozłożono ozdobne poduszki. Między doniczkami z kwiatami stały oprawione zdjęcia rodzinne.

Spence usłyszał skowyt i spojrzął w dół. W rogu pokoju leżał stary pies o wypłowiałej szarej sierści. Radośnie

zamerdał ogonem na widok Nataszy. Podniósł się z widocznym trudem i poczłapał w jej kierunku.

- Sasza. - Natasza przykucnęła i wtuliła twarz w sierść psa. - Sasza jest bardzo stary - wyjaśniła Freddie, gdy pies usiadł i oparł o nią głowę. - Teraz najchętniej już tylko je i śpi.

- I pije wódkę - wtrącił Jurij. - My też się napijemy. Ale nie ty - uśmiechnął się i dotknął palcem czubka nosa Freddie. - Ty dostaniesz trochę szampana, zgoda?

Freddie zachichotała, ale szybko zagryzła wargę. Ojciec Nataszy niezupełnie odpowiadał jej wyobrażeniom o dziadku. Nie miał białych jak śnieg włosów i dużego brzucha. Jego włosy były czarne i białe równocześnie, a brzucha nie miał wcale. Śmiesznie mówił, głębokim, dudniącym głosem, ale ładnie pachniał wiśniami. I miał miły uśmiech.

- Co to jest wódka?

- To tradycyjny napój rosyjski - wyjaśnił. - Robimy go ze zboża.

Freddie zmarszczyła nos.

- Jak chleb? - zdziwiła się i natychmiast znowu zagryzła wargę. Ale kiedy Jurij wybuchnął śmiechem, odważyła się uśmiechnąć.

- Natasza ci powie, że jej tata zawsze drażni się z małymi dziewczynkami. - Nadia stuknęła męża łokciem w zębra. - To dlatego, że w głębi serca jest małym chłopcem. Masz ochotę na gorącą czekoladę?

Freddie wahała się, czy nadal trzymać ojca za rękę i czuć się bezpiecznie, czy zdecydować się jednak na swój ulubiony napój. A Nadia uśmiechała się do niej wcale nie w taki głupkowaty sposób, jak to często robią dorośli, kiedy rozmawiają z dziećmi. Miała ciepły promienny uśmiech, taki jak Natasza.

- Tak, proszę pani - powiedziała w końcu.

Nadia skinęła z uznaniem głową. Podobały jej się dobre manieri dziewczynki.

- No to chodź ze mną - zachęciła dziewczynkę. - Pokażę ci, jak się robi czekoladę z bitą śmietaną.

Freddie ośmielona puściła rękę ojca i wsunęła ją w dłoń Nadii.

- Mam dwa kotki - oznajmiła z dumą, gdy szły do kuchni. - A na urodziny miałam ospę wietrzną.

- Siadajcie. - Jurij gestem wskazał Nataszy i Spence'owi kanapę. - Napijemy się.

- Gdzie Aleks i Rachel? - Natasza z przyjemnością zagłębiła się w poduszkach starej kanapy.

- Aleksij poszedł do kina ze swoją nową dziewczyną. Bardzo ładna. - Oczywiście Jurija zabłysły. - Rachel jest na wykładzie. Przyjechała jakaś sława prawnicza z Waszyngtonu.

- A co u Michaiła?

- Bardzo zajęty. Przemeblowuje mieszkanie w Soho. - Podał im kieliszki i stuknął się z nimi. - A więc jak słyszałem - zwrócił się do Spence'a, siadając w swoim ulubionym fotelu - uczy pan muzyki.

- Tak. Natasza jest jedną z moich najlepszych studentek na zajęciach z historii muzyki.

- Mądra dziewczyna ta moja Natasza. - Jurij oparł się wygodnie i przypatrywał Spence'owi. Ale nie robił tego dyskretnie, jak oczekiwała Natasza. - Jesteście dobrymi przyjaciółmi?

- Tak - odpowiedziała szybko, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza ojciec. - Przyjaźnimy się. Spence przeprowadził się do naszego miasta tego lata. Przedtem mieszkał z Freddie w Nowym Jorku.

- Cóż, to ciekawe. Jak przeznaczenie.

- I ja tak myślę - ucieszył się Spence. - Świetnie się złożyło, że ja mam córeczkę, a Natasza jest właścicielką sklepu z zabawkami. Nie mówiąc już o tym, że zapisała się na moje zajęcia. Nie może mnie więc unikać, nawet gdyby chciała. A jest bardzo uparta.

- O, tak. Wiem coś o tym - zgodził się Jurij, kiwając głową ze współczuciem. - Jej matka też jest uparta, natomiast ja jestem bardzo zgodny.

Natasza chrząknęła porozumiewawczo.

- W mojej rodzinie kobiety są uparte i nie mają dla nikogo szacunku. To moje nieszczęście - stwierdził Jurij i wypił następny kieliszek.

- Może pewnego dnia będę miał szczęście móc powiedzieć to samo. - Spence uśmiechnął się znad kieliszka. - Kiedy przekonam Nataszę, żeby za mnie wyszła.

Natasza zerwała się na równe nogi.

- Skoro wódka tak szybko uderza ci do głowy, sprawdź, czy mama nie ma więcej gorącej czekolady. - Zniknęła w kuchni.

Jurij sięgnął po butelkę.

- Zostawmy czekoladę kobietom. - Mrugnął porozumiewawczo do Spence'a.

Natasza obudziła się z pierwszym brzaskiem. Była w swoim dawnym łóżku, w pokoju, w którym spędziła z siostrą niezliczone godziny, rozmawiając, śmiejąc się i kłócąc. Ściany pokrywały te same tapety w różyczki co kiedyś, tyle że trochę już spłowiały. Ilekroć matka groziła, że je zmieni, obie z Rachelą protestowały. Widok wciąż tych samych ścian od dzieciństwa aż do dorosłego wieku dawał im poczucie bezpieczeństwa i swojskości.

Freddie leżała obok przytulona do jej ramienia.

Natasza odwróciła głowę. Zobaczyła ciemne włosy siostry rozrzucone na poduszce na sąsiednim łóżku. Koce i prześcieradło były w nieładzie. Cała Rachel, pomyślała z uśmiechem. Śpiąc, wykazuje więcej energii niż większość ludzi na jawie. Wróciła do domu po północy, podniecona wykładem, którego wysłuchała, pełna pytań, rozdająca na lewo i prawo całusy i uściski.

Natasza pocałowała Freddie w czoło i ostrożnie ją przesunęła. Cicho wstała. Zachwiała się na nogach, ale szybko odzyskała równowagę. Cztery godziny snu to niewiele. Nic dziwnego, że trochę kręci jej się w głowie.

Schodząc do łazienki, poczuła zapach świeżo parzonej kawy. Nie pociągał jej, ale weszła do kuchni.

- Mama - zdziwiła się. Nadia stała przy stole, zwijając naleśniki. - Za wcześnie na gotowanie.

- Nie w Święto Dziękczynienia. - Nadia nadstawiła policzek do pocałunku. - Chcesz kawy?

Natasza przycisnęła dłoń do żołądka.

- Nie, raczej nie. Domyślam się, że to kłębowisko koców na kanapie to Aleksij.

- Przyszedł bardzo późno. - Nadia wyduła wargi z dezaprobatą, po czym wzruszyła ramionami. - Cóż, nie jest już dzieckiem.

- Nie. Musisz się z tym pogodzić, mamo. Twoje dzieci są dorosłe. I bardzo dobrze je wychowałeś.

- Nie na tyle dobrze, żeby Aleks nie rozrzucił skarpetek. - Uśmiechnęła się jednak, mając nadzieję, że jej najmłodszy syn nie pozbawi jej zbyt szybko możliwości okazywania matczynej troski.

- Papa ze Spence'em długo wczoraj siedzieli?

- Papie dobrze się rozmawiało z twoim przyjacielem. To sympatyczny mężczyzna. - Nadia zwinęła kolejny na-

leśnik. - I bardzo przystojny.

- Zgadza się - przytaknęła ostrożnie Natasza.

- Ma dobrą pracę, jest odpowiedzialny, kocha córkę.

- Zgadza się - przytaknęła po raz drugi Natasza.

- Dlaczego za niego nie wyjdiesz?

No tak, tego mogła się spodziewać. Westchnęła i oparła się o stół.

- Jest wielu sympatycznych, odpowiedzialnych i przystojnych mężczyzn, mam ich wszystkich poślubić?

- Nie ma ich aż tak wielu - rzekła Nadia z namysłem. - Nie kochasz go? - Gdy Natasza milczała, Nadia uśmiechnęła się szeroko. - No tak...

- Nie zaczynaj - zniecierpliwiła się Natasza. - Znamy się zaledwie od paru miesięcy. On wielu rzeczy o mnie nie wie.

- To mu powiedz.

- Nie jestem w stanie.

Nadia ujęła w dłonie twarz córki.

- On nie jest taki jak tamten.

- Masz rację, ale...

Nadia potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie możesz ciągle żyć przeszłością, myśleć o tym, co było. To zatruwa życie. On jest dobrym człowiekiem, Nata. Zaufaj mu.

- Chciałabym. - Objęła mocno matkę. - Kocham go, mam, ale wciąż się boję. I wciąż czuję ból. - Odsunęła się i westchnęła głęboko. - Mogę wziąć furgonetkę taty?

Nadia nie spytała, dokąd chce jechać. Nie musiała.

- Mogę pojechać z tobą.

Natasza pocałowała matkę w policzek i potrząsnęła głową.

Wyjechała na godzinę przedtem, zanim Spence, z tru-

dem otwierając oczy, zszedł na dół. Wymienił pełne sympatii spojrzenie z psem. Poprzedniego wieczoru Jurij nie szczędził wódki gościowi. Spence czuł się tak, jakby w głowie dudnił mu młot pneumatyczny. Znalazł kuchnię, kierując się zapachem naleśników i świeżo parzonej kawy.

Nadia rzuciła na niego okiem, posłała mu serdeczny uśmiech i zaprosiła do stołu.

- Siadaj. - Nałala mu mocnej, czarnej kawy. - Pij. Przygotuję ci śniadanie.

Niczym wędrowiec umierający z pragnienia, chwycił łapczywie kubek w obie dłonie.

- Dziękuję. Nie chcę sprawiać kłopotu. Nadia machnęła ręką.

- Widzę, że masz kaca. Jurij dał ci za dużo wódki.

- Nie. Sam sobie jestem winien. - Otworzył buteleczkę z aspiryną, którą postawiła przed nim na stole. - Niech panią Bóg błogosławi, pani Stanisłaski.

- Nadia. Skoro już upijasz się w moim domu, mów mi Nadia.

- Nie pamiętam, kiedy tak się czułem. Chyba jeszcze w college'u. - Wysypał na dłoń trzy tabletki. - Nie rozumiem, dlaczego uważałem, że to były cudowne czasy. - Usiłował się uśmiechnąć. - Coś tu pięknie pachnie.

- Moje naleśniki na pewno będą ci smakować. - Nałożyła mu dwa na talerz. - Poznałeś wczoraj Aleksa.

- Tak. - Spence nie protestował, gdy nalewała mu drugi kubek kawy. - To był powód do jeszcze jednego drinka. Masz wspaniałą rodzinę, Nadiu.

- Jestem z niej dumna. Ale i martwię się o nich. Wiesz, jak to jest. Sam masz córkę.

- Tak. - Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądać Freddie za dwadzieścia pięć lat.

- Tylko Natasza wyjechała tak daleko. Najbardziej martwię się o nią.

- Jest bardzo silna.

Nadia skinęła głową i rzuciła jajka na patelnię.

- Jesteś cierpliwy, Spence? - spytała.

- Chyba tak.

- Nie bądź za cierpliwy - poradziła.

- To zabawne. Natasza kiedyś powiedziała mi to samo.

- Mądra dziewczyna. - Nadia włożyła chleb do opiekacza.

Drzwi do kuchni otworzyły się raptownie.

- Poczuję śniadanie! - zawołał Aleks i wpadł do środka z impetem, przecierając zaspane oczy.

Padał pierwszy śnieg. Drobne płatki tańczyły na wietrze i znikwały, zanim dotknęły ziemi. Natasza wiedziała, że było parę rzeczy, pięknych i bardzo cennych, których żywot na ziemi był bardzo krótki.

Stała samotnie, wystawiona na chłód, którego nawet nie czuła. Czuła tylko chłód wewnętrzny. Poranek był szary, ale nie ponury, ożywiały go białe płatki śniegu. Nie przyniosła kwiatów. Nigdy nie przynosiła. Wyglądałyby pretenjonalnie na takim malutkim grobie.

Lily. Zamknąwszy oczy, wspominała, jak trzymała w ramionach tę małą, delikatną istotę. Swoją małą córeczkę. Pamiętała piękne niebieskie oczy, rozkoszne miniaturowe rączki.

Podobnie jak kwiat, którego imię nosiła, Lily była taka śliczna, a żyła tak krótko, tak bardzo krótko. Miała ją przed oczami, małą, czerwoną, pomarszczoną, z rączkami zaciśniętymi w pięściki, gdy pielęgniarka pierwszy raz dała ją jej w ramiona. Czuła jeszcze słodki ból, gdy Lily ssała jej pierś. Pamiętała dotyk tej miękkiej delikatnej skóry i zapach

zasyпки, uczucie niewypowiedzianej rozkoszy, gdy tuliła i kołysała malutkie ciało.

Tak szybko zgasła. Za ledwie parę tygodni cieszyła się życiem. To były cudowne tygodnie. Żaden upływ czasu, żadne modlitwy nie ukoją jej bólu, nie sprawią, że kiedykolwiek pogodzi się z tym. Przyjęła to do wiadomości, ale się nie pogodziła.

- Kocham cię, Lily. Zawsze cię będę kochać. - Pochyliła się i przycisnęła dłoń do zimnej trawy. A potem podniosła się, odwróciła i odeszła wśród wirujących na wietrze płatków śniegu.

Dokąd ona poszła? Mogła pójść w dziesięć różnych miejsc, zapewniał siebie. Nie ma się co martwić. To niedorzeczne. Nic jednak nie mógł na to poradzić, że się martwił. Głos wewnętrzny podpowiadał mu, że rodzina Nataszy doskonale wie, gdzie ona jest, ale nikt mu tego nie powie.

Dom wypełniły już głosy, śmiechy i zapachy przygotowywanego posiłku. Spence miał wrażenie, że Natasza go potrzebuje, niezależnie od tego, gdzie jest.

Było tyle spraw, o których mu nie powiedziała. Zorientował się ze zdjęć w salonie. Natasza w trykotach i baletkach. Natasza wykonująca piruet. Natasza wśród baletnic.

Była tancerką, najwyraźniej profesjonalną, a nigdy o tym nawet nie wspomniała.

Dlaczego zrezygnowała z baletu? Dlaczego utrzymywała przed nim w tajemnicy coś, co stanowiło istotną część jej życia?

Wychodząc z kuchni, Rachel zobaczyła go z fotografią w ręku. Przez chwilę obserwowała go w milczeniu. Podobnie jak matce, podobał się jej. Był silny i delikatny zarazem. Jej siostra potrzebowała jednego i drugiego. I na jedno, i drugie

zasługiwała.

- To piękne zdjęcie - powiedziała.

Odwrócił się. Rachel była wyższa od Nataszy, smuklejsza. Krótko obcięte ciemne włosy okalały twarz, w której dominowały oczy o złocistym odcieniu.

- Ile miała tu lat? - spytał.

Rachel wsunęła ręce w kieszenie spodni i podeszła bliżej.

- Chyba szesnaście. Była wtedy w zespole. Nadawała się jak mało kto. Zawsze zazdrościłam jej gracji. Ja byłam niezdarna. - Uśmiechnęła się, zrećnie zmieniając temat. - Zawsze wyższa i chudsza niż chłopcy. Gdzie jest Freddie?

Spence odstawił zdjęcie na miejsce. Rachel wyraźnie dała mu do zrozumienia, że jeśli ma jakieś pytania, powinien je skierować do Nataszy.

- Jest na górze, ogląda z Jurijem serial w telewizji.

- No tak. On nigdy tego nie opuszcza. Nic go bardziej nie rozczarowało niż fakt, że wyrosliśmy z wieku, kiedyśmy siadali mu na kolanach i razem oglądali z nim telewizję.

Wybuch śmiechu dochodzący z piętra sprawił, że oboje obrócili się w kierunku schodów. Usłyszeli tupot nóg i zobaczyli Freddie zbiegającą na dół. Rzuciła się Spence'owi w ramiona.

- Tatusiu, papa mruczy jak niedźwiedź, jak duży niedźwiedź.

- Potarł brodą o twój policzek? - spytała Rachel.

- Ona drapie - chichotała Freddie. Pobiegła z powrotem na górę, zachwycona swoim przyszywanym dziadkiem.

- Nigdy nie zapomni tego dnia - powiedział Spence.

- Papa też. Jak twoja głowa?

- Dzięki, lepiej. - Usłyszał warkot silnika furgonetki i wyjrzał przez okno.

- Muszę pomóc mamie. - Rachel wymknęła się do kuchni.

Stanął w drzwiach, czekając na nią. Natasza była bardzo blada, wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechnęła się na jego widok.

- Dzień dobry - powiedziała, wyciągając ręce i obejmując go w pasie. Przytuliła się.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak. - Teraz tak, uzmysłowiła sobie, teraz, gdy jestem przy nim. - Myślałam, że może dłużej pośpisz.

- Nie, właśnie wstałem. Gdzie byłaś?

- Miałam coś do załatwienia. - Zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku. - Gdzie są wszyscy?

- Twoja mama i Rachel w kuchni. Aleks rozmawia przez telefon.

- Oczywiście z dziewczyną - uśmiechnęła się.

- Zapewne. Freddie z twoim ojcem oglądają telewizję.

- A on czuje się w siódmym niebie. - Dotknęła policzka Spence'a. - Nie pocałujesz mnie?

Pochylił się ku niej. Wyczuwał, że była w niej jakaś potrzeba, głęboko ukryta, którą wciąż chciała stłumić. Miała chłodne usta, ale ogrzały się pod wpływem jego pocałunku.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry, Spence - powiedziała po chwili.

- Miałem nadzieję, że to zauważysz. - Skubnął ją w dolną wargę. - Lepiej?

- Dużo. Cieszę się, że tu jesteś. - Ścisnęła jego dłoń. - Smakowała ci czekolada mamy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zobaczyli pędzącą na dół Freddie. Rzuciła się Nataszy na szyję.

- Wróciłaś! - zawołała.

- Wróciłam. - Natasza pochyliła się i pocałowała ją w

czoło. - Co robiłaś na górze?

- Oglądałam z papą telewizję. On umie mówić tak jak Kaczor Donald i pozwala mi siedzieć na kolanach.

- Ach, tak. - Natasza pociągnęła nosem. Poczowała od Freddie zapach gumisiów. - Czy on wciąż wyjada wszystkie żółte?

Freddie zachichotała i rzuciła krótkie badawcze spojrzenie na ojca. Spence miał całkiem inne zdanie na temat gumisiów niż Jurij.

- Nie szkodzi. Ja i tak najbardziej lubię czerwone - powiedziała.

- Ile było tych czerwonych? - spytał Spence. Freddie podniosła i opuściła ramiona. Spence z rozbawieniem stwierdził, że niemal powtórzyła gest Nataszy.

- Niedużo. Pójdiesz na górę i popatrzysz z nami?

- Pociągnęła Nataszę za rękę. - Zaraz będzie film o Świętym Mikołaju.

- Za chwilę. - Natasza przykucnęła, by zawiązać Freddie sznurowadło. - Powiedz papie, że nie wspomnę mamie o tych gumisiach, jeśli mi kilka zostawi.

- Dobrze. - Dziewczynka pomknęła na górę.

- Zrobił na niej wrażenie - zauważył Spence.

- Papa na każdym robi wrażenie. - Chciała się podnieść, ale nagle pokój zawirował jej przed oczami. Spence podtrzymał ją, zanim zdążyła osunąć się na podłogę.

- Co ci jest? - zaniepokoił się.

- Nic. - Przycisnęła dłoń do głowy, czekając aż odzyska równowagę. - Za szybko się podniosłam, to wszystko.

- Jesteś błada. Usiądź. - Objął ją w pasie, ale potrząsnęła głową.

- Nie, nic mi nie jest, naprawdę. Po prostu jestem trochę zmęczona - uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że

pokój przestał wirować. - To wina Rachel. Gadałaby przez całą noc, gdybym wreszcie nie zasnęła w akcie samoobrony.

- Jadłaś coś dzisiaj?

- Wydawało mi się, że jesteś doktorem muzykologii - zażartowała. - Nie martw się. Zaraz pójde do kuchni i mama na pewno mnie nakarmi.

W tym momencie usłyszeli trzask otwieranych drzwi. Twarz Nataszy rozjaśniła się.

- Michaił! - Rzuciła się bratu w ramiona.

Miał ciemne włosy i karnację, tak jak reszta rodziny. Najwyższy z rodzeństwa, musiał się pochylić, żeby ją objąć. Miał duże piękne dłonie i kędzierzawe włosy sięgające kołnierza. Nosił wytarty płaszcz i sfatygowane buty.

Spence'owi wystarczył jeden rzut oka, żeby się zorientować, że Michaił jest Nataszy szczególnie bliski, być może najbliższy z rodzeństwa.

- Tęskniłam za tobą. - Ucałowała go w oba policzki i przytuliła się do niego. - Naprawdę tęskniłam.

- To dlaczego tak rzadko przyjeżdżasz? - Odsunął się, żeby móc objąć ją wzrokiem. Nie zwrócił uwagi, że jest błada, ale kiedy dotknął jej wciąż zimnych rąk, zorientował się, że wychodziła. Wiedział, gdzie była. Mruknął coś po ukraińsku, ale Natasza tylko potrząsnęła głową i silniej ścisnęła jego dłonie.

- Michaił, chciałabym ci przedstawić Spence'a - powiedziała, uciekając od tematu.

Michaił popatrzył mu w oczy. W odróżnieniu od przyjaznego powitania przez Aleksa i subtelnego zainteresowania Rachel, Michaił przyjrzał mu się tak badawczo, że nie ulegało wątpliwości, iż w razie jakichkolwiek zastrzeżeń nie będzie ich tał.

- Znam twoje prace - powiedział wreszcie. - Są wspa-

niałe.

- Dziękuję. - Spence popatrzył mu prosto w oczy. - Mogę to samo powiedzieć o twoich. Widziałem figurki, które wyrzeźbiłeś dla Nataszy - dodał, widząc zdumiony wyraz twarzy Michaiła.

- Ach, tak - uśmiechnął się Michaił. - Moja siostra zawsze kochała bajki.

- To Freddie, córka Spence'a - wyjaśniła Natasza, gdy z góry dobiegł radosny śmiech. - Nie odstępuję papy.

- Jesteś wdowcem. - Michaił ponownie zwrócił się do Spence'a.

- Tak.

- I teraz uczysz w college'u.

- Tak.

- Michaił - przerwała mu Natasza. - Przestań się bawić w starszego brata. Jesteś młodszy ode mnie.

- Ale większy. - Objął ją ramieniem. - A więc, co jest na śniadanie?

Za dużo tego jedzenia, stwierdził Spence, gdy cała rodzina zgromadziła się późnym popołudniem przy stole. Ogromny indyk stanowił dopiero początek. Wierna tradycjom swej przybranej ojczyzny, Nadia przygotowała typowe amerykańskie dania, od kasztanowego sosu poczynając, na placku z dyni kończąc.

Freddie patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak na stół wjeżdżają kolejne dania. W pokoju panowała nieopisana wrzawa, jeden mówił przez drugiego, przekrzykiwano się. Sasza leżał pod stołem, cierpliwie czekając, aż ktoś rzuci mu jakiś smakołyk. Freddie siedziała na chwiejącym się krześle, na którym położono stertę gazet. O ile zdołała sobie przypomnieć, był to najlepszy dzień w jej życiu.

Aleks i Rachel sprzeczali się o jakieś zadawnione spra-

wy z dzieciństwa. Michaił włączył się, mówiąc, że oboje nie mają racji. Natasza zapytana o zdanie, tylko się roześmiała i szepnęła coś do ucha Spence'owi.

Nadia z policzkami zaróżowionymi z radości, że ma wokół siebie całą rodzinę, wsunęła dłoń w dłoń męża, który właśnie podnosił kieliszek.

- Dosyć - powiedział Jurij, uciszając towarzystwo. - Później możecie się spierać, kto wypuścił z laboratorium białe myszki. Ale teraz wznoszę toast. Dziękujemy Nadii i dziewczętom za tę wspianą ucztę. I dziękujemy naszym przyjaciołom i bliskim, że są tu dziś z nami. Dziękujemy, tak jak to robiliśmy w nasze pierwsze Święto Dziękczynienia w tym kraju, że jesteśmy wolni.

- Za wolność - powiedział Michaił, wznosząc jako pierwszy kieliszek.

- Za wolność - powtórzył Jurij, przesuwając wzrokiem po wszystkich przy stole. - I za rodzinę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wieczorem Spence słuchał opowieści Jurija ze starego kraju. Freddie spała na jego kolanach. Po obiedzie, który upłynął wśród wrzawy i głośnych rozmów, nadszedł czas spokoju i odpoczynku. W jednym rogu pokoju Rachel i Aleks grali w karty. Chwilami trochę się sprzeczali, ale niezbyt gwałtownie.

Natasza i Michał siedzieli na kanapie pogrążeni w rozmowie. Spence obserwował ich kątem oka. Od czasu do czasu jedno brało drugie za rękę albo pieszczotliwym gestem dotykało policzka. Nadia siedziała uśmiechnięta, przerywając niekiedy mężowi, by skomentować lub skorygować jego słowa. Robiła na drutach kolejną powłoczkę na poduszkę.

- Typowa kobieta. - Jurij wskazał na żonę, wypuszczając kłęby dymu z fajki. - Przecież pamiętam wszystko, tak jakby to było wczoraj.

- Pamiętasz tylko to, co chcesz pamiętać.

- Masz rację, ale to i tak jest najważniejsze. Freddie poruszyła się. Spence powoli podniósł się z fotela.

- Połóż ją do łóżka - powiedział.

- Zostaw, ja to zrobię. - Nadia odłożyła robótkę i wstała. - Z prawdziwą przyjemnością. - Ostrożnie wzięła Freddie na ręce. Dziewczynka, na wpół śpiąca, przytuliła się do niej.

- Pokołysziesz mnie? - spytała.

- Tak. - Nadia, wzruszona, pocałowała ją w czoło i skierowała się do schodów. - Pokołyszę cię na fotelu, na którym kołysałam wszystkie moje dzieci.

- I zaśpiewasz mi?

- Zaśpiewam ci piosenkę, którą śpiewała mi moja mama. Chcesz?

Freddie kiwnęła głową i ziewnęła.

- Masz śliczną córkę. - Jurij odprowadził wzrokiem

żonę i Freddie. - Musicie częściej do nas przyjeżdżać.

- Myślę, że nie trzeba jej będzie do tego namawiać.

- Jest zawsze mile widziana, podobnie jak ty. - Jurij pociągnął fajkę. - Nawet jeśli nie ożenisz się z moją córką.

Po tym stwierdzeniu w pokoju na moment zapadło ogólne milczenie, po czym Aleks i Rachel wrócili do gry, tłumiąc śmiech. Spence nawet nie starał się powstrzymać śmiechu.

- Nie mamy mleka na rano. - Natasza zerwała się z kanapy. - Pójdiesz ze mną do sklepu? - zwróciła się do Spence'a.

- Z przyjemnością.

Wyszli z domu okutani w płaszcze i szale. Powietrze było czyste i mroźne, ciemne niebo rozjarzone gwiazdami. Natasza lubiła takie wieczory.

- On nie chciał wprowadzić cię w zakłopotanie - zaczął Spence.

- Owszem, chciał. Objął ją ramieniem.

- Być może. Lubię twoją rodzinę.

- Ja też. Na ogół.

- Jesteś szczęśliwa, że ją masz. Obserwując Freddie, uświadomiłem sobie, jak ważne jest posiadanie rodziny.

Myślę, że nigdy nie próbowałem naprawdę zbliżyć się do Niny czy rodziców.

- Wciąż są twoją rodziną. Może dlatego my trzymamy się razem, że kiedy tu przyjechaliśmy, mieliśmy tylko siebie. Nikogo nie znaleźliśmy, na nikogo nie mogliśmy liczyć.

- To prawda. Moja rodzina nigdy nie przedzierała się przez góry w drodze na Węgry.

- Rachel zawsze nam zazdrościła, że my to wszystko przeżyliśmy, a jej nie było jeszcze na świecie. Kiedy była mała, odplacała nam pięknym za nadobne, mówiąc, że jest

bardziej amerykańska niż my, bo urodziła się w Nowym Jorku. Później, nie tak dawno, ktoś jej powiedział, że jeśli chce być prawnikiem, powinna zmienić lub skrócić nazwisko. - Natasza popatrzyła na niego rozbawiona. - Uznała to za obelgę i od razu poczuła się prawdziwą Ukrainką.

- To bardzo dobre nazwisko. Kiedy już za mnie wyjdiesz, będziesz je mogła zachować w stosunkach służbowych.

- Nie zaczynaj.

- Oho, widzę w tym rękę twego taty. - Uśmiechnął się na widok wywieszki „zamknięte”. - Sklep już nieczynny.

- Wiedziałam o tym. - Przytuliła się do niego. - Po prostu chciałam wyjść. Teraz, kiedy jesteśmy tu sami, mogę cię pocałować.

- Dobry pomysł. - Spence pochylił się ku jej twarzy.

Natasza była na siebie zła, że w drodze powrotnej tak długo spała. Czowała się, jakby była na wspinaczkę wysokogórskiej, a nie spędziła dwa dni w rodzinnym domu. Gdy obudziła się po raz kolejny, właśnie mijali granicę między Marylandem a Wirginią Zachodnią.

- Nareszcie. - Wyprostowała się i posłała Spence'owi przepaszające spojrzenie. - Nie pomogłam ci prowadzić.

- Nie szkodzi. Wyglądałaś, jakbyś potrzebowała odpoczynku.

- Za dużo jedzenia, za mało snu. - Obejrzała się na Freddie, która spała jak zabita. - Nie byliśmy zbyt towarzyskie.

- Możesz to nadrobić. Wstąp do mnie na chwilę.

- Dobrze. - Czemu nie. Vera była jeszcze u siostry, a więc pomoże Spence'owi położyć Freddie i przygotuje coś do jedzenia.

Zatrzymali się przed gankiem i wyjęli walizki z bagaż-

nika.

- Zaniose Freddie na góre - powiedział Spence. - To nie potrwa długo.

Natasza zaczęła krzątać się w kuchni. Zaparzyła herbatę i zrobiła kanapki. To śmieszne, pomyślała. Jestem nie tylko wykończona, ale i głodna jak wilk.

- Śpi jak suseł. - Spence wrócił na dół i obrzucił spojrzeniem stół. - Czytasz w moich myślach.

- Z dwiema nieprzytomnymi pasażerkami nie mogłeś się nawet zatrzymać, żeby coś zjeść.

- A co my tu mamy?

- Kanapki z tuńczykiem.

- Wspaniale - stwierdził, przełknąwszy pierwszy kęs.

W tym stwierdzeniu chodziło o coś więcej niż o kanapkę. Dobrze mu było z Nataszą, kiedy tak siedzieli razem przy kuchennym stole, w ciszy i spokoju.

- Pewno jutro otwierasz sklep - zagadnął.

- Oczywiście. Aż do Bożego Narodzenia nie będzie chwili oddechu. Zatrudniłam dorywczo kogoś z naszej grupy. Zaczyna jutro. - Podniosła filiżankę i uśmiechnęła się tajemniczo. - Zgadnij, kto to.

- Melony Trainor - powiedział, wymieniając jedną z najatrakcyjniejszych studentek.

- Akurat. - Natasza uderzyła go w ramię. - Jest zbyt zajęta flirtowaniem ze wszystkimi dookoła. To Terry Maynard.

- Maynard? Naprawdę?

- Tak. Chce zarobić na nowy tłumik do samochodu. I...
- zawiesiła dramatycznie głos - on i Annie coś do siebie czują.

- Nie żartujesz? - roześmiał się. - Cóż, szybko zmienił obiekt zainteresowania.

- Nie śmieję się. Od trzech tygodni spotykają się co-

dziennie.

- A, to wygląda poważnie.

- I chyba tak jest. Tylko Annie się martwi, że jest dla niego za stara.

- O ile lat jest starsza?

- Och. - Natasza zniżyła głos. - Strasznie dużo. Prawie o rok.

- To rzeczywiście poważna przeszkoda - roześmiał się Spence.

- To dobrze, że są razem. Mam tylko nadzieję, że zapatrzeni w siebie, nie zapomną o klientach. - Natasza wzruszyła ramionami i sięgnęła po filiżankę. - Chyba pójde jutro wcześniej, żeby udekorować wystawę.

- Będiesz zmęczona pod koniec dnia. Może przyjdiesz do nas na kolację?

- Gotujesz? - Pochyliła głowę.

- Nie. - Zjadł ostatnią kanapkę. - Ale mam talent do dań na wynos. Możesz dostać całe pudełko kurczaka albo pizzę. Jestem znany nawet z potraw dalekowschodnich.

- Zostawiam ci wybór menu. - Wstała, żeby pozbierać ze stołu, ale przytrzymał ją.

- Nataszo. - Wstał i pogładził jej włosy. - Chcę ci podziękować za ten wspólny pobyt u twoich rodziców. Dla mnie to było bardzo ważne.

- Dla mnie też.

- Ale bardzo chciałem już być z tobą sam. - Musnął jej wargi. - Chodź na górę. Chcę się z tobą kochać w swoim łóżku.

Nie odpowiedziała. Ale i nie zawahała się. Objęła go w pół i przytuliła się.

W pokoju paliła się nocna lampa. Natasza zauważyła, że do swego pokoju Spence wybrał ciemne, męskie kolory.

Granat, głęboką zielen. Prawie całą jedną ścianę zajmował duży obraz olejny w ciężkiej, ozdobnej ramie. Zwróciła również uwagę na kilka antyków. Łóżko było duże, szerokie, przykryte grubą miękką narzutą. To strefa jego prywatności, pomyślała. Wiedziała, że nigdy jeszcze nie przyprowadził do tego pokoju żadnej kobiety.

W lustrze zawieszonym nad biurkiem widziała ich odbicie. Widziała, jak się uśmiecha, kiedy on dotykał jej policzka.

Mieli czas, dużo czasu. Mogli się sobą delectować. Znikło gdzieś całe zmęczenie. Teraz czuła tylko żar jego miłości. Słowa nie byłyby w stanie wyrazić tego, co przeżywała. Ale gdy go pocałowała, przemówiło jej serce.

Rozbierali się niespiesznie.

Ściągnęła z niego sweter. On rozpiął guziki jej bluzki i zsunął ją z ramion. Nie spuszczał z niego wzroku, rozpiął mu koszulę, potem spodnie. On pomału zdjął z niej bawełniany podkoszulek i rozpiął sprzączkę stanika. Potem sięgnął do paska u spodni. Wreszcie usunęli ostatnią przeszkodę, jaka dzieliła ich ciała.

Przywarli do siebie i pograżyli się w długim, namiętym pocałunku. Spence odsunął narzutę. Wśliznęli się pod nią nadzy, ogrzewani tylko ciepłem swoich ciał.

Chwili takiej bliskości i intymności nigdy jeszcze nie zaznali. Ich ciała ocierały się o siebie tak, że prześcieradła przy każdym ruchu wydawały cichy szept. Westchnęła, rozkoszując się znanym zapachem jego ciała. Jego pieszczoty, początkowo delikatne, subtelne, potem coraz bardziej żądające, były tym, czego pragnęła całą sobą.

Nie odrywał od niej wzroku. Była piękna. Nie tylko jej ciało, jej twarz, ale jej wnętrze. Kiedy poruszała się wraz z nim, była w niej harmonia doskonalsza niż ta, jaką stwarzał w

swej muzyce. Ona była muzyką - jej śmiech, jej głos, jej gest.

Kochał się z nią tak, jak gdyby było to po raz pierwszy i ostatni. Nigdy nie czuła się tak uwielbiana, tak kochana, tak szanowana. Nigdy nie czuła się tak silna ani tak bezpieczna.

Kiedy wreszcie znaleźli się na szczycie rozkoszy, osiągnęli pełną doskonałość i perfekcję.

- Chciałbym, żebyś została. Natasza wtuliła twarz w jego szyję.

- Nie mogę. Freddie zacznie zadawać masę pytań, a ja nie będę wiedziała, co odpowiedzieć.

- Znam bardzo prostą odpowiedź. Powiem jej prawdę. Że cię kocham.

- To nie takie proste.

- Ale to prawda. - Uniósł się na łokciu. - Kocham cię, Nataszo.

- Spence...

- Nie. Nie ma mowy o żadnych wymówkach, tłumaczeniach, przeprosinach. Koniec z tym. Powiedz, czy mi wierzysz.

Popatrzyła w jego oczy i zobaczyła w nich to, co już wiedziała.

- Tak, wierzę ci.

- A więc powiedz mi, co czujesz. Muszę wiedzieć. Ma prawo wiedzieć, pomyślała, mimo że panicznie bała się wypowiedzieć te słowa.

- Kocham cię. Ale się boję. Ucałował jej dłonie.

- Dlaczego?

- Bo byłam już kiedyś zakochana i to się skończyło. Nic, ale to nic nie mogło się skończyć gorzej.

Znowu stanął między nimi cień przeszłości. Nie mógł z nim walczyć ani go pokonać, bo był bezimienny.

- Każde z nas, Nataszo, nosi jakieś nie zabliźnione

rany. Ale mamy szansę na coś nowego, coś bardzo ważnego.

Wiedziała, że ma rację, czuła, że ma rację, ale wciąż się wahała.

- Chciałabym mieć pewność, Spence. Nie wiesz o mnie wszystkiego.

- Wiem, że byłaś tancerką.

- Tak, kiedyś. - Usiadła i owinęła się prześcieradłem.

- Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś?

- Bo to już przeszłość.

- Dlaczego przestałaś tańczyć?

- Musiałam dokonać wyboru. - Przez krótką chwilę czuła ból. Uśmiechnęła się. - Nie byłam aż tak dobra. Cóż, miałam pewne predyspozycje i może z czasem zostałabym nawet solistką. Może... Kiedyś bardzo tego chciałam. Ale czasem sama chęć nie wystarczy.

- Opowiesz mi o tym?

- To nie jest zbyt interesujące. - Wiedziała jednak, że prędzej czy później musi to zrobić. - Późno zaczęłam, dopiero po przyjeździe tutaj. Moi rodzice poznali w kościele Martinę Latović. Wiele lat temu była znaną primabaleriną radziecką. Uciekła z kraju. Zaprzyjaźniła się z moją matką i zaproponowała, że będzie mi dawać lekcje. Taniec to było coś dla mnie. Nie mówiłam dobrze po angielsku, a więc trudno mi było znaleźć przyjaciół. Poza tym wszystko tutaj było obce, inne niż u nas.

- Wyobrażam sobie.

- Miałam wtedy prawie osiem lat. Z trudem uczyłam swoje ciało ruchów, do których nie było przyzwyczajone. Ale bardzo ciężko pracowałam. Madame była bardzo dobra i dodawała mi otuchy. Zachęcała do ćwiczenia. A moi rodzice byli tacy dumni. - Zaśmiała się na to wspomnienie. - Papa był pewien, że zostanę drugą Pawłowa Kiedy pierwszy raz

tańczyłam na pointach, moja mama płakała. Taniec to obsesja, ból i radość. To całkiem inny świat. Nie da się tego wytłumaczyć. To trzeba czuć, wiedzieć, być częścią tego.

- Nie musisz tłumaczyć.

- Nie, tobie nie - zgodziła się. - Ty jesteś muzykiem, dobrze to rozumiesz. Zostałam przyjęta do zespołu baletowego, kiedy miałam prawie szesnaście lat. To było cudowne. Nie zdawałam sobie sprawy, że istnieją jeszcze inne światy, ale byłam szczęśliwa.

- I co się stało?

- Był tam pewien tancerz. - Przymknęła oczy. - Musiałeś o nim słyszeć. - Mówiła powoli, z namysłem. - Anthony Marshall.

- Oczywiście, że go znam. - Przed oczami Spence'a natychmiast stanął wysoki jasnowłosy mężczyzna, o smukłej sylwetce i pełnych gracji ruchach. - Wiele razy oglądałem go na scenie.

- Był wspaniały. Jest - poprawiła się. - Choć od lat już go nie widziałam. Zwiążaliśmy się. Byłam młoda, za młoda. I to był bardzo duży błąd.

Cień wreszcie przestał być bezimienny.

- Kochałaś go.

- O, tak. W sposób naiwny i idealistyczny. Tak jak może kochać tylko siedemnastolatka. Co więcej, myślałam, że i on mnie kocha. Mówił, że mnie kocha, okazywał to. Był czarujący, romantyczny... a ja chciałam mu wierzyć. Obiecował mi małżeństwo, przyszłość, wspólne występy, to co chciałam usłyszeć. Złamał wszystkie obietnice i złamał mi serce.

- I teraz nie chcesz już żadnych obietnic? Nawet ode mnie?

- Ty nie jesteś Anthonym - mruknęła i dotknęła lekko

jego policzka. Jej piękne oczy pociemniały, a głos nabrał jeszcze bardziej egzotycznego brzmienia. - Wiem o tym, uwierz mi. I nie porównuję. Nie jestem tą samą kobietą, która snuła marzenia, usłyszawszy parę nierozważnych słów.

- Moje słowa nie były nierozważne.

- Nie. - Oparła głowę o jego ramię. - W ciągu minionych miesięcy zrozumiałam to i wiem, że to, co do ciebie czuję, jest czymś zupełnie innym od tego, co czułam przedtem. - Chciała powiedzieć jeszcze dużo, dużo więcej, ale słowa uwięzły jej w gardle. - Skończmy dzisiaj na tym, proszę.

- Dzisiaj, ale nie na zawsze - zastrzegł.

- Tylko dzisiaj.

Jak to się mogło stać? - głowiła się. Właśnie teraz, kiedy już zaczynała ufać swemu sercu. Czy udzwignie to po raz drugi?

To tak jakby ktoś cofnął film i puścił go od momentu, gdy jej życie zmieniło się tak całkowicie i drastycznie. Siedziała na łóżku, nie myśląc ani o pracy, ani o czekającym ją dniu. Czy teraz cokolwiek może być normalne?

Trzymała w ręku małą fiolkę. Postąpiła dokładnie według instrukcji. Tylko na wszelki wypadek, mówiła sobie. Ale w głębi duszy wiedziała. Wiedziała od czasu wizyty u rodziców przed dwoma tygodniami. I unikała konfrontacji z rzeczywistością.

To nie niestrawność przyprawiała ją rano o mdłości, to nie przepracowanie czy stres powodował, że była tak zmęczona i że czasem miała zawroty głowy. Prosty test, który kupiła w aptece, potwierdził to, co już wiedziała i czego się obawiała.

Była w ciąży. Po raz drugi była w ciąży. Radość natychmiast przytłumił paraliżujący strach.

Jak to się mogło stać? Nie była już głupiutką dziewczyną i zabezpieczała się. Była na tyle odpowiedzialna, by pójść do lekarza i zacząć brać te małe pigułki, kiedy uświadomiła sobie, że łączy ją ze Spence'em coś więcej niż zwykła znajomość. A jednak była w ciąży. Nie sposób temu zaprzeczyć.

Jak mu to powiedzieć? Ukrywszy twarz w dłoniach, kołysała się na łóżku i zastanawiała, co zrobić. Jak ma jeszcze raz przez to wszystko przejść, gdy przeżycia sprzed lat wciąż tkwią boleśnie w jej pamięci?

Wtedy... wtedy... Wiedziała, że Anthony już jej nie kocha, o ile w ogóle kochał ją kiedykolwiek. Ale kiedy się okazało, że nosi w sobie jego dziecko, była poruszona do głębi. I pewna, że będzie dzielił jej radość. Kiedy do niego poszła, pełna entuzjazmu, promieniejąca radością, jego okrucieństwo poraziło ją.

Pamiętała, jak niechętnie zaprosił ją do środka. Jak trudno jej było zachować spokój, gdy zobaczyła stół nakryty na dwoje, świece, wino, tak jak to przygotowywał dla niej, gdy ją kochał. Teraz zrobił to dla innej. Ale przekonywała siebie, że to nie ma znaczenia. Gdy tylko mu powie, wszystko się zmieni.

I zmieniło się.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - Pamiętała furję w jego oczach.

- Byłam dzisiaj u lekarza. Jestem w ciąży, prawie dwa miesiące. - Wyciągnęła do niego rękę. - Anthony...

- Stare sztuczki, Nata. - Powiedział to obojętnym tonem, ale najwyraźniej był wstrząśnięty. Podszedł do stołu i nalał sobie kieliszek wina.

- To nie żadne sztuczki.

- Nie? A więc jak mogłaś być taka głupia? - Chwycił

ją za ramię i potrząsnął nią z całej siły. - Jak wpędziłaś się w kłopoty, to nie oczekuj, że cię z nich wyciągnę.

Zaskoczona, roztarta ramię, na którym widniały ślady jego palców. On chyba nie rozumiał, tłumaczyła sobie. Dlatego tak się zachowuje.

- Będę miała dziecko - powtórzyła. - Twoje dziecko. Lekarz powiedział, że przyjdzie na świat w lipcu.

- Może i jesteś w ciąży - wzruszył ramionami. - Ale mnie to nie dotyczy.

- Musi.

Popatrzył na nią lodowatym wzrokiem.

- Skąd mam wiedzieć, że to moje?

Zbladła jak chusta. Czowała się tak jak wtedy, kiedy o mały włos nie wpadła pod autobus podczas pierwszej wycieczki do centrum Nowego Jorku.

- Wiesz. Musisz wiedzieć.

- Nie muszę niczego wiedzieć. A teraz wybaczone, ale czekam na kogoś.

- Anthony - chwyciła go za rękę - czy ty nie rozumiesz? Noszę twoje dziecko.

- Swoje - skorygował. - To twój problem. Jeśli chcesz mojej rady, pozbadź się go.

- Pozbadź... ? - Nie była aż tak młoda czy aż tak naiwna, żeby nie zrozumieć, co miał na myśli. - Nie mówisz tego poważnie?

- Chcesz tańczyć, Nata? Myślisz, że wrócisz do formy po dziewięciu miesiącach czekania, aż urodzisz jakiegoś bachora? Przepadniesz raz na zawsze. Spójrz prawdzie w oczy. Wydorosłej wreszcie.

- Jestem dorosła. I chcę urodzić to dziecko.

- Twój wybór. - Machnął ręką. - Nie oczekuj tylko, że mnie w to wciągniesz. Muszę myśleć o karierze. Ty lepiej z

niej zrezygnuj. Złap jakiegoś wolnego faceta, wyjdź za niego i zajmij się domem. I tak zawsze byłabyś tylko średniakiem. Zapomnij o karierze solistki.

A więc urodziła dziecko i kochała je. Przez bardzo krótki czas. Teraz sytuacja była inna. Nie może sobie pozwolić, by je kochać, nie może sobie pozwolić, by je chcieć. Nie teraz, gdy wie, co to znaczy je stracić.

Rzuciła fiolką o podłogę i zaczęła gorączkowo wyjmować ubrania z szafy. Musi wyjechać. Choćby na parę dni. Musi wszystko przemyśleć. Ale najpierw musi powiedzieć prawdę Spence'owi.

Starła się zachować spokój. Była sobota. Na podwórkach bawiły się dzieci. Niektóre pozdrawiały ją, gdy przejeżdżała, a ona machała do nich ręką. Zobaczyła Freddie baraszkuje z kotkiem przed domem.

- Nata! Nata! - Dziewczynka podbiegła do auta.

- Przyjechałaś się ze mną pobawić?

- Nie dzisiaj. - Natasza pocałowała ją w policzek.

- Tatuś w domu?

- Tak, gra. Teraz bardzo dużo gra. A ja rysowałam.

Wyślę te rysunki papie i Nadii.

Natasza uśmiechnęła się.

- Ucieszą się, jestem pewna.

- Chodź, pokażę ci.

- Za chwilę. Muszę najpierw porozmawiać z twoim tatą. Sama.

- Jesteś na niego zła? - przestraszyła się Freddie.

- Nie. - Natasza pociągnęła dziewczynkę za czubek nosa. - Poszukaj kotków. Przyjdę do ciebie za chwilę.

- Dobrze. - Dziewczynka ucieszyła się i pobiegła za dom.

Natasza zapukała do drzwi. Muszę się opanować, po-

wiedziała sobie. A później wyłożyć wszystko logicznie, pomалу, jak dorosła kobieta.

- Panna Stanislaski. - Vera otworzyła drzwi z wyrazem twarzy mniej obojętnym niż zwykle. Widocznie relacja Freddie z wizyty na Brooklynie usposobiła ją nieco przyjaźniej do Nataszy.

- Chciałabym zobaczyć się z doktorem Kimballem, jeśli nie jest zajęty - powiedziała Natasza.

- Proszę wejść. - Vera zmarszczyła brwi, przyglądając się jej bacznie. - Dobrze się pani czuje? Jest pani bardzo blada.

- Dziękuję, dobrze.

- Napije się pani herbaty?

- Nie, dziękuję, spieszę się.

Vera skinęła głową, choć mocno wątpiła w to, czy Nataszy rzeczywiście nic nie dolega.

- Doktor Kimball jest w pokoju muzycznym. Pracuje od świtu.

- Dziękuję. - Idąc przez hol, z daleka słyszała dźwięki fortepianu. Grał coś bardzo nastrojowego.

Na widok Spence'a przypomniała sobie, jak po raz pierwszy znalazła się w tym pokoju. Kto wie, czy nie wtedy właśnie się w nim zakochała - siedział z córką na kolanach, oświetlony promieniami zachodzącego słońca.

Zdjęła rękawiczki, zaczęła nerwowo przebierać palcami. Obserwowała go. Był pochłonięty muzyką. A teraz ona zmieni jego życie. Nie prosił o to i oboje wiedzieli, że miłość to jeszcze nie wszystko.

- Spence - powiedziała cicho, gdy skończył grać. Nie usłyszał. Przelewał nuty na papier. Był zarośnięty. Chciała się uśmiechnąć, ale oczy jej zwilgotniały. Koszulę miał pogniecioną, kołnierzyk rozpięty, włosy w nieładzie.

- Spence - powtórzyła. Odwrócił się zaskoczony.

- Witaj. Nie myślałem, że cię dzisiaj zobaczę - uśmiechnął się.

- Annie została w sklepie. - Natasza nerwowo zaciskała dłonie. - Musiałam się z tobą widzieć.

- Cieszę się. - Głowę miał jeszcze zaprzątniętą muzyką. - Która godzina? - rzucił okiem na zegarek. - Za wcześnie na obiad. Może napijesz się kawy?

- Nie. - Sama myśl o kawie przyprawiała ją o mdłości. - Nic nie chcę. Muszę ci tylko powiedzieć... - Głos jej drżał. - Nie wiem, jak to zrobić. Chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie miałam zamiaru czegokolwiek na tobie wymuszać, do czegokolwiek zobowiązywać.

Plątała się. Nie wiedząc, o co chodzi, potrząsnął głową wstał i podszedł do niej.

- Czy coś się stało? - zaniepokoił się. - Powiedz.

- Próbuję.

Wziął ją za rękę i podprowadził do kanapy.

- Usiądź i powiedz. Najlepiej prosto z mostu.

- Tak. - Dotknęła ręką głowy. - Widzisz, ja... - Zobaczyła lęk w jego oczach, a potem pokój zawirował i osunęła się w ciemną otchłań.

Kiedy się ocknęła, leżała na kanapie, a Spence klęczał obok, rozgrzewając jej dłonie.

- Spokojnie. Leż spokojnie. Wezwę lekarza.

- Nie, nie trzeba. - Ostrożnie usiadła. - Nic mi nie jest.

- Przecież widzę, że jest. - Dłonie miała wilgotne i zimne. - Masz ręce zimne jak lód i jesteś blada jak upiór. Do diabła, Nataszo, dlaczego nie powiedziałaś, że źle się czujesz? Zawiozę cię do szpitala.

- Nie potrzebuję ani szpitala, ani lekarza - zawołała, z trudem opanowując histerię. - Nie jestem chora, Spence.

Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Co? - Tylko tyle zdołał wykrztusić. Przysiadł na piętach i nie odrywał wzroku od jej twarzy. - Co ty powiedziałaś?

Chciała być silna, musiała być. Patrzył na nią tak, jakby uderzyła go w głowę jakimś tępym narzędziem.

- Jestem w ciąży - powtórzyła bezradnie. - Wybacz. Milczał przez chwilę, jakby nie zrozumiał sensu jej słów.

- Jesteś pewna? - spytał wreszcie.

- Tak. - Musi zachować trzeźwość umysłu. W końcu on jest człowiekiem kulturalnym. Nie będzie okrutny, nie będzie jej obwiniał ani oskarżał. - Zrobiłam rano test. Podejrzywałam to już od dwóch tygodni, ale...

- Podejrzywałaś?! - Uderzył pięścią w poduszkę. Nie wyglądała na wściekłą, tak jak Angela. Wyglądała na załamana. - I nic nie powiedziałaś?

- Chciałam mieć pewność. Nie było sensu niepokoić cię bez potrzeby.

- Ach, tak. I taka właśnie jesteś? Zaniepokojona?

- Jestem w ciąży - zniecierpliwiła się. - I uznałam, że powinnam ci o tym powiedzieć. Wyjeżdżam na parę dni. - Spróbowała wstać, choć z trudem trzymała się na nogach.

- Wyjeżdżasz? - Skonsternowany, przestraszony, że znowu straci przytomność, podtrzymał ją i posadził z powrotem na kanapie. - Chwileczkę. Wpadasz do mnie, mówisz, że jesteś w ciąży, a teraz najspokojniej w świecie mi oznajmiasz, że wyjeżdżasz? - Poczul dziwny ucisk w żołądku. To strach. - Dokąd?

- Po prostu wyjeżdżam. - Słyszała własny głos, szorstki i kategoryczny, i przycisnęła dłoń do skroni. - Przepraszam cię. Nie mogę zebrać myśli. Zaskoczyło mnie to. Potrzebuję trochę czasu. Muszę wyjechać.

- Musisz przede wszystkim uspokoić się i porozmawiać ze mną.

- Nie mogę rozmawiać na ten temat. Nie teraz, jeszcze nie. Chciałam ci tylko powiedzieć o tym przed wyjazdem.

- Nigdzie nie wyjedziesz. - Chwycił ją za ramię.

- I porozmawiamy. Czego ode mnie oczekujesz? Ze powiem: „Interesująca wiadomość, Nataszo. Zobaczymy się po powrocie”. Tak?

- Niczego nie oczekuję. - Podniosła głos, dając upust strachowi, goryczy i łzom. - Nigdy niczego od ciebie nie oczekiwałam. Nie chciałam się w tobie zakochać, nie chciałam, żebyś znalazł się w moim życiu. Nie chciałam nosić w sobie twego dziecka.

- Dosyć! - Ścisnął ją mocniej za ramię. - Wyraziłaś się aż nadto jasno. Ale nosisz w sobie moje dziecko, więc teraz usiądziemy i zastanowimy się, co dalej robić.

- Powiedziałam ci, że potrzebuję czasu.

- Dałem ci już dość czasu. Widzę tu znowu rękę losu, ale ty musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

- Nie mogę przechodzić przez to po raz drugi. Nie będę.

- Po raz drugi? O czym ty mówisz?

- Miałam dziecko. - Ukryła twarz w dłoniach. Drżała.

- Miałam dziecko. O Boże!

Oszołomiony położył jej delikatnie rękę na ramieniu.

- Masz dziecko?

- Miałam. - Łzy spływały jej po policzkach. - Umarła.

- Uspokój się. Opowiedz mi o tym.

- Nie mogę. Nie rozumiem. Straciłam je. Straciłam swoje dziecko. Nie zniosę myśli, że mogłabym znowu przeżyć coś takiego. Nie wiesz, nie możesz wiedzieć, jak to boli, jak to bardzo boli.

- Nie wiem, ale widzę. - Objął ją ramieniem. - Opowiedz mi o tym, żebym mógł zrozumieć.

- Co to zmieni?

- Zobaczymy. Nie możesz się tak zadrećzać. Wytarła policzek.

- Przepraszam za moje zachowanie.

- Nie przepraszaj. Zaczekaj. Zrobię herbatę. Porozmawiamy. - Otulił ją kocem. - Zaczekaj minutę.

Nie było go krócej niż minutę, ale kiedy wrócił, zastał pusty pokój.

Michaił rzeźbił. Na uszach miał słuchawki, z których płynęły dźwięki rock and rolla. Ilekroć rzeźbił, zawsze czegoś słuchał. Mógł to być blues albo Bach, albo po prostu szum ulicy biegnącej cztery piętra niżej. Odrywał się w ten sposób od rzeczywistości, skupiając bez reszty na pracy.

Tego wieczoru umysł miał zmacony i nie był w stanie się skoncentrować. Co chwila zerkał za siebie, gdzie w kącie pokoju siedziała Natasza zwinięta na starym fotelu, który zeszłego lata przytargał z ulicy do swego dwupokojowego mieszkania. Trzymała książkę, ale od ponad dwudziestu minut nie przewróciła kartki. Ona też nie mogła się skoncentrować.

Ściągnął słuchawki. Wystarczyło tylko zrobić krok, by znaleźć się w kuchni. W milczeniu nastawił wodę i zaparzył herbatę. Natasza nie odzywała się, gdy stawiał filiżanki na sfatygowanym stoliku. Wreszcie podniosła wzrok znad książki.

- Dzięki - szepnęła.

- Może mi wreszcie powiesz, co się dzieje?

- Michaił...

- Najwyższy czas. Jesteś tu już prawie tydzień.

- Masz mnie dość? - Usiłowała się uśmiechnąć.

- Może. - Położył jej rękę na dłoni. - O nic cię nie pytałem, tak jak chciałaś. Nie powiedziałem ani mamie, ani papie, że zjawiałaś się u mnie niespodzianie, błada, przestraszona, bo prosiłaś mnie, żebym zachował to dla siebie.

- Jestem ci wdzięczna.

- Nie musisz mi być wdzięczna. - Machnął ręką. - Porozmawiaj ze mną.

- Powiedziałam ci, że chciałam na chwilę wyjechać i nie chcę, żeby mama i papa się o mnie niepokoiili. - Sięgnęła po herbatę. - Ty się nie niepokoisz.

- Owszem. Powiedz mi, co się stało. - Pochylił się ku niej i ujął ją za podbródek. - Nata, powiedz.

- Jestem w ciąży - wyrzuciła z siebie wreszcie i odsta-
wiła filiżankę.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział, tylko wziął ją w ramiona. Przytuliła się do niego.

- Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku? - dopytywał się.

- Tak. Parę dni temu byłam u lekarza. Powiedział, że wszystko jest w porządku.

- Profesor z college'u?

- Tak. Nie było nikogo prócz Spence'a.

- Jeśli ten sukinsyn źle cię potraktował... - Oczy Michaiła pociemniały z gniewu.

- Nie. - Uśmiechnęła się, sama zdziwiona, że w tej sytuacji może się uśmiechać. - Nie, nigdy mnie źle nie traktował.

- A więc nie chce dziecka. - Michaił przyjrzał się jej bacznie. Milczała. - Nataszo?

- Nie wiem. - Wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

- Nie powiedziałaś mu?

- Ależ powiedziałam. - Nerwowo zaciskała dłonie. Aby się uspokoić, zatrzymała się na chwilę przy choince. Było to wiecznie zielone drzewko w doniczce, przystrojone kolorowymi papierkami. - Właściwie nie dałam mu nawet szansy, żeby cokolwiek powiedział. Byłam za bardzo zdenerwowana i załamana.

- Nie chcesz tego dziecka.

- Jak możesz mówić w ten sposób? - spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Jak możesz tak myśleć?

- To dlaczego jesteś tutaj, zamiast być teraz z profesorem?

- Musiałam mieć trochę czasu, żeby się zastanowić.

- Za dużo się zastanawiasz.

To nic nowego. Michał zawsze jej to powtarzał.

- To nie jest sprawa wyboru sukienki - powiedziała. - Jestem w ciąży.

- Owszem. Może jednak usiądziesz i uspokoisz się, zanim zrobisz coś głupiego.

- Nie chcę siadać. - Znowu przemierzała pokój wzdłuż i wszerz. - Na początku nie chciałam się z nim wiązać. A nawet kiedy do tego doszło, wiedziałam, że muszę zachować dystans. Chciałam się upewnić, że nie popełnię po raz drugi tego samego błędu. I teraz... - Zrobiła bezradny gest ręką.

- On nie jest Anthonym. A to dziecko nie jest Lily. - Odwrócił się do niej, oczy mu pałały. - Ja też ją kochałem.

- Wiem.

- Nie możesz oceniać teraźniejszości według przeszłości, Nata. - Delikatnie pocałował ją w policzek. - To inny mężczyzna i inne dziecko.

- Nie wiem, co robić.

- Kochasz go?

- Tak.
- A on cię kocha?
- Mówi, że...
- Nie mów mi, co on mówi, powiedz, co wiesz.
- Tak, kocha mnie.
- A więc natychmiast wracaj do domu. Musisz z nim porozmawiać, a nie z bratem.

Wydawało mu się, że traci rozum. Odchodził od zmysłów. Codziennie mijał mieszkanie Nataszy, mając nadzieję, że tym razem zobaczy światło w oknach. Ale tak się nie stało. Więc zaczął zaglądać do sklepu. Nie zwrócił nawet uwagi na świątecznie udekorowaną wystawę. Dopiero po paru dniach zauważył grubego poczciwego Świętego Mikołaja, anioły z dużymi skrzydłami, kolorowe lampki na choince. Drzwi domów, obok których przechodził, okalały sznury rozjarzonych żaróweczek. Poczł ból w sercu.

Z ogromnym wysiłkiem wykrzesał z siebie odrobinę świątecznego nastroju. Zrobił to dla Freddie. Wziął ją do miasta, żeby wybrała choinkę, i spędził wiele godzin na strojeniu drzewka. Starannie przestudiował listę prezentów, które sobie zamówiła, i zabrał ją na deptak, gdzie mogła posiedzieć na kolanach Świętego Mikołaja. Ale sercem i myślami był gdzie indziej.

- To się musi skończyć - mruknął, obserwując pierwszy śnieg za oknem. Niezależnie od tego, co czuje, co się dzieje w jego życiu, nie może zepsuć Freddie świąt.

Pytał o Nataszę każdego dnia. Nie otrzymywał jednak żadnych konkretnych odpowiedzi. Oglądał Freddie w roli anioła w przedstawieniu szkolnym, marząc o tym, żeby ona była tu razem z nim.

A co z ich dzieckiem? Myślał prawie wyłącznie o nim. Przecież teraz Natasza może nosi w sobie siostrzyczkę, której

tak bardzo pragnęła Freddie. Dziecko, którego on tak rozpaczliwie pragnie. Chyba że... Nie chciał myśleć o tym, dokąd pojechała, ani co zrobiła. Jak mógł myśleć o czymkolwiek innym?

Musi być jakiś sposób, żeby ją znaleźć. A kiedy to zrobi, będzie ją błagał, prosił, zaklinał, groził, dopóki do niego nie wróci.

Miała kiedyś dziecko. Ten fakt go zaskoczył. Dziecko, które straciła. Ale jak i kiedy? W głowie kłębiły mu się pytania, na które nie znał odpowiedzi. Powiedziała mu, że go kocha, i wiedział, że nie przyszło jej to łatwo. Mimo to musi mu zaufać.

- Tatusiu. - Do pokoju wpadła Freddie. Myślała już tylko o Bożym Narodzeniu, do którego pozostało zaledwie sześć dni. - Pieczemy ciasteczka.

Odwrócił się i zobaczył roześmianą buzię dziewczynki, usmarowaną lukrem. Podeszedł do niej i mocno ją przytulił.

- Kocham cię, Freddie.

- Ja też cię kocham. Przyjdiesz do nas?

- Za chwilę. Muszę na moment wyjść. - Zamierzał pójść do sklepu i zmusić Annie, żeby powiedziała mu, gdzie jest Natasza. Był pewien, że nie mogła nie zostawić pracownicy numeru telefonu, pod którym można ją było zastać.

- Kiedy wrócisz? - Freddie posmutniała.

- Niedługo. - Pocałował dziewczynkę w policzek. - A potem pomogę ci piec ciasteczka. Obiecuję.

Freddie zadowolona pobiegła z powrotem do kuchni. Wiedziała, że jej tata zawsze dotrzymuje słowa.

Natasza stała przed domem. Dach i ganek były ozdobione lampkami. Zastanawiała się, jak będą wyglądać, kiedy

rozbłysną. Na progu stał naturalnych rozmiarów Święty Mikołaj uginający się pod workiem z prezentami. Przypomniała sobie, że w święto duchów stała w tym miejscu czarownica. Tamtej nocy kochała się ze Spence'em po raz pierwszy. I była pewna, że to tamtej nocy poczęło się ich dziecko.

Przez ułamek sekundy wahala się, czy nie zawrócić. Pójdzie do siebie, rozpakuje rzeczy, odpocznie. Ale to by oznaczało dalsze ukrywanie się, a ukrywała się już dostatecznie długo. Zdobyła się wreszcie na odwagę i zapukała.

Drzwi otworzyła Freddie. Pisnęła z radości i rzuciła się jej na szyję.

- Wróciłaś! Wróciłaś! Czekałam na ciebie cały czas.

Natasza przytuliła dziewczynkę. Tego właśnie pragnęła, uzmysłowiła sobie, ukrywając twarz we włosach Freddie. Jak mogła być taka głupia?

- Nie było mnie tylko trochę - usprawiedliwiła się.

- Nieprawda. Długo cię nie było. Kupiliśmy drzewko i lampki i przygotowaliśmy dla ciebie prezent. Sama go wybrałam. Nie wyjeżdżaj znowu.

- Nie wyjadę - uspokoiła ją Natasza. - Na pewno. - Weszły do środka.

- Nie widziałas mojego przedstawienia. Byłam aniołem.

- Przepraszam.

- Mam swoją aureolę, to ci pokażę, jak wyglądałam.

- Koniecznie. Freddie wzięła ją za rękę.

- Raz się pomyliłam, ale potem sobie przypomniałam.

Mikey zapomniał, co ma mówić. Ja mówiłam: „Dzieciątko narodziło się w Betlejem” i „Pokój na ziemi”, i śpiewałam „A słowo ciałem się stało”. Co to znaczy „ciałem się stało”?

Po raz pierwszy od paru dni Natasza serdecznie się

roześmiała.

- Szkoda, że tego nie słyszałam. Zaśpiewasz mi później?

- Dobrze. Pieczemy ciasteczka. - Wciąż trzymając Nataszę za rękę, pociągnęła ją do kuchni.

- Tatuś ci pomaga?

- Nie, wyszedł. Powiedział, że niedługo wróci i pomoże. Obiecał.

Natasza poczuła ulgę połączoną z rozczarowaniem.

- Vere, Nata wróciła - oznajmiła radośnie dziewczynka, gdy weszły do kuchni.

- Widzę. - Gospościa wydeła wargi. Właśnie wtedy, gdy pomyślała sobie, że Natasza mogłaby być wystarczająco dobra dla *señora* i jego dziecka, ta kobieta wyjechała bez słowa. Znała jednak swoje obowiązki. - Napije się pani kawy czy herbaty? - spytała.

- Nie, dziękuję. Nie chcę pani przeszkadzać.

- Musisz zostać. - Freddie znowu chwyciła ją za rękę.

- Patrz, zrobiłam bałwany i renifery, i Mikołaje. - Pokazywała małe kruche ciasteczka. - Chcesz jedno?

- Piękne. - Natasza przypatrzyła się małemu bałwanowi posypanemu czerwonym cukrem.

- Będziesz płakać? - spytała Freddie.

- Nie. - Natasza zamrugła powiekami. - Po prostu cieszę się, że jestem w domu.

Kiedy to mówiła, drzwi do kuchni otworzyły się i w progu stanął Spence. Wstrzymała oddech. Zaskoczony milczał. Miał wrażenie, jakby zjawiała się tutaj wprost z jego myśli. Miała jeszcze śnieg na włosach i na płaszczu.

- Tatusiu, Nata wróciła - oznajmiła Freddie podbiegając do niego. - Będzie piekła z nami ciasteczka.

Vera energicznie ściągnęła fartuch. Wszelkie

wątpliwości co do Nataszy rozwiały się, gdy popatrzyła na jej twarz. Poznała od razu, że jest zakochana.

- Chodź, Freddie - zwróciła się do dziewczynki. - Mammy za mało mąki. Musimy pójść do sklepu.

- Aleja chcę...

- Chcesz piec, a więc potrzebujemy mąki. Włóż płaszcz. - Wyprowadziła dziewczynkę z kuchni.

Natasza i Spence stali bez ruchu. W kuchni było tak gorąco, że po chwili zakreśliło jej się w głowie. Zdjęła płaszcz i położyła go na oparciu krzesła. Chciała porozmawiać ze Spence'em, a nie będzie mogła tego zrobić, jeśli zasłabnie.

- Spence - zaczęła, odetchnąwszy głęboko. - Miałam nadzieję, że porozmawiamy.

- Widzę. A więc jednak uznałaś, że rozmowa to niezły pomysł.

Zaczęła mówić, ale kiedy usłyszała dzwonek przy piekarniku, przerwała, by wyjąć blachę z ciasteczkami. Przy okazji starała się zebrać myśli.

- Masz rację, że byłeś na mnie zły - powiedziała po chwili. - Fatalnie się zachowałam. Teraz proszę, żebyś mnie wysłuchał, i mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Przyglądał jej się w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Potrafisz uprzedzić atak - odezwał się wreszcie.

- Nie przyszłam tu, żeby się z tobą kłócić. Miałam czas na zastanowienie się i doszłam do wniosku, że najgorsze co mogłam zrobić, to wyjechać. - Spuściła wzrok. - Ta ucieczka była niewybaczalna. Mogę tylko powiedzieć, że bałam się i byłam tak zaszokowana i wzburzona, że nie mogłam trzeźwo myśleć.

- Mam jedno pytanie - przerwał jej i poczekał, aż na niego popatrzy. Musiał zobaczyć jej twarz. - Czy wciąż nosisz to dziecko?

- Tak. - Zakłopotanie zmieniło się w świadomość, świadomość w żal. - Och, Spence, wybacz, wybacz mi, myślałeś, że mogłabym... - Powstrzymała łyzy. - Przepraszam, że tak myślałeś. To przeze mnie. Byłam przez parę dni u Michała. - Zamilkła na chwilę. - Mogę usiąść?

Skinął głową i podszedł do okna. Oparł dłonie na parapecie. Patrzył na padający za oknem śnieg.

- Odchodziłem od zmysłów - mówił. - Głowiłem się, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje. Byłem przerażony, że zrobisz coś, zanim zdążymy porozmawiać, a potem już będzie za późno. Byłaś w takim stanie...

- Nigdy w życiu nie zrobiłabym tego, o czym pomyślałeś, Spence. To nasze dziecko.

- Mówiłaś, że go nie chcesz. - Odwrócił się od okna. - Mówiłaś, że nie chcesz znowu przez to przechodzić.

- Bałam się - przyznała. - To prawda. Nie chciałam być w ciąży, nie teraz. W ogóle nie chciałam. Muszę ci wszystko opowiedzieć.

Tak bardzo pragnął chwycić ją w ramiona, przytulić, zapewnić, że nic już teraz nie ma znaczenia. Ale wiedział, że ma. Podszedł do kuchenki.

- Zrobić ci kawy? - spytał.

- Nie. Mdli mnie od kawy. - Uśmiechnęła się. - Możesz usiąść?

- Dobrze. - Usiadł przy stole naprzeciw niej i spojrzał jej prosto w oczy. - A teraz mów.

- Wspomniałam ci już, że byłam zakochana w Anthonym, kiedy tańczyłam w balecie. Miałam zaledwie siedemnaście lat, jak zostaliśmy kochankami. To był mój pierwszy mężczyzna. I ostatni aż do czasu, kiedy poznałam ciebie.

- Dlaczego?

Odpowiedź była dużo łatwiejsza niż sądziła.

- Bo nikogo innego nie kochałam. Moje uczucie do ciebie jest zupełnie inne niż to, jakie żywiłam do Anthony'ego. Z tobą to nie są marzenia o księżniczce i rycerzu z bajki. Uczucie do ciebie jest czymś rzeczywistym, prawdziwym. To coś normalnego w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak. - Popatrzył na nią. W kuchni było cicho i przytulnie. Rozchodził się zapach ciasteczek i cynamonu.

- Bałam się zbyt silnie zaangażować po tym, co zaszło między Anthonym a mną. - Odczekała chwilę zdziwiona, że nie czuje już ani bólu, ani smutku. - Wierzyłam mu, wierzyłam we wszystko, co mówił, co obiecywał. Kiedy się zorientowałam, że to samo obiecuje innym kobietom, byłam zdruzgotana. Klóciliśmy się i odprawił mnie jak dziecko, które go znieruchomiło. Po paru tygodniach okazało się, że jestem w ciąży. Byłam przerażona. Nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, że noszę w sobie dziecko Anthony'ego i że jak mu o tym powiem, zrozumie, że należymy do siebie. Więc mu powiedziałam. Spence wziął ją za rękę.

- Było inaczej niż sobie wyobrażałam. Był wściekły. To co powiedział... Nieważne. Nie chciał mnie, nie chciał dziecka. W ciągu tych paru chwil stałam się dojrzałą osobą. Nie był takim mężczyzną, jakbym chciała, ale miałam dziecko. Chciałam tego dziecka. - Zaciśnęła kurczowo palce na jego dłoni. - Rozpaczliwie pragnęłam tego dziecka.

- Co zrobiłaś?

- Jedyłą rzecz, jaką mogłam zrobić. O tańcu nie mogło już być mowy. Odeszłam z zespołu i pojechałam do domu. Wiem, że dla moich rodziców było to wielkie przeżycie, ale nie zostawili mnie samej. Dostałam pracę w sklepie z

zabawkami. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- To musiał być dla ciebie ciężki okres. - Usiłował ją sobie wyobrazić, młodzietką dziewczynę w ciąży, porzuconą przez ojca dziecka, starającą się jakoś odnaleźć w tym wszystkim.

- Tak, masz rację. Ale był to również okres cudowny. Moje ciało się zmieniało. Po jednym czy dwóch miesiącach, kiedy czułam się słaba, zaczęłam być silna. Taka silna, że całymi nocami mogłam czytać poradniki dla przyszłych matek. Zadawałam mamie dziesiątki pytań. Robiłam na drutach... ale kiepsko - dodała, chichocząc. - Papa zrobił kołyskę, a mama uszyła białą pościel z różowymi koronkami. - Łzy płynęły jej po policzkach. - Mogę dostać trochę wody?

Wstał i napełnił szklanke.

- Nie spiesz się, Nataszo - powiedział. - Nie musisz opowiadać mi wszystkiego od razu.

- Ale chcę. - Piła powoli, czekając, aż Spence usiądzie. - Dałam jej na imię Lily. Była taka słodka, taka malutka, taka kochana. Nie miałam pojęcia, że można kogoś kochać tak, jak kocha się dziecko. Mogłabym godzinami patrzeć, jak śpi, i wciąż na nowo zdumiewać się, że to ja dałam jej życie.

Z jej oczu popłynęły łzy.

- Kiedy płakała, brałam ją na ręce i kołysałam, a wtedy ona patrzyła na mnie tymi dużymi ciemnymi oczami. Wiesz, jak to jest. Masz przecież Freddie.

- Wiem. Tego się nie da porównać z niczym.

- Ale straciłam ją - dodała cicho. - To poszło tak szybko. Miała zaledwie pięć tygodni. Obudziłam się rano zdziwiona, że całą noc spała, ani razu nie zapłakała. Moje piersi były pełne mleka. Kołyska stała przy łóżku. Z początku nie rozumiałam, co się dzieje, nie wierzyłam. - Przerwała i przycisnęła dłonie do oczu. - Pamiętam, że krzyczałam i

krzyczałam. Rachel wyskoczyła z łóżka, zbiegła się cała rodzina, mama wzięła ode mnie Lily. - Natasza zakryła twarz rękami.

Nie był w stanie powiedzieć słowa. Żadne słowa nie oddałyby tego, co czuł w tej chwili. Wstał i wziął ją w ramiona. Powoli się uspokoiła.

- Już dobrze - powiedziała, odsuwając się od niego. Sięgnęła do torebki po chusteczkę. - Lekarz stwierdził, że to była tak zwana śmierć w kołysce, właściwie bez przyczyny. To coś najgorszego, co mogło się zdarzyć. Nie wiedzieć, dlaczego, nie wiedzieć, czy mogłam temu zapobiec.

- Nie. - Wziął ją za ręce. - Nie mów tak. Posłuchaj mnie. Mogę sobie tylko wyobrażać, co przeszłaś, ale wiem, że kiedy dzieją się rzeczy naprawdę straszne, to na ogół nie mamy na to wpływu.

- Dużo czasu upłynęło, zanim zaakceptowałam to, czego nigdy nie zrozumiałam. Zanim zaczęłam na nowo żyć, chodzić do pracy, by w końcu przeprowadzić się tutaj i otworzyć własny sklep. - Przerwała na chwilę i napiła się wody. - Nie chciałam już nikogo kochać. A potem spotkałam ciebie. I Freddie.

- Potrzebujemy cię, Nataszo. A ty potrzebujesz nas.

- Tak. - Przycisnęła do ust jego dłoń. - Chcę, żebyś zrozumiał, Spence. Kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, wszystko to wróciło. Mówię ci, nie mogłabym po raz drugi przeżywać takiego bólu. Tak bardzo się boję kochać to dziecko. Ale już je kocham.

- Chodź do mnie. - Podniósł ją i ujął za obie dłonie. - Wiem, że kochałaś Lily i że zawsze będziesz ją kochać i za nią tęsknić. Teraz ja także. Ale nie cofniesz czasu i nie zmienisz przeszłości. Teraz jesteś w innym miejscu, w innym czasie. I to dziecko jest inne. Chcę, żebyś wiedziała, że będę

przy tobie przez cały czas. Niezależnie od tego, czy mnie chcesz, czy nie.

- Boję się.

- A więc oboje będziemy się bać. A kiedy dziecko będzie miało sześć lat i pierwszy raz wsiądzie na dwukołowy rower, też będziemy się razem bać.

- Kiedy tak mówisz, prawie w to wierzę - uśmiechnęła się.

- Uwierz. - Pocałował ją w policzek. - Bo ja ci to obiecuję.

- Tak, to czas obietnic. Kocham cię, Spence. - Tak łatwo było to teraz powiedzieć. - Bądź przy mnie.

- Pod jednym warunkiem. Chcę powiedzieć Freddie, że może się spodziewać braciszka albo siostrzyczki. Myślę, że to będzie dla niej najwspanialszy prezent świąteczny.

- Tak. - Poczuli się silniejsza, pewniejsza. - Powiemy jej.

- Dobrze, masz pięć dni.

- Pięć dni na co?

- Na zaplanowanie wszystkiego, powiadomienie rodziny, kupno sukienki i tego, co jeszcze potrzebne do ślubu.

- Ale...

- Żadnych ale. - Ujął w dłonie jej twarz. - Kocham cię i pragnę. Jesteś najwspanialszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w życiu od czasu Freddie, i nie zamierzam cię stracić. Mamy dziecko, Nataszo. - Przesunął dłoń na jej brzuch. - Dziecko, którego chcę i które już kocham.

Położyła dłoń na jego dłoni.

- Nie będę się bała, skoro jesteś ze mną.

- Ustalamy termin na Wigilię. W Boże Narodzenie rano obudzę się już u boku żony.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.
Roześmiała się radośnie i zarzuciła mu ręce na szyję.

EPILOG

Wigilia zawsze była dla Nataszy najpiękniejszym dniem w roku. Był to uroczysty dzień, upływający w atmosferze rodzinnej miłości.

Weszła do domu. Było cicho. Podeszła do choinki, poprawiła anielskie włosy i obrzuciła wzrokiem pokój. Na stole stał renifer z bibułki z jednym tylko uchem. Życzenia od drugiej klasy Freddie. Obok niego gruby bałwan trzymający latarnię. Na kominku szopka z porcelany, nad nią wisiały cztery skarpety. W kominku trzaskał ogień.

Rok temu stała przed kominkiem i przyrzekała kochać, szanować i ufać. To były najłatwiejsze obietnice, jakie mogłaby złożyć. Teraz to był jej dom.

Dom. Odetchnęła głęboko, wciągając zapach choinki i świec. Jak dobrze być w domu. Ostatni klienci tłoczyli się w „Zabawnym Domku” do późnego popołudnia. Teraz już będzie tylko z rodziną.

- Mama. - Do pokoju wpadła Freddie, ciągnąc za sobą szeroką czerwoną wstążkę. - Już jesteś.

- Jestem. - Natasza chwyciła dziewczynkę wpół i obróciła ją kilka razy dokoła.

- Zawieźliśmy Verę na lotnisko. Potem oglądaliśmy samoloty. Tatuś powiedział, że jak wrócisz do domu, zjemy kolację i będziemy śpiewać kolędy.

- Tatuś ma rację. - Natasza wzięła wstążkę. - Co to takiego?

- Pakuję prezent. Sama. Dla ciebie.

- Dla mnie? Co takiego?

- Nie mogę powiedzieć.

- Możesz. Zaraz powiesz. - Rzuciła Freddie na kanapę i zaczęła ją łaskotać. - Zaraz powiesz - powtórzyła. Freddie śmiała się i piszczała.

- I znowu torturujesz dziecko. - W progu stanął Spence.

- Tatuś! - Freddie zerwała się z kanapy. - Nic nie powiedziałam.

- Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, buziaczku. Patrz, kto się obudził. - Trzymał na rękach niemowlę.

- Brandon! - Freddie podskoczyła do braciszka. - Mój kochany.

Sześciomiesięczny Brandon Kimball był puciołowaty, czerwony i ogólnie zadowolony ze świata i życia. Natasza podeszła do Spence'a.

- Jaki duży chłopiec - powiedziała i wzięła go na ręce. - Jaki śliczny.

- Podobny do matki. - Spence pogładził czarne włoski syna. Brandon mruknął coś zadowolony. Natasza położyła go na dywanie.

- To jego pierwsze Boże Narodzenie. - Brandon na czworakach zbliżał się do kotków. Lucy przezornie czmychnęła pod kanapę. Nie jest taka głupia, pomyślała Natasza.

- A nasze drugie. - Spence objął żonę. - Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

- Mówiłam ci już dzisiaj, że cię kocham? - Natasza pocałowała go raz, potem drugi.

- Od czasu rozmowy telefonicznej popołudniu, nie.

- To dawno temu. - Objęła go w pasie. - Kocham cię. Dziękuję ci za najcudowniejszy rok w moim życiu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zażartował. - Będzie jeszcze cudowniej.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - szepnął, zbliżając usta do jej ust.

Freddie trzymała Brandona i obserwowała ojca. Braci-

szek jest miły, ale ona wciąż czeka na siostrzyczkę, Uśmiechnęła się, widząc całujących się rodziców.

Może doczeka się na następne Boże Narodzenie.

DZIEDZICZKA FORTUNY

1

Nie była osobą cierpliwą. Sama nigdy się nie spóźniała i nie lubiła na nikogo czekać. Oczekiwanie wprawiało ją w stan zimnej wściekłości. A w przypadku Sydney Hayward był to stan bardziej niebezpieczny niż gwałtowny wybuch złości. Jedno nieostrożne słowo mogło rozpętać burzę.

Teraz właśnie czekała. Drobnymi, energicznymi krokami przemierzała wzdłuż i wszerz swój gabinet, mieszczący się w jednym z wieżowców Manhattanu. Pastelowe ściany, złocisty parkiet, wszystkie przedmioty na swoim miejscu! Kartki papieru, teczki, kolorowe długopisy, równo zatemperowane ołówki. Lśniący blat mahoniowego biurka. Notes obok telefonu.

Ona sama idealnie pasowała do tego wnętrza. Wytworzony szary kostium, podkreślający szczupłą linię sylwetki, dyskretny makijaż, na szyi mały sznur pereł, na przegubie delikatnej ręki złoty zegarek. Prostota i elegancja, jak przystało na przedstawicielkę rodu Haywardów.

Kruczoczarne włosy miała spięte na karku złotą spinką. Porcelanową buzię o drobnych arystokratycznych rysach pokrywała lekka warstwa pudru. Sydney miała dwadzieścia osiem lat, niezbyt skore do uśmiechu, kształtne usta i duże błękitne oczy o myląco niewinnym wyrazie.

Spojrzała na zegarek i zdecydowanym krokiem podeszła do biurka. Telefon zadzwonił, zanim zdążyła wyciągnąć rękę.

- Słucham.

- Przyszedł jakiś pan, w sprawie tych budynków na Soho. Chce rozmawiać z osobą odpowiedzialną za remont. A spotkanie o czwartej...

- Jest piętnaście minut po czwartej - poprawiła ją lodowatym tonem Sydney. - Proszę go wpuścić.

- Oczywiście, proszę pani, tylko, że to nie jest pan Howington.

A zatem nawet nie raczył pofatygować się osobiście. Przysłał jakiegoś urzędnika. Usta Sydney wykrzywił grymas.

- Niech wejdzie - powtórzyła i nacisnęła guzik interkomu.

Jeśli sądzą, że będzie rozmawiała z jakimś urzędniczyną, to głęboko się mylą, pomyślała i wzięła głęboki oddech, zdecydowana dać ostrą odprawę człowiekowi, który za chwilę miał nawiedzić jej gabinet.

Tylko jednak niezwykle starannemu wychowaniu zawdzięczała fakt, że nie krzyknęła ze zdumienia na widok wchodzącego mężczyzny. Właściwie nie wszedł - wpadł, wtargnął do jej gabinetu jak pirat na pokład wrogiego okrętu.

Był niezwykle przystojny. Wysoki, smagły, ciemnowłosy, o dzikim spojrzeniu czarnych oczu. Włosy miał zebrane na karku i spięte w mały kucyk; kilkudniowy zarost dopełniał całości obrazu.

W porównaniu z jego potężną sylwetką jej gabinet wyglądał jak domek dla lalek.

Na dodatek ów przybysz ubrany był jak zwykły robotnik. Ot, stare dżinsy, sprany podkoszulek i długie, zabłocone buty, zostawiające brudne ślady na lśniącem parkiecie. Sydney zacisnęła usta. A więc nie wysłali nawet zwykłego urzędnika, tylko jakiegoś monterą, który na dodatek nie uznał za stosowne wytrzeć buty przed wejściem.

- Dobrze trafiłem?

Obcesowy ton i lekki obcy akcent pogłębiły wrażenie, że ma przed sobą istotę z innego świata.

Nagromadzenie skojarzeń sprawiło, że nie zapanowała nad swoim głosem.

- Tak, i na dodatek spóźnił się pan - powiedziała ostro.

Jego oczy zwięziły się. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Naprawdę?

- Tak. Warto od czasu do czasu spojrzeć na zegarek.

Mój czas jest cenny, panie... panie...

- Stanisławski.

Włożył ręce do kieszeni i podszedł nieco bliżej. Teraz prawie opierał się o biurko.

- Stani,.. sławski? - powtórzyła z trudem. - Chyba zasła jakaś pomyłka. - Sydney uniosła ze zdziwieniem brwi.

Spojrzał na nią z mieszaniną zniecierpliwienia i zainteresowania. Owszem, pomyślał, niczego sobie, ładna, nawet bardzo ładna, ale on nie przyszedł tutaj, żeby tracić czas na rozmowy z jakąś panienczką, która stroi fochy.

- Na to wygląda - powiedział. - Hayward pewnie musi być już dobrze starszym panem, łysym, z białymi bokobrodami.

- Ma pan na myśli mojego dziadka.

- To Hayward jest pani dziadkiem? Nie wiedziałem, chcę z nim pogadać.

- Niestety, to niemożliwe, dziadek zmarł dwa miesiące temu.

Oczy mężczyzny natychmiast złagodniały, nabrały nowego wyrazu.

- Och, bardzo mi przykro.

Ton jego głosu sprawił, że przez chwilę Sydney miała dziwne wrażenie, że dopiero teraz słyszy prawdziwe wyrazy współczucia.

- Dziękuję. Proszę, niech pan siada, przejdźmy do interesów.

Zimna, pełna dystansu, księżycowa, ocenił szybko jej charakter. Bardzo dobrze, uznał. Będzie się lepiej rozmawiało. Podobne sprawy najlepiej załatwia się na odległość,

bezosobowo.

- Wielokrotnie pisałem do pani dziadka - zaczął, siadając na stylowym krześle naprzeciw biurka - lecz ostatniego listu widocznie nie zdążył już dostać. Pewnie wiele się zmieniło...

Tak, wiele się ostatnio zmieniło, pomyślała. Jej życie też nagle stało się zupełnie inne niż kiedyś.

- Korespondencja powinna być adresowana do mnie - usiadła za biurkiem i splótła dłonie - jak pan wie, w naszej firmie są różne działy i...

- Co takiego?

Opanowała się wysiłkiem woli. Nie lubiła, kiedy jej przerywano.

- Słucham, o co panu chodzi?

- Co mają do tego różne działy?

Gdyby była sama, westchnęłaby głęboko i znużona zamknęła oczy.

- Na jakim stanowisku jest pan zatrudniony?

- Jak to? - zapytał znowu.

- Czym się pan zajmuje?

Uśmiechnął się. Zęby miał bardzo białe, uśmiech wyjątkowo miły.

- Co robię? Pracuję w drewnie.

- Jest pan stolarzem?

- Można tak powiedzieć.

- Można tak powiedzieć - powtórzyła, westchnęła ciężko i wyprostowała się w fotelu. Nad jej głową na niebieskim niebie rysowały się smukłe wieżowce Manhattanu. - Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego pan Howington wysłał właśnie pana na rozmowę ze mną.

Nie od razu odpowiedział. Zapach i nastrój tego pokoju działały na niego usypiająco.

- Nikt mnie nigdzie nie wysyłał - otrząsnął się nagle, jakby wyrwany ze snu.

Sydney zaniepokoiła się.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Nazywam się Michael Stanislawski, jestem lokatorem jednego z pani domów. - Założył nogę na nogę. Mogła teraz podziwiać jego brudny but w całej okazałości. - A co do Howingtona, to już kiedyś miałem z nim kontakt, nie byłem zachwycony - dodał pewnym głosem.

- Przepraszam pana na chwilę. - Uśmiechnęła się do niego nieznacznie i sięgnęła po telefon. - Janine, czy pan Stanislawski mówił, że przychodzi od Howingtona?

- Nie, proszę pani. Po prostu chciał się z panią zobaczyć. Pan Howington dzwonił dziesięć minut temu. Przepraszał, że nie może przyjść. Jeśli pani...

- Dziękuję. - Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, Sydney odłożyła słuchawkę.

Usiadła i ponownie spojrzała w utkwione w niej czarne oczy.

- Widzi pan? Chyba istotnie zaszło jakieś nieporozumienie.

- Dlaczego? To pani się pomyliła. Ja wiem, po co przyszedłem. Jestem tu w sprawie zaległego remontu należących do was budynków mieszkalnych na Soho.

Przesunęła dłonią po włosach.

- Jak rozumiem, ma pan pewne zastrzeżenia.

- Mam same zastrzeżenia - poprawił ją.

- Jak pan wie, w takich sytuacjach obowiązuje pewien urzędowy tryb, któremu trzeba się podporządkować. To trwa.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Te domy należą do pani, prawda?

- Tak, ale...

- No to pani jest za nie odpowiedzialna. Wzięła głęboki oddech.

- Doskonale wiem, za co jestem odpowiedzialna, a teraz... - Poruszyła się na fotelu, jakby chciała wstać, dając mu sygnał, że powinien opuścić jej gabinet. On jednak nawet nie drgnął.

- Pani dziadek zobowiązał się załatwić te sprawy. Nie może pani nie dotrzymać tego, co obiecał.

- Wiem, co mogę, a czego nie mogę - powiedziała lodowatym tonem - po pierwsze mam prowadzić firmę. - A to wcale niełatwe, dorzuciła w myśli. Głośno mówiła dalej: - Proszę powtórzyć najemcom, że nasza firma poważnie myśli o przeprowadzeniu generalnego remontu pomieszczeń. Zdajemy sobie sprawę ze stanu niektórych budynków. Domami na Soho również się zajmujemy. W odpowiedniej kolejności.

Michael Stanislawski nie zmienił wyrazu twarzy, w tonie jego głosu zabrzmiała pogarda.

- Znudziło nam się czekać. Macie to załatwić zaraz.

- Proszę przesłać szczegółowy opis stanu budynku i spis najbardziej koniecznych napraw.

- Już to zrobiliśmy. Zacisnęła usta.

- Dziś po południu przejrzę korespondencję w tej sprawie.

- To nic nie zmieni. A tu chodzi o ludzi, żywych ludzi. Co miesiąc bierzecie czynsz i nic więcej was nie obchodzi. - Mocno wsparł się rękami o biurko. Sydney odsunęła się lekko. - Czy kiedykolwiek widziała pani te domy i mieszkających w nich ludzi?

- Regularnie dostają sprawozdania... - zaczęła.

- Sprawozdania! - powtórzył i mruknął coś pod nosem w nieznanym jej języku. Nie zrozumiała słów, ale wyczuła,

że było to przekleństwo. - Ma pani sztab pracowników i adwokatów, siedzi sobie pani w tym pięknym biurze, przegląda papierki... Ech! - Machnął lekceważąco ręką i mówił dalej: - Ale tak naprawdę nie ma pani o niczym pojęcia. Nie marznie pani, kiedy wysiądzie ogrzewanie, i nie idzie pani pięć pięter pod górę, bo właśnie zepsuła się winda! Nic pani nie obchodzi brak ciepłej wody i instalacja elektryczna, która w każdej chwili grozi spięciem!

Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób. Nikt nigdy. Czowała, jak narasta w niej wściekłość. Wściekłość, która pozwalała zapomnieć, że człowiek, którego ma przed sobą, może być naprawdę niebezpieczny.

- Myli się pan. Te sprawy bardzo mnie interesują. W najbliższym czasie zajmę się tym wszystkim.

- Już to słyszeliśmy.

- Nie ode mnie. Tym razem będzie inaczej.

- Nie mam powodów wierzyć osobie zbyt leniwej, żeby się pofatygować i zobaczyć, jak żyją Judzie w jej domach. A może pani się boi?

Sydney zbladła.

- Dość tego - powiedziała cichym, nie wróżącym nic dobrego głosem - na dzisiaj dość. Teraz albo pan sam stąd wyjdzie, albo zadzwonię po strażników, żeby panu pomogli.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Sam znajdę drogę - wycodził wreszcie - ale na pożegnanie coś pani powiem. Daję pani dwa dni na rozpoczęcie prac, potem zwracamy się do prasy.

Stała za biurkiem, czekając, aż zniknie za drzwiami. Potem osunęła się na fotel. Powolnym ruchem sięgnęła po kartkę papieru i zaczęła ją drzeć na kawałki. Celowo i metodycznie. Wrzuciła białe strzępki do kosza i uspokojona sięgnęła po telefon.

- Janine - powiedziała opanowanym głosem - przynieś mi wszystko, co dotyczy tych domów na Soho.

W godzinę później schowała papiery do teczki i wykonała dwa telefony. Pierwszy, żeby odwołać kolację z przyjaciółmi, drugi - do Lloyda Bringhama, dyrektora administracyjnego firmy.

W chwilę później stanął w drzwiach gabinetu.

- Właśnie wychodziłem - zaczął od progu - o co chodzi?

Spojrzała na niego. Przystojny, pewny siebie, doskonale ubrany. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że bardzo sobie ceni angielskich krawców i francuską kuchnię. Czterdziestoletni mężczyzna, świeżo po drugim rozwodzie, stale w otoczeniu pięknych dziewczyn. Uczciwie sobie zapracował na swoją pozycję w firmie, w czasie choroby dziadka sprawnie go zastępował. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo ją nienawidzi za to, że zajęła miejsce za biurkiem prezesa.

- Na początek może mi powiesz, dlaczego nic nie zrobiono w sprawie tych domów na Soho.

- Domy na Soho - powtórzył spokojnie i wyjął papierosa ze złotej cygarniczki. - Wszystko jest w odpowiedniej teczce.

- Papiery leżą w teczce od ponad półtora roku. Pierwszy list od lokatorów nosi datę sprzed dwóch lat. Jest do niego dołączona lista najpilniejszych potrzeb. Dwadzieścia siedem punktów.

- Mam nadzieję, że sprawdziłaś również, ile z tych spraw zostało załatwionych.

Rozsiadł się w fotelu, wypuścił wstążkę dymu.

- Owszem, na przykład zreperowano piec. Lokatorzy są jednak zdania, że trzeba go wymienić na nowy.

Lekceważąco machnął ręką.

- Brak ci doświadczenia, Sydney. Z czasem dowiesz się, że lokatorzy zawsze chcą szybko i dużo.

- Może. Uważam jednak, że firmy nie stać na opłacanie kosztów reperacji starego pieca, który po dwóch miesiącach popsuje się znowu. - Chciał odpowiedzieć, lecz nie dopuściła go do głosu. - Zepsuta kanalizacja, odłóżąca farba, brak ciepłej wody, popsuta winda, potłuczona glazura... Mogłabym kontynuować, ale szkodami czasu. Znalazłam notatkę podpisaną przez dziadka. Poleca ci jak najszybciej zająć się tym wszystkim.

- I zająłem się. Potem twój dziadek zachorował i wszystko się skomplikowało. Nie mogłem myśleć o wszystkim naraz. Ten budynek na Soho jest tylko jednym z wielu.

- Masz rację - mówiła spokojnie, ale w jej głosie brzmiał gniew - wiem dobrze, że jesteśmy odpowiedzialni za wszystkie należące do nas domy bez względu na to, gdzie się znajdują. - Zamknęła teczkę z papierami i złożyła na niej dłonie doskonale opanowanym gestem. - Chcę jedynie, żebyś wiedział, że zamierzam osobiście czuwać nad remontem tego domu na Soho.

- Można wiedzieć dlaczego? Uśmiechnęła się łaskawie.

- Doprawdy sama nie wiem. Taką podjęłam decyzję, jakoś dziwnie mi zależy na remoncie właśnie tego domu. Dlatego proszę, żebyś się porozumiał z odpowiednią ekipą remontową i przedstawił mi konkretne propozycje. - Podała mu teczkę. - Dołączyłam spis pozostałych domów wymagających szybkiego remontu. Ustal kolejność działań, wyniki przedstawiś mi w piątek na zebraniu.

- Rozumiem - zgasił papierosa - pozwól jednak, że ci coś powiem. Nie chciałbym cię obrazić, ale taka dama jak ty,

która całe życie spędziła na jachcie i u krawcowej, nie powinna zajmować się podobnymi sprawami. Dla dobra firmy.

Sydney opanowała gniew. Nie wolno jej okazać, jak bardzo zabolęły ją jego słowa.

- W takim razie powinnam zacząć się uczyć, właśnie to robię. Do widzenia, Lloyd.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, spojrzała na swoje ręce. Drżały. Lloyd ma rację. Wielu rzeczy jeszcze nie umie. Sporo musi się nauczyć, żeby sprostać wymaganiom sytuacji i stanąć na wysokości zadania. Sprostać wymaganiom. .. Chociaż ten jeden raz.

Pograżona w niewesołych myślach przebyła pełen roślin korytarz i weszła do prywatnej oszklonej windy. Na dole lekko skinęła głową stojącemu w drzwiach strażnikowi i wyszła na ulicę.

Uderzyła ją fala gorącego powietrza. Mimo że była dopiero połowa czerwca, w Nowym Jorku panował duszny, wilgotny upał. Zrobiła kilka szybkich kroków i z przyjemnością zagłębiła się w klimatyzowanym wnętrzu samochodu. Podała kierowcy adres i ruszyli w stronę Soho.

Mogła wszystko spokojnie przemyśleć. Ruch panujący na ulicy uniemożliwiał szybką jazdę. Nie wiedziała, co właściwie zamierza zrobić, kiedy znajdą się na miejscu, ani jak się zachowa, kiedy znowu spotka Michaela Stanisławskiego.

Musiała przyznać, że zrobił na niej ogromne - choć trudno byłoby rzec, że dobre - wrażenie. Przypomniała sobie niesamowite spojrzenie czarnych oczu, brak manier, obcesowość. Na dodatek nie mogła się nie zgodzić, że miał powody do takiego zachowania. Dokumenty zawarte w teście świadczyły o całkowitym lekceważeniu opinii lokato-

rów. Jediną odpowiedzią na dziesiątki listów były bliżej nieokreślone obietnice.

Może gdyby nie choroba dziadka... Sydney przyłożyła rękę do pulsującej bólem skroni. Przed wyjściem z biura trzeba było wziąć aspirynę.

Trudno. Co było, to było. Teraz ona jest za wszystko odpowiedzialna. Odziedziczyła nie tylko wielką, dobrze prosperującą firmę, lecz również odpowiedzialność za jej działania. Zamknęła oczy. Jechali teraz w stronę centrum.

Michael siedział w domu i próbował obrabiać kawałek drewna. Nie bardzo mu szło. Stracił serce do pracy, ale wiedział, że musi coś zrobić z rękami.

Nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie. Sydney Hayward. Wyniosła i zimna, sopol lodu. Jedna z tych arystokratycznych istot, przeciwko którym buntowała się cała jego istota. Wieloletni pobyt w Ameryce nic tu nie zmienił. Był potomkiem ukraińskich Cyganów i jak oni był zbuntowany, impulsywny, kontestujący normy, nie uznający autorytetów.

Na ogół uważał się za Amerykanina, nieraz jednak - czuł się z krwi i kości Ukraińcem.

Wory spadały na stół i podłogę. Pokój przypominał pracownię: kawały drewna, noże, rylce, młotki, piły. W rogu dzbanek i szczotki. Całe pomieszczenie pachniało świeżym drewnem i terpentyną.

Otworzył puszkę piwa i zapatrzył się w leżący przed nim materiał. Drewno było martwe. Stawiało opór. Strzegło swej tajemnicy, zazdrośnie skrywając przed jego rękami wnętrze. Wrażliwymi palcami zaczął obmacywać szorstką powierzchnię i wtedy przez otwarte okno wtargnął z zewnątrz ryk muzyki.

Uśmiechnął się do siebie. W ciągu ostatnich dwóch lat zarobił wystarczająco dużo, żeby zmienić mieszkanie. Nie

zrobił tego jednak, bo lubił swoją dzielnicę, to hałaśliwe sąsiedztwo, kobiety przekrzykujące się na ulicy, mężczyzn przesiadujących pod domami.

Nie potrzebował luksusów, boazerią wykładanych ścian, supernowoczesnej kuchni, łazienki z natryskami. Chciał mieć tylko nie ciekący kran, ciepłą wodę i sprawną lodówkę, żeby chłodzić w niej piwo i inne napoje. A tego wszystkiego właśnie mu brakowało, bo pani Sydney nie chciało się zadbać o powierzoną jej własność.

Trzy energiczne stuknięcia do drzwi wyrwały go z zamyślenia.

- Co tam?

W drzwiach stanęła Keely O'Brian. Zrobiła dramatyczną przerwę, po czym podbiegła do niego.

- Dostałam rolę! - Podskoczyła i objęła go rękami za szyję. - Dostałam, słyszysz! - Głośno pocałowała go w policzek. - Mam rolę! Mam rolę!

- Mówiłem ci, że dostaniesz. - Pogłaskał ją po blond czuprynie. - Weź sobie piwo. Musimy to uczcić.

- Boże, Mike! - Pobiegła do lodówki i wyjęła puszkę. - Przed przesłuchaniem byłam tak potwornie zdenerwowana, że dostałam czkawki i potem wypiałam pół litra wody, żeby mi przeszło. Myślałam, że się posikam. - Uniosła puszkę, wznosząc toast. - No ale dostałam tę rolę. W jednym serialu, co tydzień odcinek, ja będę tylko w trzecim. Taki kawałek kiedy mnie mordują... - Odrzuciła głowę do tyłu i wydała przenikliwy krzyk. - O, właśnie tak wrzasnę, kiedy ten zbrodniarz wyskoczy na mnie z za węgła. Zobaczysz, to będzie hit sezonu.

- Na pewno.

Lubił jej monologi. Keely ani na chwilę nie mogła usiedzieć w miejscu, bez przerwy była w ruchu, stale gdzieś

wędrując na swoich długich, zgrabnych nogach, opiętych kolorowymi szortami. Miała dwadzieścia trzy lata, zielone oczy, śliczne ciało i serce przepastne jak Wielki Kanion. Michael chętnie poszedłby z nią do łóżka, gdyby nie to, że od początku ich znajomości traktował ją jak starszy brat.

Pociągnęła łyk piwa z puszki.

- Może zamówimy coś do zjedzenia? Jakaś pizzę albo coś innego... Mam mrożoną pizzę, ale mój piecyk znowu wysiadł.

Wróciło wspomnienie biura na Manhattanie.

- Byłem u nich dzisiaj.

Keely zastygła z puszką niesioną w stronę ust.

- I co, dopuścili cię przed oblicze?

- Tak.

Wskoczyła na parapet, pokręciła się niespokojnie.

- Jaki on jest? Opowiadaj!

- Nie żyje. Zakrztusiła się piwem.

- Rany! Ty chyba go... nie...

- Nie, nie zabiłem go - uśmiechnął się Michael. Bawiło go to, że Keely wszędzie węszy sensację. - Nie zabiłem go, ale o mały włos nie zamordowałem jego wnuczki. Teraz ona kieruje firmą.

- Co takiego? Jak ona wygląda?

- Bardzo ładna, wyniosła - pogładził palcami kawałek drewna - ciemne włosy, biała cera, oczy niebieskie, duże, kiedy mówi, robią się lodowate...

- Można sobie być lodowatym, kiedy człowiek ma forszę...

- Powiedziałem, że daję jej dwa dni na rozpoczęcie remontu, potem robimy aferę.

Keely uśmiechnęła się. Bardzo go lubiła, ale nieraz musiała przyznać, że jest naiwny jak dziecko.

- Może lepiej byłoby posłuchać pani Bayford i przestać płacić komorne... Oczywiście mogą nas wyrzucić, ale...

- Wyrzała przez okno, zaintrygowana odgłosem silnika.

- Michael, chodź, zobacz ten samochód - przywołała go.

- Lincoln czy co...? Z kierowcą O, wysiadła jakaś kobieta... - W jej głosie nie było zawiści, tylko bezgraniczne zdumienie. - Ale ubrana! Wygląda jak z okładki, to chyba ta twoja królowa lodu we własnej osobie.

Sydney stała na zewnątrz i przyglądała się budynkowi. Rzeczywiście, jego stan był rozpaczliwy. Dom prezentował się jak stara kobieta bezskutecznie próbująca ratować resztki dawnej urody. Pokruszona cegła, łuszcząca się farba; rzeczywiście coś z tym trzeba było zrobić. Wyjęła notes i zaczęła notować.

Czuła, że siedzący pod domem mężczyzna nie spuszcza z niej wzroku, ale pisała dalej. Starła się nie słyszeć bombardujących ją dźwięków. Z otwartych okien buchała mieszanina muzyki i dziecięcego płaczu; ktoś pełnym głosem śpiewał ostatni radiowy przebój. Uniosła głowę, zanotowała w pamięci balkony pełne doniczek, rowerów, zepsutych sprzętów i suszącej się bielizny. Przesunęła wzrokiem dalej. Tak, opłakany stan budynku nie budził najmniejszych wątpliwości.

Zmarszczyła brwi i wtedy jej wzrok padł na dwie głowy wychylające się z okna ostatniego piętra. Poznała palące spojrzenie Michaela; obok niego złociła się jasnowłosa główka młodej dziewczyny. Wyglądali tak, jakby im właśnie przerwała czułe *tete - a - tete*. Chłodno skinęła głową w ich stronę i wróciła do notatek. Wreszcie, ukończywszy opis

elewacji, skierowała się do wejścia. Siedzący przy drzwiach mężczyzna usunął się na bok.

Klatka schodowa była wąska i duszna. Sydney wsiadła do windy i niepewnie rozejrzała się wokół. Na ścianie ktoś grubym flamastrem nasmarował zdanie: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie”. Po chwili winda zatrzęsła się i stanęła, a drzwi rozsunęły się ze zgrzytem; za nimi na tle brudnej ściany stał Michael.

- Zwiedza pani swoją posiadłość?

Jeszcze raz spojrzała w notes. Nie od razu odpowiedziała. Michael wyglądał nieco lepiej niż w biurze, a może po prostu przyzwyczaiła się do jego stylu.

- Jak panu mówiłam, przeczytałam korespondencję w tej sprawie, a teraz przyszłam wszystko sprawdzić na miejscu. - Rzuciła okiem w stronę windy. - Jest pan bardzo odważny... albo po prostu lekkomyślny.

- Jestem realistą, co ma być, to będzie, oto moja dewiza. - Włożył ręce do kieszeni. - I co pani postanowiła?

- Rozpoczynamy remont. Pisał pan, że trzeba wymienić poręcze...

- Już to zrobiłem.

- Pan?

- Ja. Tutaj mieszkają starzy ludzie, jest też sporo dzieci. Trzeba było to zrobić.

Powiedział to tak naturalnie, jakby stwierdzał fakt sam przez się zrozumiały.

- Rozumiem. Skoro tak świetnie orientuje się pan w potrzebach lokatorów, to może po prostu pokaże mi pan dom i powie, od czego należałoby zacząć?

Nie odpowiedział. Nakazał jedynie gestem, by szła za nim. Chodzili od mieszkania do mieszkania, stukając do drzwi. Ludzie witali Michaela radośnie, ją - z lekką rezerwą.

Wszędzie panował zapach gotującego się jedzenia; siedzący przy stołach ludzie zapraszali ich i częstowali gulaszem, pieczonym kurczakiem, ciastem. Skarżyli się na warunki mieszkaniowe, mówili o niedogodnościach. W każdym ich słowie Sydney znajdowała potwierdzenie faktów zawartych w listach.

Stopniowo zaczynało ogarniać ją zmęczenie. Odmawiała kolejnych poczęstunków, ograniczając się do szklanki wody. Jak w ogóle można żyć i gotować w takich warunkach, myślała. Duszne pomieszczenia pogłębiały ból głowy, czuła, że zaczyna się pocić. Kiedy dobrnęli na ostatnie piętro, myślała już wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej wziąć chłodny prysznic, napić się soku z lodówki i wyciągnąć na kanapie w jakimś klimatyzowanym pomieszczeniu.

Michael kątem oka widział, jak jej buzia czerwienieje od upału. Oto jaśnie pani, dobra i łaskawa księżniczka, która opuściła salony i dokłada wszelkich starań, żeby jak najlepiej poznać życie swoich poddanych, myślał o niej z ironią. Ciekawe tylko dlaczego nie zdejmie zakietu ani nie odepnie ani jednego guzika.

Z irytacją spostrzegł, że chętnie by to za nią zrobił.

- Przydałaby się klimatyzacja - wysapała Sydney, wchodząc na ostatnie piętro - chyba warto by założyć coś takiego w niektórych mieszkaniach.

- Za duże obciążenie dla sieci. Kiedy się włączy klimatyzatory, wysiądzie światło. Nie ma rady, musi tak być. Najgorzej jest w korytarzach, można się udusić, im wyżej, tym gorzej.

- Owszem, czuję.

Teraz była blada z wyczerpania.

- Dlaczego więc pani się nie rozbierze?

- Co takiego?

- Czysta głupota.

Rozpiął guziki jej żakietu i zaczął go z niej zdejmować. Oburzenie i upał spowodowały, że zrobiła się purpurowa.

- Niech pan przestanie!

- Przecież to nie ma sensu. Nie jest pani na konferencji.

Dotyk jego rąk nie był nieprzyjemny i to zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Wyrwała się, próbując zapiąć z powrotem żakiet. On tymczasem otworzył drzwi i niemal wepchnął ją do swojego mieszkania.

- Panie Stanislawski - powiedziała z oburzeniem - proszę mnie nie dotykać!

- Zaczynam mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek ktoś panią dotknął - powiedział nonszalancko - mógłby sobie odmrozić ręce.

- Nie życzę sobie...

Lekko popchnął ją na krzesło i zwrócił się do stojącej w drzwiach Keely.

- Przyniesz szklanę wody.

- Jest pan najbardziej nieokrzesanym człowiekiem, jakiego w życiu widziałam. - Sydney z trudem łapała oddech.

Michael wziął szklanę z rąk Keely i siłą powstrzymał się, żeby nie chlusnąć wodą w tę śliczną porcelanową twarzyczkę.

- No, niech pani pije. Keely podeszła bliżej.

- Nie bądź taki, Mike, widzisz, że ledwo żyje - powiedziała łagodnie i zaczęła z lubością wpatrywać się w jedwab bluzki oraz perły na szyi Sydney.

- W porządku. Już mi lepiej. - Sydney wyrównała oddech.

- Nazywam się Keely O'Brien, mieszkam pod nume-

rem 502 - przedstawiła się dziewczyna.

- Ma zepsuty piecyk - dodał Michael. - Poza tym nie ma ciepłej wody, a z dachu się leje...

- Tylko jak pada - powiedziała pośpiesznie Keely, jak gdyby chciała ją pocieszyć. - To ja już sobie pójdę, bardzo mi było miło... - Uśmiechnęła się nieznacznie i wyszła. Michael podążył za nią.

Kiedy się oddalili, Sydney pociągnęła łyk letniej wody. Michael nie składał żadnych zażaleń dotyczących własnego mieszkania, ale z miejsca, gdzie siedziała, mogła widzieć podarte linoleum w kuchni i starą, rozwalającą się lodówkę. Odwróciła wzrok, miała już dosyć tego wszystkiego.

Usłyszała kroki i po chwili zobaczyła, jak Michael przysiadł na kuchennym blacie. Spojrzał na nią z lekkim niepokojem, jakby bał się, że zemdleje.

- Może jest pani głodna. ? Mogę zrobić kanapkę. Przeszło jej przez myśl, że o tej porze miała właśnie siadać do kolacji z matką i jej przyjaciółmi.

- Nie, dziękuję, proszę się o mnie nie troszczyć. Wzruszył ramionami.

- To nie troska.

Dziwny ton jego głosu sprawił, że się zmieszala. Postanowiła zmienić temat.

- Mówił pan, że jest stolarzem.

- Owszem, czasem jestem.

- Ma pan jakieś papiery? Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Tak, mam.

- Ma pan pewnie kontakty z jakimiś ekipami remontowymi, elektrykami, hydraulikami i tak dalej?

- Owszem.

- Doskonale. Proszę więc tak wszystko urządzić, żebyśmy mogli jak najszybciej zacząć. W przyszłym tygodniu chciałabym mieć na biurku kosztorys.

Zarumieniła się, wstała i zapięła żakiet na wszystkie guziki. Nie ruszył się z miejsca.

- A co potem?

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Potem sownie panu zapłacę i powiem: do widzenia, panie Stanislawski.

2

- Mamo, ja naprawdę nie mam czasu.

- Sydney, kochanie, na herbatę zawsze trzeba mieć czas. - Margerite Rothchild Hayward Kinsdale LaRue przechyliła dzbanek nad filiżanką z chińskiej porcelany. - Poza tym mam wrażenie, że zbyt się tym wszystkim przejmujesz.

- Po prostu jestem bardzo zajęta - mruknęła Sydney, nie podnosząc głowy znad papierów.

- Nie mogę pojąć, co twój dziadek zamierzał w ten sposób osiągnąć. Zawsze był trochę dziwny - westchnęła Margerite. - Kochałam go i bardzo mi go brak... ale nigdy go nie rozumiałam. A teraz - dodała już innym tonem - chodź, kochanie, napijemy się herbaty i coś zjemy, nawet pani prezes musi od czasu do czasu zjeść lunch.

Sydney wstała i zrezygnowana podeszła do stolika. Może w ten sposób matka szybciej sobie pójdzie.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłaś, ale naprawdę jestem bardzo zajęta.

- Cała ta twoja praca to jeden wielki nonsens - zaczęła Margerite, kiedy córka usiadła przy niej. - Nie wiem, po co się tak przemęczasz, właściwie powinnaś zaangażować kogoś, kto by cię zastąpił. - Włożyła plasterek cytryny do filiżanki. - Rozumiem, że na początku to może być nawet zabawne, ale na dłuższą metę naprawdę nie ma sensu.

- Tak sądzisz? - Sydney próbowała nie okazać zniecierpliwienia. - Może się przecież okazać, że potrafię kierować firmą.

- Kochanie, wszystko co robisz, robisz cudownie, jestem tego pewna. - Machinalnie pogłaskała córkę po rękę. Sydney zawsze była idealnym dzieckiem. Nie miała z nią większych kłopotów. To dziwactwo też z czasem jej minie,

pocieszała się Margerite. - Dziadek doskonale zrobił, że właśnie tobie przekazał te wszystkie domy - powiedziała polubownie i z wdziękiem sięgnęła po kanapkę. Wytworna, smukła kobieta, nie wyglądająca na swoje pięćdziesiąt lat, w nieskazitelnie uszytym kostiumie Chanel, wszystko robiła elegancko i z wdziękiem. - Co nie znaczy, że musisz żyć jak odludek - ciągnęła. - Poza tym, prowadzenie firmy to nie jest zajęcie dla kobiety. Mężczyźni nie lubią zbyt ambitnych kobiet.

- Nie wszystkie kobiety myślą tylko o tym, jakby się przypodobać mężczyznom.

- Głuptas z ciebie - matka lekko uderzyła ją po ręce - od czasu do czasu mężczyzna się przydaje. Mówisz tak, bo jesteś przeczulona po tej historii z Peterem. Pamiętaj, pierwsze małżeństwo zawsze jest tylko próbą generalną.

Sydney odstawiła filiżankę, spojrzała matce prosto w oczy.

- Twoje małżeństwo z tatusiem też było tylko na próbę?

- To była dobra lekcja dla nas obojga - powiedziała matka sentencjonalnie. - No dobrze, a teraz powiedz, jak wypadło spotkanie z Channingiem. Jak było?

- Beznadziejnie.

Margerite przymknęła błękitne oczy.

- Nie żartuj.

- Mówię poważnie. - Sydney, żeby coś zrobić z rękami, znowu sięgnęła po filiżankę. Dlaczego zawsze, odkąd pamięta, rozmowa z matką była tak męcząca? - Przykro mi, mamo, ale my do siebie po prostu nie pasujemy.

- Bzdura, świetnie pasujecie. Channing jest inteligentnym młodym człowiekiem z doskonałej rodziny.

- Zupełnie jak Peter.

Brzęknęła porcelana. Margerite nieco zbyt gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek.

- Czy musisz każdego mężczyznę porównywać z Peterem?

- Wcale tego nie robię. - Korzystając z okazji, Sydney odsunęła rękę. Obecność matki krępowała ją, wyzwalała poczucie winy. - Nie porównuję Channinga z nikim, on sam jest po prostu nudny i pretensjonalny. Mężczyźni w ogóle mnie nie interesują. Zamierzam osiągnąć coś w życiu, ale bez ich pomocy. Sama - Sama - powtórzyła Margerite bardziej zdziwiona niż oburzona. - Pamiętaj, dziecko, że jesteś z rodu Haywardów, to wystarczy, nie musisz już nic robić. - Podniosła do ust serwetkę. - Na miłość Boską, Sydney, rozwiodłaś się z Peterem cztery lata temu. Musisz sobie znaleźć odpowiedniego męża, bo inaczej ludzie przestaną cię zapraszać. Zajmujesz określone miejsce w środowisku i to nakłada na ciebie pewne obowiązki.

Sydney z trudem przełknęła łyk herbaty.

- Zawsze tak mówiłaś, mamo.

Margerite uśmiechnęła się, sądząc zapewne, że córka najwyraźniej zrozumiała jej argumenty.

- I cóż, nie miałam racji? Nie bądź nierozsądna, kochanie. Skoro Channing ci nie odpowiada, znajdziemy kogoś innego, ale chyba go nie doceniasz. Gdybym ja była trochę młodsza... - Spojrzała na zegarek, zerwała się z krzesła. - Wybacz kochanie, ale muszę pędzić, spóźnię się do fryzjera. Tylko jeszcze przypudruję nos.

Kiedy zniknęła w sąsiadującej z gabinetem łazience, Sydney odchyliła głowę do tyłu i przyknęła oczy. Skąd to poczucie niższości, skąd to przekonanie, że znowu nie stanęła na wysokości zadania... Jak może cokolwiek wytłumaczyć matce, skoro sama nie rozumie pewnych spraw?

Wstała i podeszła do biurka. Matka nigdy nie zrozumie, że jej niechęć do nowych związków nie ma nic wspólnego z tym, co Peter zrobił, bądź czego nie zrobił. On nie był niczemu winien. Zawsze bardzo się przyjaźnili, dorastali razem, dobrze się znali i lubili, ale nigdy się nie kochali. Rodzice wmówili im, że powinni się pobrać, zrobili to więc i przez dwa lata próbowali być małżeństwem. Na próżno.

Dla niej tragedią nie był rozwód, ale utrata przyjaciela. Skoro nie potrafiła być z kimś tak bliskim, jak Peter, ponosiła za to winę. Tak, była odpowiedzialna za to, że zawiodła zaufanie i nadzieje - swoje, męża, całej rodziny.

Dlatego właśnie tak bardzo pragnęła sprawdzić się tym razem. Nie zawieść dziadka, który zawsze w nią wierzył, sprostać wymaganiom sytuacji i nazwiska.

- Tak, słucham - powiedziała machinalnie, kiedy rozległ się dźwięk telefonu.

- Przyszedł pan Stanisławski, chce się z panią zobaczyć, nie był umówiony, ale mówi, że ma jakieś papiery.

Pośpieszył się, pomyślała i wzruszyła ramionami.

- Dobrze, niech wejdzie.

Przynajmniej się ogolił, zauważyła, gdy stanął w progu jej gabinetu. Za to dzinsy, które włożył, były jeszcze bardziej zniszczone niż poprzednie. Zmierzyli się wzrokiem jak dwaj zapaśnicy przed walką.

Wygląda dokładnie tak samo, jak ostatnim razem, myślał Michael, wpatrując się w nią z kamienną twarzą - zapięta pod szyję, w doskonale skrojonym kostiumie szarozielonej barwy. Rzucił okiem na filiżanki z chińskiej porcelany, małe kanapeczki na niewielkim półmisku. Skrzywił się.

- Przerwałem lunch?

- Nie. Przyniósł pan kosztorys?

- Tak.

- Bardzo pan szybki.

- Tak. - Pociągnął nosem, jak pies, który zwietrzył obcy zapach. - Ktoś tu jest?

- Dlaczego pan pyta? - Zmarszczyła brwi.

- Czuję zapach obcych perfum. - Podał jej kilka kartek papieru. - Podzieliłem to na dwie części, wyszczególniłem naprawy, które muszą być wykonane w pierwszej kolejności, i te, które można zrobić trochę później.

- Doskonale.

Czuła emanującą od niego siłę i jakieś dziwne ciepło, które sprawiało, że niepokój wywołany rozmową z matką z wolna ustępował. Jakby z ciemnej piwnicy wyszła na światło dnia. Biorąc z jego rąk papiery, miała wrażenie, że może sparzyć sobie palce.

- Ma pan kosztorysy od poszczególnych przedsiębiorców?

- Wszystko dołączyłem.

Zaczęła przeglądać papiery. Michael tymczasem podszedł do stolika, nieufnie sięgnął po kanapkę i przyjrzał się jej uważnie.

- Z czym to jest? Zerknęła w jego stronę.

- Z rzeżuchą.

Z obrzydzeniem odłożył kanapkę na talerz.

- Dlaczego pani to je?

Znowu na niego spojrzała i tym razem - uśmiechnęła się.

- Dobre pytanie.

Niepotrzebny ten uśmiech, pomyślał i włożył ręce do kieszeni. Kiedy się uśmiechała, wszystko się zmieniało. Jej oczy zaczynały błyszczeć, usta łagodniały, robiła się jeszcze ładniejsza i co gorsze - bardziej przystępna. Na chwilę zapomniał nawet, że nie jest w jego typie.

- W takim razie zadam jeszcze inne.

Napięcie z twarzy Sydney zniknęło definitywnie. Była wyraźnie zadowolona z przejranej dokumentacji.

- Strasznie pan dzisiaj ciekawy.

- Dlaczego ubiera się pani w takie zgaszone kolory? Te wszystkie szarości, beże, zgniła zieleń... Do pani urody bardziej pasują żywe barwy, szafir, szmaragd...

Przez chwilę milczała zaskoczona. Dotąd nikt nigdy nie krytykował jej stroju, przeciwnie - w pewnych kręgach uchodziła za osobę wyjątkowo elegancką.

- Jest pan stolarzem czy projektantem mody? Wzruszył ramionami.

- Jestem mężczyzną. - Uniósł dzbanek i przyjrzał mu się krytycznie. - Herbata? W taki upał? Ma pani coś zimnego?

Przycisnęła guzik na biurku.

- Janine, bądź tak dobra i przynieś coś zimnego do picia - poleciła sekretarce i uśmiechnęła się do swego gościa. Poczula nieprzewartą chęć zerknięcia w lustro. Odchrząknęła.

- Jest znaczna różnica w ilości napraw, jakie muszą być zrobione od razu, i tymi, z którymi można poczekać, panie...

- Mam na imię Michael - dokończył. - To tak jak w życiu. Tylko niektóre rzeczy są naprawdę konieczne, inne można odłożyć na potem.

- Teraz z kolei jest pan filozofem - mruknęła i wróciła do papierów. - Dobrze więc, pierwszą listą zajmiemy się natychmiast, w końcu tego tygodnia możemy podpisać kontrakt.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Pani też jest szybka.

- Kiedy trzeba. A teraz proszę mi wyjaśnić, dlaczego zamierza pan wymienić wszystkie okna.

- Są pojedyncze, a to nie wystarcza.

- Rozumiem, ale...

- Sydney, kochanie - Margerite, dokonawszy już widocznie korekty makijażu, wyłoniła się z łazienki - co za okropne światło... - Umilkła i zatrzymała się na widok gościa. - Przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś u ciebie jest. - Przyjrzała się dokładnie spranym džinsom i przeniosła spojrzenie na twarz Michaela. - Witam pana. - Wyciągnęła ku niemu rękę, mile poruszona podziwem, jaki dostrzegła w jego oczach.

- Jest pani matką Sydney - stwierdził raczej niż zapytał.

- Tak - odparła z wahaniem. Nie bardzo lubiła, kiedy podwładni mówili o córce po imieniu. Zwłaszcza gdy był to ktoś w wytartych džinsach i brudnych butach. - Skąd pan wie?

- Jesteście tak samo piękne.

- Ach - Margerite rozchmurzyła się natychmiast - bardzo pan miły.

- Mamo, bardzo cię przepraszam, ale mam z panem Stanislawskim pewne sprawy do omówienia.

- Oczywiście, rozumiem. - Margerite musnęła lekko policzek córki. - Już wychodzę. Nie zapomnij tylko, że w przyszłym tygodniu jemy razem lunch. Do widzenia, panie... pan się nazywa Stanislawski? - zwróciła się nagle do Michaela - Stanislawski, ten rzeźbiarz? To pan jest Michael Stanislawski?

- Tak. Czy my się znamy?

- Nie, nie. Widziałam po prostu pańskie zdjęcie w „Art Word”. I fotografie pana rzeźb. - Rzuciła się ku niemu z entuzjazmem i ujęła jego dłonie. Brudne buty i sprane dzinsy stały się nagle atrybutami prawdziwego artysty. Sydney z

osłupieniem przypatrywała się tej scenie. - Pan jest genialny - mówiła matka - po prostu genialny, w zeszłym roku kupiłam dwie pańskie prace, to dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać pana.

- Pochlebia mi pani.

- Jest pan jednym z najlepszych rzeźbiarzy naszych czasów. Naprawdę jest wspaniały - zwróciła się do córki.

- Ja teraz... - wyjąkała Sydney.

- Teraz współpracuję z pani córką, świetnie nam idzie - wyjaśnił zamiast niej Michael.

- Cudownie! - Margerite znów uściśnęła jego dłonie. - W piątek wydaję przyjęcie, musi pan koniecznie przyjść do mnie na Long Island. Tylko błagam, niech pan nie mówi, że jest zajęty - spojrzała na niego spod rzęs - byłabym niepokieszona.

Na wszelki wypadek nie spojrzał na Sydney.

- Nigdy nie pozwoliłbym sobie na sprawienie przykrości tak pięknej kobiecie.

- Doskonale. Sydney pana przywiezie. Na ósmą. Teraz uciekam. - Uśmiechnęła się raz jeszcze i zamasyżuje ruszyła ku drzwiom, gdzie omal nie wpadła na sekretarkę, niosącą właśnie zimne napoje.

Michael wziął szklankę, podziękował.

- Rozmawialiśmy właśnie o oknach - zaczął, siadając. Sydney powoli usiadła za biurkiem. Splotła dłonie.

- Powiedział mi pan, że jest stolarzem.

- Czasami jestem - pociągnął łyk ze szklanki - nieraz hebluję drewno, a nieraz w nim rzeźbię.

Czuła się oszukana Świadomie postawił ją w fałszywej sytuacji i świetnie się bawił, grając przed nią komedię.

- Ostatnie dwa lata spędziłam w Europie - zaczęła z wolna - dlatego nie bardzo wiem, co się działo w amery-

kańskim świecie artystycznym.

- Nie musi pani przeproszać.

- Wcale nie mam zamiaru - siłą powstrzymała się, żeby nie podrzeć jego kosztorysu na drobne kawałki - po prostu pragnę wiedzieć, dlaczego gra pan komedię, panie Stanisławski.

- Zaproponowała mi pani pracę, przyjąłem ją, bo mi odpowiada. To wszystko.

- Oszukał mnie pan.

- Wcale nie. Mam odpowiednie kwalifikacje, mam papiery, od szesnastego roku życia zajmuję się obróbką drewna. Co za różnica, że od czasu do czasu sprzedam jakąś rzeźbę?

- Żadna.

Sięgnęła po kosztorys. Może rzeczywiście niepotrzebnie się uniosła? Niech tam sobie robi te swoje figurki, nie będzie się tym przejmować. W końcu ktoś tak nieokrzesany nie może być wielkim artystą. Najważniejsze, żeby dobrze pracował.

Tak czy inaczej, zakpił sobie z niej jednak. Trudno, za płaci za to. Skoro ma pracować dla niej, będzie pracował dobrze. Jej firma płaci i wymaga.

Następne kilka godzin spędzili nad kosztorysem.

- Na dzisiaj dosyć - powiedziała wreszcie Sydney, odsuwając plik notatek. - Skontaktujemy się z panem, kontrakt będzie gotowy na piątek.

- Niech go pani ze sobą weźmie i wpadnie, powiedzmy o siódmej.

- Co takiego?

- Kiedy przyjedzie pani, żeby mnie wziąć na to przyjęcie. Zaczyna się ósmej, dobrze pamiętam? - Pochylił się ku niej i przez moment miała wrażenie, że chce ją pocałować.

Cofnęła się gwałtownie. - Musi się pani jakoś

kolorowo ubrać.

Odsunęła się razem z krzesłem.

- Nie zamierzam zabierać pana na żadne przyjęcie!

- Boi się mnie pani? Uniosła głowę jeszcze wyżej.

- Chyba pan żartuje.

- No to dlaczego? - Nie spuszczać jej z oczu, okrążył biurko i stanął obok niej. - Zaprosiła mnie pani matka, a pani utrudnia mi przybycie. Kobieta tak świetnie wychowana nie robi takich rzeczy bez powodu.

Sydney poczuła, że się czerwieni.

- Powód jest jeden. Nie lubię pana. Dotknął pereł na jej szyi.

- Nieprawda. Ludzie z pani sfery są ludźmi przewidującymi. Im kogoś mniej lubią, tym bardziej udają, że tak nie jest. A pani zachowuje się inaczej...

- Niech mnie pan nie dotyka.

- Nareszcie się pani zaczerwieniła, to moja zasługa. - Roześmiał się i puścił sznurek pereł. Musi mieć bardzo gładką skórę, chłodną i gładką, pomyślał, a głośno dodał: - Tylko co powiesz matce, Sydney, jak jej wytłumaczysz, że nie przyprowadziłaś mnie na przyjęcie? - Z rozbawieniem przyglądał się, jak dobre wychowanie zmagają się w niej z narastającą wściekłością. - Oj, oj... Strasznie trudno żyć, gdy trzeba przestrzegać wszystkich tych manier, prawda? Na szczęście ja nie mam takiego kłopotu.

- To widać - syknęła przez zęby.

- W takim razie jesteśmy umówieni, o siódmej w piątek. - Dotknął palcem jej policzka i poszedł w stronę wyjścia.

- Chwileczkę - wstała i posłała mu lodowaty uśmiech - niech pan spróbuje znaleźć jakieś ubranie z minimalną ilością dziur.

Nie odpowiedział. Zamknął za sobą drzwi, a po chwili z korytarza dobiegł ją wybuch śmiechu.

Gdyby nie to przekłete dobre wychowanie... Jak dobrze byłoby roztrzaskać szklanę o drzwi...

Specjalnie włożyła czarną sukienkę. Niech sobie nie myśli, że przekopała szafę w poszukiwaniu czegoś kolorowego, bo on tak jej poradził. Suknia była czarna, prosta, obcisła i wytworna Rozpuściła za to włosy. Po prostu miała już dosyć upinania i spinki.

Zanim zastukała, zawahała się chwilę. Zza drzwi Michaela dobiegały dźwięki muzyki. Ze zdziwieniem rozpoznała motyw z „Carmen”. Nagle drzwi otworzyły się i wyskoczyła z nich Keely.

- Cześć - powiedziała, wymachując pojemnikiem z lodem - wpadłam po lód, moja lodówka znowu nie działa. - Widać było, że ze wszystkich sił się stara, by nie wpatrywać się w Sydney zbyt nachalnie. - Właśnie wychodziłam - powiedziała usprawiedliwiająco. - Mike, przyszła twoja pani! - krzyknęła w głąb mieszkania.

- Proszę zostać. - Sydney przełknęła jakoś określenie „twoja pani”.

- Za dużo nas - uśmiechnęła się Keely i pomknęła w dół korytarzem.

- Wołałaś mnie? - Michael wyłonił się z łazienki, przepasany białym ręcznikiem. Drugim wycierał właśnie włosy. Na widok Sydney zatrzymał się, przeciągnął wzrokiem po obciążonej czernią sylwetce. - Trochę jestem spóźniony - powiedział po prostu.

Sydney przełknęła ślinę, rozpaczliwie próbując zachować spokój. Krople wody na jego opalonym, muskularnym ciele uświadomiły jej, jak bardzo chce jej się pić. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w kroplę wody spływającą po

jego piersi w stronę bieli ręcznika...

- Już jest ... - zaczęła, automatycznie spoglądając na zegarek - byliśmy umówieni na siódmą...

- Wiem. Miałem robotę - ręcznik na jego biodrach zafalował - ale zaraz będę gotowy. Weź sobie coś do picia. - Uśmiechnął się, ukazując białe zęby. Jej reakcja najwyraźniej przypadła mu do gustu. - Chyba jest ci gorąco - powiedział.

Cofnął się i z odległości zaczął podziwiać stojącą przed nim nieruchomo postać. Nie spuszczał z niej oka, włączył mały wentylator.

- Tak będzie lepiej.

Kiwnęła głową. Wentylator nic tu nie zmieni, niewiele w każdym razie, pomyślała z narastającą rozpaczą. Żeby nad sobą zapanować, wyjęła papiery.

- Przyniosłam kontrakt - powiedziała, kładąc kopertę na stole.

Ledwo rzucił na nią okiem.

- Przeczytam i podpiszę później.

- Dobrze. Teraz niech się pan ubierze - powiedziała rzeczowo. Uśmiechnął się. Opanowany, chłodny głos zupełnie nie pasował do emocji malujących się na jej twarzy. - Spóźnimy się - dodała.

- Weź sobie coś zimnego - powtórzył i poszedł w stronę sypialni. - Czuj się jak u siebie w domu.

Kiedy została sama, głęboko odetchnęła. Tak zbudowanym facetom nie powinno się pozwalać chodzić półnago. Pod karą więzienia.

Rozejrzała się dokoła. Właściwie widziała ten pokój po raz pierwszy. Ostatnim razem była zbyt zaferowana osobą gospodarza. Komuś takiemu jak on przychodziło bez trudu odwrócić uwagę gościa od znajdujących się w pomieszczeniu sprzętów. Zwłaszcza jeśli gościem była

kobieta...

Spojrzała na długi drewniany stół zajmujący większą część pokoju. Leżały na nim kawałki drewna różnej wielkości, niektóre nosiły ślady obróbki. Nic szczególnego.

Tak właśnie myślała. Ktoś taki jak Michael Stanislawski nie może mieć za grosz talentu. Ot, dłubie sobie w drewnie, a snobistyczny świat uważa, że odkrył wielkiego artystę.

Odwróciła się i wtedy zobaczyła półki.

Rzeźby stały szeregiem, smukłe niczym kolumny. Postać długowłosej kobiety, dziecko, kochankowie połączeni pocałunkiem... Zafascynowana podeszła do półki. Niemal czuła ich zapach, ręka sama wyciągnęła się w stronę niezwykłej kolekcji. Jak ktoś tak arogancki, tak szorstki i niewychowany, mógł mieć w sobie tyle wrażliwości, subtelności i wyczucia, żeby z kawałka zwykłego drewna stworzyć coś podobnego? - myślała z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się i zdjęła z półki kangurzycę z maleństwem wystającym z kieszeni na brzuchu. Powierzchnia rzeźby była gładka jak szkło. Z westchnieniem odstawiła ją na miejsce i delikatnie dotknęła stojącego obok Kopciuszka Filigranowa postać w balowym stroju z lekko uniesioną bosą stopką, jakby zaskoczona kilka sekund przed wybiciem dwunastej. Sydney wydało się, że dostrzega łzy w oczach dziewczynki...

- Podoba ci się?

Odwróciła się gwałtownie z figurką w ręku.

- Bardzo, przepraszam...

- Nie musisz przepraszać, że ci się podoba.

Michael stał przed nią, ubrany nieco bardziej konwencjonalnie niż zwykle, z mokrymi włosami spadającymi na ramiona.

- Przepraszam, że ją wzięłam do ręki - powiedziała, odstawiając rzeźbę na półkę.

Na jego ustach pojawił się uśmiech. Fascynowało go, jak bardzo potrafiła się zmienić, przejść od chłodnej uprzejmości do niemal dziecięcego zażenowania.

- Lepiej gdy można je dotknąć, niż kiedy tak stoją, podziwiane z daleka, prawda?

Coś w jego głosie pozwalało przypuszczać, że ma na myśli nie tylko drewniane rzeźby.

- To zależy.

- Od czego?

- Od powodów, dla których się dotyka.

- Mówimy tylko o rzeźbie.

Rozmowa zaczęła przybierać niepożądany ton. Sydney otrząsnęła się.

- Tak, mówimy o rzeźbie, a powinniśmy ruszać w drogę. Naprawdę się spóźnimy. Jeśli jest pan gotów...

- Mam na imię Michael, tak będzie prościej. - Wyciągnął rękę i niespodziewanie dotknął palcem jej szafirowego kolczyka. - Jesteś jak angielski ogród, piękna, pociągająca, nieco zbyt oficjalna.

Strasznie gorąco, pomyślała Sydney, starając się nie zwracać uwagi na jego słowa. Bardzo gorąco i duszno, to dlatego tak trudno oddychać. To nie ma nic wspólnego z tym mężczyzną...

- Idźmy już - powiedziała. - Po co tak stoimy?

Nie wiedział. Wiedział tylko, że pragnie z nią tu zostać.

- Stoimy, bo nie dałaś dotąd hasła do wyjścia, przecież to ty kierujesz ludźmi.

- Co to ma wspólnego...

- Taka sobie obserwacja. - Bawił się teraz koniuszkami

jej włosów. Bardzo dobrze, że tak je rozpuściła na wieczór, myślał. - Obserwacja człowieka, który umie patrzeć. Po prostu jedni dają sobą komenderować, a inni nie. - Dotknął jej policzka. Skórę miała tak gładką, jak przypuszczał. - Kształt niezupełnie doskonały - powiedział, przyglądając się z bliska jej twarzy - ale to nawet lepiej.

- Co takiego?

- Masz trochę za duże oczy i nieco za wąskie usta, ale może być.

Gwałtownie odtrąciła jego rękę.

- Moje oczy i usta to nie twoja sprawa.

- Właśnie że moja, zamierzam zrobić rzeźbę twojej głowy. Już zacząłem.

Zmarszczyła brwi.

- Co zacząłeś?

- Rzeźbić twoją twarz, w różanym drewnie. Z takimi właśnie rozpuszczonymi włosami.

Znowu odtrąciła jego rękę.

- Nie zamierzam być twoim modelem.

Ujął ją pod rękę i poprowadził w stronę drzwi.

- To nie ma znaczenia, i tak jesteś moim modelem.

- Jeśli myślisz, że mi to pochlebia...

- A powinno? - Stali teraz po drugiej stronie drzwi.

- Przecież to nie twoja zasługa. Urodziłaś się z taką twarzą, nie zrobiłaś jej. Gdybym powiedział, że dobrze tańczysz, albo całujesz, to wtedy owszem, to byłaby pochwała. - Zamknął drzwi. - No właśnie. A jak z tym jest? - zapytał obojętnym tonem.

- Z czym? - odsunęła się krok do tyłu.

- Z całowaniem.

Nie obejrzawszy się, stanowczym krokiem ruszyła schodami w dół. Nawet nie poczuła dotyku jego rąk. Po

prostu nagle znalazła się w jego ramionach, unieruchomiona i bezwolna.

Michael powoli zbliżył do niej twarz i delikatnie pocałował kąciki ust. Uśmiechnął się i odsunął.

- Sądzę - powiedział z namysłem - że musisz się jeszcze wiele nauczyć. - Przez chwilę spoglądał na nią w zamysleniu. - To musiałby być jakiś bardzo cierpliwy mężczyzna, a ja nie jestem cierpliwy, szkoda.

Był tak blisko, że musiał dostrzec panikę w jej oczach. Trwało to jednak zaledwie chwilę. Potem był w nich tylko chłód.

- A ja sądzę - powiedziała już swoim zwykłym tonem - że ty pewnie dobrze całujesz. Tyle że musiałaby to być bardzo tolerancyjna kobieta, żeby znieść całą resztę, a ja nie jestem tolerancyjna, na szczęście.

Stali przez chwilę, jakby się zastanawiali, czy nie zmienić zdania co do własnych przekonań. Potem uśmiech rozjaśnił oczy Michaela.

- Mężczyzna może nauczyć się cierpliwości, kobieta może stać się tolerancyjna, księżniczko.

Zrobiła ruch, jakby chciała się wyswobodzić.

- Musimy już iść.

- Tak. - Puścił ją i zrobił przejście. Bez słowa ruszyli schodami w dół.

3

Margerite czekała w napięciu. Zdawała sobie sprawę z tego, że zaproszenie ekstrawaganckiego artysty łączy się z pewnym ryzykiem. Rozejrzała się dokoła jak generał przed decydującą bitwą: salon, tarasy, nakrycia, wazony kwiatów - wszystko było w porządku. Dostawcy dopisali, służba pełniła swoją powinność. Pani domu mogła być zadowolona.

Jedynym mankamentem było to, że Sydney się spóźniała, a wraz z nią spóźnił się honorowy gość. Właściwie wszyscy już przyszedli: politycy, aktorzy, przemysłowcy. Nie było tylko pewnego ukraińskiego rzeźbiarza, który miał być ozdobą wieczoru.

Mógł też spełnić inną rolę. Margerite przypomniała sobie, jak bardzo jest przystojny, i zamyśliła się na chwilę.

Spostrzegła go niemal w tym samym momencie.

- Pan Stanisławski! Jak miło! Ruszyła ku niemu, obrzucając córkę pełnym nagany spojrzeniem. Michael ujął jej rękę i uniósł do ust.

- Przepraszam za spóźnienie. To moja wina. Córka była punktualna.

- Nic nie szkodzi - zaszcebiotała, nie puszczając jego ręki - mądra kobieta zawsze czeka na mężczyznę.

- Czyli jestem rozgrzeszony?

- Całkowicie - musnęła jego rękę - tym razem. A teraz przedstawię pana gościom. Kochanie - zwróciła się do córki - teraz ja zajmę się panem.

Michael rzucił Sydney przelotne spojrzenie i dał się porwać.

Z Margerite rozmawiało mu się doskonale i czuł się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie. Long Island czy Soho - niezależnie od miejsca kontakt z ludźmi nie sprawiał mu trudności. Szczerze mówiąc, wolałby jednak w tej chwili

siedzieć z kumplem przy piwie niż przechadzać się z matką właścicielki firmy Hayward po ukwieconym tarasie.

Wypił kieliszek szampana i pochwalił urządzenie domu, wielkiej przestronnej willi o białych chłodnych ścianach i wysokich oknach. Równie pochlebnie wypowiedział się o zgromadzonych przez gospodynię obrazach. Kiedy zaś tak wszystko chwalił i rozmawiał, ani na chwilę nie spuszczał Sydney z oka.

Dziwne, najwyraźniej nie czuła się tu dobrze. W jej ruchach i spojrzeniu był jakiś przymus. Oczywiście, uśmiechała się i zagadywała do gości równie sprawnie jak jej matka, jej skromna czarna sukienka elegancją dorównywała najwymyślniejszym strojom innych kobiet, a drobne szafiry w uszach lśniły jak wszystkie inne diamenty i szmaragdy; a jednak coś różniło ją od zebranych na przyjęciu ludzi.

W jej oczach dostrzegał zniecierpliwienie. Tak jakby chciała skończyć jak najszybciej nużące, bezsensowne zajęcie i zająć się naprawdę ważnymi sprawami. Uśmiechnął się. Najwyraźniej pomylił się w pierwszej ocenie - Sydney Hayward była inna niż przypuszczał.

Jego uśmiech zbladł na widok podchodzącego do niej barczystego młodzieńca w jedwabnej marynarce. Młody człowiek pochylił się i pocałował ją w policzek.

Sydney nie była zbyt zachwycona tym spotkaniem, mimo to uśmiechnęła się uprzejmie.

- Witaj, Channing - powitała go.

- Jak się masz - podał jej kieliszek wina - jakim cudem Margerite cię tu ściągnęła?

- Dlaczego pytasz?

- Bo wiem, jak trudno wyrwać cię z biura - uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby.

- Po prostu bywam zajęta.

- Właśnie o to chodzi. - Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, zupełnie jakby była nowym elektroluksem czy lodówką, którą zamierza sprowadzić do domu. - Szkoda, że nie poszłaś ze mną wczoraj. Zabawa była świetna - Ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę stołów. - Powiedz mi, kiedy wreszcie przestaniesz grać rolę kobiety interesu i zrobisz sobie przerwę? W przyszłym tygodniu jadę na wieś do przyjaciół, pojedziesz ze mną?

Sydney skrzywiła się.

- Nie bardzo mam czas.

Usiedli przy długim stole w przestronnej jadalni. Z żalem spojrzała na tonący w kwiatach ogród. Miała nadzieję, że przyjęcie odbędzie się pod gołym niebem i będzie można odetchnąć świeżym morskim powietrzem.

- Czy mogę ci coś powiedzieć? - zaczął Channing. - Tylko się nie pogniewaj.

Znużona, oparła głowę na dłoni. Zewsząd dochodził gwar rozmów, brzęk szklanek i sztucców.

- Słucham cię.

- Nie można dać się zwariować. Praca nie może być całym twoim życiem. Musisz znaleźć czas dla siebie. - Channing tak właśnie przemawiał. Okrągłymi, banalnymi, nic nie znaczącymi zdaniami. - Nie mogę patrzeć, jak się zamęczasz. Przecież wszyscy wiemy, że nie masz doświadczenia, że nie znasz świata wielkiego biznesu, gdzie człowiek człowiekowi naprawdę jest wilkiem. - Położył rękę na jej dłoni. Błysnęły złote spinki od mankietów. - Zrozum, mówię to dla twojego dobra. Rozumiem początkowy entuzjizm, ale nie można przesadzać. Musisz pomyśleć o sobie, o tym, co naprawdę dla ciebie dobre.

- Na razie najlepiej robi mi praca.

- Przejdzie ci - w jego głosie zabrzmiała wyższość

osoby znającej życie - w pewnym momencie sama zrozumiesz, że trzeba firmę powierzyć fachowcom, od tego są.

Wyprostowała się, zeszywniała.

- Dziadek powierzył firmę mnie.

- Na starość zrobił się sentymentalny. Nie sędzę jednak, żeby przypuszczał, że tak się tym przejmiesz.

Siłą powstrzymała się, żeby mu nie wylać szklanki wody na głowę. Na szczęście zmienił temat.

- Wczoraj wszyscy się zastanawiali, dlaczego właściwie nie przyszłaś - powiedział.

- Naprawdę? - Zmusiła się do uśmiechu, pochyliła z udanym zaciekawieniem. - Opowiedz, jak było.

Michael, siedzący na drugim krańcu stołu, między Margerite a panią Lowell z Bostonu, przez cały ten czas nie spuszczał ich z oczu. Nie podobał mu się sposób, w jaki Sydney rozmawiała z tym przystojniakiem. Facet co chwila dotykał jej ręki, jej ramienia, jej cudownie gładkiego ciała. A ona uśmiechała się, kiwała głową, najwyraźniej zadowolona. Tak jakby świat wokół nich nie istniał.

Królowa lodu nie jest więc znowu taka niedotykalna, pomyślał, po prostu wszystko zależy od tego, kto ją dotyka. Zaklął po nosem.

- Michael, mówił pan coś?

Uśmiechnął się z przymusem i zwrócił ku Margerite.

- Nie, wspomniał ten bażant.

- Cieszę się, że panu smakuje. Proszę mi powiedzieć, co Sydney u pana zamówiła?

Obrzucił wrogim spojrzeniem parę siedzącą po drugiej stronie stołu.

- Och, pracujemy razem przy domach na Soho.

- Rozumiem - Margerite udała, że wie, iż firma ma

jakieś domy w tamtej okolicy - to mają być rzeźby czy może coś innego?

- Raczej coś innego - zbył jej pytanie, po czym sam zapytał: - Niech mi pani powie, kim jest ten pan, który aktualnie z nią rozmawia, nie znam go.

- To Channing Warfield. Znamy jego rodzinę od lat.

- Ach, tak.

Margerite nachyliła się ku niemu i konspiracyjnym szeptem mówiła dalej.

- Zdradzę panu pewną tajemnicę, ja i matka Channinga, Wilhelmina, mamy nadzieję, że w lecie będzie można ogłosić ich zaręczyny. Tak cudownie do siebie pasują, a od rozvodu Sydney minęło już tyle lat...

- Była zamężna?

- Tak, ale oboje byli chyba za młodzi. - Margerite taktownie nie wspomniała, z jaką konsekwencją obie rodziny dążyły do tego, by Sydney i Peter jak najszybciej stanęli na ślubnym kobiercu. - Teraz wszystko wygląda inaczej. Sydney i Channing są dojrzały i w pełni odpowiedzialni. Mam więc nadzieję, że nie będziemy długo czekać.

Mike wypił spory łyk wina. Czuł dziwną suchość w gardle.

- A gdzie on pracuje?

- Pracuje? - powtórzyła Margerite, wyraźnie rozba-wiona. - Jego rodzice są właścicielami banku, on zresztą chyba też coś tam robi. Jedno wiem na pewno, świetnie gra w polo.

- Gra w polo - powtórzył Michael takim tonem, że siedząca obok Helena Lowell zakrzuszyła się kawałkiem bażanta.

Michael poklepał ją życzliwie w plecy, by łatwiej było jej odkrzusić, i podał szklankę wody.

- Pan jest Rosjaninem, prawda? - zapytała, gdy udało

jej się opanować kaszel i wypić kilka łyków.

- Urodziłem się na Ukrainie, w Związku Radzieckim.

- Tak, tak, wiem, czytałam, że pańska rodzina uciekła stamtąd, kiedy był pan dzieckiem.

- Tak, pamiętam, że szliśmy przez góry. Do dziś nie wiem, jak w ogóle było to możliwe. Dostaliśmy się na Węgry, a potem jakimś cudem do Austrii. W końcu los rzucił nas do Nowego Jorku.

- Przez góry... Cudowne. To musiało być nadzwyczajne przeżycie!

Michael przypomniał sobie mróz, głód i strach. Nie dostrzegał w tym nic romantycznego. Helena tymczasem porzuciła ów „romantyczny” temat i zaczęła rozprawiać o sztuce. Po godzinie miał już dosyć jej pretensjonalnego szczebiotu i zaczął tęsknie spoglądać w stronę ogrodu. Z kłopotu wybawiła go Margerite. Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą na taras, gdzie przechadzali się inni goście z kieliszkami w dłoniach.

Czuł, że podoba się Margerite, i sprawiało mu to przyjemność. Była bardzo ładna i na swój sposób naiwna. Zupełnie inna niż córka. Właściwie łączyła je tylko uroda.

Pozwolił zaprowadzić się na najwyższe piętro, żeby z niego obejrzeć oszklony taras. Było tu nieco chłodniej, czuło się lekkie podmuchy wiatru. Gwar głosów pozostał w dole. Michael ogarnął spojrzeniem okolicę. Było stąd widać morze, łagodną linię brzegu i dachy okolicznych, skrytych w zieleni willi.

Można stąd było również dostrzec Sydney, pogrążoną w rozmowie z Channingiem.

- Ten dom zbudował mój trzeci mąż - powiedziała Margerite - był architektem. Kiedy się rozwodziliśmy, mogłam wybierać, ten dom albo willa w Nicei. Wybrałam dom.

Mam wielu przyjaciół, lubię ich tu przyjmować... - Oparła się lekko o balustradę, zwracając ku niemu rozmarzoną twarz. - Kocham to miejsce, w czasie przyjęć goście mogą chodzić po wszystkich piętrach, czują się swobodnie, nastrój jest dobry, każdy może robić to, na co ma ochotę. Może odwiedzi mnie pan jeszcze kiedyś...

- Z przyjemnością - odpowiedział automatycznie, całkowicie pochłonięty rozgrywającą się w dole sceną. Sydney położyła rękę na ramieniu tamtego faceta, w świetle księżyca wyglądała jak posążek z kości słoniowej.

Kątem oka spostrzegł, że Margerite przysunęła się bliżej niego. Zdumiało go to i nieco rozbawiło.

- Ma pani piękny dom. Bardzo do pani pasuje - powiedział, żeby zrobić jej przyjemność, i odwrócił się w jej stronę.

- A ja bardzo bym chciała zobaczyć pańską pracownię. - W jej oczach wyczytał powód, dla którego chciałaby go odwiedzić. - Mam wielką ochotę zobaczyć miejsce, w którym pan tworzy.

- Obawiam się, że bardzo by panią rozczarowało. Jest tam duszno, ciasno i nieciekawie.

- Niemożliwe. Nigdy nie uwierzę, że u pana w domu może być nieciekawie. - Spojrzała na niego wymownie i pogłaskała jego rękę koniuszkami palców. Zachowywała się jak nastolatka, a przecież mogłaby być jego matką.

- Margerite - ujął jej dłonie - jest pani naprawdę urocza i... i bardzo piękna, ja natomiast - lekko pocałował jej palce - jestem zwykłym i w sumie dość nieciekawym facetem.

Dotknęła jego policzka.

- Pan siebie nie docenia, Michaelu.

To nie tak, pomyślał, to raczej on nie doceniał jej. Tymczasem w dole, na tarasie, Sydney bezskutecznie próbowała zniechęcić Channinga, Tego wieczora wydawał

się jej nudniejszy i bardziej uparty niż zwykle. Tak doskonale wychowany, tak uważny i wyrozumiały, że niemal zbierało jej się na mdłości.

Gdzieś w głębi duszy znowu poczuła się winna. Tylko ktoś taki jak ona może nie dostrzegać jego zalet. Każda inna kobieta oszalałaby na jego widok, albo przynajmniej postarałaby się, żeby on to zrobił. Sytuacja sprzyjała romantycznym scenom - księżyc, ogród, lekki powiew od morza, mrok. Channing opowiadał coś o Paryżu i delikatnie gładził ją po plecach. A jednak nie była w stanie zmusić się do choćby odrobiny życzliwości wobec niego.

Nagle zapragnęła znaleźć się w domu. Usiąść za biurkiem i w spokoju przejrzeć ostatnie sprawozdania.

Odetchnęła głęboko i odwróciła głowę. Tak, trzeba powiedzieć mu uczciwie, że mogą być jedynie przyjaciółmi. Uniosła oczy i wtedy jej wzrok padł na górny taras.

Ujrzała Michaela czule całującego dłoń jej matki.

Co ten bydlak, łobuz... - nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa - co on sobie wyobraża! Żigolak, pomyślała z pogardą. Ośmiela się zalecać do matki, do jej własnej matki! A przecież jeszcze dwie godziny temu...

Nie, nic się nie stało dwie godziny temu. Próbowwała przestać myśleć o tym, co się wydarzyło na klatce schodowej domu w Soho. Michael jest po prostu zdeprawowany i cyniczny, to wszystko.

Poczuła, że mogłaby go zamordować.

On natomiast w tej właśnie chwili puścił dłoń Margerite i spojrzał w dół. Napotkał wzrok Sydney. Przesłała mu nienawistne spojrzenie. Oto wojna została wypowiedziana.

Nie zastanawiając się zbyt nad tym, co robi, Sydney gwałtownie objęła Channinga.

- Pocałuj mnie, zaraz!

- Dlaczego, Sydney, teraz...

- Powiedziałam, pocałuj mnie! - Pociągnęła go ku sobie.

- Dobrze, kochanie.

Zadowolony z nagłej zmiany jej nastroju, objął ją i zaczął całować. Robił to dobrze, z wyraźną wprawą. Channing wszystko robił dobrze, ale nijako. Objęła jego głowę, próbując odnaleźć smak prawdziwego pocałunku. Poczowała zapach miętovej pasty do zębów. Całe jej ciało buntowało się jednak przeciwko temu, co robiła. Nie znalazłszy nic, choćby odrobiny ciepła czy namiętności, w tym pocałunku, odsunęła się zrezygnowana i rozczarowana.

- Co ci jest, kochanie, chyba to nie moja wina.,. Oczywiście, że nie jego, pomyślała. W ogóle nic mu nie można było zarzucić. Zrobił przecież, o co prosiła.

- Kochanie, o co chodzi? - powtórzył Channing, wyczuwając, że coś jest nie w porządku. - Czuję się, jakbym całował własną siostrę...

- Jestem po prostu zmęczona - powiedziała, patrząc w przestrzeń - Chyba już sobie pójdę.

W dwadzieścia minut później Sydney i Michael siedzieli w samochodzie, który mijał właśnie ostatnie zabudowania Manhattanu. Sydney tkwiła nieruchomo na tylnym siedzeniu, odsunięta od Michaela najdalej jak było można. Milczeli. Od momentu opuszczenia domu Margerite nie zamienili ani jednego słowa. Atmosfera robiła się coraz cięższa.

Michael dławił się z wściekłości wobec niej.

Sydney przepelniała bezgraniczna dla niego pogarda.

Zrobiła to specjalnie, pomyślał, dała się całować temu kretynowi tylko po to, żeby jemu, Michaelowi, zrobić

przykrość. Ale właściwie dlaczego? I jaką przykrość? Przecież ta porcelanowa księżniczka nic dla niego nie znaczy, jest mu obojętna.

Nieprawda, coś dla niego znaczyła, nie wiedział tylko co.

Wciąż milcząc, zapatrzył się w ciemność za oknem.

Jest obrzydliwy, myślała Sydney, to facet bez serca, bez zasad, bez godności. Siedzi teraz obok z niewinną miną, jakby nic się nie stało.

Próbowała skupić się na płynącym z głośników preludium Szopena. W szybie widziała odbicie swojej pobladłej twarzy. Jak on mógł! Flirtować z kobietą o dwadzieścia lat starszą! Uwodzić ją na oczach wszystkich w jej własnym domu!

I ona ma z nim współpracować? Z całego serca żałowała teraz swojej decyzji. Trudno, kontrakt został podpisany, nie można już się wycofać, jeśli jednak mu się wydaje, że jednocześnie będzie zabawiał się z jej matką, to się grubo myli.

- Trzymaj się z daleka od matki - wycedziła przez zęby.

Michael poruszył się. Spojrzał na nią zaskoczony. Założył nogę na nogę.

- Słucham?

- Doskonale słyszałeś. Powtarzam, jeśli myślisz, że będę się spokojnie przyglądać, jak uwodzisz moją matkę, to się mylisz. Wiem, że jest piękna i pociągająca. Ale ostatni rozwód wiele ją kosztował i nie pozwolę, żeby znowu cierpiała.

- Nie dam ci spokoju, póki mnie nie wysłuchasz. Masz trzymać swoje brudne łapy z dala od mojej matki, rozumiesz? A jeśli nie, to każę zburzyć ten twój dom i zbuduję na jego

miejscu parking.

Lekko otworzył oczy.

- Wspaniale, cudownie, mała kobietka wpadła w furie!
- powiedział drwiącym tonem. - Lepiej zajmij się tym elegancikiem, a matce pozwól robić, co chce.

- Jakim znowu elegancikiem? - Zirytowana, przysunęła się do niego z wojowniczą miną Siedziała teraz niebezpiecznie blisko.

- Tym bankierem, który się obok ciebie pęta. Sydney zarumieniła się gwałtownie.

- Nikt się obok mnie nie pęta. Zresztą to moje sprawy.

- W porządku. Ty masz swoje sprawy, ja swoje. A teraz zobaczymy, czy mamy jakieś wspólne. - Zanim się zorientowała, złapał ją i przyciągnął do siebie. - Jak wiesz, ja nie jestem tak dobrze wychowany jak on.

- Wiem - próbowała się wyrwać - co chcesz zrobić? Nietrudno zgadnąć, pomyślał. Trzymał ją w ramionach, czuł szczupłe młode ciało, cudownie gładką skórę, drobne piersi...

- Postanowiłem cię wreszcie nauczyć, jak się całuje. O ile dobrze widziałem, nie bardzo ci poszło z tym sportowcem.

Zalała ją fala gniewu. Nie da mu satysfakcji, nie będzie krzyżeć ani się wyrwać. Spojrzała na niego; tak, tak właśnie musiał wyglądać szatan, przechadzający się po rajskim ogrodzie.

- Ty draniu - wycodziła przez zęby - czego ty możesz mnie nauczyć?

- Zaraz się przekonamy. Jak to robił ten tam Channing? Położył tu rękę, o tak... - Dotknął gładkiej, nagiej skóry na jej ramieniu, poczuł, że Sydney zadrżała. - I co, boisz się, księżniczko?

- Nie rozśmieszaj mnie - zasyczała.

Owszem, bała się, bała się coraz bardziej. Michael gła-

dził swoją gorącą dłonią jej plecy, a ona czuła, jak narasta w niej lęk. Lęk i poczucie bezradności wobec tego, co czuła coraz intensywniej.

- Bardzo dobrze... - szepnął. - Kiedy kobieta drży, mężczyzna czuje, że wszystko jest w porządku. Przy Channingu nie drżałaś. - Nie odpowiedziała. Sytuacja była zbyt absurda. - Ze mną jest inaczej. Zaraz ci pokażę...

Poczuła jego palce na karku, siłą zwrócił jej twarz ku sobie, ustami dotknął jej ust. Zamknęła oczy, zapamiętując wyraz jego twarzy, dziwny, niesamowity. Odrzuciła głowę do tyłu. Jego usta dotknęły jej szyi.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Resztką świadomości próbowała ustalić, co właściwie powinna zrobić. Najlepiej po prostu go zabić. Udusić za to, że się ośmiela... zabić, zamordować. Ale to, co robił, było wspaniałe, cudowne. Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego.

On też nigdy dotąd nie doświadczył tak dziwnego uczucia. Tak jakby z samochodu przeniósł się nagle na łąkę pokrytą świeżą trawą. Chłodne, delikatne ciało Sydney miało w sobie podniecającą świeżość. Przesunął usta w stronę jej ucha.

Sydney wyprężyła się. Nie chciała już, żeby przestał. Takie pocałunki mogą trwać wiecznie. Niech trwają. Czuła pod palcami jego włosy. Mówił coś, ale nie rozumiała słów, brzmiały dziwnie i niepokojąco. To prawda, jego usta nie przypominały ust Channinga. Były władcze i wymagające. I tak było dobrze, właśnie tego zawsze pragnęła. Ręce tego mężczyzny nie wahały się, ruchy miał pewne i zaborcze. Przeszło jej przez myśl, że gdyby chciał, mógłby ją wziąć tu, zaraz, w tej chwili. Zrobiłby z nią wszystko, a ona nie byłaby w stanie zaprotestować. Usłyszała, że wymawia jego imię. A może było to tylko westchnienie? Po chwili jednak znowu

usłyszała swój głos. Wypreżyła się, niemal wbijając paznokcie w jego plecy.

- Proszę cię, Michael...

Odsunął się lekko i spojrzał na nią. Była przerażająco blada. Doszedł go dźwięk ulicznego gwaru. Uświadomił sobie, że na te kilka chwil zupełnie stracił głowę. Rozkoszował się niezwykłą delikatnością jej skóry, gładką jak jedwab, jak alabaster, jak płatek róży...

Teraz oprzytomniał. Spojrzał w ciemne okno. Jechali przez miasto, od szofera oddzielała ich jedynie cienka szyba. Tylko Sydney mogła go doprowadzić do takiego stanu. Zachował się jak nastolatek, ściskający dziewczynę w samochodzie.

- Przepraszam - powiedział schrypniętym głosem. Pomógł jej doprowadzić suknię do ładu, odsunął się w najdalszy kąt samochodu i zapatrzył w cienie za oknem. Od jego mieszkania dzieliło ich zaledwie kilka domów. Tam mogliby...

Nie, nie, nie. Musi przestać o tym myśleć.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział nieswoim głosem.

Sydney nie odpowiedziała. Co złego zrobiła tym razem? Pragnęła go i niemal mu to powiedziała. Nigdy nikogo dotąd nie pragnęła tak bardzo. Przez kilka sekund przebywała zupełnie gdzie indziej. Poza czasem i przestrzenią. Oddałaby wszystko, żeby to powtórzyć. Zamknęła oczy. Teraz znowu była chłodna i obca.

Dlaczego ona nic nie mówi? - zastanawiał się Michael. Nerwowo przecesał włosy. Zachował się rzeczywiście podle. Sydney była jednak tak piękna, tak cudownie pachniała... Właściwie mógł się czuć rozgrzeszony. Każdy na jego miejscu zachowałby się podobnie.

Ta myśl pokrzepiła go. Nie jest potworem. W tym samochodzie są dwie osoby jednakowo winne.

- Posłuchaj - zwrócił się ku niej.

- Nie zbliżaj się! - Odsunęła się gwałtownie.

- W porządku. - Samochód przystanął pod domem.

Poczucie winy gdzieś się ulotniło. - Odtąd będę trzymał swoje brudne łapy z dala od ciebie. Zadzwoń po kogo innego, gdy zechcesz zabawić się na tylnym siedzeniu samochodu, zgoda?

- Pamiętaj tylko, co powiedziałam o matce. Otworzył drzwiczki samochodu.

- Pamiętam doskonale. I dziękuję za podwiezienie. Kiedy odszedł, zamknęła oczy. Nie chciała płakać, ale łza spłynęła jej po policzku. Nie chciała płakać, ale przede wszystkim nie chciała zapomnieć.

Miała za sobą długi tydzień; długi, męczący tydzień, przeżyty w tym samym rytmie: sześć godzin w biurze, oficjalny obiad, praca w domu nad przyniesionymi z firmy materiałami. Dzień się wcale nie skończył i było jeszcze niejedno do zrobienia, ale już teraz ogarnęło ją uczucie satysfakcji z powodu pracowicie wypełnionego czasu, owo dobre zmęczenie piątkowego popołudnia, poprzedzającego sobotni odpoczynek.

Dawniej żyła inaczej. Nie według ściśle określonego planu dnia, lecz według widzimisię dorywczych zajęć: przyjęć, zakupów, bezsensownych spotkań i wizyt. Piątek był dla niej po prostu dniem, kiedy przyjęcia trwały znacznie dłużej.

Teraz wszystko się zmieniło. Zaczynała rozumieć, dlaczego dziadek do późnego wieku zachował aktywność i radość życia. Miał cel i potrafił go realizować.

Tak jak teraz ona.

Oczywiście, stale jeszcze musiała radzić się specjalistów odnośnie bardziej skomplikowanych spraw, ale gra związana z prowadzeniem przedsiębiorstwa zaczynała ją wciągać. Pasjonowała jak partia szachów. Sydney nie obrażała już sobie, by mogła wrócić do dawnego życia.

- Przyszedł pan Bingham, proszę pani.

- Niech wejdzie, Janine, a potem przygotuj mi tamten kontrakt z „Marlowe and Marlowe”.

- Tak, oczywiście.

Kiedy Lloyd stanął w progu, ujrzał Sydney pochyloną nad dokumentami. Uniosła rękę, prosząc, żeby chwilę poczekał.

- Wybacz, ale jeśli teraz przerwę, będę musiała wszystko zacząć od początku. - Zaznaczyła coś na marginesie,

złożyła papiery i podniosła na niego wzrok. - Słucham, co cię do mnie sprowadza?

- Chodzi o prace w Soho, remont tego domu kompletnie wymknął nam się z rąk.

Jej usta zadrżały. Domy na Soho skojarzyły jej się z Michaeliem. Przypomniała sobie powrót z domu matki i to, co zaszło w samochodzie. Wspomnienie nie było przyjemne; raz jeszcze jako kobieta odniosła porażkę.

- W jakim sensie?

- W każdym - widać było, że jest zdenerwowany - Ćwierć miliona! Władowałaś ćwierć miliona w remont tego domu!

Splotła dłonie na lśniącym blacie biurka.

- Wiem o tym. Kosztorys pana Stanislawskiego był bardzo szczegółowy.

- A czy był sensowny? Konsultowałaś może jego propozycje z kimś, kto się na tym zna?

- Nie. Zacisnęła dłonie. - Zdałam się na siebie.

- Na siebie? Jesteś tu od kilku tygodni i zdajesz się na siebie w tak poważnej sprawie?

- Tak, ponieważ koszty prac hydraulicznych i stolarskich, przedstawione w kosztorysie, są rozsądne i porównywalne z innymi tego rodzaju pracami.

- Przeprowadzaliśmy tam remont w zeszłym roku.

- To nie był remont, tylko powierzchowne naprawy.

- Ćwierć miliona na remont starego domu... - Lloyd był zbyt dobrze wychowany, żeby się złapać za głowę. Położył dłonie na jej biurku. Michael też tak robił, ale jego ręce pozostawiały brudne ślady. - Czy wiesz, ile wynosi roczny dochód z czynszów tego domu?

- Wiem - powiedziała to takim tonem, że przez chwilę milczał zaskoczony - wiem też, że ludzie, którzy płacą

komorne, mają prawo mieszkać w odpowiednich warunkach.

- Tak, tak, oczywiście - w głosie Lloyda zabrzmiało lekceważenie - zasady moralne przede wszystkim, pamiętaj jednak, że etyka nie pasuje do interesów.

- Ja sędzę inaczej.

Cofnął się gwałtownie. Złym wzrokiem objął biurko, które, jak sądził, powinno należeć do niego.

- Jesteś strasznie naiwna.

- Możliwe, ale tak długo, jak ja jestem prezesem tej firmy, obowiązują w niej będą moje zasady.

- Wydaje ci się, że kierujesz firmą, bo podpisałaś kilka kontraktów i wykonałaś kilka telefonów. Wpakowałaś ogromną sumę w jakiś remont, o którym nikt nic nie wie, dałaś się naciągnąć jakiemuś facetowi. Skąd wiesz, że nie kupuje najtańszego materiału, a pieniędzy nie wkłada sobie do kieszeni?

- Przecież to nie miałoby sensu.

- Jesteś naiwna. Wynajęłaś jakiegoś rosyjskiego artystę, żeby czuwał nad największą inwestycją remontową naszej firmy.

- Zamierzam sama nad wszystkim czuwać. Sprawdzę wszystko. Pan Stanislawski co tydzień dostarcza mi sprawozdanie.

Lloyd tylko parsknął śmiechem.

Złość powoli w niej gasła. Może Lloyd rzeczywiście ma rację? Zaufała Michaelowi, bo tak podpowiedział jej instynkt, zdała się na wyczucie, pozwoliła kierować intuicji.

Może jednak rzeczywiście mimowolnie naraziła na szwank interes firmy?

- Masz rację - powiedziała opanowanym głosem - zaraz się tym zajmę, sprawdzę wszystko osobiście. Masz coś jeszcze?

- Popeliłaś błąd. Rada nadzorcza ci tego nie daruje. Powoli oparła ręce o poręczę fotela.

- A ty zrobisz wszystko, żeby im wmówić, że to ty powinieneś zasiąść na moim miejscu, prawda?

- Oni są ludźmi interesu, Sydney, i sentymenty starego człowieka nie robią na nich wrażenia. Owszem, chcieliby, żeby firmą kierował jakiś Hayward, ale zrezygnują z tego, kiedy się zorientują, że to przynosi straty.

- Masz absolutną rację - mówiła teraz zgaszonym, zmęczonym głosem - w przypadku gdyby jednak rada nadzorcza nie zmieniła zdania, oczekuję od ciebie tylko jednego: albo całkowita lojalność, albo natychmiastowa rezygnacja. Nic innego nie wchodzi w rachubę. A teraz przepraszam cię, jestem bardzo zajęta.

Kiedy drzwi się zamknęły, sięgnęła po telefon. Ręce drżały jej tak bardzo, że cofnęła się w pół drogi. Wzięła kartkę papieru i podarła ją starannie, potem drugą i trzecią. Zdenerwowanie powoli mijało.

Trzeba wszystko dokładnie przemyśleć. Lloyd Bingham jest jej wrogiem i to wrogiem sprytnym i wpływowym. Z drugiej jednak strony ma doświadczenie, potrafi poruszać się w świecie interesów. Nie można wykluczyć, że w sprawie Soho rzeczywiście postąpiła zbyt pochopnie. Oczywiście ma do Michaela absolutne zaufanie, ale może on czegoś nie dopilnować i Lloyd natychmiast to wykorzysta. Remont na Soho musi przebiegać w idealnym porządku.

Nie może całego swojego dziedzictwa postawić na jedną kartę. Czy naprawdę jest absolutnie pewna, że niczego nie zaniedbała?

Na to pytanie nie mogła odpowiedzieć jednoznacznie i to było najgorsze.

Postanowiła pojechać tam osobiście i na miejscu sprawdzić, jak się sprawy mają.

Niebo nabrało koloru piasku. Trwające od kilku dni upały wprawiły miasto w stan wilgotnej duchoty. Na ulicach roili się mężczyźni w mokrych koszulach, piesi z kubkami lodów i mrożonych napojów, dziewczęta w szortach.

Gorąca fala uderzyła ją tuż po wyjściu z samochodu. Wilgotne powietrze oblepiało ciało, wciskało się do ust. Zwolniła szofera i skierowała się w stronę budynku.

Widziany z zewnątrz prezentował się imponująco.

Zniknęły gdzieś liszaje odpadających tynków, przestały straszyć czarne framugi starych okien, wygięte rynny wyprostowały się; zewsząd dobiegał dźwięk maszyn i młotków, przerywany głośną rockową muzyką.

Przed domem stała półciązarówka hydraulika. Stojący przy niej ludzie mieli głowy uniesione do góry, oczy wpatrzone w jeden punkt. Poszła w ich ślady i wtedy zobaczyła Michaela.

Na sekundę serce zamarło jej w piersi. Stał na najwyższym piętrze, po zewnętrznej stronie okna, balansując na wąskim parapecie.

- Że też się nie boi - usłyszała obok siebie głos jakiejś kobiety.

Natychmiast rzuciła się w stronę wejścia Drzwi windy były otwarte, w środku dwóch robotników majstrowało przy instalacji. Nie pytając o nic, biegiem ruszyła w górę po schodach. Jacyś robotnicy naprawiali coś na klatce schodowej między trzecim i czwartym piętrem. Widząc Sydney, pośpiesznie zabrali się do usuwania narzędzi zawałających drogę, ale przeskoczyła przeszkodę i biegła dalej. Po drodze słyszała, że ktoś ogląda telewizję, gdzieś śmiało się dziecko, w powietrzu unosił się zapach smażonych frytek.

Nie przystając ani na chwilę dla nabrania oddechu, wpadła na piąte piętro. Usłyszała dźwięki muzyki i lekko fałszujący męski głos.

Drzwi wiodące do mieszkania Michaela stały otworem. Weszła i zobaczyła odwróconego tyłem mężczyznę, pogrążonego w pracy. Przedramiona miał potężne jak gałęzie rosnącego drzewa.

- Przepraszam, że nie pukam...

- Bardzo lubię, kiedy kobiety tak do mnie wchodzi. Zauważyła słowiański akcent. Może wszyscy mieszkańcy domu są Rosjanami, a może Michael zaangażował do prac remontowych swoich rodaków, pomyślała.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Nie... to znaczy tak... - z trudem łapała oddech. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo się zmęczyła - Michael...

- Jest tam, na zewnątrz - mężczyzna odparł spokojnie i spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Tam? Ale przecież... - nie dokończyła, za szybą zamajaczył opalony tors.

- Skończyliśmy na dziś. Może pani usiądzie - mężczyzna wciąż uśmiechał się do niej przyjaźnie.

- Niech go pan zawoła, błagam, niech mu pan każe wejść do środka.

Zanim zdążył odpowiedzieć, okno uchyliło się i ukazała się długa muskularna noga. Michael powiedział coś w ojczystym języku i roześmiał się. Na widok Sydney natychmiast spowaźniał.

- O, pani Hayward - stwierdził, przekładając trzymane narzędzie do drugiej ręki.

- Co robiłeś tam na zewnątrz?

- Wymieniałem szyby - odłożył narzędzie na bok - a o

co chodzi?

- Nic, ja tylko - z trudem łapała oddech - przyszłam, żeby zobaczyć, jak postępują prace.

- Zaraz ci wszystko pokażę. Poczekaj chwilę. Poszedł do kuchni, włożył głowę pod kran i odkręcił kurek z zimną wodą.

- Gorąca głowa, zawsze taki był - odezwał się z podziwem stojący za nią mężczyzna. Michael powiedział coś szybko do niego w tamtym nieznanym języku i założył przepaskę na mokre włosy. - Tak - odparł krótko mężczyzna i zwracając się do Sydney, dodał: - Niezbyt dobrze wychowany ten mój syn.

- Ach, to pan Stanislawski? - Sydney spojrzała na jego piękne, silne dłonie, przypominające ręce Michaela.

- We własnej osobie, na imię mam Jurij, syn właśnie mi powiedział, że to pani jest właścicielką tego domu.

- Tak, to ja.

- To bardzo ładny budynek, tylko trochę chory, a my jesteśmy lekarzami.

Mrugnął okiem do syna i dorzucił coś po ukraińsku.

- W porządku, tato, możesz iść do domu na obiad - odpowiedział Michael.

- Chodź i ty, i zabierz ze sobą tę panią, mama na pewno przygotowała tyle, że starczy dla wszystkich.

- Bardzo dziękuję, ale... - zaczęła.

- Dziś nie mam czasu - przerwał jej Michael. Ojciec uśmiechnął się pod wąsem.

- Dziś jesteś wyjątkowo głupi - powiedział po ukraińsku - przecież to przez nią tak się zamartwiałeś cały tydzień.

Michael przetarł twarz rękawem.

- Wcale się nie zamartwiałem. Żadna kobieta nigdy...

- Ale ta owszem - dokończył za niego ojciec - prze-

praszam - dodał już po angielsku - teraz ja jestem niegrzeczny, nie powinienem mówić w języku, którego pani nie zna, to wszystko jego wina. - Pocałował ją w rękę. - Do widzenia, cieszę się, że panią poznałem.

- Ja również. .

- Ubierz się - rzucił synowi już w drzwiach. Michael sięgnął po podkoszulek.

- Bardzo jest miły - zauważyła Sydney uprzejmie, gdy zostali sami.

- Owszem. Chcesz zobaczyć, co robimy?

- Myślałam...

- Okna i okiennice już skończyliśmy - przerwał jej - teraz pracujemy przy instalacji. Wymianę rur zaczniemy w przyszłym tygodniu.

Wyszli na klatkę schodową. Wyprzedził ją nieco i nie stukając, otworzył drzwi sąsiedniego mieszkania.

- Tu mieszka Keely, nie maj ej teraz. Możemy się rozejrzeć.

Pokój Keely upstrzony był kolorowymi malowidłami. Szale i kolorowe fatałaszki pokrywały stare zniszczone meble. Rozpruta ściana w kuchni ukazywała kłębowisko rur.

- Trudno musi być mieszkać w czasie remontu.

- Lepsze to niż pożar, albo zalanie mieszkania. Stare rury były tak skorodowane, że katastrofa mogła się zdarzyć w każdej chwili. Te będą znacznie solidniejsze.

Zajrzała mu przez ramię.

- Tak, widzę.

Uśmiechnął się. Pachniała ślicznie.

- Chodźmy, pokażę ci resztę.

Prowadził ją z piętra na piętro, od mieszkania do mieszkania, pokazując kłębowiska rur i stosy bliżej nieokreślonych przedmiotów z różnych materiałów.

- Nieraz wystarczy zwykła naprawa, ale na ogół trzeba wszystko wymieniać na nowe.

Sydney próbowała nie zadawać pytań w obawie przed kompromitacją. Odzywała się tylko wtedy, kiedy miała pewność, że nie powie nic głupiego.

Robiło się późno. Robotnicy z wolna rozchodzili się do domów, milkły odgłosy pił i młotów. Gdy hałasy ucichły, z wnętrza mieszkań zaczęły dobiegać dźwięki rozmów i muzyki.

- Błękitna rapsodia - powiedziała Sydney, przystając pod jednymi drzwiami.

- To Will Metcalf, muzyk. Gra w zespole.

- Bardzo dobrze gra.

Drewniana poręcz schodów pod jej ręką była sucha i ciepła. To Michael ją zrobił, pomyślała. Naprawiał, łątał, reperował, ponieważ dbał o mieszkających w tym domu ludzi. Znał ich i lubił. Wiedział, kto jest muzykiem, czyje dziecko właśnie płacze, kto piecze na obiad kurczaka.

- Zadowolony jesteś? - zapytała po prostu.

Było w jej głosie coś szczególnego, coś, co sprawiło, że przyjrzał jej się uważnie. Kosmyki włosów opadły jej na czoło, na nosie miała drobne krople potu.

- Tak, ale to ty powinnaś odpowiedzieć na to pytanie. Dom jest twój.

- Nie - powiedziała bardzo smutnym głosem. - Wcale nie jest mój, należy do ciebie. Ja tylko podpisuję czeki.

- Sydney...

- No nic - nie dała mu zacząć zdania - zobaczyłam wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że wszystko jest w absolutnym porządku. - Szybkim krokiem przebyła kilka schodów dzielących ją od wyjścia. - Zadzwoń, jak będziesz miał następne sprawozdanie.

- Poczekaj - krzyknął, chwytając ją za ramię - co się z tobą dzieje? Najpierw wpadasz, jakby cię ktoś gonił, a potem chcesz uciec, smutna, jakby ci ktoś umarł.

Nie, nikt nie umarł. Po prostu nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Do tej pory właściwie nie zdawała sobie z tego sprawy. Dopiero teraz zrozumiała, że choć nie narzekała dotąd na brak towarzystwa, to tak naprawdę nie miała i nie ma wokół siebie nikogo.

Nie ma o kogo się troszczyć, nie ma przyjaciół. Ludzie, którzy ją otaczają, mają swoje problemy i niewiele ich obchodzi, co ona myśli lub czuje. Właściwie nikomu nie jest potrzebna. Dawniej miała Petera, przyjaźnili się, ale małżeństwo wszystko popsuło, teraz zaś nie ma nikogo. Właśnie tu, w tym domu, uświadomiła sobie, jak ludzie mogą żyć razem. Nie obok siebie, tylko - razem. W swoim domu. Bo tak jak powiedziała, ten dom nie jest jej własnością, należy do niej tylko na papierze.

- Wcale nie uciekam i nie jestem smutna - powiedziała - tylko bardzo się przejęłam tym remontem. To moja pierwsza duża inwestycja i chcę to zrobić dobrze. Dla mnie...

- przerwała, bo wydało jej się, że słyszy płacz i wołanie - słyszysz coś?

Michael nic nie słyszał. Od dłuższej chwili myślał tylko o tym, co zrobić, żeby jej nie pocałować.

- Tutaj - wskazała drzwi obok - tak, słyszę wyraźnie... Teraz i on usłyszał. Cichy, zawodzący jęk. Gwałtownie zastukał do drzwi i zawołał, zaniepokojony:

- Pani Wolburg, pani Wolburg! Jest tam pani? Ze środka dobiegł ich słaby głos.

- Mike, pomóż mi...

- O, Boże... - jęknęła z przestraszeniem Sydney, zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, Michael wziął rozpęd

i runął na drzwi. Po chwili oboje znaleźli się w skromnie urządzonej mieszkanie.

- Jestem w kuchni, Mike, dzięki Bogu... - Na podartym linoleum w kuchni leżała starsza, drobna kobieta.

- Nic nie widzę - poskarżyła się - zgubiłam okulary.

- Już dobrze. - Klęknął obok niej i zbadał jej puls, spojrzał w oczy. - Dzwon po pogotowie - rozkazał Sydney, stojącej już przy telefonie - nie można jej podnieść, nie wiemy, co ma złamane.

- Chyba coś z biodrem - powiedziała starszka płaczącym głosem. - Poślizgnęłam się, upadłam i nie miałam siły się podnieść. Krzyczałam, ale taki jest teraz hałas, że nikt mnie nie słyszał, dopiero teraz... Leżę tak od kilku godzin...

- Na szczęście usłyszeliśmy. Teraz wszystko będzie dobrze. - Michael dalej klęczał, rozcierając jej ręce. - Sydney, daj jakiś koc i poduszkę.

Sydney sięgnęła po stary pled, schyliła się i delikatnie uniosła głowę kobiety.

- O tak, teraz będzie lepiej... - Starannie otuliła ją kocem. - Zaraz przyjedzie lekarz.

Po chwili w drzwiach zaczęli zbierać się ludzie.

- Pójdę zobaczyć, co z pogotowiem - oznajmił Michael, a Sydney przysiadła na podłodze obok kobiety i wzięła jej ręce w swoje.

- Bardzo u pani ładnie, sama pani to wszystko zrobiła?

- zapytała z łagodnym uśmiechem.

- Zaczęłam szydełkować, kiedy byłam po raz pierwszy w ciąży. - Pani Wolburg uśmiechnęła się z trudem.

- Ma pani dużo dzieci?

- Sześcioro. Trzy córki i trzech synów. Mam też dwadzieścioro wnucząt - pochwaliła się starszka. - Pięcioro już jest na studiach - przez jej twarz przebiegł skurcz bólu, ale

zaraz opanowała się i znów spróbowała uśmiechnąć - mieszkam sama, bo tak wolę, człowiek jest u siebie.

- Oczywiście.

- Lizzy, moja córka, przeprowadziła się do Arizony, mieszka w Phoenix, a co ja bym robiła w Arizonie? - Przytknęła oczy. - Wszystko dlatego, że zgubiłam okulary, nigdy bym się nie potknęła w okularach. Szłam sobie i zawadziłam o tę dziurę w linoleum. Mike sto razy mi mówił, że trzeba je wymienić.

- No, przyjechali, już idą - Sydney usłyszała za sobą podekscytowany głos Michaela.

- Zadzwońeś do mojego syna, Mike? On zawiadomi resztę rodziny.

- Proszę się tym nie przejmować, wszystko załatwimy. W piętnaście minut później stali w drzwiach kamienicy, patrząc na odjeżdżający ambulans.

- Dodzwoniłeś się do jej syna? - spytała Sydney.

- Zostawiłem wiadomość automatycznej sekretarce. - Wyjrzał przed dom. - Gdzie twój samochód?

- Odesłałam go. Nie wiedziałam, jak długo mi zezdzie, a jest strasznie gorąco. Ale to nic, wezwę taksówkę.

- Tak bardzo się śpieszysz?

- Nie, ale... Chcę jeszcze pojechać do tego szpitala. Włożył ręce do kieszeni spodni.

- Nie musisz tam jechać.

Spojrzała na niego. Zobaczył w jej oczach smutek i ból. Po chwili odwróciła głowę, podniosła rękę i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Nic nie powiedziała, kiedy wsiadł razem z nią.

Sydney nie znosiła szpitalnego zapachu. Odór choroby, środków czyszczących, leków zawsze przyprawiał ją o mdłości. Poza tym wspomnienie choroby dziadka i częs-

tych wizyt w klinice stale było zbyt świeże.

Izba przyjęć miejskiego pogotowia przedstawiała się pod tym względem jeszcze gorzej. Szybko przebyli korytarz wypełniony chorymi i oczekującymi rodzinami i podeszli do okienka.

- Przed chwilą przywieziono tutaj panią Wolburg - zaczęła Sydney.

- Tak, owszem. Jest pani krewną?

- Nie, ale...

- Musimy porozmawiać z kimś z rodziny, pacjentka twierdzi, że nie jest ubezpieczona.

Oczy Michaela rozbłysły niebezpiecznie, lecz Sydney nie dopuściła go do głosu.

- Wszystkie wydatki związane z leczeniem pani Wolburg pokryje firma Hayward Industries - oznajmiła i sięgnęła do torebki po kartę identyfikacyjną. - Nazywam się Sydney Hayward. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pani Wolburg? „

- Właśnie robią jej rentgen. Proszę się zwrócić do doktora Cohena.

Zanim mieli okazję porozmawiać z lekarzem, ponad godzinę siedzieli na szpitalnym korytarzu, pijąc niedobrą kawę z plastikowych kubków. Sydney czuła się przesiąknięta zapachem leków, ludzkiego nieszczęścia i bólu. Oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy. A więc tak właśnie może wyglądać starość, samotność, zależność, brak pomocy, myślała z ponurą miną.

Michael siedział obok bez słowa. Próbował nie zagłębiać się w domysły, jakież to pobudki kierowały postępowaniem Sydney. Po prostu - przyszła tu, bo musiała tak zrobić. W końcu jej firma jest odpowiedzialna za to, co się stało. Najłatwiej było widzieć to w ten sposób.

Z drugiej strony nie mógł jednak zapomnieć, jak zareagowała na wypadek starej kobiety, jak delikatnie się z nią obchodziła, jak rozmawiała, próbując skrócić czas oczekiwania na przyjazd pogotowia. Przede wszystkim jednak nie mógł zapomnieć jej spojrzenia, wtedy, pod domem, kiedy wyszli na ulicę. W jej pięknych oczach malowało się współczucie i ogromne poczucie winy.

- Poślizgnęła się na linoleum - powiedziała Sydney bardzo cicho.

Zwrócił twarz w jej stronę. Spojrzał na nią uważnie. Odezwała się po raz pierwszy od bardzo długiej chwili. Była blada, oczy miała zamknięte.

- Po prostu szła do kuchni we własnym mieszkaniu i upadła, bo podłoga była stara i zniszczona.

- Wyobrażam to sobie. Leżała tak, bezbronna, płakała, próbowała wołać, ale nikt jej nie słyszał. Boże, wszyscy mijali jej drzwi...

- Ale ty nie. Zatrzymałaś się. Firma twojego dziadka...
- ujął jej rękę.

- On był chory - przytrzymała jego rękę w swoich - przez dwa ostatnie lata był bardzo chory, a ja mieszkałam w Europie. Nie wiedziałam, co się tutaj dzieje. Nie pisał, jak bardzo jest źle, bo nie chciał mnie do niczego zmuszać i nic sugerować. Mój ojciec nie żyje, miał więc tylko mnie. Nie chciał mnie martwić. Kiedy wreszcie zadzwonił, było właściwie za późno. Można było tylko odliczać dni do śmierci. - Westchnęła. - Dziadek był dobrym człowiekiem. Nie pozwoliłby na to... ale sam nie był w stanie niczemu zaradzić... Kiedy wróciłam do Nowego Jorku, leżał w szpitalu. Był cierpiący i straszliwie wyczerpany. Powiedział, że jestem ostatnim żyjącym członkiem rodziny, któremu w życiu na czymś zależy, i umarł.

- Robisz, co do ciebie należy. Nikt nie może od ciebie więcej wymagać.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie jestem tego taka pewna.

Znowu zapadła cisza.

Po jakimś czasie przyjechał syn pani Wolburg. Wysłuchał relacji o wypadku i pobiegł do telefonu, aby zawiadomić resztę rodziny. Gdy wrócił, usiadł obok Michaela i Sydney i razem czekali na pojawienie się lekarza.

Doktor Cohen wyszedł do nich bardzo późno. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowali, że stan chorej jest poważny. U pani Wolburg stwierdzono złamanie szyjki udowej i wstrząs mózgu. Na razie, tłumaczył, chora bezwzględnie musi pozostać w szpitalu. W jej wieku konsekwencje upadku mogą okazać się bardzo poważne.

Sydney zostawiła lekarzowi swój domowy numer telefonu, prosząc jednocześnie, aby informowano ją regularnie o stanie zdrowia pacjentki. Pożegnała się z synem pani Wolburg, po czym zaszepiona wyszła ze szpitala Michael podążył za nią.

- Musisz być głodna - zagadnął, gdy znaleźli się na zewnątrz.

- Nie, wcale nie czuję głodu - odpowiedziała, pogrążona w niewesołych myślach.

- Dlaczego zawsze musisz być przeciwnego zdania?

- Nie zawsze.

- Widzisz, znowu przecyzysz. Musisz coś zjeść.

Nie zareagowała tak gwałtownie, jak się spodziewał. Wydawała się zbyt przygnębiona, żeby się gniewać. Jej spokój niepokoił go coraz bardziej.

- Dlaczego uważasz, że wiesz, co muszę robić?

- Bowiem.

Przystanął gwałtownie. Ujął jej twarz w obie ręce.

- Boże, ale ty jesteś piękna.

Zaskoczona, zamrugła oczami. Michael puścił jej twarz, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Może jesteś okropna - mówił, prowadząc ją przez ulicę, nie zwracając uwagi na światła i samochody - może jesteś wyniosła, może jesteś snobką, ale...

- Wcale nie jestem - przerwała mu, a on powiedział coś w ojczystym języku. - Nie jestem snobką - powtórzyła. - Tylko tobie się tak wydaje, uważasz, że muszę być snobką, ponieważ pochodzimy z różnych środowisk.

Spojrzał na nią z mieszaniną zdziwienia i ciekawości.

- W takim razie nie przeszkodzi ci, jeśli wstąpimy tutaj coś przekąsić.

Wprowadził ją do narożnego baru, gdzie zapach grilla mieszał się z krzykami rozmów. Usiedli gdzieś z boku, bardzo blisko siebie.

- Mówiłam ci, że nie jestem głodna.

- A ja ci mówiłem, że jesteś snobką i do tego kłamiesz. Zaczerwieniła się. Wyglądała jeszcze ładniej.

- Chcesz usłyszeć, co ja myślę o tobie?

Nie mógł się opanować. Musiał dotknąć jej policzka. Na szczęście podeszła kelnerka i uratowała ją z opresji.

- Dwa steki i do tego co tam dziś macie - rzucił krótko Michael.

- Nie lubię, gdy mężczyzna zamawia w moim imieniu - powiedziała Sydney po odejściu dziewczyny.

- Następnym razem ty zamówisz dla mnie i będziemy kwita - odparł lekko. - Dlaczego nie zdejmiesz zakietu? Przecież jest ci za gorąco.

- Przestań mi mówić, co mam robić. I przestań to robić.

- Co?

- Bawić się moimi włosami.

- Po prostu głaszczę cię po karku, bardzo mi się podoba twój kark.

- Odsuń się.

- Proszę bardzo - przysunął się jeszcze bliżej - czy tak jest dobrze?

Tylko spokojnie, powtarzała sobie w myślach. Musi zachować spokój. Spokój i opanowanie. Odwróciła głowę.

- Jeśli natychmiast... Zamknął jej usta pocałunkiem.

- A teraz ty mnie pocałuj - powiedział zuchwale. Próbowwała odsunąć głowę, ale nie mogła - Chcę widzieć, jak to robisz - dodał - wtedy zrozumie.

- Nie ma nic do rozumienia.

Pocałował ją znowu. Położyła dłoń na jego włosach.

Wszystko działo się zbyt szybko. Wszystko. Czowała tylko jego usta, jego zęby, język...

- Przepraszam, że przeszkadzam - kelnerka stanęła nad nimi z talerzami - zaraz podam steki.

Sydney odrzuciła włosy do tyłu. Stale jeszcze ją obejmował, jakby się bał, że mu ucieknie. Nie próbowała się wrywać. Jej ciało samo lgnęło do jego ciała. Miejsce, w którym byli, nie miało znaczenia, nieważne też było, że dokoła siedzą ludzie.

Michael uniósł puszkę z piwem.

- Było lepiej niż ostatnim razem.

- W ogóle nie chcę o tym mówić.

Zamierzał powiedzieć coś więcej, postanowił jednak ustąpić. Nie chciał jej zranić. Począł, aż kelnerka postawi przyniesione dania, i dopiero wtedy się odezwał:

- W porządku. Miałaś zły dzień - powiedział tak łagodnym tonem, że spojrzała na niego zdumiona - nie chcę ci

dokładać.

- To był zły dzień dla wszystkich - odpowiedziała powoli, jakby ważyła słowa - dobrze więc, że się skończył.

- Bardzo dobrze - z uśmiechem podał jej sztucce - a teraz jedz. Zasłużyliśmy na obiad.

- Tak - powiedziała i nagle odkryła, że naprawdę jest głodna.

Sydney nie wiedziała, w jaki sposób wiadomość o wypadku Mildred Wolburg dostała się do prasy, ale przez cały czwartek dziennikarze nie przestawali dzwonić do jej biura. Kilku najbardziej wytrwałych oblegało drzwi prowadzące do wieżowca Hayward Building i rzuciło się na nią, kiedy tylko ukazała się na zewnątrz.

W piątek otwarcie zaczęto mówić o milionowych inwestycjach poczynionych przez firmę oraz zaniedbaniach w zakresie bieżących napraw należących do niej kamienic. Sydney musiała odbyć kilka nieprzyjemnych rozmów z członkami rady nadzorczej. Obciążenie przedsiębiorstwa kosztami leczenia staruszki było równoznaczne z przyznaniem się do winy i wyrażeniem opinii, że Hayward Industries jest odpowiedzialna za złe warunki, w jakich żyją jej lokatorzy. Prasa szeroko rozpisywała się o całej sprawie, co tylko pogarszało sytuację. Firma zyskiwała z ł a sławę, a to szkodziło jej interesom.

Sydney przygotowała odpowiednie oświadczenie dla prasy i zgodziła się na zwołanie posiedzenia rady nadzorczej w trybie natychmiastowym. Niech się dzieje, co chce.

Rada zadecyduje, czy może w dalszym ciągu piastować funkcję prezesa, czy nie.

Myśl o tym zaprzętała jej głowę, kiedy szła w stronę szpitala, z paczką książek w jednej i doniczkowym kwiatem w drugiej ręce.

Pod drzwiami pani Wolburg zatrzymała się na chwilę. Wiedziała, że na pewno kogoś u niej zastanie. Pacjentka nie lubiła być sama i zwykle przy jej łóżku można było spotkać kilku członków rodziny, przyjaciół lub któregoś z lokatorów. Znała ten obyczaj, ponieważ odwiedzała starszą panią już po raz trzeci. Tym razem ujrzała Michaela, Keely i dwoje

spośród sześciorga dzieci pani Wolburg.

Michael spojrział na wchodzącą. Niezręcznie manewrowała doniczką i wysuwającymi się z paczki książkami.

- Oho, widzę, że ma pani gości, pani Wolburg - powiedział.

- Witaj, Sydney, przyniosłaś mi nowe książki?

- Tak, pani wnuk powiedział mi, że uwielbia pani czytać. - Sydney położyła książki na stoliku i ujęła wychudzoną dłoń staruszki.

- Zawsze mówię, że więcej czytam niż jem. - Pani Wolburg uściśliła słabo dłoń Sydney. - Jaki piękny kwiat!

- Widziałam, że ma pani w domu całą oranżerię - poczuła się swobodniej, słysząc, że obecni wracają do przerwanej rozmowy - a kiedy tu byłam ostatnim razem, ten pokój też wyglądał jak ogród. - Rozejrzała się. Kwiaty były wszędzie - stały w wazonach, słoikach, w koszach. - Przyniosłam alpejskie fiołki.

- Zawsze lubiłam kwiaty i wszystko, co rośnie. Postaw to tu, na szafce, dobrze? Obok tych róż i konwalii.

- Strasznie jest rozpieszczana - zwróciła się żartobliwie córka pani Wolburg do swojego brata. - Kwiaty, prezenty, słodczyce. Wygląda na to, że możemy raz na zawsze pożegnać się z domowymi ciasteczkami.

- Wcale nie - pani Wolburg zaprzeczyła i poprawiła się na łóżku. - Mike właśnie mi powiedział, że dostałam nowy piecyk, taki nowoczesny, co niczego nie przypała.

- To prawda - potwierdził Michael. - Jako pierwszy zamawiam ciasto czekoladowe. - Wstał i podszedł do wazonu z różami.

- Błagam - Keely położyła sobie rękę na brzuchu - nie przy mnie. Jestem na diecie. W przyszłym tygodniu mają

mnie zamordować i muszę na tę okazję cudownie wyglądać. Ano tak... Nie wszyscy wiedzą. Gram w serialu - wyjaśniła, widząc zdumienie na twarzy Sydney - pierwszy raz w życiu. Mam być trzecią ofiarą pewnego psychopaty. Będzie mnie dusił w samej bieliźnie. Cóż, takie są wymogi show biznesu.

Sydney uśmiechnęła się szeroko. W tym roześmianym towarzystwie czuła się wesoło, ale też nieco nieswojo i obco. Jakby nie do końca pasowała do tych ludzi. Postanowiła więc nie przeszkadzać im swoją osobą i, przepaszając, że musi już iść, zaczęła się żegnać. Wpadła tylko na chwilę, bardzo cieszy ją, że zastała panią Wolburg w lepszym stanie, z pewnością jeszcze ją odwiedzi...

- Bardzo jesteś kochana, żeś zajrzała - pani Wolburg podziękowała jej serdecznie.

Sydney pocałowała ją w policzek i wyszła z pokoju. Michael, który wcześniej wyjął żółtą różę z wazonu, dogonił ją przy windzie.

- Może ci się przyda - podał jej różę.

- Bez kolców - uśmiechnęła się melancholijnie - dziękuję.

- Dlaczego jesteś smutna?

- Nie jestem. - Nacisnęła guzik, przywołując windę.

- Nie oszukuj, my artyści znamy się na nastrojach. - Ujął ją pod brodę. - Widzę przygnębienie, zmęczenie i smutek.

Dzwonek windy wybawił ją z niezręcznej sytuacji, ale tylko na chwilę. Michael bowiem wszedł do windy wraz z nią, a że w środku panował tłok, musiała stanąć bardzo blisko niego. Chyba że wołałaby przytulić się do pewnej otyłej kobiety z paczką ciastek w dłoni. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że powinno się zakazać używania złych perfum przed wejściem do windy. Tak jak palenia papierosów w

miejscu publicznym.

- Miałaś w rodzinie jakąś Cygankę?

- Oczywiście.

- To lepiej popatrz w szklaną kulę, zamiast analizować moje nastroje.

Winda zatrzymywała się na każdym piętrze. Ludzie wychodzili i wchodzili, wciąż panował nieludzki ścisk. Sydney stała nieomal wbita w Michaela, a on, jak gdyby było to najnormalniejszą rzeczą na świecie, obejmował ją wpół. Nie przestał jej obejmować nawet wtedy, gdy wyszli z windy. Udała, że tego nie dostrzega.

- Prace postępują - powiedział.

- To bardzo dobrze - odparła z roztargnieniem. Za kilka dni może przestać mieć na ich przebieg jakikolwiek wpływ. Jeżeli rada nadzorcza odsunie ją od zarządzania, tak właśnie będzie.

- Elektrycy wszystko sprawdzili, w przyszłym tygodniu kończymy prace hydrauliczne. - Michael wyraźnie próbował zainteresować ją tym tematem. Niestety, bezskutecznie. - Zamierzamy również reperować dach. Pomalujemy go na niebiesko.

- Świetnie - zatrzymała się i spojrzała na niego w zamysleniu - doskonały pomysł, i oryginalny.

- A więc jednak słuchasz, co mówię?

- Staram się. - Przyłożyła dłoń do pulsującej bólem skroni. - Przepraszam, ale mam mnóstwo problemów.

- Opowiadaj.

Właściwie czemu nie? - pomyślała. Dlaczego nie miałyby się zwierzyć właśnie jemu? Z matką o tych sprawach mówić nie może. Margerite nie nadaje się do tego typu rozmów. Tym bardziej Channing. Chyba nikt z jej przyjaciół nie byłby w stanie teraz jej zrozumieć. Zwłaszcza że Sydney

nie rozumiała samej siebie.

- Właściwie nie ma o czym - powiedziała i szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu.

Jak mogła przypuszczać, że pozwoli jej tak odejść, z tym smutkiem w oczach, przygnębieniem wyczuwalnym w każdym słowie, w każdym ruchu, emanującym z całej jej postaci...

- Może byś mnie podwiozła? - zaproponował. Spojrzała na niego poważnie. Stale miała w pamięci powrotną jazdę z domu matki. Tym razem jednak Michael uśmiechał się przyjacielsko i pogodnie, bez cienia złośliwości. Poza tym droga była niedaleka.

- Oczywiście - zgodziła się od razu. - Podwieziemy pana Stanisławskiego na Soho - zwróciła się do szofera.

Wewnątrz samochodu siedziała daleko od Michaela, tuż przy samym oknie.

- Pani Wolburg wygląda całkiem nieźle - powiedziała tonem towarzyskiej pogawędki.

- Tak, to silna kobieta.

Tym razem Mozart, pomyślał, słysząc delikatne dźwięki muzyki, które sączyły się z zainstalowanych w samochodzie głośników.

- Lekarz mówi, że niedługo będzie mogła wrócić do domu, na razie do syna.

- Mhm. A ty zamówiłaś jej fizykoterapeutę, będzie do niej przychodził.

Spojrzała na niego zdziwiona. Przełożyła rózę z ręki do ręki.

- Sama mi powiedziała - wyjaśnił Michael - stąd to wiem - A potem, jak wróci do siebie, będzie miała do dyspozycji pielęgniarkę, przez całą dobę, dopóki całkiem nie wydobrzeje.

- O co ci chodzi? Przecież nie zamierzam grać roli dobrej Samarytanki, robię tylko, co do mnie należy - powiedziała, jakby chciała się usprawiedliwić, choć właściwie sama nie wiedziała dlaczego.

- Wiem. Widzę, że bardzo przejmujesz się jej losem. Ale to nie jest jedyny twój kłopot, prawda? Powiedz, czy chodzi o to, co wygadują w telewizji?

Sydney nagle zeszywniała.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówią i piszą, nie zamierzam...

- Rozumiem - powiedział spokojnie. - Pamiętaj, że byłem tam i że widziałem, jak się z nią obchodziłaś po wypadku.

Sydney westchnęła głęboko.

- I co z tego? Stała się jej krzywda i nie da się tego cofnąć. Nie sądzę jednak, że jej cierpienie powinno być tematem gazetowych sensacji. To zupełnie niepotrzebne. No, ale trudno - ja zrobiłam to, co uważałam za stosowne, i nie obchodzi mnie, co się będzie pisać i mówić na ten temat.

- Stoisz na czele firmy.

- Na razie. - Odsunęła szybę, stali już pod domem Michaela. - Widzę, że zaczęliście prace na dachu.

- Owszem. - Przechylił się i otworzył drzwi od jej strony. Przez chwilę byli bardzo blisko siebie. Poczula nagle nieprzepartą chęć dotknięcia jego policzka, tam gdzie czernił się cień zarostu. - Wejdz do mnie na chwilę, chciałbym ci coś pokazać - poprosił ją łagodnie.

- Już prawie szósta, muszę...

- Tylko na godzinę, szofer może po ciebie wrócić, prawda?

- Właściwie... tak. - Nie była pewna, czy zrobi dobrze, jeśli zgodzi się wejść na górę, po chwili wahania powiedziała

jednak: - W porządku, ale nie zostaną dłużej niż pół godziny.

Przecież sensowniej będzie posiedzieć u niego - próbowała tłumaczyć sobie własną decyzję - niż wracać do pustego mieszkania i dręczyć się myśleniem o tym, co postanowi rada nadzorcza. Zamówiła szofera na siódmą i poszła z Michael'em w stronę domu.

- Widzę, że inne rzeczy też już naprawione.

- Trzeba to kończyć jak najszybciej, ludziom trudno żyć w tym rozgardiaszu. - Przywitał się z mężczyznami siedzącymi przy wejściu, po czym znów zwrócił się do niej: - Pojedziemy windą. Już zreperowana i sprawdzona. Sydney przypomniała sobie wspinaczkę na piąte piętro.

- Boże, jak dobrze!

Weszli do windy, drzwi zasunęły się bezszelestnie.

- Wygląda teraz znacznie lepiej - powiedział, kiedy ruszyli - poza tym człowiek nie ryzykuje, że spędzi całą noc pomiędzy piętrami.

- Rzeczywiście, działa świetnie.

Winda zatrzymała się płynnie i drzwi rozsunęły się przed nimi. Ściana na piątym piętrze w dalszym ciągu była płataniną rur.

- Tym zajmiemy się później, jak skończymy z dachem.

- Lokatorzy nie będą się skarżyć? - podtrzymała zwyczajny, obojętny ton rozmowy. - Życie podczas remontu to rzeczywiście musi być koszmar.

- Fakt, jest trochę niewygodnie. Ale wszyscy tak bardzo podnieceni są faktem, że wreszcie coś się robi, że cierpliwie czekają na koniec robót. Na przykład pan Struben, z trzeciego piętra, codziennie rano, przed wyjściem do pracy, zagląda do mnie i mówi: „ty to naprawdę jesteś złota rączka, Michael”. Kiedyś dam mu młotek do ręki, niech sam popróbuje.

Wyjął klucze. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

- Wejdz, proszę. Siadaj.

Rozejrzała się. Wszystkie sprzęty zostały zepchnięte w jeden kąt. W pokoju królował wielki stół, pokryty kawałkami drewna. Wszędzie unosił się zapach trocin i terpentyny.

- Gdzie?

Michael zatrzymał się w drodze do kuchni i spojrzał na nią stropiony. Po chwili wahania wyciągnął ze sterty mebli drewniany fotel na biegunach.

- Choćby na tym.

Usiadła. Fotel był nadszpiewanie wygodny. Sydney czuła się tak, jakby delikatne, gładkie drewno obejmowało ją, dostosowując swoją formę do jej kształtów. Delikatnie zakłósała się, raz, drugi, trzeci.

- Jest cudowny.

- Zrobiłem go dla mojej siostry - dobiegł ją z kuchni jego głos - wiele lat temu, kiedy spodziewała się dziecka. Potem jej córeczka, Lily, umarła, zabrałem go więc, żeby na niego nie patrzyła.

- To straszne - ruch biegunów ustał - rodziców chyba nie może spotkać nic gorszego.

- Z pewnością. Natasza nigdy nie zapomniała o Lily. - Wszedł, niosąc butelkę wody i szklanki. - Całe szczęście, że ma jeszcze trójkę dzieci, w ten sposób ból zmieszał się z radością. - Podał jej szklankę, napełnił wodą, sięgnął po aspirynę. - Weź to, boli cię głowa.

Poczuła, że wciska jej w dłoń dwie pigułki. Rzeczywiście, głowa bardzo jej dokuczała, ale przecież nic na ten temat nie mówiła.

- Trochę. Ale skąd wiesz, że mnie boli?

- Widzę po oczach. - Poczekał, aż połknie lekarstwo, po czym stanął z tyłu za fotelem i ujął jej głowę w dłonie. -

Boli, i to bardzo - powiedział, masując delikatnie jej skronie.

Powinna była kazać mu przestać, ale nie potrafiła. Oparła się wygodnie, odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i poddała się kojącemu dotykowi jego palców.

- Właśnie to chciałeś mi pokazać? Twój sposób na ból głowy? - zapytała, a jemu zdało się, że w jej głosie słyszy smutek.

- Nie tylko, mam też coś innego, ale z tym trzeba poczekać, aż poczujesz się lepiej. A teraz opowiedz mi, co cię trapi. Może będę mógł pomóc.

- Nie sądzę. Ta sprawa dotyczy tylko mnie.

- Ale chyba możesz powiedzieć mi, o co chodzi. Nie, pomyślała. Ta sprawa naprawdę dotyczy tylko jej, dotyczy jej własnej przyszłości. Zaraz jednak pojawiła się inna myśl, łaskawsza dla Michaela i jego starań: Czy stanie się coś, gdy wyrzuci z siebie wszystko i wysłucha czyjejś opinii?

- Nic takiego. Biurowe sprawy - powiedziała, kiedy zaczął masować jej kark. Jego duże, szorstkie ręce były delikatne i czułe, jak ręce matki. - Pewnie ktoś z większym doświadczeniem poradziłby sobie z tym bez kłopotu, ale ja mam za sobą tylko nazwisko i wolę mojego dziadka. Sprawa pani Wolburg bardzo osłabiła moją pozycję w firmie. Wzięłam na siebie odpowiedzialność za wypadek, nie konsultując się z nikim. Rada nadzorcza jest wściekła.

Jego oczy pociemniały.

- Dlatego że starasz się zachować przyzwoicie?

- Dlatego że działam niekonwencjonalnie, jak to się mówi. Kampania prasowa jeszcze wszystko pogorszyła. Gdybym miała więcej doświadczenia, rozegrałabym to znacznie lepiej. A tak nie udało mi się sprawy wyciszyć i zaczęły się problemy. Rada ma się zebrać w piątek, wtedy podejmą decyzję, czy mam podać się do dymisji, czy nie.

- A podałaś się?

- Sama nie wiem - masował teraz jej plecy - chyba bym walczyła, lecz to skomplikowałoby tylko sytuację w firmie. Walka prezesa z radą nigdy nie wychodzi przedsięwzięciu na dobre. Do tego moje stosunki z wiceprzewodniczącym nie są najlepsze. Jest przekonany, może i słusznie, że to on powinien zasiadać na moim miejscu. - Roześmiała się. - Zresztą, może rzeczywiście tak byłoby lepiej. Ostatnio zaczynam tak myśleć.

- Wcale tak nie myślisz. - Powstrzymał się, żeby nie pocałować jej w smukły kark. - Jesteś dobrym szefem i dobrze o tym wiesz.

Sydney przestała się bujać i odwróciła ku niemu głowę.

- Jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi. Wszyscy dokoła uważają, że mnie to po prostu bawi, albo że to coś w rodzaju nieszkodliwej manii.

Delikatnie ześlizgnął dłonie po jej ramionach i stanął naprzeciwko niej.

- Po prostu cię nie znają.

Spojrzała mu w oczy. Ogarnęło ją dziwne uczucie wdzięczności. Nareszcie ktoś ją rozumie...

- Może rzeczywiście mnie nie znają.

- Nie będę ci dawał dobrych rad - powiedział, ujmując jej rękę. - Nie znam się na zarządzaniu ani na relacjach między kierownictwem a radą nadzorczą. Mogę ci powiedzieć tylko jedno: jesteś bardzo mądra i masz dobre serce.

Nieświadomie zacisnęła palce na jego dłoni i w tej samej chwili zrozumiała, że właśnie połączyło ich coś znacznie silniejszego, nie tylko chwilowy uścisk złączonych dłoni. Ta świadomość uspokoiła ją i wlała otuchę w jej serce.

- Teraz będę wiedziała, gdzie szukać prawdziwej rady.

- Polecam się na przyszłość - spojrzał jej głęboko w oczy - ból głowy już przeszedł, prawda?

Zaskoczona, uniosła rękę ku skroni.

- Tak. - Czuła się znacznie lepiej, odprężona i wolna od złych myśli. - Mógłbyś zrobić majątek. Masz naprawdę cudowne ręce.

Uśmiechnął się i znowu położył dłonie na jej ramionach.

- Po prostu trzeba wiedzieć, jak się nimi posługiwać. I robić to we właściwym czasie.

Przypomniała sobie nagle scenę w samochodzie. Spłoszyła się na to wspomnienie.

- Tak... a teraz... - zaczęła, czując, że coś z tamtych doznań powraca - teraz bardzo ci dziękuję, muszę już iść.

- Zaczekaj. Masz jeszcze czas - jego dłonie ześlizgnęły się po jej ramionach - nie dałem ci jeszcze prezentu.

- Prezentu?

Przykucnął naprzeciwko niej. Ich twarze znalazły się teraz na wprost siebie.

- Nie lubisz prezentów, księżniczko? - W jego głosie było coś niepokojącego.

- Chodzi ci o... o sprawozdanie? Ujął przeguby jej dłoni i odpowiedział:

- Sprawozdanie mogę wysłać pocztą, chodzi o coś innego.

- O coś innego... - powtórzyła jak echo, wpatrując się w niego jak pacjent w swego hipnotyzera.

Roześmiał się i puścił jej ręce. Po chwili wstał i podszedł do półek. Sydney wciąż siedziała bez mchu. W chwilę później znów był przy niej. „W dłoniach trzymał rzeźbę Kopciuszka.

- To dla ciebie.

- Ale ja... nie mogę...

- Nie podoba ci się?

- Nie, to znaczy tak, bardzo mi się podoba, ale dlaczego mi ją dajesz? - Uniosła ku niemu oczy, palcami pogłaskała gładką powierzchnię drewna. - Dlaczego mi ją dajesz? - powtórzyła.

- Bo bardzo mi ciebie przypomina. Jest śliczna, delikatna i niezbyt pewna siebie.

- Ktoś mógłby powiedzieć - romantyczna.

- To prawdopodobne. W każdym razie ucieka, bo nie wierzy w siebie. Uważa, że te same reguły obowiązują zawsze i wszędzie. Że skoro wybiła północ, to trzeba wyrwać się z ramion księcia i uciekać. Bo takie są reguły tej gry.

- Musi uciekać, przecież przyrzekła. Zresztą nie chce, żeby zobaczyli ją w starej poplamionej sukience.

Michael przyjrzał jej się uważnie.

- Naprawdę sądzisz, że jego obchodzi, jak jest ubrana?

- Nie, wcale tak nie uważam.

Wzięła głęboki oddech. To było idiotyczne, stać tak i roztrząsać cechy charakteru jakiejś postaci z bajki.

- W każdym razie wszystko dobrze się skończyło i chociaż naprawdę nie mam nic wspólnego z Kopciuszką, chętnie zachowam tę figurkę.

- Świetnie, chodź więc, odprowadzę cię. Nie możesz się spóźnić na kolację z matką.

- Ona i tak się spóźni, zawsze się spóźnia. - Sydney zatrzymała się już w progu. - A skąd ty właściwie wiesz, że spotykam się z matką?

- Powiedziała mi dwa dni temu. Spotkaliśmy się w mieście na kawie.

Sydney osłupiała.

- Umówiłeś się z moją matką?

- Tak, ale zanim mnie zamordujesz, powiem jeszcze, że nie mam wobec pięknej Margerite żadnych złych zamiarów. W ogóle nie mam wobec niej żadnych zamiarów, także seksualnych, jeśli o to ci chodzi.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, bardzo... - Stała przed nim, obracając w rękach drewnianą figurkę, którą przed chwilą dostała od niego w prezencie. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. - Przecież się umówiliśmy, że zostawisz ją w spokoju.

- Nie zawieraliśmy żadnych umów, a ja nie robię nic złego. - Nie chciał jej zdradzać, że Margerite dzwoniła do niego trzy razy, zanim wreszcie dał się namówić. - To było takie sobie przyjacielskie spotkanie. Margerite, podobnie jak ja, uważa, że to powinno nam wystarczyć. Zwłaszcza że mam pewne, i to całkiem poważne, zamiary wobec jej córki, także seksualne, jeśli o to ci chodzi.

Nagle zaschło jej w gardle. Z trudem przełknęła ślinę.

- To bez sensu - zdołała z siebie wykrztusić! - Nie masz żadnych poważnych zamiarów. Chodzi ci jedynie o to, żeby po raz... nie wiem, pewnie setny udowodnić swą męskość.

Oczy Michaela rozbłysły.

- Może wrócisz na chwilę do środka, żebym ci udowodnił, o co naprawdę mi chodzi.

- Nie. - Wbrew własnej woli zrobiła krok do przodu, przekraczając linię progu. - Żądam tylko, żebyś raz na zawsze zostawił w spokoju moją matkę. Zrozumiałeś?

Michael nie był całkiem pewien, czy Margerite życzyłyby sobie wstawiennictwa córki w tej akurat sprawie. Podobnie jak było raczej wątpliwe, żeby Sydney kiedykolwiek zrozumiała, że to właśnie jej matka zainteresowana jest przelotnym romanssem z młodym

człowiekiem, on zaś próbuje tylko osłabić jej zapędy.

- Skoro nie chcesz wejść do środka, powiem ci jedno i zapamiętaj to sobie raz na zawsze: nie jestem, nie byłem i nie będę zainteresowany twoją matką, w żaden sposób. Jesteś zadowolona?

- Byłabym, gdybym mogła ci wierzyć.

- Ja nigdy nie kłamię - wycedził przez zęby. Spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

- Dosyć tej komedii. Daj sobie spokój z tym wszystkim, i nie sprowadzaj mnie na dół, znam drogę.

Odwróciła się i powoli poszła w stronę windy. Czowała, że Michael odprowadza ją wzrokiem, nie odwróciła się jednak.

W samo południe zasiadła na honorowym miejscu za długim prezydialnym stołem. Po obu jego stronach zajęła miejsca rada nadzorcza złożona z dziesięciu mężczyzn i dwóch kobiet. Przed każdym członkiem rady, na lśniącym, orzechowym blacie, spoczywała teczka, pióro i zatemperowany ołówek. Na tle granatowego nieba za oknem majaczyły sylwetki wieżowców.

Sydney czuła się podle. Zupełnie jak zła uczennica wezwana przed oblicze dyrektora szkoły.

Spojrzała na twarze obecnych. Niektórzy z nich zasiadali za tym stołem jeszcze w czasach, kiedy jej nie było na świecie. Inni pamiętali, jak tu przychodziła i wdrapywała się dziadkowi na kolana. Może choć oni okażą się bardziej wyrozumiali...

Kątem oka dostrzegła fałszywie uśmiechniętą twarz Lloyda. Ogarnęła ją złość i bezsilność. Nie, nie, nie. Nie może tak łatwo się poddać, trzeba walczyć. Trzeba walczyć i wygrać.

- Panie i panowie - zaczęła donośnym głosem. Szepty

z wolna ucichły i mogła mówić dalej. - Zanim rozpoczniemy dyskusję, chciałabym złożyć pewne oświadczenie.

- Dałaś już jedno oświadczenie, dla prasy - odezwał się sucho Lloyd. - Wszyscy obecni znają twoje zdanie.

Rozległ się zmieszany gwar głosów, zdziwionych, pytających, aprobujących. Poczekala, aż ucichną, i znowu zabrała głos.

- Mimo to, jako przewodnicząca firmy i właścicielka największej ilości udziałów, pozwolę sobie powiedzieć kilka słów. - Czuła na sobie baczne spojrzenia kilkunastu par oczu. Było w nich oczekiwanie i zaciekawienie. - Jak rozumiem, rada jest zaniepokojona wysokością sumy przeznaczanej na remont pewnego budynku w Soho. Wiemy, że choć w całości dochodów firmy roczne czynsze pobierane od lokatorów tego domu stanowią znikomy procent, to jest to mimo wszystko dochód stały. W ciągu ostatnich dziesięciu lat firma w obiekt ten prawie w ogóle nie inwestowała. Nie muszę w tym gronie przypominać, że w tym samym czasie wartość nieruchomości w tej okolicy znacznie wzrosła. Można zatem przypuszczać, że suma przeznaczona na remont zamortyzuje się w krótkim czasie i per saldo firma nie poniesie z tego tytułu żadnych strat. - Zaschło jej w gardle. Chciała sięgnąć po szklanekę z wodą, bała się jednak, że drżenie rąk zdradzi, jak bardzo jest zdenerwowana. - Sądzę ponadto - mówiła dalej - że nasze przedsiębiorstwo ma moralny obowiązek zapewnić ludziom mieszkającym w naszych domach godziwe warunki życia.

- Godziwe warunki można by im zapewnić za połowę tej sumy - przerwał jej Lloyd.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- W pewnym sensie ma pan rację, panie Lloyd. Sądzę jednak, że mój dziadek życzyłby sobie, żeby sprawy załatwione były jak najlepiej. Zawsze stawiał firmie bardzo

wysokie wymagania. Ja zamierzam robić to samo. Nie będę państwu zabierać czasu przytaczaniem liczb. Dokładne dane znajdą państwo w teczkach. Poszczególne punkty możemy za chwilę omówić, teraz pragnę tylko podkreślić jedno: koszty remontu są wysokie, ale tego wymaga status i dobre imię naszej firmy.

- Posłuchaj, Sydney - spojrzały na nią życzliwe oczy Howarda Kellera, najstarszego udziałowca i przyjaciela dziadka - zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że działasz z bardzo szlachetnych pobudek. Niemniej musimy się poważnie zastanowić nad twoimi posunięciami w wiadomej sprawie. Mamy ostatnio fatalną prasę, nasze akcje spadły o trzy procent, sytuacja jest naprawdę poważna. Firmie grożą poważne konsekwencje finansowe.

- Wiadoma sprawa, jak ją łaskawie nazwałeś - powiedziała nieprzejednanym tonem - to stara, osiemdziesięcioletnia, samotna kobieta ze złamaną nogą Przewróciła się we własnej kuchni, bo nie wymieniliśmy linoleum we właściwym czasie.

- Ano właśnie! Oto najlepszy przykład - głos Lloyda zabrzmiał niczym sędziowski werdykt - nieprzemyślanej wypowiedzi, która stawia firmę w niedogodnej, delikatnie mówiąc, sytuacji prawnej. Przecież, jak wszyscy wiemy, decyzje dotyczące ubezpieczenia powinni podejmować specjaliści po wnikliwym rozpatrzeniu konkretnego przypadku i wszystkich towarzyszących mu okoliczności. Tutaj nie wolno kierować się emocjami. Panna Hayward może się prywatnie przejmować losem biednej staruszki, ale nie powinno to wpływać na jej działania jako prezesa firmy. Teraz, kiedy mamy przeciwko sobie opinię publiczną...

- Swoją drogą to ciekawe - przerwała mu Sydney - w jaki sposób prasa dowiedziała się o wypadku tak wcześnie. W

dwa dni po tym, jak nikomu nie znana starsza pani upadła w swoim mieszkaniu, trąbiły już o niej wszystkie największe gazety.

- Może sama je o tym poinformowała.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się zjadliwie.

- To teraz nie jest najważniejsze - wtrącił Mavis Trelane - faktem jest, że prasa dowiedziała się o wypadku i nastawiła przeciwko nam opinię publiczną. Akcje lecą w dół i trzeba coś z tym zrobić.

- Czy ktoś z obecnych naprawdę sądzi, że nasza firma nie ponosi żadnej odpowiedzialności za wypadek pani Wolburg? - zapytała dramatycznie Sydney.

- Nieważne, co myślimy - zgasił ją Mavis. - Zresztą nikt z nas nie może wydać ostatecznego sądu przed uzyskaniem opinii biegłych, badających przebieg wypadku. Dopiero wtedy...

Wypowiedź przerwało stukanie do drzwi. Sydney zmarszczyła brwi.

- Przepraszam - powiedziała, wstała i podeszła do wyjścia - Janine, prosiłam przecież, żeby mi nie przeszkadzano - przypomniała surowym głosem.

- Bardzo panią przepraszam - odezwała się ściszym głosem sekretarka - ale to bardzo ważne. Przed chwilą dzwonił do mnie kolega, pracuje w telewizji, za chwilę ma być transmisja ze szpitala i rozmowa z panią Wolburg.

Po chwili wahania Sydney skinęła głową.

- Dziękuję ci, Janine.

- Powodzenia, panno Hayward.

Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi. Dobre życzenia przydadzą się na pewno. Z poważną miną wróciła do stołu.

- Właśnie się dowiedziałam, że pani Wolburg będzie składać oświadczenie w „wiadomej sprawie”. Jeśli państwo

pozwołą, włączę telewizor, to może być interesujące.

Nie czekając, co postanowią, wcisnęła przycisk. Przy wtórze protestów Lloyd'a, mówiącego, że rada ma ważniejsze sprawy niż oglądanie telewizji, kanał 6 rozpoczął relację z wizyty w szpitalu u pani Wolburg. Śliczna młoda reporterka zapytała na wstępie, jak doszło do fatalnego w skutkach wypadku. Członkowie rady mieli okazję wysłuchać, jak to starsza pani potknęła się o zniszczone linoleum, upadła i leżała kilka godzin, bo z powodu hałasu panującego w budynku nikt nie słyszał jej wołania o pomoc.

- Czy zatem pani zdaniem - pytała, dalej wysłanniczka kanału 6 - winę za zły stan podłogi ponosi firma Hayward?

- Oczywiście. Mike, to znaczy pan Stanisławski, stale do nich pisał, żeby coś zrobili.

- I nic nie zrobiono?

- Nic. Kiedy na przykład państwu Kowalskim spod numeru 101 odpadł kawał sufitu, to Michael sam wszystko zakleił gipsem.

- Można zatem powiedzieć, że mimo pobieranych regularnie czynszów właściciele domu nie dbali o jego stan i lokatorzy musieli dokonywać napraw we własnym zakresie?

- Oczywiście, zawsze tak było. Dopiero kilka tygodni temu wszystko się zmieniło.

- Na czym polega ta zmiana?

- Kiedy na czele firmy stanęła Sydney, to znaczy panna Hayward, wnuczka starego pana Hayward'a, wszystko się zmieniło. Pan Hayward długo chorował i o niczym nie wiedział, dopiero gdy Mike poszedł do Sydney, zaraz przyszła do nas, by sama wszystko zobaczyć. Zaraz potem, nie upłynęły nawet dwa tygodnie, przyjechali robotnicy i zaczęli się remont. Wymienili okna, naprawili dach, a w przyszłym tygodniu wymienią rury. Wszystko, co Mike wskaże, ona

zaraz każe reperować.

- Tak? A czy do pani wypadku doszło przed czy po rozpoczęciu remontu?

- Mówiłam przecież, że po - pani Wolburg zniecierpliwiała się nieco - gdyby nie ten hałas, nie leżałabym tak godzinami, ktoś by mnie usłyszał. Znalazła mnie dopiero Sydney, bo właśnie była w domu i doglądała robót. Znalazła mnie, usiadła przy mnie na podłodze, dała poduszkę pod głowę i okryła kocem. Cały czas ze mną rozmawiała, aż do przyjazdu karetki. A teraz stale odwiedza mnie w szpitalu, kazała też zapłacić wszystkie rachunki...

- Czy zgodzi się pani ze zdaniem, że wszystkiemu winna jest firma Hayward?

- Tak mówią ludzie złośliwi. A wszystkiemu winna jest dziura w podłodze. Zaraz powiedziałam, jak mnie tu wieźli, że nie mam nic przeciwko Sydney i jej firmie. Są dla mnie bardzo dobrzy, zajęli się wszystkim od pierwszej chwili, nie czekali, aż gazety zaczną o tym pisać. Sydney to bardzo uczciwa i przyzwoita dziewczyna. Tak myślę. Bardzo dobrze, że jest tym prezesem, człowiek zaraz inaczej się czuje, kiedy mieszka u kogoś, kogo może szanować.

Sydney przez cały czas stała bez ruchu. Gdy program dobiegł końca, wyłączyła telewizor.

- Nieźle, całkiem nieźle - pierwszy odezwał się Mavis.
- Trzeba przyznać, że działasz niekonwencjonalnie, ale w gruncie rzeczy skutecznie. Taka reklama na pewno nam nie zaszkodzi.

Przez chwilę jeszcze dyskutowali, po czym rozeszli się, nie podjawszy żadnej decyzji. Sydney nie spodziewała się, że niebezpieczeństwo dymisji tak łatwo zostanie zażegnane.

Już w swoim gabinecie sięgnęła po słuchawkę

telefonu. Szybko wystukała numer na klawiaturze. Przez dłuższą chwilę myślała, że nikogo nie ma, wreszcie w słuchawce odezwał się nieznany męski głos.

- Tak?

- Michael?

- Nie ma go, zszedł na chwilę.

- W takim razie...

- Proszę poczekać, właśnie idzie. Już go daję... - Po chwili rozpoznała głos Michaela. - Słucham?

- To ja, Sydney. Właśnie oglądałam wiadomość
Wiesz, o czym mówię.

- Też rzuciłem okiem.

- Prosiłeś ją, żeby to powiedziała?

- Nie, powiedziałem tylko, jak sprawa wygląda, a ona sama wpadła na ten pomysł. Całkiem niegłupi.

- Owszem, jestem ci bardzo wdzięczna.

- Naprawdę? Okaż to.

Spodziewała się raczej czegoś w stylu „nie ma o czym mówić”.

- Co takiego?

- Okaż mi wdzięczność. Chodź ze mną na obiad w sobotę.

- Co ma jedno do drugiego?

- W ten sposób spłacisz dług wdzięczności. To jak: Wpadnę po ciebie o czwartej, zgoda?

- O czwartej? Kto je obiad o czwartej?

- Ja. Daj mi swój adres. - Podyktowała mu po chwili wahania. - W porządku. Daj też telefon, gdyby coś wypadło. Nigdy nic niewiadomo.

Zawahała się ponownie.

- Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że...

- Wiem. Wszystko wiem - przerwał - będę punktualnie

o czwartej. - Obrysował serduszkami adres i telefon, który zapisał ołówkiem kreślarskim na ścianie, i pożegnał się: - Do zobaczenia, szefie.

Sydney uważnie przejrzała się w lustrze. Przecież nie idzie na randkę. Kilkakrotnie w ciągu tygodnia próbowała to sobie wyjaśnić. To nie jest randka, a tylko spotkanie z kimś, wobec kogo ma pewne zobowiązania. Nieważne, co czuje do Michaela. Musi mu się odwdziaczyć. Haywardowie zawsze splacają zaciągnięte długi.

Nie musi się stroić. Zwykła letnia, lekko opięta na biodrach sukienka wystarczy. Najlepiej błękitna, i to wcale nie dlatego, że Michael powiedział kiedyś, że dobrze jej w jasnych kolorach...

To że sukienka jest nowa i że Sydney straciła dwie godziny na wybieraniu odpowiedniego fasonu, też nie ma znaczenia - po prostu miała akurat ochotę na coś nowego i dlatego ją kupiła.

Cienki złoty łańcuszek na szyi i drobne złote kolczyki w uszach zawsze pasują do wszystkiego, a fakt, że spędziła nad makijażem kilkakrotnie więcej czasu niż zwykle, również nie ma znaczenia. Czy nie należy bowiem dokładnie wypróbować, jak pasują do niej nowe kosmetyki?

Po głębszym namyśle zdecydowała się rozpuścić włosy. Nie chodzi oczywiście o to, że tak wygląda bardziej seksownie, lecz tylko o to, że tak jest zdrowiej dla włosów. Zresztą, każda kobieta chce ładnie wyglądać bez względu na to, czy zależy jej na osobie, z którą zamierza się spotkać, czy też nie.

Przez chwilę wahała się nad doborem perfum, przypominając sobie, co Michael mówił na ten temat. Ostatecznie poperfumowała się lekko za uszami, rzecz jasna nie dla niego, a dla siebie samej. Takie zwykle wykończenie stroju.

Sięgnęła po torebkę, spojrzała na zegarek. Była trzecia, miała więc jeszcze całą godzinę. Westchnęła głęboko

i przysiadła na łóżku. Po raz pierwszy w życiu miała naprawdę ochotę na drinka.

Następną godzinę spędziła, chodząc bez celu po mieszkaniu, poprawiając poduszki na kanapach i przestawiając przedmioty z miejsca na miejsce. Po następnych piętnastu minutach usłyszała stukanie do drzwi. Zatrzymała się w korytarzu, rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Poczowała narastający ucisk w żołądku, opanowała się jednak i otworzyła drzwi.

Nic nie wskazywało na to, że Michael przygotowywał się jakoś specjalnie na ten wieczór. Te same sprane, chociaż czyste dżinsy, beżowa koszula, buty mniej brudne niż zwykle, przenikliwe spojrzenie czarnych oczu...

Wyglądał niebezpiecznie pociągająco.

I przyniósł jej tulipana.

- Spóźniłem się trochę - powiedział i podał jej kwiat, zachwycając się jednocześnie jej wyglądem. - Pracowałem nad twoją twarzą.

- Co robiłeś?

- Pracowałem nad twoją twarzą - powtórzył. Ujął ją pod brodę i przez chwilę uważnie wpatrywał się w jej rysy. - Znalazłem nareszcie odpowiedni kawałek różanego drewna. Nadaje się znakomicie... - Mówiąc, dotykał lekko poszczególnych fragmentów jej twarzy, zupełnie jakby je rzeźbił. - Mogę wejść dalej?

Sydney otrząsnęła się.

- Tak, tak... Bardzo proszę. Zaraz włożę kwiat do wody.

Michael wszedł do pokoju i rozejrzał się z aprobatą. Ładne, przytulne, pełne ciepła wnętrze. Spodziewał się raczej bogatego apartamentu, starannie zaprojektowanego przez dekoratora wnętrz. Tutaj wszystko nosiło cechy osobowości

właścicielki: delikatne pastelowe barwy, dyskretny komfort. Podszedł do wyszukłej secesyjnej lampy, przez otwarte drzwi salonu dojrzał antyczne meble w gabinecie. Spozstrzegł z przyjemnością, że jego rzeźbę ustawiono osobno na małym stoliku.

Sydney wróciła ze srebrnym wazonikiem w dłoni.

- Podziwiałem twój gust.

- Dziękuję. - Postawiła wazon na sekretarzyku.

- Secesja jest wspaniała - dotknął lekko wyszukłej lampy w kształcie kobiecej postaci.

- Ja też bardzo ją lubię, ma tyle wdzięku.

- Tak, i mocy.

Uśmiechnął się w sposób, którego nie zrozumiała, tak jakby był w posiadaniu niedostępnego sekretu, mającego jakiś związek z jej osobą.

- Jako artysta wiesz o sztuce więcej niż zwykły śmietnik. Napijesz się czegoś?

- Nie, nie piję, kiedy prowadzę.

- Prowadzisz?

- Tak. A co, nie lubisz niedzielnych kierowców?

- Ja... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała się lekko oszołomiona jego obecnością. Zaczęła bawić się bransoletką, zupełnie jak nastolatka na pierwszej randce. Zastanawiała się, jak też będzie z nim w samochodzie, sam na sam. - Nie wiedziałam, że masz samochód - powiedziała wreszcie i ruszyła w stronę drzwi.

Uśmiechnął się. Przeszli do korytarza.

- Kupiłem go dawno temu, zanim jeszcze zacząłem sprzedawać moje rzeźby. Taki kaprys. W sumie więcej płaciłem za parking niż za sam samochód, no ale kaprysy zwykle są kosztowne.

Weszli do windy, zjechali do garaży.

- A ja lubię prowadzić - powiedziała Sydney - czuję się wtedy wolna, niezależna. W Europie wiele jeździłam sama, ale tutaj znacznie wygodniej mieć szofera. Nie traci się tyle czasu na szukanie parkingu. Rzadko więc zdarza mi się usiąść za kierownicą.

- Wybierzemy się kiedyś za miasto i dam ci poprowadzić. Wizja wyprawy daleko w góry wydała się jej bardzo pociągająca, nie zareagowała jednak na to oświadczenie.

- Dostałam twoje sprawozdanie w piątek - powiedziała, żeby zmienić temat.

- Nie dzisiaj - wziął ją za rękę i poprowadził w stronę samochodu - nie mówmy o tym teraz. Sprawozdanie może poczekać do poniedziałku. - Podeszli do sportowego kabrioletu. - Nie będzie ci przeszkadzał wiatr? Mogę nie zasuwać dachu.

Przez chwilę pomyślała o swoich rozpuszczonych włosach.

- Nie, będzie przyjemnie czuć podmuch na twarzy. Wsiadli do samochodu. Michael ulokował jakoś swoje długie nogi, włożył słoneczne okulary i uruchomił silnik. Z radia popłynęła rockowa muzyka. Sydney odezwała się, dopiero kiedy mijali Central Park.

- Nie powiedziałaś, dokąd jedziemy.

- Znam jedno miejsce, gdzie można dobrze zjeść. - Zerknął na jej drobną stopę, wybijającą podświadomie rytm muzyki. - Opowiedz coś o swoim pobycie w Europie.

- Nie mieszkałam w jednym miejscu, stałe podróżowałam. Byłam w Paryżu, Saint Tropez, w Wenecji, Londynie, w Monte Carlo...

- Może ty też masz w sobie cygańską krew.

- Może - powiedziała i przyszło jej na myśl, że jej po-

droże po Europie nie miały w sobie nic romantycznego. Przemieszczała się po prostu z hotelu do hotelu, wiecznie zniecierpliwiona i goniąca za czymś, czego nie potrafiła określić. - Byłeś tam kiedyś? - spytała.

- Gdzie? W Europie? No tak, kiedy byłem mały. Ale chciałbym pojechać teraz, gdy jestem w stanie docenić to, co można zobaczyć. Obrazy, rzeźby, architektura, atmosfera... Powiedz, gdzie czułaś się najlepiej?

- Zdziwisz się. W pewnym małym francuskim miasteczku, gdzie ręcznie dojono krowy i wszędzie rosły winogrona. Można było usiąść na podwórku, napić się wina i słuchać, jak gruchają gołębie. - Przerwała, lekko zmieszana. - No, oczywiście był też Paryż - dodała pośpiesznie - jedzenie, zakupy, opera, balet... Miałam dużo znajomych, stale gdzieś bywaliśmy.

Ale najlepiej czułaś się na podwórku, gdzie gruchały gołębie, Michael powtórzył w myślach jej słowa i uśmiechnął się do siebie.

- Teraz ty powiedz o sobie - zażądała. - Czy myślałaś kiedyś, żeby odwiedzić Ukrainę?

- Często. Chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłem. Dom pewnie już nie istnieje, ale pagórki, na których się bawiłem jako dziecko, chyba zostały.

W jego okularach dostrzegła tylko własne odbicie, ale czuła, że jego oczy są smutne. Tak jak głos.

- Tyle rzeczy się zmieniło w ciągu ostatnich lat. Skończyła się zimna wojna, upadł mur berliński. Możesz przecież pojechać.

- Nieraz myślę, że tak zrobię, a nieraz wolę zostawić wszystko tak, jak jest w moich wspomnieniach. Po co mi ta konfrontacja? Jeszcze się rozczaruję. Kiedy stamtąd wyjeżdżaliśmy, byłem bardzo mały.

- Musiało być ciężko.

- Owszem, głównie rodzicom. Mieli wystarczająco dużo odwagi, żeby zostawić wszystko, co posiadali, a dać nam to, czego sami nigdy nie mieli: wolność.

Lekko dotknęła jego ręki. Matka opowiedziała jej historię ucieczki na Zachód, zupełnie jakby relacjonowała film przygodowy. Dla Sydney jednak nie był to film, lecz przerażająca rzeczywistość.

- Musiałeś bardzo się bać.

- Potwornie. Była zima. Nocami leżałem skulony, nie mogłem spać, bo byłem przemarznięty i głodny. A rodzice rozmawiali, słyszałem wszystkie ich słowa. Pocieszali się wzajemnie, mówili, co będziemy robić następnego dnia. Długo trwała nasza tułaczka. Kiedy dobrnęliśmy wreszcie do Ameryki, ojciec zwyczajnie się rozplakał. Zrozumiałem wtedy, że to kres naszej wędrówki. Odtąd nigdy się nie bałem.

Oczy Sydney zwilgotniały, odwróciła się i wystawiła twarz na podmuch wiatru, żeby je osuszył.

- Tutaj też pewnie nie było ci łatwo, przynajmniej na początku. Obce miejsce, obcy język, nieznanymi ludźmi...

Wzruszyło go przejęcie, z jakim to mówiła. Postanowił nie zasmucać jej więcej, przynajmniej nie teraz.

- Bez przesady. Młody organizm przyzwyczaja się do wszystkiego. Wystarczyło, że rozwalilem nos pewnemu chłopakowi z sąsiedniego domu i zaraz poczułem się u siebie.

Roześmiała się, słysząc rozbawienie w jego głosie.

- I zaraz zostaliście najlepszymi przyjaciółmi, jak sądzę.

- Dwa lata temu byłem świadkiem na jego ślubie. Odrzuciła głowę do tyłu. Rozejrzała się. Przejeżdżali przez most brookliński.

- Nie znalazłeś miejsca na Manhattanie? Uśmiechnął się tajemniczo.

- Nawet nie szukałem.

W pięć minut później dojechali do jednego z nowojorskich przedmieść. Mijali wysokie domy z czerwonej cegły, stare drzewa ocieniające podwórza i ogrody, przejeżdżali przez uliczki pełne bawiących się dzieci, rowerów i psów. Wreszcie przed jednym z domów Michael zahamował; siedzący przed domem chłopcy wymieniali się właśnie kartami z wizerunkami graczy ligi baseballowej.

- Cześć, Mike! - Obaj rzucili się na niego, zanim zdążył wysiąść z samochodu. - Spóźniłeś się, skończyliśmy grać godzinę temu.

- Następnym razem zdążę na pewno - obiecał i spojrzął na Sydney. Stała obok samochodu i ze zdumieniem przyglądała się ceglanej kamienicy. - Teraz jestem bardzo zajęty.

Chłopcy ze zrozumieniem pokiwali głowami.

- Jasna sprawa.

Michael roześmiał się, wziął Sydney za rękę i przeprowadził na drugą stronę ulicy.

- Nic nie rozumiem - powiedziała, przechodząc pod wielkim starym dębem - Czy to jest restauracja?

- Nie, to dom.

- Powiedziałeś przecież...

- Że zapraszam cię na obiad. - Pociągnął nosem. - Mama chyba piecze kurczaki, na pewno będzie ci smakowało.

- Mama? - Sydney zatrzymała się gwałtownie. - Przywiozłeś mnie do domu swoich rodziców?

- Tak, na sobotni obiad.

- Boże... Uniósł brwi.

- Nie lubisz pieczonych kurczaków?

- Nie, to znaczy tak, nie chodzi o to, ja... Z domu dobiegł ich męski głos.

- Spóźniłeś się, chodź już! Będziesz tak trzymał panią przed domem?

Michael spojrział jej w oczy..

- Ona nie chce wejść! - odkrzyknął.

- Nie, to nie o to chodzi - Sydney próbowała się tłumaczyć - nic mi nie mówiłeś... Zresztą nieważne. - Potrząsnęła głową i zrobiła desperacki krok do przodu.

Jurij na ich widok podniósł się z fotela.

- Dzień dobry panu, bardzo miło, że mnie państwo zaprosili - Sydney odezwała się uprzejmie.

Jurij mocno uściśnął podaną mu dłoń.

- Witaj, możesz mi mówić po imieniu.

- Dziękuję.

- Cieszymy się, że Michael ma dobry gust. Jego mama nie bardzo lubiła te wszystkie złotowłose tancerki.

- Bardzo dziękuję, tatusiu. - Michael objął Sydney ramieniem i spojrział na ojca z wyrzutem. - Gdzie reszta rodziny?

- Mama i Rachel są w kuchni. Alex przyjdzie trochę później. Ma mnóstwo roboty z dziewczętami - wyjaśnił Sydney - zabiera mu to sporo czasu.

- Jurij, zapomniałeś wynieść śmieci. - Drobna kobieta o pięknych egzotycznych rysach wyszła z kuchni, niosąc srebrne sztuce w fartuchu.

Jurij poklepał syna po plecach z takim impetem, że Sydney aż podskoczyła.

- Czekałem na Michaela, żeby mnie wyręczył.

- A Michael będzie czekał, aż zrobi to Alex.

Kobieta rozłożyła sztuce na stoliku i podeszła do Sydney. Jej wielkie czarne oczy patrzyły na nią z uwagą i

chyba z aprobatą.

- Nazywam się Nadia, jestem matką Michaela. - Podała jej dłoń. - Bardzo się cieszę, że pani przyszła.

- Dziękuję, mają państwo piękny dom.

Sydney powiedziała to automatycznie, nie zastanawiając się nad znaczeniem słów. Dopiero kiedy je usłyszała, zrozumiała, że mówi prawdę. Cały ich dom mógłby co prawda zmieścić się w jednym skrzydle posiadłości jej matki na Long Island, a meble były raczej stare niż antyczne, ale to nie miało znaczenia. Serwetki szydełkowej roboty pokrywały poręcze foteli, tak jak w mieszkaniu pani Wolburg. Splotały tapety na ścianach nadawały wnętrzu wygląd starej przytulnej siedziby. Słońce wchodzące przez okna podkreślało nieskazitelną czystość świeżo odkurzonej politur. Wszystko to razem wzięte, a przede wszystkim panująca tu atmosfera, jako żywo stanowiło dom, w tym szczególnym znaczeniu tego słowa. Piękny dom.

Kątem oka dostrzegła jakiś kształt pod jednym z krzeseł. Po chwili wytoczyła się spod niego wielka kudłata kula.

- To Iwan - wyjaśnił Jurij, głaszcząc szczeniaka - jest jeszcze dzieckiem. Alex go przyniósł. Uratował ci życie, co mały? - Pogłaskał kudłatą sierść.

Pies niepewnie przyglądał się Sydney.

- Dzień dobry, Iwan - przemówiła do niego.

- Nazywa się Iwan Groźny, ale naprawdę jest tchórzem - poinformował Jurij.

- Po prostu jest nieśmiały - poprawiła go Sydney i przykucnęła obok psa. Zawsze chciała mieć jakieś zwierzę, ale w internatach ekskluzywnych szkół nie wolno było ich trzymać. - Jesteś prześlizgnięty... - powiedziała do Iwana czule. Pies natychmiast przestał się trząść i zaczął lizać jej palce.

Nieglupi szczeniaku, przemknęło przez myśl

Michaelowi, który z uśmiechem obserwował tę scenę.

- Jaka to rasa? - spytała Sydney.

- Pół wilk, pół niewiadomo co - sprecyzował Jurij.

- To rasa wielorasowa - odezwał się jakiś głos z kuchni i po chwili na progu pojawiła się smukła kobieta o kruczoczarnych włosach zebranych w kok. - Dzień dobry. Jestem Rachel, siostra Michaela - przedstawiła się - a ty pewnie jesteś Sydney.

- Tak, to ja, dzień dobry. - Sydney podeszła do niej, zastanawiając się w duchu, dlaczego wszyscy członkowie rodziny Stanislawskich są tak nieprawdopodobnie urodziwi.

- Obiad będzie za pięć minut - w aksamitnym głosie Rachel był cień obcego akcentu - Michael, możesz już nakrywać do stołu.

- Mam podobno wynieść śmieci - odparł tonem człowieka wybierającego mniejsze zło.

- To może ja nakryję - spontaniczna oferta Sydney spotkała się z ogólną aprobatą.

Właśnie kończyła ustawiać talerze, kiedy w drzwiach stanęła postać równie egzotyczna i malownicza, co reszta rodziny.

- Przepraszam, trochę się spóźniłem, ledwo zdążyłem, bo... - Młody mężczyzna przerwał w pół zdania na widok Sydney. - No, ale widzę, że warto było się pośpieszyć... Witaj.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się w odpowiedzi, podniesiona na duchu podziwem widocznym w jego oczach, a on podszedł i pocałował jej dłoń.

- Chwileczkę, nie dotykać. - Michael wszedł między nich, zasłaniając sobą Sydney.

- Pragnę tylko podkreślić - oznajmił nowoprzybyły - że z nas dwóch ja jestem osoba bardziej ustabilizowaną, mam

dobry zawód i jestem mniej zmienny.

Sydney roześmiała się szczerze.

- Wezmę to pod uwagę.

- Jest glina - wyjaśnił Michael krótko i klepnął brata w plecy. - Skoro wszyscy już są, siadajmy. Obiad na stole.

Sydney nigdy w życiu nie widziała takiej ilości jedzenia. Półmiski pełne pieczonych kurcząt obficie polane były masłem, góra kartofli i jarzyn z własnego ogrodu Nadii parowała kusząco, apetycznie pachniały stopy pasztecików i innych nie znanych jej dotąd przysmaków. Wszystko błyskawicznie zniknęło ze stołu. Piła wino i wódkę, a przede wszystkim przysłuchiwała się rozmowie.

Rachel i Alex dyskutowali zawzięcie o jakimś człowieku noszącym przedziwne imię Goose. Po pewnym czasie zorientowała się, że chodzi o złodzieja, którego Rachel bronila w pierwszym roku swojej adwokackiej kariery.

Jurij i Michael rozprawiali z kolei o ostatnich rozgrywkach baseballa. Sydney nie potrzebowała Nadii w roli tłumacza, żeby zrozumieć, że każdy z nich jest zwolennikiem innego klubu.

Wszyscy wymachiwali sztucami, ukraiński mieszał się z angielskim, śmiano się i żartowano.

- Rachel jest niepoprawną idealistką - oświadczył Alex, gdy najwyraźniej nie udało mu się przekonać siostry do swoich racji. - A ty? - Spojrzał z uśmiechem na Sydney.

- Ja? Jestem na tyle rozsądna, żeby nie wtrącać się do rozmowy prawnika z policjantem.

- Dobrze powiedziane. - Nadia pokiwała głową z uznaniem i roześmiała się wesoło. Zaraz potem spoważniała. - Michael powiedział nam, że kierujesz firmą, że jesteś mądra i że zachowujesz się przyzwoicie.

Tak bezpośrednie słowa zmieszały i zaskoczyły

Sydney.

- Po prostu próbuję zachowywać się tak jak trzeba.

- Twoja firma była w niewesołej sytuacji w zeszłym tygodniu - Rachel sięgnęła po kieliszek z resztką wódki i dopiła ją jednym haustem - ale świetnie z tego wyszłaś. Wydaje mi się, że nie tylko próbujesz robić to co trzeba, ale że po prostu to robisz. A od jak dawna znacie się z Michael'em?

Nieoczekiwane pytanie ponownie wprowadziło ją w osłupienie. Przez chwilę milczała.

- Znamy się od niedawna - zdecydowała się w końcu odpowiedzieć. - Miesiąc temu wtargnął do mojego biura z taką miną, jakby chciał zamordować każdego Haywarda, który wpadnie w jego ręce.

- Nie przesadzaj, byłem uprzejmy - wtrącił się Michael.

- Byłeś wyjątkowo nieuprzejmy - zaprzeczyła, a spostrzegłszy, że Jurij świetnie się bawi, słuchając tej wymiany zdań, mówiła dalej: - nie dość, że nieuprzejmy, to jeszcze agresywny, prawie wściekły...

- To ostatnie ma po mamusi - zauważył Jurij - wścieka się o byle co.

Nadia pokręciła głową i spojrzała na męża sceptycznie.

- Raptem raz mi się zdarzyło rozbić na tobie doniczkę.

- Do dzisiaj mam bliznę, o tutaj - Jurij wskazał na swoje przedramię - po tym, jak mnie zdzieliłaś szczotką.

- Trzeba było nie mówić, że moja nowa suknia jest okropna.

- Bo była - westchnął. - Atu, o, mam jeszcze ślady...

- Przestań - Nadia uniosła się z godnością - nasz gość jeszcze sobie pomyśli, że jestem domowym tyranem.

- A nie jesteś?

- Skoro tak, to zarządzam sprzątanie stołu. Podajemy deser.

Kiedy wracali w stronę Manhattanu, w głowie Sydney wciąż rozbrzmiewał gwar rozmów w domu państwa Stanislawskich. Dotąd zawsze podczas proszonych obiadów nudziła się śmiertelnie. Tym razem było inaczej. Może dlatego że wypła sporo alkoholu... A może dlatego że wszystko było tak smaczne, zwłaszcza podany na deser kisiel z bitą śmietaną, którego zjadła dwie porcje... W każdym razie był to najprzyjemniejszy sobotni obiad w jej życiu.

- Czy to prawda, co mówił twój ojciec? Że matka potrafi czymś w niego rzucić?

- Oczywiście, mnie też się kiedyś dostało. Pofrunął cały talerz spaghetti tylko dlatego, że coś tam jej odszczeknąłem.

Sydney Wybuchnęła śmiechem.

- Szkoda, że tego nie widziałam. Nie zdążyłeś się schylić?

- Schyliłem się, ale za późno.

- Nigdy w życiu niczym w nikogo nie rzuciłam - powiedziała rozmarzonym głosem, tak jakby rzucanie talerzami było najbardziej romantyczną czynnością na świecie. - To musi świetnie rozładowywać napięcie. Wiesz, oni wszyscy są naprawdę wspaniali - dodała po chwili - cała twoja rodzina. Musisz być z nimi bardzo szczęśliwy.

- Więc nie żałujesz, że nie pojechaliśmy na obiad do restauracji? To po co była ta komedia przed wejściem?

- Źle mnie osądzasz. Nie jestem snobem. Po prostu nie byłam przygotowana, trzeba mnie było uprzedzić.

- Zgodziłabyś się? Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. A właściwie to dlaczego mnie tam

zabrałeś?

- Chciałem cię tam zobaczyć, a może chciałem, żebyś ty zobaczyła mnie właśnie tam.

- Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie.

- Bardzo niewiele rozumiesz.

- Może rozumiałabym więcej, gdybyś wyrażał się jaśniej.

- Nie jestem zbyt mocny w słowach, ręce mam sprawniejsze - odparł i zahamował gwałtownie pod jej domem.

Zdjął okulary, jego oczy były bardzo czarne i bardzo niespokojne. Czy ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jak te cholerne perfumy na niego działają? Jak działa na niego jej uśmiech, jej włosy rozwiewane przez wiatr?

Ten wieczór tylko wszystko skomplikował. Teraz, kiedy zaprowadził ją do domu, wszystko jest jeszcze trudniejsze niż było. Dlaczego? A dlatego że ujrzał w niej zupełnie inną osobę. Sztywność i oficjalny sposób bycia zniknął bez śladu pod wpływem kilku serdecznych słów, kilku sekund prawdziwie rodzinnej atmosfery. A on się obawiał, że będzie się źle czuła w jego starym domu, wśród członków jego rodziny, że będzie wyniosła i pogardliwa...

Obawiał się? Czyżby? Po cóż więc tam ją zabierał? Czy nie dlatego właśnie, żeby przekonać się, że Sydney jest inna niż początkowo zakładał?

Tak, była inna. Śmiała się z dowcipów jego ojca, wesoło odpierała ataki Alexa, zmywała talerze z jego matką, a kiedy Rachel wypytywała ją o szczegóły wypadku pani Wolburg, czerwieniła się jak mała dziewczynka.

Do licha! Przecież chyba się w niej nie zakochał!

A teraz, kiedy zostali sam na sam, cały jej chłód i rezerwa powróciły. Jakby specjalnie na jego udrękę!

- Odprowadzę cię na górę. - Wysiadł za nią i zatrzasnął

drzwiczki samochodu.

- Nie musisz - odparła sucho. Nie wiedziała, co zepsu-
ło zakończenie wieczoru, ale czuła, że to jego wina.

- Odprowadzę cię - powtórzył.

- Dobrze.

Bez słowa weszli do windy. Kiedy ta zatrzymała się
wreszcie na jej piętrze, Sydney wyjęła z torebki klucze.

- Bardzo mi się podobało w twoim domu - powiedziała
tonem podziękowania - powtórz rodzicom, że bardzo im
jestem wdzięczna za gościnność. - Zatrzymali się pod jej
drzwiami. - Aha, i zadzwoń do mnie do biura w sprawie tego
sprawozdania.

Michael przytrzymał otwarte drzwi.

- Poczekaj. Wejdę z tobą.

Sydney próbowała zamknąć drzwi, lecz on stanowczo przytrzymał je nogą i wślizgnął się za nią do środka.

- Chyba jest trochę za wcześnie na poranną kawę i za późno na popołudniową herbatę, nie uważasz?

- Nie zamierzam niczego pić - odparł Michael i zatrzasnął za sobą drzwi z takim impetem, że lustro na ścianie zadrżało.

Sydney poczuła znany ucisk w żołądku, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że nie jesteś najlepiej wychowany. Wtargnął tak bezceremonialnie do mieszkania samotnej kobiety...

- Jestem bardzo źle wychowany. - Wcisnął ręce do kieszeni i nie czekając na zaproszenie, wszedł do salonu.

- Współczuję twoim rodzicom. Musieli bardzo się starać, żeby nauczyć cię, jak się zachowywać. Niestety bez skutku.

Michael niewiele sobie robił z jej złośliwych uwag. Poruszał się jak tygrys wyruszający na łowy. Jak dzikie zwierzę wietrzące zdobycz.

- Naprawdę ci się podobali? - zapytał.

- Oczywiście, przecież ci mówiłam.

- Myślałem, że tak mówisz, bo jesteś dobrze wychowana.

Jeśli chciał sprawić jej przykrość tymi słowami, to trafił w dziesiątkę.

- Źle myślałaś, a teraz, skoro sobie wszystko już wyjaśniliśmy, możesz iść.

- Niczego nie wyjaśniliśmy, musisz mi jeszcze wytłumaczyć, dlaczego tak nagle się zmieniłaś. Jeszcze godzinę temu zachowywałaś się zupełnie inaczej. Co się stało?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie udawaj. U mojej rodziny byłaś bezpośrednia i serdeczna. Uśmiechałaś się, żartowałaś... Teraz zaś, gdy zostaliśmy sami, jesteś sztywna i odpychająca, wcale się nie uśmiechasz...

- Nic podobnego - skrzywiła usta w czymś, co właśnie miało być uśmiechem - widzisz, do ciebie też się uśmiecham. Jesteś zadowolony?

Jego oczy zaświeciły się niebezpiecznie.

- Od chwili kiedy po raz pierwszy wszedłem do twojego biura, ani przez chwilę nie jestem zadowolony. Męcę się, a nie lubię tego.

- Artysta musi cierpieć. A poza tym nie rozumiem, co akurat ja mogę mieć z tym wspólnego. Robię wszystko, czego żądasz. Każę wymieniać okna, podłogi, naprawiać instalację hydrauliczną.

- Instalację elektryczną - poprawił i uśmiechnął się wbrew sobie.

- Nieważne, robię, co chcesz. Masz pojęcie, ile rachunków już podpisałam?

- Wiem, ponad dwadzieścia, ale przecież wiesz, że chodzi nie o to.

Przyjrzała mu się z nagłym zainteresowaniem.

- Wiesz, że kiedy jesteś zdenerwowany, to śmiesznie przestawiasz wyrazy?

Jego oczy pociemniały.

- Wcale nie przestawiam.

- Powiedziałaś: „chodzi nie o to”, zamiast: „nie o to chodzi”. Tak brzmi lepiej. Robisz też inne błędy.

- Chciałbym usłyszeć, jak ty mówisz w moim języku. Odłożyła trzymaną w rękę torebkę na stolik.

- Bardzo proszę, głośno!', Barysznikow... Uśmiechnął

się pogardliwie.

- Głasnost' to po rosyjsku, ja jestem Ukraińcem. Zawsze się mylicie, ale to nie szkodzi nic.

- To nic nie szkodzi - poprawiła go - a jeśli chodzi o język, to chyba niewielka różnica. Rosjanie i Ukraińcy są sąsiadami...

Zrobił krok do przodu, cofnęła się.

- Dyskusja na ten temat może być fascynująca, ale teraz nie mamy na nią czasu. - Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, a ona znowu cofnęła się instynktownie.

- Powiedziałam już, że dziękuję za miły wieczór, teraz więc... - zasłoniła się krzesłem - teraz więc... przestań się tak skradać!

- Nie skradam się, nie jestem myśliwym, a ty nie jesteś królikiem, lecz kobietą.

Cóż miała poradzić na to, że czuła się dokładnie tak jak królik, drżący i sparaliżowany strachem przed tym, co miało za chwilę nastąpić.

- Nie wiem, dlaczego tak się zachowujesz...

- Zawsze tak się zachowuję, kiedy cię widzę albo o tobie myślę...

Dzielił ich jeszcze stół. Sydney zatrzymała się. Za nią była już tylko ściana.

- Czego chcesz?

- Ciebie. Wiesz dobrze, że chcę tylko ciebie.

Serce podeszło jej do gardła, żołądek ścisnął się boleśnie.

- Nieprawda - jej głos zadrżał - nieprawda, nie podoba mi się twoja gra.

- Moja gra? Jaka gra? Czy to ja raz jestem radosny i serdeczny, a zaraz potem chłodny i zły? To ja patrzę czule w oczy, by chwilę później odwrócić się ze wstrętem?

Powiedziałem ci wprost, że nie interesuje mnie twoja matka tylko ty, a ty nazwałaś mnie kłamcą.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć i jak się zachować. Na wszelki wypadek starała się nie patrzeć w jego oczy. Była w nich bezwzględność i zdecydowanie. I coś jeszcze, coś, czego obawiała się najbardziej.

- Przedtem mnie nie chciałeś.

- Przedtem? To znaczy kiedy? Pragnąłem ciebie od początku.

- Przedtem, to znaczy wtedy, w samochodzie - przekłnęła ślinę, zaczerwieniła się upokorzona - kiedy wracaliśmy od mojej matki. Byliśmy... - wbiła paznokcie w poręcz krzesła - zresztą nieważne.

Jednym susem znalazł się przy niej, złapał za rękę.

- Jak to, nieważne? Wszystko jest ważne. Dokończ, co chciałaś powiedzieć. Dokończ, słyszysz? Masz mi zaraz powiedzieć.

Sydney wahała się przez chwilę. Wreszcie postanowiła odrzucić resztki dumy i godności i wyznać mu prawdę. Trudno, najwyżej później będzie tego żałować.

- Bardzo proszę, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze - odetchnęła głęboko, jakby chciała nabrać sił przed tym trudnym wyznaniem, po czym mówiła: - No więc tam, w samochodzie, zacząłeś... zacząłeś mnie całować. Nie prosiłam cię o to, nie zachęcałam, zrobiłeś to z własnej woli. A kiedy już to zrobiłeś, kiedy spróbowałeś, jak to smakuje, nagle przestałeś - zrobiła dramatyczną pauzę - przestałeś, bo poczułeś, że to nie to.

Michael przez chwilę stał jak sparaliżowany, nie mogąc wydobyć słowa. Potem jego twarz zmieniła się nagle. Wyrwał jej z rąk krzesło, którym przed nim się zasłaniała, i odrzucił je na bok. Kiedy poczuła na sobie jego silne ręce,

przemknęło jej przez myśl, że i ją spotka zaraz los krzesła. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że znajduje się kilka centymetrów nad ziemią. Dobiegły ją jego słowa, najpierw w tamtym, nieznanym języku, potem po angielsku.

- Idiotka, mała idiotka... Jak to możliwe, żeby tak inteligentna kobieta była tak głupia i niedomyślna?

- Czy sądzisz, że pozwolę się obrażać? - powiedziała niezadowolona, jednak on nie za bardzo się tym przejął.

- Na prawdę nie można się obrażać - powiedział. - Ktoś wreszcie musiał ci to kiedyś powiedzieć. I tak od kilku tygodni próbuję zachowywać się dla ciebie dżentelmem.

- Jak dżentelmen - poprawiła go - „zachowywać się wobec ciebie jak dżentelmen”. Próbujesz, ale ci się nie udaje.

- Zaraz zobaczysz, co mi się naprawdę udaje. A za tanto w samochodzie bardzo cię przeproszam. Bałem się, że sobie pomyślisz, że jestem... - zająknął się - że jestem...

- Głupcem, beznadziejnym głupcem - dokończyła za niego.

- Nie, nie aż tak, już raczej facetem, który nadużywa sytuacji, który siłą zmusza do...

- Nie zmuszałeś mnie siłą. Za to teraz mógłbyś mnie puścić.

Zamiast spełnić jej prośbę, uniósł ją o kilka centymetrów wyżej.

- Żebyś znowu pomyślała, że mi się nie podobasz?

- Nie wysilaj się, nie jestem aż tak zakompleksiona.

- To dla mnie żaden wysiłek, wręcz przeciwnie, czysta przyjemność. A jeśli bardzo chcesz wiedzieć, to i wtedy, w samochodzie, nie kierowały mną żadne altruistyczne motywy. Byliśmy tak blisko, że choć szofer siedział tuż obok, miałem zamiar rozebrać cię i kochać się z tobą, nie zważając na nic - oznajmił żarliwie, nie bacząc na to, jakie wrażenie

zrobi na niej tak bezpośrednie wyznanie. - Potem byłem wściekły na siebie, na ciebie zresztą też. Wściekałem się, bo za skarby nie mogłem o tym wszystkim zapomnieć, a przecież czułem, że powinienem. - Jego ręce zwolniły uchwyt, stały się teraz delikatne, wyraz twarzy Michaela również złagodniał. - Od tamtego dnia myślałem o tobie bez przerwy, każdej nocy, przypominałem sobie twój zapach, twoje oczy, twoje ciało. Bardzo ciebie pragnąłem, bardzo. Chciałem jeszcze choć raz ujrzeć na twojej twarzy ten sam wyraz, co wtedy. Nadal tego pragnę. I nie mogę dłużej czekać.

Poczuła na swoich wargach jego usta. Pocałował ją delikatnie, potem złożył kilka lekkich jak muśnięcie pocałunków na jej szyi. Dreszcz przebiegł przez ciało Sydney. Jej usta uchylły się bezwiednie.

- Każ mi teraz odejść albo zostać - wyszeptał do jej ucha - zrób to, ale teraz, nie mogę dłużej czekać...

Objęła go za szyję. Nie, tym razem nie pozwoli mu odejść. Nie chciała myśleć, czy robi słusznie, zastanawiać się, jakie postępowanie byłoby najwłaściwsze. Wiedziała jedno - że bardziej niż czegokolwiek, pragnie w tej chwili, by znów mogła poczuć to, co czuła wtedy, gdy całował ją za pierwszym razem na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Zostań - szepnęła - zostań... Chcę się z tobą kochać.

Znowu poczuła na sobie jego usta. Obejmujące ją ramiona parzyły niczym rozpalone żelazo. Stało się, pomyślała. Stało się wreszcie to, co podświadomie przeczuwała od początku. Stało się i było już za późno, żeby się wycofać.

Ogarnęła ją fala słodkiej, rozkosznej namiętności. Wbiła palce w jego plecy, czuła jak mocno bije jego serce i wiedziała, że bije tak dla niej. Pragnęła go coraz bardziej. Pragnęła go tak, jak nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny.

Przyłgnęła do niego całą sobą. Jęknęła, kiedy delikatnymi dłońmi rzeźbiarza zaczął dotykać po kolei każdego skrawka jej ciała. Westchnęła, gdy rozpięta na plecach sukienka zsunęła się z szelestem na podłogę.

Próbowała zasłonić drobne piersi, lecz on delikatnie odciągnął jej dłonie. Nie dostrzegł niepokoju i niepewności w jej oczach, widział tylko, jak pięknie wygląda w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, rozświetlającego pokój.

- Michael... - szepnęła - Sypialnia...

Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie niósł jej do łóżka rękach. Wydało jej się to niezwykle romantyczne. Dotknęła ustami jego szyi, pocałowała lekko. Widząc, że sprawia mi tym przyjemność, pocałowała jeszcze raz, zdumiona własną wprawą.

Gdy znaleźli się w sypialni, delikatnie położył ją na łóżku.

- Trzeba zasłonić okna?

Nie czekał na odpowiedź, Sydney zresztą nie była w stanie powiedzieć ani słowa. W świetle, do którego prowadził ją Michael, słowa były zbędne, nie było też w nim miejsca na wstyd ani na strach. Otworzyła ramiona i oddała mu się z błogim uśmiechem.

Nie przypuszczała, że namiętność może być tak potężna; że bliskość mężczyzny może dać jej tyle rozkosz] Sprawne, mocne dłonie Michaela rzeźbiły jej ciało, a ona wiała się pod jego dotykiem i coraz bardziej traciła poczucie tego, gdzie jest i co się z nią dzieje.

On też zagubił się w niej, zapamiętał. Ciało Sydney pachniało jak kwiat i jak kwiat otwierało się przed nim. Stawała się coraz bardziej jego.

Pocałował jej piersi. Gładkie ciało Sydney wygięło się i naprężyło z rozkoszy. W jej pociemniałych nagle oczach

dojrzał i lęk, i pożądanie. Jeszcze raz pocałował ją w to samo miejsce.

- Proszę cię... - usłyszał.

- To ja cię proszę, dla nas obojga...

Poczuł na sobie jej dłonie, poddał się im, czuł, że jeszcze chwila, a zdradzi mu, czego naprawdę pragnie. On też tego pragnął, do bólu, nie mógł już dłużej czekać.

Westchnęli razem i znieruchomieli na moment. Byli teraz jednym ciałem; jednym ciałem, poruszonym wspólnym oddechem i wspólnym odnalezionym wreszcie rytmem. Sydney słyszała, że Michael coś mówi, lecz nie mogła odróżnić słów. Rozumiała tylko, że oto połączyli się na zawsze i że już nigdy nie będą żyć oddzielnie. Że tak właśnie być musi.

Pokój pograżony był w mroku. Uniosła się delikatnie i spojrzała na śpiącego obok Michaela. Cudownie było słyszeć jego oddech. Mogłaby tak leżeć godzinami i słuchać, jak miarowo wpuszcza i wypuszcza powietrze.

No właśnie. Może rzeczywiście upłynęło parę godzin, odkąd wtargnął do jej mieszkania? Czy to ma jednak jakieś znaczenie? - pomyślała. Ważne było przecież teraz tylko jedno: od chwili kiedy Michael przytrzymał nogą drzwi jej apartamentu, zmienił się świat i wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

Poczuła się lekka i szczęśliwa. Uśmiechnęła się w ciemności i musnęła wargami jego włosy. Odwrócił twarz i pocałował ją w policzek.

- Nie spałeś?

- Nie, nie chcę spać, kiedy jesteś obok. - Dojrzała w mroku jego oczy, uśmiechnięte usta. - Szkoda czasu na sen - dodał. - Można lepiej go wykorzystać...

Sydney poczuła, że się czerwieni.

- Było mi... - zaczęła, zadowolona z panującej wokół ciemności. - Nie, najpierw ty. Czy było ci dobrze?

- Nie - poczuł, jak jej ciało sztywnieje, uśmiechnął się i dokończył: - nie można tego tak określić. Dobrze może być komuś, kto przespacerował się po parku. - Przytulił ją tak mocno, że nie mogła wykonać żadnego ruchu.

- Myślałam tylko...

- Poczekaj. Może zapalimy światło na tę rozmowę? - Nie, lepiej nie...

- Chcę cię widzieć. Czuję, że za chwilę znów będziemy się kochać, i chciałbym przedtem na ciebie popatrzeć. - Dotknął ustami jej ust. - Sydney, nie rób tego - powiedział.

- Czego?

- Znowu zaczynasz być spięta. Bardzo bym chciał, żebyś przy mnie była rozluźniona.

- Jestem - wzięła głęboki oddech, choć i on, i ona dobrze wiedzieli, że to nieprawda. - Chciałam po prostu wiedzieć, jak dobrze było ci ze mną. Ale zawsze kiedy cię o coś pytam, odpowiadasz wykrętnie.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Jak dobrze - powtórzył. - Może mam zastosować szkolną skalę? Czwórka - dobry, piątka - bardzo dobry, szóstka - celujący...

- Przestań. - Chciała odsunąć się od niego, lecz zacisnęła mocniej ramiona i przytrzymał ją w uścisku.

- Jeszcze nie skończyłem, panno Hayward. Za chwilę odpowiem na pani pytanie - powiedział, po czym pocałował ją namiętnie. Całował cudownie długo, wreszcie przerwał i spytał: - Czy taka odpowiedź panią zadowala?

Spojrzała w jego czarne oczy.

- Tak. - Przez chwilę panowała cisza. - Michael...?

- Mhm?

- Mnie też było cudownie.

Była niezmiernie piękna. Nie mógł wprost oderwać wzroku od leżącej obok uśpionej postaci. Połyskliwa aureola włosów otaczała jej śliczną delikatną twarz. Przypominała mu misterną figurkę z kości słoniowej. Ta niezwykła matowa biel, nieskazitelny kształt, łagodne rysy...

Kochać się z nią było czymś niezwykłym. Nigdy dotąd nie spotkał tak doskonałego połączenia nieśmiałości i namiętności. Była płochliwa jak dziewczica i uwodzicielska jak syrena. Niepewna siebie i przez to jeszcze bardziej pociągająca.

Jaka jest naprawdę? Musi się tego dowiedzieć, teraz albo później. Raczej później. Teraz nie będzie jej o nic pytał, jest taka spokojna i bezbronna... Na jej widok ogarnęła go nagle wielka czułość.

Nie chciał jej budzić, ale wiedział, że żadna kobieta nie wybacza mężczyźnie, kiedy ten rano znika bez słowa.

Musnął wargami jej policzek.

- Sydney... - Uśmiechnęła się i rozchyliła usta. - Sydney, obudź się i pocałuj mnie na do widzenia.

Uniosła długie rzęsy.

- To... już rano? - Zobaczyła nad sobą jego ciemną od zarostu twarz. Uniosła rękę i pogładziła szorstki policzek. Tak dawno o tym marzyła. - Wiesz, masz niebezpieczną twarz. - Uniosła się na łokciu. - Jesteś już ubrany?

- Pomyślałem, że lepiej coś na siebie włożyć przed wyjściem do miasta.

- Wychodzisz?

Przysiadł na brzegu łóżka.

- Już prawie siódma. Zrobiłem sobie kawę i wziąłem prysznic.

Pociągnęła nosem. Czują zapach swojego mydła na jego skórze, z kuchni dochodziła woń kawy.

- Trzeba było mnie obudzić.

Ujął pukiel jej włosów i z uśmiechem owinął go sobie wokół palca.

- Nie spałaś całą noc. Nie miałem serca, by wrywać cię ze snu. Spotkamy się później. Przyjdiesz do mnie po pracy? Zrobię obiad.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Jasne!

- I zostaniesz u mnie na całą noc?

Usiadła. Ich twarze znajdowały się teraz obok siebie.

- Tak.

- Bardzo dobrze, a teraz pocałuj mnie na pożegnanie. Zarzuciła mu ramiona na szyję, poczuła przez ubranie jego silne, cudownie umięśnione ciało. Zaczęła go całować, rozpinając mu jednocześnie koszulę.

- Sydney - złapał ją za ręce - spóźnię się przez ciebie.

- Świetny pomysł - uwolniła ręce - nic się nie martw, jakoś usprawiedliwię cię przed szefem.

Godzinę później tanecznym krokiem weszła do biura. W rękach trzymała ogromny bukiet kwiatów kupionych na ulicy, włosy miała rozpuszczone, powiewna żółta sukienka zgrabnie opływała jej ciało. Nuciała sobie coś wesoło pod nosem.

Janine uniosła wzrok znad biurka. Słowa codziennego powitania zamarły jej na ustach.

- Ale pani cudownie wygląda! - wyrwało się jej zupełnie nieoficjalnie.

- Bardzo dziękuję, Janine. Czuję się cudownie, a te kwiaty są dla ciebie.

Janine zmieszana objęła oburącz bukiet.

- Dziękuję... ja bardzo, naprawdę dziękuję...

- O której mam pierwsze spotkanie?

- O wpół do dziewiątej. Przychodzą panowie Keller i Lowe podpisać ten kontrakt z New Jersey.

- W takim razie mamy chwilę czasu, żeby spokojnie porozmawiać. Chodźmy do mnie.

- Już idę. - Janine sięgnęła po notatnik.

- To ci nie będzie potrzebne. - Przeszły do gabinetu, usiadły, po czym Sydney zapytała: - Od jak dawna tu pracujesz?

- W marcu minęło pięć lat.

Sydney uważnie przyjrzała się sekretarce. Janine była przystojną, zadbaną kobietą, o inteligentnych szarych oczach, w których w tej chwili malowało się zdziwienie.

- Musiałaś być bardzo młoda, kiedy do nas przysłaś.

- Tak, zaczęłam zaraz po szkole.

- Powiedz, lubisz swoją pracę?

- Nie bardzo rozumiem...

- Czy praca sekretarki zaspokaja twoje ambicje? Zdumiona Janine zastanawiała się przez chwilę.

- Mam nadzieję, że z czasem awansuję, ale bardzo lubię z panią pracować, panno Hayward.

- Masz spore doświadczenie, pracujesz w tej firmie znacznie dłużej ode mnie. Dlaczego lubisz ze mną pracować?

- Dlaczego? - powtórzyła sekretarka z namysłem. - Pracować dla prezesa takiej firmy to duża satysfakcja i uważam, że robię to nieźle.

- Też tak uważam. - Sydney wstała od biurka. - Widzisz, szczerze mówiąc, mam pełną świadomość faktu, że wszyscy oczekiwali, że nie zabawię w tym fotelu dłużej niż miesiąc, a i ten czas spędzę na malowaniu paznokci i rozmawianiu z przyjaciółkami przez telefon. - Słyszając te słowa,

Janine zaczerwieniła się, potwierdzając tym samym jej przypuszczenia. - Przydzielili mi zdolną sekretarkę - mówiła dalej Sydney - a nie dyrektora, kierownika działu czy innego specjalistę, bo sądzili, że nie będzie mi potrzebny. Tak było, prawda?

- To było polecenie służbowe - Janine wyprostowała się - zgodziłam się zostać pani asystentką, bo liczyłam na późniejszy awans, no i podwyżkę - wyznała szczerze.

- Postąpiłaś bardzo słusznie, korzystając z nadarzającej się okazji. Jesteś bardzo dobra, jestem z Ciebie zadowolona. Przychodzisz do pracy przede mną, a wychodzisz znacznie później niż ja. Kiedy o coś pytam, odpowiadasz w sposób wyczerpujący, a kiedy polecam ci coś zrobić, wykonujesz to natychmiast.

- Tylko taka praca ma sens, jak sądzę.

Sydney uśmiechnęła się w duchu, właśnie to pragnęła usłyszeć.

- W zeszłym tygodniu, kiedy ważyły się moje losy, stanęłaś po mojej stronie, ryzykując, że obie przegramy.

Postawiłaś swoją karierę na jedną kartę, choć wiedziałaś, że przeciwnik jest silny...

- Pracuję dla pani, nie dla pana Bingham, zresztą uważałam, że to pani ma rację.

- Cenię sobie lojalność. Ale poza tym uważam, że zdolności nie należy marnować. Te kwiaty to podziękowanie za to, co dla mnie zrobiłaś.

Twarz Janine rozjaśnił uśmiech. Wyraźnie się odprężyła.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co. A dlatego że podjęłaś słuszną decyzję we właściwym momencie, przenoszę cię na stanowisko kierownika działu, ze wszystkimi finansowymi konse-

kwencjami tego awansu.

- Słucham? - Janine otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Mam nadzieję, że wyrazisz zgodę. Potrzebny mi ktoś, komu będę mogła zaufać, kogo szanuję i kto zna się na wszystkim. Więc jak? Zgoda?

- Panno Hayward...

- Sydney - wyciągnęła do dziewczyny rękę - od dziś będziemy sobie mówić po imieniu.

Janine uśmiechnęła się przejęta.

- Mam nadzieję, że to nie sen...

- Nie, to jawa, a na dowód tego proszę, żebyś mi zaraz zorganizowała spotkanie z Lloydem. Zwróć się do niego w trybie pilnym i zawiadom go, że czekam na niego w biurze dzisiaj pod koniec urzędowania.

Lloyd spóźnił się piętnaście minut, lecz Sydney już wcześniej postanowiła uzbroić się w cierpliwość, nie była więc zdenerwowana jego brakiem punktualności. W ten sposób dawał jej zresztą dodatkową okazję do upewnienia się, że działa racjonalnie, a nie pod wpływem impulsu.

Kiedy wreszcie Janine wprowadziła go do gabinetu, Sydney była spokojna i pewna siebie.

- Wybrałaś sobie niezbyt dobry dzień na rozmowy, mam strasznie dużo zajęć - zaczął.

- Trudno. Usiądź, proszę. - Wskazała fotel. Lloyd usiadł i sięgnął po papierosa. - Nie zabiorę ci dużo czasu. Załatwimy sprawę błyskawicznie.

Przyjrzał się jej zza zasłony dymu.

- Masz jakieś kłopoty?

- Nie - uśmiechnęła się chłodno - nie mam żadnych prócz jednego, a ten postanowiłam rozwiązać właśnie teraz.

- Zastanów się dobrze, zanim zaczniesz wprowadzać

jakiegokolwiek zmiany. - Założył nogę na nogę. - Czy jesteś pewna, że zostaniesz tu wystarczająco długo, żeby warto było aż tak się angażować?

- Zaryzykuję, a ciebie proszę, żebyś jeszcze dzisiaj przygotował swoją dymisję. Na piśmie.

Lloyd aż podskoczył na krześle.

- Co takiego?

- Masz się podać do dymisji, albo sama cię zwolnię.

Rób, jak uważasz.

Rozgniół papierosa w popielniczce.

- O co ci chodzi? I co ty sobie właściwie wyobrażasz?

Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz? Jesteś tu od trzech miesięcy, a ja pracuję dla Haywarda dwadzieścia lat!

- To teraz bez znaczenia. Hayward to ja, a ja nie znoszę braku lojalności. Żaden z moich podwładnych nie będzie podważał mojej pozycji i działał na szkodę firmy. Czy wyrażam się jasno? Powinieneś złożyć dymisję we własnym interesie.

- Nie ma mowy.

- Trudno. Zwołam posiedzenie rady i opowiem wszystkim, jak się sprawy mają. - Przez chwilę znacząco milczała. - Chyba masz świadomość, że nagłośnienie sprawy pani Wolburg zaszkodziło nie tylko mnie, ale przede wszystkim firmie. Zagroziło jej żywotnym interesom. Jako pracownik firmy naraziłeś ją na ewentualność kolosalnych strat, kierując się jedynie osobistymi emocjami i uprzedzeniami. Zachowałeś się w najwyższym stopniu nieodpowiedzialnie.

Wyraz jego twarzy uświadomił jej, że ten strzał był celny.

- Niczego mi nie możesz dowieść.

- Naprawdę tak myślisz? - powiedziała z miną osoby

mającej biurko pełne dowodów. - Powtarzam, albo pełna lojalność, albo rezygnacja, a że w twoim przypadku o tym pierwszym nie może być mowy...

- Poczekaj! - zaperzył się Lloyd. - Któregoś dnia to ja zasiądę za tym biurkiem, a ty wrócisz do Europy i dalej będziesz się uganiać po sklepach!

- Wiesz dobrze, że nigdy nie zasiądziesz za tym biurkiem. Dopilnuję tego osobiście. Zbyt dużo złego mógłbyś zrobić firmie. Mam dowody na szkodliwość twojej działalności. Na następnym zebraniu rady przedstawię wszystkie sprawy, których nie załatwiłeś, listy, na które nie odpowiedziałeś, zażalenia, które zlekceważyłeś. Liczę na przychylność i zainteresowanie członków rady. Ostatnimi czasy zdobyłam sobie ich zaufanie.

Zacisnął dłonie. Wyglądał tak, jakby miał ochotę ją udusić.

- Chyba zwariowałaś. Czy sądzisz, że skoro twój dziecięciniały dziadek posadził cię na tym miejscu, to możesz pozwalać sobie na wszystko? Wybiję ci to z głowy!

- Bardzo proszę, spróbuj. Tylko pamiętaj, że jeśli przegrasz tę rundę, będzie ci bardzo trudno znaleźć nową pracę. Zastanów się, masz dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

- Jeszcze o mnie usłyszysz! - Lloyd nie dbał już o konwenanse.

Sydney wstała, pochyliła się nad biurkiem.

- To wszystko. Wiesz, gdzie są drzwi.

- Jeszcze się policzymy! - zagroził ponownie i ciężkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. Po chwili trzasnęły zamknięte drzwi.

Sydney usiadła i odetchnęła głęboko. Nie potrzebowała już drzeć papieru, żeby się opanować. Była

absolutnie spokojna i czuła się świetnie.

Michael wrzucił mięso, pomidory i przyprawy do rondla i wyjrzał przez kuchenne okno na ulicę. Potem włożył łyżkę do garnka, posmakował, dolał czerwonego wina i przykrył rondel pokrywką. Z salonu dobiegały radosne dźwięki „Wesela Figara”.

Nie mógł się doczekać przyjścia Sydney.

Zmniejszył gaz i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Wziął do ręki kawałek różanego drewna, nad którym pracował od kilku dni. Próbował wyrzeźbić jej głowę. Wyraźnie widać już było delikatny zarys ust. Dotknął ich ręką. Przypomniawszy sobie ich smak. Smak malinowego cukierka i chłodnego białego wina. Niezwykły, podniecający smak.

Przed oczami stanął mu arystokratyczny, wytworny owal twarzy Sydney. Dumny zarys podbródka, oczy patrzące z łagodną czułością i zaraz potem chmurne, odpychające. .. Aksamitna, brzoskwiniowa cera.

Oczy. Najtrudniej będzie oddać wyraz oczu. Nie chodzi o ich wykrój, tylko o tajemnicę, którą w sobie kryją. Żeby ta rzeźba się udała, musi się jeszcze o Sydney dużo dowiedzieć.

Uważnie przyjrzał się ledwo zarysowanej twarzy. Co się w tobie kryje, powiedz - zdawał się mówić do kawałka drewna, który dopiero zaczynał być prawdziwą Sydney.

Stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Otwarte - rzucił, nie odchodząc od stołu.

- Cześć, Mike! - Do pokoju wtargnęła błyskawica w postaci dziewczyny odzianej w wielobarwną koszulkę i jaskrawe szorty. - Masz coś zimnego do picia? Moja lodówka wykitowała na amen.

- Weź sobie - powiedział nieobecny głosem - załatwię ci nową.

- Jesteś nadzwyczajny! - Zajrzała do kuchni, wsadziła nos do garnka. - Całkiem nieźle pachnie - spróbowała - i nieźle smakuje. Ale chyba trochę za dużo tego jak na jedną osobę.

- Bo to dla dwóch.

- Och, przepraszam - sięgnęła do lodówki - ale dla dwóch też za dużo - zawyrokowała i ponownie zajrzała do garnka.

Michael odwrócił wzrok od rozpoczętej rzeźby.

- W porządku. Weź sobie trochę, tylko musisz jeszcze potrzymać to na ogniu.

- Serdeczne dzięki. - Keely wyjęła z kredensu małą miseczkę. - Kim jest ta szczęściara?

- Sydney Hayward.

- Sydney... - ze zdumienia upuściła łyżkę - Sydney Hayward? Masz na myśli tę bogatą pannę, co nosi na co dzień jedwabne sukienki i torebkę za sześćset dolarów? Widziałam taką na wystawie... Ona ma przyjść tu na kolację? Właśnie tutaj? Siedzieć, jeść, gadać, i tak dalej...?

Zwłaszcza to ostatnie, pomyślał Michael i uśmiechnął się pod nosem.

- Tak.

- Aha - powiedziała Keely niepewnym tonem, najwyraźniej niezbyt zadowolona z tej odpowiedzi.

Bała się o niego. Bała się, że ta księżniczka wystawi go do wiatru. Bogacze są zupełnie inni. Mają swój własny świat, który niełatwo zrozumieć. A Sydney jest bardzo bogata. Michael może i zarobił jakieś pieniądze na tych swoich figurkach, ale on to co innego. On jest taki jak ona, po prostu Mike, sąsiad i dobry kumpel, co to zreperuje cieknący kran, a jak trzeba zabije pająka.

Z miseczką w ręku podeszła do niego i przyjrzała się

jego ostatniej pracy. Cholera, dałaby wszystko, żeby mieć taką twarz.

- Podoba ci się? - zapytał.

- Zawsze mi się podobają twoje rzeźby. - Stała obok niego, przestępując z nogi na nogę. Nie podobał jej się wzrok, jakim patrzył na ten kawałek drewna. - Wygląda mi na to, że łączysz was coś więcej niż prace remontowe.

- Owszem - odparł, a Keely zmarkotniała. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie, to znaczy... - przygryzła wargi - Mike, na litość Boską, przecież ona należy do zupełnie innego świata!

Uśmiechnął się tylko.

- Martwisz się o mnie? - Poglaskał ją po włosach.

- Czy to dziwne? Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Nie mogę stać i patrzeć, jak krzywdzą mojego przyjaciela.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Boisz się, że spotka mnie to, co spotkało ciebie?

Wzruszyła ramionami.

- Ja nie byłam zakochana w tym chudzielcu, no, może troszkę...

- Ale płakałaś przez niego.

- W ogóle jestem mazgaj, płaczę nawet wtedy, gdy czytam kartki świąteczne. - Raz jeszcze spojrzała na nieukończoną rzeźbę. - O rany, kobieta, która tak wygląda, może mężczyznę doprowadzić do wszystkiego. Przez taką to... no, nie wiem, może nawet... wstąpić do Legii Cudzoziemskiej.

Michael wybuchnął śmiechem.

- Nie bój się, napiszę do ciebie z koszarów.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Michael poklepał dziewczynę po ramieniu i poszedł otworzyć.

- To ja. - Twarz Sydney rozjaśniła się na jego widok. W jednej ręce miała dużą torbę, w drugiej butelkę szampana. - Cudownie pachnie, już od trzeciego piętra czułam... - zaczęła i umilkła na widok Keely, stojącej z miseczką w dłoni na progu kuchni. - Dzień dobry - powiedziała, siłąc się na swobodny ton i próbując sobie wmówić, że niepotrzebnie przejmuje się tym, że sąsiadka Michaela widzi ją z podrózną torbą w ręku.

- Cześć, właśnie wychodziłam... - Keely też była zmieszana.

- Miło cię znowu widzieć. Jak się udała ta scena z duszeniem?

- Poszło zupełnie gładko - Keely uśmiechnęła się smutno. - No nic, idę już, smacznego, dziękuję ci, Mike.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Sydney wzięła głęboki oddech.

- Czy ona zawsze tak szybko się porusza?

- Prawie zawsze. - Michael położył ręce na jej biodrach. - A poza tym boi się, że mnie uwiedziesz, wykorzystasz i porzucisz. - Pocałował ją w usta. - Jeśli o to chodzi, to nie mam nic przeciwko temu pierwszemu i drugiemu.

- Wyjął jej z ręki torbę i butelkę, zatrzasnął drzwi nogą.

- Masz piękną sukienkę, wyglądasz jak róża o wschodzie słońca.

Sydney objęła go za szyję.

- Lubie, kiedy na mnie patrzysz. Dotknął wargami jej szyi.

- Jesteś głodna?

- Jak wilk, nie jadłam lunchu.

- Za dziesięć minut będzie gotowe - powiedział i wypuścił ją z objęć. Gdyby się nie odsunął, kolacja opóźniłaby

się zapewne jeszcze bardziej. - Pokaż, co dla nas kupiłaś. - Obejrzał butelkę, - Oho, za dobre do mojego gulaszu.

Sydney pociągnęła nosem.

- Nie sądzę - powiedziała i roześmiała się wesoło. - Musimy dziś coś uczcić, miałam bardzo dobry dzień.

- Opowiesz mi?

- Tak.

- Poczekaj, wezmę szklanki.

Była naprawdę zachwycona. Michael nakrył do kolacji na balkonie. Na środku małego stolika stała czerwona peonia w butelce z grubego zielonego szkła i chleb w wiklinowym koszyku. Dobiegająca z radia muzyka zagłuszała uliczny hałas.

Kiedy skończyli jeść, opowiedziała mu o nominacji Janine i rozprawie z Lloydem.

- Dlaczego go od razu nie wywaliłaś? - zapytał. Uniosła szklankę z winem i popatrzyła przez nią na zachodzące słońce.

- To nie takie proste, a rezultat taki sam. Gdyby nie chciał odejść, przedstawię radzie dokumenty na piśmie. Mój dziadek na przykład wielokrotnie polecał mu załatwić sprawę waszego domu, no i sam wiesz, jak Lloyd na to reagował. Takich spraw jest zresztą wiele...

- W takim razie powinienem raczej mu podziękować - pocałował ją we włosy - bo gdyby był uczciwy i dobrze pracował, nie musiałbym odwiedzać twojego biura i nie siedziałabyś teraz ze mną. Może trzeba było dać mu podwyżkę?

Sydney uśmiechnęła się i pocałowała wewnątrz jego ręki, myśląc o tym, z jaką łatwością okazuje ostatnio swoje uczucia. Michael tymczasem mówił dalej:

- Ale tak naprawdę to nie zasługa Lloyda, to los tak

chciał. Swoją drogą nie wyobrażam sobie, jak ktoś może chcieć wyrządzić ci krzywdę.

- Wiem, że to on podał do prasy wiadomość o wypadku pani Wolburg. - Przez chwilę milczała, bawiąc się kawałkiem chleba. - Tak bardzo mnie nienawidzi, że nie wahał się zaszkodzić interesom firmy. Nie mogę tego tolerować, rada też nie.

- Doprowadzisz sprawę do końca?

- Tak.

Przed sobą miała balkony sąsiedniego domu, wszystkie pełne suszącej się bielizny. Z podwórka dobiegały głosy bawiących się dzieci, przez otwarte okna widać było ludzi siedzących przed telewizorami. W tym nowym dla niej świecie czuła się wyjątkowo dobrze. Michael, widząc łagodny uśmiech na jej twarzy, ujął dłoń Sydney, a ona pogłaskała go delikatnie.

- Dzisiaj - powiedziała powoli, w zamyśleniu - po raz pierwszy czułam, że naprawdę coś ode mnie zależy. Zawsze dotąd robiłam tylko to, czego ode mnie oczekiwano, albo co wypadało zrobić... - Potrząsnęła gwałtownie głową - Zresztą, to nieważne. Ważne jest to, że przez te kilka miesięcy zrozumiałam, że sprawowanie władzy nakłada na człowieka ogromną odpowiedzialność. Mam tego pełną świadomość. Nie wiem, czy - rozumiesz, jak się teraz czuję.

- Przecież widzę. Mam przed sobą kobietę, która zaczyna w siebie wierzyć i robić to, co powinna. A tak nawiasem mówiąc, to chyba powinnaś teraz zająć się mną.

Zwróciła ku niemu twarz. W jego czarnych oczach zobaczyła znajomy wyraz. Dostrzegła też coś więcej, coś, co ją przestraszyło. On jednak nie zostawił jej chwili na wahanie. Ujął jej głowę i całując włosy, szeptał coś w niezrozumiałym dla niej języku.

- Chyba będę musiała sobie sprawić słownik.

- Nie trzeba. To bardzo łatwe - powiedział, całując ją znowu.

- Może dla ciebie. A co to znaczy? - Kocham cię.

Pocałował ją po raz kolejny. Tym razem śmielej i natarczywiej niż dotychczas. W jej oczach zobaczył obawę, a nawet więcej - wyraźny lęk.

- Michael...

- Dlaczego się przestraszyłaś? Przecież to nic złego.

- Nie byłam przygotowana. - Odsunęła się lekko.

Spojrzał na nią i też się odsunął.

- A czego się spodziewałaś?

- Myślałam, że ty - zawahała się - że ty...

- Że chodzi mi tylko o twoje ciało? - dokończył za nią.

Zawiodła go. Myślał, że ta dziewczyna rozumie znacznie więcej. - Pragnąłem ciebie, to oczywiste - wyjaśnił - ale nie chodziło tylko o seks. Czy ta noc dla ciebie znaczyła tylko tyle?

- Było cudownie - powiedziała pośpiesznie, choć wiedziała, że nie jest to odpowiedź na jego pytanie.

Michael oczywiście nie był zachwycony jej słowami. Jego twarz stężała z gniewu.

- Łóżko to miłe miejsce - zaczął ironicznym tonem i uniósł szklankę. Miał ochotę roztrzaskać ją o kamienną podłogę balkonu, ale się opanował. - To miłe miejsce - powtórzył - ale łóżko to nie wszystko. Oprócz ciała jest jeszcze serce, prawda? Serce potrzebuje miłości, a to, co było między nami zeszłej nocy, to właśnie była miłość.

Sydney stała bez ruchu, zmieszana i niezdolna do jakiegokolwiek sensownego słowa czy gestu.

- Nie wiem, nigdy dotąd nie było mi tak dobrze...
Spojrzał na nią przez szkło szklanki. Patrzyła bezradnie jak

dziecko. Nie, nie mógł być na nią zły. Musiał jej pomóc zrozumieć samą siebie.

- Przecież nie byłaś dziewczicą, miałaś męża.

- Tak, miałam - • powiedziała z wysiłkiem - ale nie chcę o tym teraz mówić. Nie wiem też, czy to, że było nam razem tak dobrze, to wystarczający dowód, że wydarzyło się coś więcej, niż skłonna byłam przypuszczać. Naprawdę wolałabym teraz tego wszystkiego nie analizować.

- Nie chcesz wiedzieć, co naprawdę czujesz? Jak możesz żyć, nie rozumiejąc, co się z tobą dzieje?

- Po prostu inaczej wszystko odbieram. Ty z łatwością rozpoznajesz swoje uczucia i rozumiesz swoje reakcje. Działasz i widzisz bezpośrednie efekty tego, co robisz, a ze mną jest inaczej. We mnie wszystko jest ulotne, nieokreślone. Po prostu potrzebuję czasu.

Uśmiechnął się smutno.

- Myślisz, że jestem taki cierpliwy?

- Nie.

- W takim razie zdajesz sobie sprawę, że czasu masz niewiele? - Westchnął ciężko i zaczął zbierać naczynia ze stołu. - Czy twój mąż zrobił coś, co cię zraniło?

- Nieudane małżeństwo zawsze rani, ale nie mówmy teraz o tym, proszę.

- Dobrze. Tym razem ci daruję - przez chwilę patrzył w ciemniejące niebo - dzisiaj chcę, żebyś myślała tylko o mnie.

Kocha mnie, pomyślała Sydney, zbierając ze stołu naczynia i niosąc je za Michaeliem do kuchni. Kocha. Powiedział to, czyli tak jest. Michael nie kłamie. Trudno tylko zrozumieć, jakie znaczenie mają dla niego te słowa.

Dla niej miłość to było coś dziwnego i nieznanego, coś, co przytrafia się innym. Ojciec kochał ją, oczywiście, ko-

chał ją w swój dziwny, trudny do określenia sposób, ale to było dawno. Potem rodzice rozwiedli się i widywała go bardzo rzadko.

Z matką było inaczej. Nie wątpiła, że Margerite również ją kocha, wiedziała jednak, że ma zbyt mało czasu, żeby to okazywać. Był również Peter... I było między nimi coś ważnego, dobrego, wielkiego, coś, co przepadło, gdy próbowali zostać małżeństwem.

Michael ofiarowywał jej zupełnie inną miłość. Wyczuwała to i bała się; była bardzo szczęśliwa, a jednocześnie pełna obaw.

- Gniewasz się? - spytała nieśmiało i stanęła za jego plecami. Zmywał teraz naczynia w kuchni i odwrócony był do niej tyłem.

- Trochę, ale przede wszystkim jestem zdziwiony - udało mu się uniknąć słowa „zraniony”, chociaż w tej sytuacji pasowałoby znacznie lepiej. - Przecież powinnaś się cieszyć, że ktoś cię kocha.

- Cieszę się, ale to nie jest jedyne uczucie. Równocześnie boję się, że zbyt ni pośpiech może zepsuć to, co się dopiero zaczyna. - Postanowiła mówić prawdę, Michael zasługiwał na nią. - Widzisz, cały dzień cieszyłam się, że tu przyjdę, że będziemy rozmawiać, że będziesz na mnie patrzył, że mnie pocałujesz... - Odstawiła na bok wytarty talerz, który przed chwilą jej podał. - Boże, dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Bo sama nie wiesz, że już mnie kochasz. Trudno - pokręcił głową - z czasem to zrozumiesz.

- Jesteś bardzo pewny siebie, sama nie wiem, czy to lubię, czy nie.

- Lubisz, bo to dla ciebie wyzwanie. Zmusza cię do działania.

- Pewnie sobie wyobrażasz, że bardzo mi pochlebia to, że mnie kochasz.

- Oczywiście, a co, nie jest tak? Przez chwilę stała zamyślona.

- W pewnym sensie tak, to leży w ludzkiej naturze, a ty jesteś... - Przez chwilę szukała słowa.

- Jaki jestem?

Spojrzała w jego czarne oczy.

- Jesteś cudowny.

- Co takiego? - Michael oparł się zdumiony o brzeg zlewu. Zaskoczyła go tym tak śmiałym jak na nią wyznaniem.

Wyjęła mu z ręki mokrą filiżankę.

- Nie wiesz, co odpowiedzieć, nie wiesz, co odpowiedzieć... - zanuciła jak mała dziewczynka.

- Przestań. - Odsunął jej rękę. - Nie wiem, bo nigdy nie słyszałem, żeby ktoś o mnie...

- Ale to prawda, jesteś cudowny. - Zarzuciła mu rękę na szyję. - Kiedy cię zobaczyłam po raz pierwszy, myślałam, że jesteś piratem, taki ciemny, ponury... A może to te twoje oczy, czarne, niebezpieczne...

Poczuła nagle jego rękę na swoich biodrach.

- Czuję, że rzeczywiście robię się niebezpieczny.

- A może to te usta, tak to mogą być usta... - Pocałowała przelotnie jego wargi, lekko wysuwając język.

- Próbujesz mnie uwieść...

Pomału zaczęła rozpinać guziki jego koszuli.

- Ktoś kiedyś musi... A masz takie cudowne ciało - ciągnęła dalej, starając się nie wypaść z roli. - Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam bez koszuli, myślałam, że zemdleję. Taka gładka skóra, takie mięśnie... - pomału zaczynała się wciągać we własną grę - jesteś wspaniały, tak dobrze jest cię

dotykać... - Przesunęła dłonie niżej, obejmuj; teraz jego plecy. Poczwała nagłą suchość w gardle, zamilkła.

- Czy wiesz, co teraz czuję? - Michael zaczął rozpinąć jej sukienkę. Jego ręce drżały. - Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę?

- Pokaż mi.

Natychmiast spełnił jej prośbę. Poczwała na sobie jego usta, silne ramiona uniosły ją w górę. Jednym ruchem zrzuciła buty. Poczwała się nagle lekka i wolna, jakby ten gest uwolnił ją od wszystkiego, co przykre i uciążliwe. Wymówiła jego imię i usłyszała swoje. Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk grzmotu.

Tym razem wszystko było tak samo, a jednocześnie zupełnie inaczej niż poprzednio. Sydney wiedziła, czego pragnie, i niespiesznie, konsekwentnie dążyła, by to pragnienie zaspokoić.

Burza za oknem rozszalała się na dobre. Raz po raz rozlegał się głos grzmotu, błyskawice przecinały granatowe niebo. Ich dwoje natomiast znajdowało się poza czasem i przestrzenią. Niewielki pokój był wyspą, całkowicie wyłączoną spod praw rządzących światem. Objęli się rozpaczliwie i zachłannie, po czym razem runęli w przepaść.

Deszcz padał przez cały następny dzień, a burza uspokoiła się dopiero po południu. Sydney prowadziła właśnie telefoniczną konferencję z jednym z kontrahentów. Przygotowywała się do niej cały ranek, mogła więc teraz czuć się pewnie i całkowicie panować nad sytuacją. Rozmowa przebiegła całkowicie zgodnie z jej planem i w tej chwili była już bliska pomyślnego końca.

- Owszem, panie Bernstein - mówiła do mikrofonu - ja również uważam, że korzyści będą obopólne.

Zaczekała, aż Bernstein porozumie się z adwokatem i

ze współnikiem. Po chwili z głośnika aparatu dobiegł ją głos rozmówcy:

- Zatem zgoda. Prześlemy pani odpowiedni faks o piątej czasu miejscowego.

Sydney uśmiechnęła się do siebie.

- Bardzo dziękuję, nasza firma bardzo sobie ceni sprawność, z jaką panowie działacie. Jeszcze raz dziękuję i do widzenia. - Wyłączyła mikrofon i spojrzała pytająco na Janine. - Jak było?

- Doskonale, nie udało im się ciebie wykiwać, chociaż wyraźnie mieli na to ochotę. Trafiła kosa na kamień.

- Myślę, że rada nadzorcza będzie zadowolona z tej transakcji. Siedem milionów zysku. Całkiem nieźle jak na początek, no nie? Teraz możesz sporządzić z tego sprawozdanie.

- Tak, oczywiście. - Janine wstała, żeby wyjść. Powstrzymał ją jednak dźwięk telefonu. - To na pewno pan Warfield, do ciebie - powiedziała.

Sydney zawahała się na ułamek sekundy.

- W porządku, dziękuję, Janine. Odbiorę. Poczekała, aż sekretarka zamknie za sobą drzwi, a następnie podniosła słuchawkę.

- Tak, słucham cię, Channing.

- No! Nareszcie! Od kilku dni staram się do ciebie dodzwonić, co się dzieje?

Nic, po prostu w wolnych chwilach kocham się z Michaelem, chciała odpowiedzieć, ale zrezygnowała.

- Jestem bardzo zajęta.

- Za dużo pracujesz - w jego tonie było pobłażanie - musisz trochę odetchnąć. Postanowiłem gdzieś cię zabrać. Co powiesz o obiedzie, powiedzmy - jutro?

- Nie mogę, mam zebranie.

- Zebranie można przełożyć.

- Naprawdę nie mogę, mam mnóstwo zajęć, przez cały tydzień będę bardzo zajęta.

- Sydney, obiecałem twojej matce, że oderwę cię od biurka, a zawsze dotrzymuję słowa.

Obiecał matce... Dlaczego, dlaczego tak ją denerwuje samo jej wspomnienie? Dlaczego z zimną krwią potrafi przeprowadzić milionową transakcję, a na samą myśl o tym, co powiedziała matka, dostaje gęsiej skórki?

- Mama za bardzo się przejmuje. Wybacz, ale muszę kończyć. Spóźnię się na spotkanie.

- Piękna kobieta zawsze może się spóźnić. Skoro nie możesz jutro, wybierz się z nami w piątek. Idziemy wszyscy do teatru, przedtem drink, a potem - lekka kolacja.

- Niestety, nie mogę, przykro mi. Do widzenia, życzę miłego wieczoru. Muszę kończyć. - Zanim zdołał zaprotestować, odłożyła słuchawkę.

Dlaczego po prostu mu nie powiedziała, że się zakochała?

Odpowiedź była prosta. Channing poleciałby zaraz z nowina, do Margente. A Sydney nie mogła dopuścić, aby matka o czymkolwiek się dowiedziała. To, co łączy ją z Michaeliem, jest tylko jej sprawą i tak ma pozostać. Jak najdłużej.

Michael ją kocha... Przymknęła oczy i zatopiła się w myślach. Może z czasem i ona pokocha go tak samo, całą sobą bez żadnych zastrzeżeń i wątpliwości. Wszystko jest możliwe. Myślała na przykład dotąd, że jest oziębła, a to okazało się nieprawdą. Pierwszy krok został zrobiony. Dalsze były kwestią czasu.

Czas. Potrzebuje czasu, żeby zapanować nad emocjami. A potem... potem zobaczy.

Stukanie do drzwi wyrwało ją z tych dusznych rozterek.

- Przepraszam - w drzwiach ukazała się głowa Janine - właśnie dostałam to pismo z biura pana Bingham, może zechcesz rzucić okiem.

- Tak, dziękuję.

Była to prośba o przyjęcie dymisji. Lloyd zwracał się o zwolnienie go z pracy w trybie natychmiastowym. Pismo było suche i oficjalne, ale czytając między wierszami, można było wyczuć ton pogroźki.

- Janine, przyniesiesz mi teczkę pana Bingham? Wezmę ją do przejrzania w domu.

Janine zatrzymała się w drzwiach.

- Przepraszam, czy mogę coś doradzić?

- Oczywiście, słucham.

- Musisz być bardzo ostrożna w tej sprawie, jest ktoś, kto chce ci wbić nóż w plecy.

- Wiem i dlatego nie zamierzam mu na to pozwolić.

- Przeciągnęła się w fotelu. - Zanim dasz mi tamtą teczkę, może byśmy tak napiły się kawy?

- Zaraz zrobię. - Janine odwróciła się ku drzwiom i niemal zderzyła się w nich z Michael, który właśnie stanął w progu. - O, przepraszam... - Spojrzała na przemoknięte ubranie gościa. - Pani Hayward jest bardzo...

- W porządku - Sydney wstała zza biurka - przyjmij pana Stanisławskiego.

- Czy mam z nikim nie łączyć? - zdążyła jeszcze zapytać Janine.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział za Sydney Michael. - Zaczekaj, to ty jesteś ta Janine? Sydney mówiła mi, że świetnie pracujesz.

- Dziękuję - spojrzała na niego z wdzięcznością i z po-

dziwem. Nie widziała w swoim życiu wielu równie przy-
stojnych mężczyzn. - Może napije się pan kawy?

- Nie, dziękuję.

- Ja też rezygnuję - wtrąciła Sydney - możesz wyjść,
zjeść coś na mieście.

- W porządku. - Janine niechętnie zamknęła za sobą
drzwi, nie spuszczać przybysza z oka.

- Nie masz parasola? - spytała Sydney, dotykając mo-
krych włosów Michaela, gdy już zostali sami.

- Nie ruszaj. Cała się zmoczysz - odsunął jej rękę -
masz jakiś ręcznik?

- Zaraz ci dam. - Weszła na chwilę do łazienki. - Co ty
robisz o tej porze w tej części miasta? - spytała, podając mu
ręcznik.

- W czasie deszczu nie da się pracować. Jesteś bardzo
zajęta?

Spojrzała na list Lloyda leżący na biurku i pomyślała o
jego teczce.

- Trochę.

- Może byś poszła ze mną do kina?

- Bardzo chętnie - wzięła od niego ręcznik - tylko daj
mi godzinę, przejrzę to i idziemy.

- Okay. Wpadnę za godzinę. - Dotknął perłę zdo-
bnych jej szyję i powiedział z tajemniczym błyskiem w oku. -
Jest jeszcze jedna propozycja.

- Jaka?

- Jedziemy z rodziną na weekend do siostry, posie-
dzieć razem, zjeść coś na świeżym powietrzu. Może zabie-
rzesz się z nami?

- Świetny pomysł. Kiedy?

- W piątek, po pracy. Możemy pojechać, jak będziesz
wolna.

- Pójdę do domu się przebrać i będę gotowa około szóstej, najpóźniej kwadrans po szóstej. Tak będzie dobrze?

- Doskonale. - Objął ją i delikatnie pocałował. - Natasha na pewno cię polubi.

- Mam nadzieję.

- Kocham cię. - Pocałował ją jeszcze raz.

- Wiem.

- I ty też mnie kochasz, choć jesteś zbyt uparta, żeby się do tego przyznać. No nic. Teraz cię zostawiam, żebyś ty mogła popracować.

- W takim razie zobaczymy się za godzinę. - Z ręcznikiem w ręku odprowadziła go do drzwi. - Michael...

Odwrócił się w progu.

- Tak?

- A gdzie mieszka ta twoja siostra?

- W zachodniej Wirginii - uśmiechnął się, mrugnął okiem i zamknął za sobą drzwi.

Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze się spóźnię, pomyślała Sydney, wykładając kolejny raz ubrania z walizki. Dotychczas zawsze wiedziała, co zabrać ze sobą w podróż, a tym razem już dwukrotnie przepakowywała walizkę. Nie miała pojęcia, co zabrać ze sobą do zachodniej Wirginii. Tydzień na Martynice - bardzo proszę! Kilkudniowa wycieczka do Rzymu - bez problemu! Natomiast zwykły weekend w zachodniej Wirginii w rodzinnym gronie wymagał kilkugodzinnego buszowania w szafach.

Przyrzekając sobie w duchu, że robi to po raz ostatni, zapakowała walizkę po raz trzeci i żeby nie mieć więcej pokus, przeniosła ją do salonu. Potem pobiegła z powrotem do sypialni, żeby się przebrać.

Zmieniła biurowe ubranie na płócienne spodnie i krótką tunikę bez rękawów. Przejrzała się w lustrze. Właśnie zamierzała włożyć coś innego, kiedy zadzwonił dzwonek.

No tak, oczywiście spóźniła się. Spięta pospiesznie włosy i poszła otworzyć drzwi. W progu stała Margerite.

- Dzień dobry, kochanie. - Matka musnęła wargami jej policzek.

- Nie spodziewałam się, że możesz mnie odwiedzić, mamo. Nie wiedziałam, że...

- Oczywiście, że wiedziałas - matka wystudowanym ruchem osunęła się na krzesło - Channing mówił ci przecież o naszej dzisiejszej wyprawie do teatru.

- Tak, mówił, zapomniałam.

- Sydney - głos matki podniósł się o ton wyżej - zaczynam się o ciebie martwić.

Sydney automatycznie sięgnęła po szklanekę i przygotowała matce drinka.

- Nie powinnaś, ze mną wszystko w porządku.

- Naprawdę? Odrzuciłaś chyba z tuzin zaproszeń, chowasz się gdzieś, nie masz nawet chwili czasu, żeby pójść ze mną na zakupy. Ciągle tylko przesiadujesz w biurze. Uważasz, że naprawdę nie ma powodu do niepokoju? - Uśmiechnęła się do córki i sięgnęła po szklanę. - Coś z tym wreszcie trzeba zrobić, zajmiemy się tym. Postanowiłam zabrać cię dzisiaj z Channingiem do teatru, przedtem wstąpimy napić się czegoś.

Sydney już miała kiwnąć głową i zgodzić się potulnie na tę propozycję, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Przecież wszystko się zmieniło. Nie musi już robić wyłącznie tego, czego od niej oczekują.

- Mamo, bardzo mi przykro, nie bywam nigdzie, bo praca w biurze zabiera mi cały wolny czas.

- No właśnie, kochanie. Rzecz w tym, żeby to zmienić. - Margerite pociągnęła łyk ze szklanki. Dla niej nic się nie zmieniło. Ciągle miała przed sobą małą dziewczynkę, której trzeba poradzić, jak ma żyć.

- Rzecz w tym, mamo, że nie zamierzam dłużej wypełniać każdej wolnej chwili tak zwanym „bywaniem w świecie” - Sydney mówiła powoli, ale dziwnie stanowczo - dlatego też bardzo dziękuję, że o mnie pomyśleliście, ale mam po prostu inne plany. Powiedziałam to zresztą Channingowi.

Przez twarz Margerite przebiegł błysk zdenerwowania.

- Jeśli sobie wyobrażasz, że zostawię cię tutaj nad stertą papierzysek...

- Nie zamierzam pracować. Wybieram się właśnie za miasto - dzwonek do drzwi przerwał jej w pół zdania - przepraszam cię na chwilę. - Otworzyła drzwi. - Michael, moja mama właśnie...

Nie pozwolił jej skończyć i od razu pocałował ją w

usta. Margerite, blada, z zaciętą twarzą, przyglądała się tej scenie. Po chwili bez słowa wstała z krzesła. Nie miała wątpliwości, że to, co widzi, jest pocałunkiem kochanków.

- Michael... - Sydney próbowała nie dopuścić do skandalu.

- Jeszcze nie skończyłem... Wysunęła się z jego objęć.

- Michael, moja matka...

Spojrzał w głąb pokoju. Zobaczył bladą z wściekłości twarz Margerite.

- O, witaj, Margerite.

- Czy to wypada - zaczęła Margerite, z trudem hamując furię - tak łączyć interesy z przyjemnościami? Jak ci się wydaje?

- Nieraz wypada, nieraz nie - odparł spokojnie. W jego głosie nie było zawstydzenia ani skruchy. - Najważniejsza jest szczerść, a ja byłem z tobą szczery, Margerite.

Odwróciła się oburzona.

- Sydney, czy mogę z tobą pomówić sam na sam?

Sydney poczuła, jak jej kark sztywnieje. Trudno, prędzej czy później i tak musiało dojść do tej rozmowy, pomyślała.

- Michael, możesz zanieść mój bagaż do samochodu? Zejdę za kilka minut.

Spojrzał jej w oczy.

- Zostanę z tobą - powiedział, zaniepokojony ich wyrazem.

- Nie - dotknęła jego dłoni - lepiej będzie, jak zostawisz nas same, proszę, zrób to dla mnie.

Schylił się po walizkę i wyraźnie niezadowolony wolno opuścił pokój. Kiedy trzasnęły drzwi wyjściowe, Margerite ruszyła do ataku. Rzadko wpadała we wściekłość, ale kiedy już to się zdarzyło, stawała się nieobliczalna.

- Ty idiotko, poszłaś z nim do łóżka!
 - To nie twoja sprawa, mamó. Ale owszem, poszłam.
 - Czy ty zupełnie zgłupiałaś? Żeby spać z kimś takim!
- Matka z trzaskiem odstawiła szklanekę na stolik - Przecież taki związek może cię zniszczyć... może zniszczyć wszystko, co dla ciebie zrobiłam! Już raz narozrabiałaś, rozwodząc się z Peterem, ale jakoś wszystko wtedy załatwiłam. Jeszcze ci mało? I co, wybierasz się z nim do jakiegoś motelu? Nie wstyd ci?

Sydney zacisnęła pięści.

- W naszym związku z Michaeliem nie ma nic wstydliwego, nie zamierzam się więc wstydzić. A o rozwodzie z Peterem nie zamierzam z tobą rozmawiać.

Twarz Margerite stężała.

- A więc to tak? Od początku robię wszystko, żebyś miała odpowiednią pozycję. Najlepsze szkoły, najlepsze towarzystwo, wybrałam ci nawet męża... A teraz chcesz wszystko zniszczyć, przekreślić! Powiedz mi, dlaczego? No, mów! Nie masz zamiaru ze mną rozmawiać? - Jej głos przeszedł w krzyk. Sydney zachowała jednak kamienny spokój. - Tak, rozumiem, co cię w nim pociąga, rozumiem doskonale. Sama miałam przez chwilę ochotę na przelotny romans. Kobiety lubią takich nieobliczalnych dzikusów, prócz tego jest artystą... wszystko rozumiem. Ale pomyśl, kim on właściwie jest? Nikim! Przybędą bez wykształcenia i wychowania! Jakiś Cygan nie wiadomo skąd. Czy ty sobie wyobrażasz, że pozwolę, żebyś spotykała się z kimś takim? Zapomniałaś, że nazywasz się Hayward!?

- Dosyć, mamó. - Głos Sydney zabrzmiał tak stanowczo, że matka zamilkła. - Naprawdę wystarczy. Myślę, że akurat ty nie powinnaś powoływać się na nasze nazwisko. Nie masz prawa. Nic dla niego nie zrobiłaś. To ja siedzę w

biurze od rana do wieczora, żeby ono w dalszym ciągu coś znaczyło. A to co robię po pracy, to tylko moja sprawa.

Margerite znowu zbladła. Nigdy dotąd nie słyszała córki przemawiającej do niej w ten sposób.

- Nie mów do mnie takim tonem. Czy ty, dziewczyno, do tego stopnia straciłaś rozum, że zapominasz, co jest twoim obowiązkiem? Otóż twoim jedynym obowiązkiem jest poślubić Channinga.

- Sama wiem, jakie są moje obowiązki. A ton, którym mówię, nie różni się od twojego. - Przez chwilę milczała. - Jeśli zaś chodzi o Channinga, to musisz zrozumieć, że nie zamierzam się z nim wiązać. Nigdy. Nigdy też już nie będziesz wybierać mi męża. Myślę, że warto, żeby ten człowiek o tym wiedział i nie robił sobie nadziei. Jeśli zamierzasz nadal go łudzić, to jutro zamówię wielkie ogłoszenie w „Timesie” i podam do publicznej wiadomości, że jestem kochanką Michaela. Tak, jestem, i właśnie dlatego nie pozwolę ci go obrażać. Nie znasz go i nic o nim nie wiesz, nie znasz jego rodziny. Widzisz tylko to, co powierzchowne.

Żrenice Margerite zwężyły się.

- A ty niby widzisz coś więcej?

- Owszem, widzę w nim wspaniałego, dobrego człowieka, który żyje uczciwie, nie krzywdząc nikogo. Człowieka, który mnie kocha, i którego... ja... ja też kocham - dokończyła niespodziewanie dla samej siebie i w nagłym przeblasku świadomości zrozumiała, że powiedziała prawdę.

- Kocha cię? - powtórzyła Margerite osłupiała. - On cię kocha? Boże, ty naprawdę zwariowałaś. Czy rzeczywiście wierzysz we wszystko, co ci chłop mówi w łóżku?

- Wierzę w to, co mówi Michael. Przepraszam cię, teraz muszę już iść. On czeka, a mamy przed sobą długą drogę.

Szttywno wyprostowana, z wysoko uniesioną głową,

Margerite ruszyła do drzwi. W ostatniej chwili odwróciła się i przeciągle spojrzała na córkę.

- Jeszcze tego pożałujesz, on cię zniszczy. Ale może właśnie trzeba, żebyś dostała nauczkę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Sydney opadła na kanapę. Trudno, Michael będzie musiał poczekać jeszcze chwilę.

Michael krążył niecierpliwie po garażu. Na dźwięk windy jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

- Wszystko w porządku? - Ujął jej twarz w dłonie. - Widzę, że nie bardzo.

- Mogło być gorzej. Rodzinne dyskusje nigdy nie są przyjemne.

Wiedział coś o tym. W jego rodzinie wszyscy się kłócili, tyle że zaraz potem godzili się i wszystko było dobrze. Śmiertelnie błada twarz Sydney świadczyła o tym, że u Haywardów jest inaczej.

- Wróćmy na górę, odpoczniesz trochę i pojedziemy później.

- Nie, jedźmy zaraz.

- Bardzo mi przykro - ucałował jej dłonie - za nic nie chciałem być powodem twojej kłótni z matką.

- Kiedy to wcale nie chodziło o ciebie - objęła go i przytuliła - to stare sprawy. Zbyt długo o tym nie mówiłyśmy i teraz wszystko wybuchło. Nie mam ochoty ci tego tłumaczyć.

- To niedobrze.

- Wiem, przepraszam. - Przymknęła oczy, próbując odzyskać równowagę. Żołądek podchodził jej do gardła, w nogach czuła słabość. - Kocham cię, Michael.

Przechylił jej głowę do tyłu. Spojrzała w jego ciemne oczy. Były przenikliwe i bardzo głębokie. Wiedział, co pragnie w nich zobaczyć.

- Nareszcie. Przestałaś się upierać, bardzo dobrze. Powtórz mi to jeszcze w czasie podróży, bo bardzo lubię słyszeć, jak to mówisz.

Roześmiała się i ujęła go pod ramię. Objęci ruszyli w stronę samochodu.

- Powtórzę ci, ile razy zechcesz.

- Nawet kiedy sama będziesz prowadzić?

- Ja mam prowadzić?

- Oczywiście. Najpierw ja, potem ty. Masz chyba prawo jazdy?

- Mam.

- Więc o co chodzi? Boisz się? - zapytał, słysząc niepewność w jej głosie.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Nie, dzisiaj nie boję się niczego.

Było już po północy, kiedy zajechali wreszcie pod duży dom z czerwonej cegły. Sydney, zwinięta w kłębek, spała na przednim siedzeniu. Kawał drogi bardzo dzielnie prowadziła, lecz potem, wróciwszy na miejsce pasażera, nagle opadła z sił. Spojrzał na nią z czułością. Zawsze tak właśnie wyobrażał sobie swoje życie: pewnego dnia spotka kogoś, kto jego codzienną szamotaninę zamieni w spokojne bytowanie, kto życiu nada sens i wypełni je miłością. I oto teraz ten ktoś spał obok niego w samochodzie, który rozcinał światłem reflektorów ciemności nocy.

Spoglądając na nią, doskonale wyobrażał sobie ich dalsze życie. Wszystko będzie cudownie, co nie znaczy jednak, że sielsko, spokojnie i bez niespodzianek. Będą jednak na pewno wspólne poranki spędzane w domu, który dla nich zbuduje, będą wieczorne spotkania po pracy, kiedy Sydney wracała będzie, wytworna i elegancka, po jakimś kolejnym zakończonym sukcesem spotkaniu. Usiądą wtedy i

opowiedzą sobie, co każdemu z nich wydarzyło się w ciągu dnia. Będą mówili o swojej pracy i o sobie.

Pewnego zaś dnia w jej ciele pocnie się dziecko. Będzie czuł, jak jego syn albo córka porusza się wewnątrz niej. A potem oboje będą obserwować, jak rośnie i rozwija się.

Wszystko przyjdzie z czasem. Nie trzeba się spieszyć. Teraz powinni cieszyć się każdą spędzoną razem chwilą.

Zatrzymał samochód. Pocałował ją w policzek.

- Obudź się, księżniczko. Jesteśmy na miejscu. - Sydney zamruczała tylko przez sen. - Przebyliśmy góry i doliny. No, pocałuj mnie.

Otworzyła oczy, czując jego ciepły policzek przy swojej twarzy.

- Gdzie jesteśmy?

- Minęliśmy tablicę „Witajcie w Wirginii. Tu jest wspaniale”. Jak będziemy wracać, powiesz mi, czy to prawda.

Wszędzie, gdzie jesteśmy razem, jest wspaniale, pomyślała, tuląc się do niego. Znów sennie przymknęła powieki.

- Cholera, najwyraźniej się starzeję, bo coraz mi trudniej uwieść kobietę w samochodzie.

- Spróbuj, masz okazję...

- Nie mogę. Stoimy przed domem. Boję się, że mama wyjrzy przez okno. Ale poczekaj, jak tylko się położymy, wślizgnę się do twojego pokoju.

Roześmiała się i podźwignęła z fotela, a on pomógł jej wstać. Odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała w stronę domu. Wznosił się przed nią, wielki, rozświetlony oknami pierwszego piętra. Michael wziął walizki i poszli w stronę kamiennych schodów. Poczwała dobiegający z ogrodu obok zapach róż.

Ogród był dziki, ale malowniczy. Dom ocieniały stare dęby. Przy schodach Sydney spostrzegła przewrócony trzykołowy rower, obok którego leżał zniszczony krzew petunii.

- Robota Iwana - Michael poszedł za jej wzrokiem - wszędzie ryje, dla własnego dobra powinien zaszyć się w mysią dziurę, zanim Natasza to zobaczy.

Z wnętrza domu dobiegł dźwięk rozmów i muzyki.

- Nie położyli się jeszcze? - zdziwiła się. - Wydaje się, że wszyscy bawią się w najlepsze.

- Mamy tylko dwa dni, chcą sobie porozmawiać, nie można tracić czasu na spanie.

Otworzył oszklone drzwi i nie pukając, wszedł do środka. Postawił bagaż przy prowadzących na górę schodach, ujął rękę Sydney i poprowadził ją do salonu.

Poczuła, że ogarnia ją trema. Lata treningu nauczyły ją, że zawsze, kiedy dojszć miało do oficjalnej prezentacji, powinna się wyprostować, zmobilizować i uśmiechnąć, a następnie ze sztywno wysuniętą dłonią powiedzieć: „bardzo mi miło”. Towarzystwo, w którym się znalazła, wyznawało jednak chyba inne zasady, bo oto Michael zamiast mówić, jak mu miło, porwał po prostu w ramiona drobną, śliczną kobietę z długimi rozpuszczonymi włosami i zawołał radośnie:

- Cześć, mała!

- Zawsze musisz się spóźnić - Natasza pocałowała brata w oba policzki - co mi przywiozłeś?

- Coś tam się znajdzie, zaraz zajrzemy do walizki. - Postawił siostrę na podłodze i zwrócił się do siedzącego przy pianinie mężczyzny: - Dbasz o nią?

- O ile mi pozwoli. - Spence Kimball uściśnął jego rękę. - Od godziny biega od okna do okna i wygląda, czy nie nadjeżdżasz. Strasznie się o ciebie martwiła.

- Nieprawda. - Natasza z szerokim uśmiechem zwróciła się teraz do Sydney. Widząc wyraz jej twarzy, nagle spowaźniała. Czy to możliwe, żeby Michael zakochał się w tej lodowatej, wyniosłej piękności? - pomyślała. No, ale skoro wszyscy w rodzinie tak mówią... - Nie znamy się jeszcze.

- To Sydney Hayward, a to moja siostra, Natasza - powiedział Michael, zaniepokojony i lekko zirytowany sztywnym zachowaniem Sydney.

- Bardzo mi miło, przepraszamy za spóźnienie, to moja wina - skłoniła się grzecznie.

- Witaj w naszym domu, resztę rodziny podobno już znasz - Natasza znów przejęła inicjatywę. - Pora na nas. Pozwól, że ci przedstawię, to mój mąż, Spence.

Sydney odwróciła się z wystudiowanym uśmiechem, a wtedy mężczyzna, którego właśnie jej przedstawiono, zerwał się od pianina i podszedł, wyciągając ku niej obie dłonie.

- Coś takiego! To naprawdę ty, Sydney?

- Spence Kimball! - ucieszyła się. - Nie przypuszczalabym. .. - z wyraźną radością uściśliła jego rękę - mama mi mówiła, że się przeprowadziłeś i powtórnie ożeniłeś, ale...

- Znacie się? - Natasza wymieniła z matką spojrzenia. Nadia naląła wina do kieliszków.

- Tak - potwierdził Spence. - Poznałem Sydney, kiedy była w wieku naszej Freddie - wskazał swoją najstarszą córkę - i nie widzieliśmy się od...

Przerwał, nie wiedząc, czy wypada odwoływać się do wspomnień. Ostatnio widzieli się na jej ślubie. Od dawna nie miał kontaktu z wyższymi sferami Nowego Jorku, ale wieść o nieudanym małżeństwie Sydney jakoś do niego dotarła.

- Tak, to było bardzo dawno temu - uśmiechnęła się.

- Jaki ten świat mały! - Jurij klepnął Spence'a po ra-

mieniu. - Sydney jest właścicielką domu, w którym mieszka Michael. Nie wyobrażasz sobie, co on wyprawia, kiedy ona zmarszczy brwi.

- Nic nie wyprawiam. - Michael nalał ojcu wódki do kieliszka. - Zresztą nie mam powodu, to ona za mną szaleje.

- Uwaga, baczność! - wtrąciła Rachel. - Michael otwiera przed nami swoją duszę.

Pokazał siostrze język i zwrócił się do Sydney.

- Powiedz, że za mną szalejesz, a ona niech wszystko odszczeka.

- Braciszku, czy ty zawsze musisz być taki obcesowy?

- W drzwiach stanął Alex. - Lepiej chodź do mnie, Sydney, ja jestem delikatny i dyskretny, a do tego nad wyraz skromny.

- Uspokójcie się obaj. - Nadia spojrzała na Alexa karzącym wzrokiem. - Bardzo jesteś zmęczona? - zwróciła się do Sydney.

- Trochę...

- Przepraszam, nie pomyślałam - zareagowała natychmiast Natasza - musisz być wykończona. Zaraz pokażę ci pokój. Jeśli chcesz, możesz się położyć, albo odpocząć chwilę i zejść tu do nas. W każdym razie czuj się jak u siebie w domu.

- Dziękuję - Sydney schyliła się po walizkę, ale Natasza uprzedziła ją. Spojrzała na narzeczoną brata wnikliwie, lecz dość przyjaźnie. Widać było jednak, że nim przyjdzie świt, wypyta Spence'a o wszystko, co będzie mógł na jej temat powiedzieć.

Zaprowadziła Sydney do małego pokoju w końcu korytarza. Białe ściany, drewniana podłoga, lekkie tiulowe firanki unoszące się od podmuchów wiatru przypomniały Sydney dawno czytane angielskie powieści.

- Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze. - Natasza po-

stawiała walizkę w nogach łóżka. - Jesteś przyjaciółką mojego brata, a więc i moją.

- Bardzo tu miło - powiedziała Sydney, rozejrzawszy się dokoła. Czula zapach starego drewna i dzikich róż. - Cieszę się, że siostra Michaela jest żoną mojego starego przyjaciela. Spence uczy tu muzyki na uniwersytecie, prawda?

- Tak, pracuje w Shepherd College, no i znowu zaczął komponować.

- Świetnie, jest bardzo zdolny. Pamiętam jego córkę, Freddie.

- Ma teraz dziewięć lat - Natasza uśmiechnęła się - próbowała czekać na Michaela, ale zasnęła. Wzięła sobie do łóżka Iwana, bo się bała, że go uduszę za te petunie. Jutro ją zobaczysz. - Umilkła, przechyliła głowę i przez chwilę nadśluchiwała uważnie.

- Coś się stało? - spytała Sydney.

- Nie, to tylko Katia, nasza najmłodsza. - Natasza mimo woli położyła rękę na piersi. - Czeka na karmienie, przepraszam, muszę do niej iść. - W drzwiach zawahała się. Intuicja coś jej podszepnęła, a Natasza zawsze kierowała się intuicją. - A może chcesz ją zobaczyć?

Sydney nie od razu odpowiedziała. Po chwili skinęła jednak głową.

- Oczywiście, z przyjemnością.

Zeszły na dół. Płacz narastał, w miarę jak zbliżały się do pokoju dzieciennego.

- Już jestem, kochanie - Natasza pochyliła się i wyjęła małą z łóżeczka - mamusia przyszła i zaraz da ci jeść.

W pokoju panował półmrok. Lampka w kształcie małego konika rzucała na ściany blade, różowawe światło. Sydney nawet nie zauważyła, kiedy w progu zarysowała się

postać mężczyzny.

- Nic jej nie jest, Spence, po prostu ma ochotę na kolację - szepnęła Natasza.

Spence zbliżył się do karmiącej i pochylił nad nią. Ich głowy zetknęły się. Maleńka główka do złudzenia przypominała głowę matki, mała rączka zacisnęła się wokół palca ojca.

- A poza tym na pewno chciała się przywitać z Sydney - dodała.

Sydney poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. W obrazie, który miała przed oczami, było tyle miłości i tyle jakiejś dziwnej mocy, że nie potrafiła się opanować. Powstrzymując łzy, wysunęła się cicho na korytarz.

Obudziła się przed siódmą. Nie zrobiła tego z własnej woli. Ze snu wyrwał ją śmiech i hałas dobiegający zza okna. Jęknęła i dotknęła posłania obok. Michaela nie było.

Tak jak zapowiadał, wślizgnął się do jej pokoju i zabrał w nim przez całą noc.

Ale teraz go nie było.

Położyła sobie poduszkę na głowie, próbując ponownie zapaść w umykający sen, ale na próżno. Westchnąwszy więc z rezygnacją, wstała, włożyła szlafrok i wyjrzała na korytarz.

Z sąsiednich drzwi wysunęła się głowa Rachel. Przez chwilę patrzyły na siebie ze zrozumieniem, wreszcie Rachel odezwała się pierwsza.

- Jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci, to w soboty rano będzie im wolno wstawać najwcześniej o dziesiątej. I to pod warunkiem, że przyniosą mi śniadanie do łóżka.

Sydney przytrzymała rozchylający się szlafrok.

- Powodzenia.

- No, nie wiem, może nie będę aż tak surowa - Rachel

ziewnęła - masz monetę?

Zbyt zaspana, żeby się zastanawiać nad niedorzecznością tego pytania, Sydney automatycznie sięgnęła do kieszeni.

- Nie, nie mam.

- Poczekaj - Rachel na chwilę zniknęła, po czym pojawiła się znowu. W ręku trzymała srebrną monetę. - Masz, rzuć.

- Po co?

- Orzeł czy reszka? Ten, kto wygra, idzie pod prysznic pierwszy, drugi robi kawę.

Sydney siłą powstrzymała się od uprzejmego „mogę zrobić kawę, oczywiście” i z lubością pomyślała o ciepłym prysznicu.

- Reszka - powiedziała.

Rachel rzuciła monetę. Zakłęła w dwóch językach.

- Cholera jasna, z mlekiem i z cukrem?

- Nie, czarną.

- Dobra, zaraz przygotuję. - Już miała zniknąć, kiedy odwróciła się znowu. - Powiedz, ale tak między nami, ty naprawdę szalejesz za tym moim braciszkiem?

- Między nami mówiąc, tak.

Rachel westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Nigdy tego nie zrozumiem. Może to i lepiej.

Pół godziny później, odświeżona prysznicem i pokrzepiona kawą, Sydney zeszła na dół. Gwar głosów podpowiadał jej, że rodzinne śniadanie odbywa się w kuchni.

Gdy weszła, Natasza, w szortach i samym podkoszulku, stała na środku, Jurij siedział za stołem z niemowlęciem w ramionach, a Alex, rozparty na krześle, spokojnie czekał, aż matka poda mu kawę.

- Cześć, Sydney - zawołał Jurij.

- Tato, trochę więcej szacunku dla damy.

Ojciec klepnął Alexa po plecach i wskazał Sydney miejsce obok siebie.

- Siadaj i spróbuj bułeczek mojej córki.

- Dzień dobry - Natasza podeszła do niej z talerzem - bardzo przepraszam w imieniu moich koszmarnych dzieci za to, że bladym świtem postawiły cały dom na nogi.

- Dzieci muszą hałasować - powiedział sentencjonalnie Jurij - od tego są.

Sydney usiadła obok niego.

- Wszyscy już wstali?

- Chyba tak. Spence pokazuje Michaelowi nowy zestaw do barbecue. To trochę potrwa. Jak ci się spało?

Sydney pomyślała o Michaelu i zarumieniła się.

- Dziękuję, doskonale. To za dużo, naprawdę... - Ruchem ręki próbowała powstrzymać Nataszę, wykładającą jej na talerz ciepłe bułeczki.

- To na wzmocnienie. - Jurij mrugnął znacząco okiem, a ona nie zdążyła odpowiedzieć, bo do kuchni wtargnął tajfun pod postacią kruczoczarnego malca. - Oto mój wnuk, Brandon - pochwalił się pan Stanisławski. - Jest potworem, a ja bardzo chętnie jadam potwory na śniadanie, mniem, mniem...

Chłopiec wpadł w rozwarte ramiona dziadka i zaraz zaczął się wrywać.

- Dziadku, chodź zaraz, musisz zobaczyć, jak jeżdżę na rowerze, chodź, no chodź, zaraz!

- Mamy gościa - powiedziała karcąco Nadia - a ty jesteś bardzo źle wychowany.

Mały, chowając głowę na ramieniu dziadka, zerknął w stronę Sydney.

- Ty też możesz z nami iść. O rany, jakie ona ma ładne włosy, zupełnie jak Lucy!

- Tak się nazywa nasza kotka - wyjaśniła Natasza - to największy komplement, jaki mogłaś usłyszeć. Cierpliwości, Brandon. Sydney jeszcze nie skończyła śniadania - zwróciła się do syna.

- To ty chodź, mamó.

Natasza pogłaskała czarną główkę.

- Zaraz przyjdę, a teraz idź i powiedz tacie, że miał iść do sklepu.

- Może pójdzie dziadek.

Jurij z udanym oburzeniem rozwarł ramiona, łapiąc malca w ostatniej chwili. Podniósł go do góry, a Brandon kurczowo wczepił się w dziadka.

- Tato, zobacz jaki jestem duży! - krzyknął w stronę drzwi ogrodowych.

- Ja nie mogę... Czy oni zawsze muszą tak rozrabiać? - odezwał się umęczonym głosem Alex.

- Ty rozrabiałeś do dwudziestego roku życia - pouczyła go znad zlewu Nadia.

Żeby osłodzić mu matczyną zgryźliwość, Sydney nalala Alexowi kawy do kubka. Przytrzymał jej dłoń i ucałował.

- Sydney, tyś najpiękniejsza, zostań ze mną, proszę.

- Alex! Ja naprawdę cię kiedyś uduszę - z progu dobiegł głos Michaela.

Alex uśmiechnął się do brata wyzywająco.

- Bardzo proszę, możemy się pojedynkować. Na ręce. Temu, kto zwycięży, przypadnie w nagrodę księżniczka.

Rachel z pogardą spojrzała w kierunku braci.

- Wszyscy mężczyźni to idioci - westchnęła.

- A dlaczego? - W drzwiach kuchni ukazała się złoto-włosa dziewczynka. - Dlaczego idioci?

- Ponieważ uważają, że wszystko da się rozwiązać

siłą. A przecież można w tym celu wykorzystać mózg lub choćby tę jego resztkę, jaką jeszcze się posiada.

Nie zwracając uwagi na siostrę, Michael odsunął nakrycia na bok i zasiadł z bratem do zapasów. Wsparci na łokciach, złączyli swoje dłonie i rozpoczęli zmagania.

- Co oni robią? - zaciekała się Freddie.

- Wygłupiają się - wyjaśniła Natasza, obejmując dziewczynkę ramieniem. - Sydney, to moja najstarsza córka, Freddie, to jest panna Hayward, przyjaciółka Michaela. Sydney uśmiechnęła się.

- Witaj, my się przecież znamy, widziałyśmy się, kiedy byłaś małą dziewczynką.

- Naprawdę? - Freddie nie wiedziała, czy wpatrywać się w Sydney, czy śledzić zmagania mężczyzn.

Napięte mięśnie i zacięty wyraz ich twarzy świadczyły, że obaj traktują ten sprawdzian siły niezmiernie poważnie.

- Tak, to było dawno i... - Sydney zaplątała się. Przez chwilę czuła na sobie spojrzenie Michaela. - Znałam twoją tatę, kiedy mieszkaliście w Nowym Jorku.

W drugim rogu stołu pozostali członkowie rodziny biesiadowali dalej.

- Możesz mi podać sok? - odezwała się Rachel znad talerza. Michael wolną ręką przysunął jej butelkę. - Mamo, chcesz się przejechać do miasta, jak skończymy? - zwróciła się do Nadii.

- Z przyjemnością - odparła Nadia, nie zwracając uwagi na synów - możemy zabrać Katie, oczywiście jeśli Natasza się zgodzi.

- Sama z wami pojedę - Natasza wytarła ręce - rzucę okiem na sklep. Mam taki sklepik z zabawkami - wyjaśniła Sydney, zapatrzonej w męską część stołu. Była tak zafascynowana zmaganiem Michaela i Alexa, że mogłaby

równie dobrze usłyszeć, że Natasza zamierza wydzierzawić poligon wojskowy, a i to nie zrobiłoby pewnie na niej wrażenia.

Trzy panie Stanislawskie wymieniły znaczące spojrzenia. Nadia zaś oczyma duszy wyobraziła sobie swojego pierwородnego na ślubnym kobiercu.

- Może kawy, Sydney?

- Ja... co takiego? O Boże...

Zadźwięczało szkło, brzęknęły sztucce, Michael z trzaskiem powalił dłoń brata na stół. Freddie klasnęła w rękę, a małeńka Katie próbowała pójść w jej ślady.

Alex pochuchał w zmaltretowane palce.

- Niewiele brakowało.

- Radzę ci, znajdź sobie inną dziewczynę - poradził mu Michael i zanim Sydney zdążyła się zorientować, objął ją, mocno pocałował w usta, a potem pociągnął za sobą i wyprowadził z kuchni.

- Mogłeś przecież przegrać...

Michael, rozbawiony wyrzutem brzmiącym w jej głosie, objął ją i przytulił. Szli w rodzinnym gronie mokrym chodnikiem w stronę głównej ulicy miasta.

- Nie mogłem.

- Przecież... - zaczęła i przerwała. Od godziny próbowała zrozumieć, co takiego legło się w słowiańskich głowach braci Stanislawskich. - Potraktowaliście mnie jak... no, nie wiem... jak puszkę piwa.

Porównanie wywołało w nim zrozumiałe pragnienie. Z przyjemnością przypomniał sobie jej oczy wpatrzone w jego mięśnie, napięte w czasie zmagania z Alexem. Cóż, każdy mężczyzna jest w gruncie rzeczy trochę próżny.

- A do tego - Sydney mówiła na pozór spokojnie, starając się, aby nie usłyszeli jej pozostali członkowie rodziny - skompromitowałeś mnie w obecności swojej matki.

- Skompromitowałem? Nie sprawiło ci to chyba przykrości. Wyglądałaś raczej na zadowoloną - powiedział, przypominając sobie, w jaki sposób jej usta odpowiedziały na jego pocałunek, - Ja zresztą też.

Sydney próbowała zachować powagę.

- Może byłoby lepiej, żeby zwyciężył Alex, jest taki miły, zupełnie jak wasz ojciec... - powiedziała, żeby go sprowokować.

- Wszyscy Stanislawscy mają w sobie coś wyjątkowego - Michael uśmiechnął się tylko, pochylił i zerwał stokrotkę z trawnika - ja też jestem uroczy, prawda?

Roześmiała się i przez chwilę w milczeniu bawiła się kwiatem. Może lepiej zmienić temat, pomyślała.

- Wiesz, z radością znowu zobaczyłam Spence'a. Podkochiwałam się w nim, kiedy miałam piętnaście lat. -

Tym razem udało się go rozdrażnić. Michael nieprzyjaźnie spojrział na szwagra - Twoja siostra ma szczęście - dodała.

- To raczej on ma szczęście - poprawił ją tonem urażonej dumy.

Znów Wybuchnęła śmiechem.

- Powiedzmy, że oboje mamy rację.

- Macie się ze mną bawić! - Brandon z krzykiem wtargnął pomiędzy nich. - Tak jak tatuś. - Błyskawicznie zaczął się wdrapywać po nodze Michaela.

- No, to się bawimy. - Michael złapał malca i podrzucił go do góry.

- Uważaj! Zaraz zwróci śniadanie - dobiegł ich z tyłu głos Nadii.

- Da mu się drugie.

Michael przez chwilę trzymał malca na rękach, a potem posadził go sobie na barana. Brandon z wysokości spojrział na Sydney.

- Mam już trzy lata - oświadczył - umiem się sam ubrać.

- Całkiem nieźle ci to idzie - dotknęła małej stopki obutej w tenisówkę - a kim chcesz być, jak dorośniesz? Kompozytorem, jak tata?

- Nie, będę wieżą, taka wieża jest najwyższa w okolicy.

- Rozumiem - powiedziała Sydney, zdumiona jego ambicjami.

- A ty mieszkasz z wujkiem Michaeliem? - dobiegło ją z góry.

- Nie - odparła spokojnie.

- Jeszcze nie - mruknął Michael, znacząco mrużąc oko.

- Całowałaś się z nim - stwierdził Brandon. - A dlaczego nie macie dzieci?

- No, mały, dość tych pytań - przerwała przesłuchanie Natasza, zdejmując syna z ramion śmiejącego się brata.

- Chciałem tylko wiedzieć...

- Zawsze chcesz wiedzieć wszystko - pocałowała chłopca w policzek - ale teraz może lepiej zastanów się nad tym, jaki chciałbyś mieć samochód.

Brandon natychmiast zapomniał o dzieciach. Jego czarne oczy rozbliły się.

- Kupisz mi każdy, jaki zechcę?

- Każdy, byle był mały.

Sydney i Michael pozwolili im spokojnie poświęcić się rozważaniom na temat tego, co znaczy słowo „mały” w odniesieniu do samochodów, a sami odeszli objęci kawałek dalej.

Miasteczko było prześliczne. Michael pozwolił prowadzić się od jednego sklepu z antykami do drugiego, które niezwykle zainteresowały Sydney. Udawał grzeczenie, że podziwia stare meble, hafty i porcelanowe lalki. Gdzieś po drodze zgubili resztę rodziny, więc Sydney, nie musząc martwić się o to, by nie zostali w tyle, nie ograniczała się jedynie do oglądania podziwianych przedmiotów. Już wkrótce ręce miała pełne paczek.

- A ja myślałem, że jesteś taka rozsądna - westchnął, gdy wyszli z kolejnego sklepu. - Jak zamierzasz przewieźć to do Nowego Jorku?

Potrząsnęła głową, brzęknęły przed chwilą kupione kolczyki.

- Nie wiem. Jesteś taki mądry, już ty coś wymyślisz...

- Teraz na dokładkę kpisz sobie ze mnie. Roześmiała się.

- A kto mi kupił to porcelanowe pudełeczko?

Z braku argumentów przez chwilę milczał. Fakt, prze-

cież sam kupił jej to puzderko, ozdobione delikatnym owalem kobiecej twarzy. Tak bardzo jej się podobało...

- Widziałem, jak się w nie wpatrywałaś.

- Wiem, dziękuję. - Pocałowała go w policzek.

Dochodzili już do domu, kiedy nagle ujrzeli przerażonego Iwana, pędzącego na oślep z podwiniętym ogonem. Za nim biegły dwa wielkie koty.

- Ten pies to zakała rodziny - oznajmił Michael z dezaprobatą.

- Daj spokój. On jest taki mały. - Sydney przykucnęła i schwyciła drżącego szczeniaka. - No, chodź tu, schowaj się, nic ci nie zrobią.

Szczeniak wtulił się w nią i zamknął oczy. Koty usiadły kilka metrów dalej i spokojnie zaczęły się myć.

- Wstydzilibyś się, taki tchórz.. - Michael spojrział na psa z niesmakiem.

- To jeszcze dziecko, mały chłopiec, zresztą zupełnie jak ty, kiedy mocujesz się z bratem. - Poglaskała kudłaty łebek.

Od strony domu nadbiegała już Freddie.

- Co mu się stało?

- Przestraszyły go koty - wyjaśniła dziewczynce Sydney.

- One tylko chciały się bawić. Lubisz zwierzęta?

- Bardzo - przytaknęła z zapalem Sydney - bardzo je lubię.

- Ja też, psy i koty. Mamy dwa koty, Lucy i Desi, a teraz bardzo chciałabym mieć szczeniaka. Mama powiedziała, że się zastanowi, ale kiedy zobaczy te kwiaty... - Smętnym spojrzeniem obrzuciła wykopane petunie. - Chyba żeby je zasadzić na nowo...

- Chcesz spróbować? Pomogę ci. - Sydney doskonale

ją rozumiała. Zbyt dobrze wiedziała, jak się czuje mała dziewczynka, która bardzo pragnie, a nie może mieć psa.

Następne pół godziny spędziła, sadząc kwiaty, a raczej wykonując bez słowa polecenia Freddie. Szczeniak nie opuszczał ich ani na chwilę, podejrzliwie zerkając na koty.

Po skończonej pracy Sydney poszła się umyć, pozostawiając zwierzęta pod opieką dziewczynki. Nagłe uświadomiła sobie, że choć dopiero jest dwunasta, ona zdążyła zrobić całą masę rzeczy, których nigdy dotąd nie robiła.

Po raz pierwszy wystąpiła w roli nagrody przysługującej zwycięzcy pojedynku, po raz pierwszy bawiła się z dziećmi, po raz pierwszy mężczyzna pocałował ją w miejscu publicznym... Po raz pierwszy sadziła kwiaty w ogrodzie w towarzystwie wystraszonego kundla.

Uśmiechnęła się. Jeśli wszystko potoczy się dalej w ten sposób, to nie wiadomo, jakie jeszcze czekają ją doświadczenia.

Zwabiona śmiechem i okrzykami dobiegającymi z ogrodu, weszła do salonu i wyrzała przez okno. Teraz wszyscy grali w baseball. Rachel właśnie rzucała; piłka ze świstem przemknęła koło Alexa. Wściekły, że nie zdołał jej odbić, zwrócił się z reklamacjami do matki, która pełniła rolę sędziego. Nadia przecząco pokręciła głową, nie przestając kołysać w ramionach Brandona. Rzut został uznany.

Stojący w drugiej bazie Michael złapał piłkę i podał ją z powrotem Rachel. Rzuciła; obrońcy, Jurij i Spence, gwizdem zadowolenia powitali kolejną porażkę Alexa.

Sydney wychyliła się z okna. Nie mogła od nich odebrać oczu. Scena była zbyt piękna, by mogła zająć się czym innym. Brandon przytulił się do Nadii, a ona pocałowała go czule. Trzasnęły drzwi; w polu widzenia pojawiła się Freddie. Przebiegła przez trawnik i przyłączyła się do grających.

Za trzecim razem Alexowi wreszcie udało się odbić i piłka poszybowała w niebo. Rozległy się okrzyki. Jurij podbiegł i z całej siły uderzył w opadającą łukiem piłkę. Michael, deptając mu po piętach, przebiegł trzecią bazę i skierował się do ostatniej. Jednak Rachel dopadła jej pierwsza i złapała piłkę, Michael runął na nią całym ciałem, upadli na trawę. Zakłębilo się.

- Aut - rozległ się niewzruszony głos sędziego.

Rachel pozbierawszy się, zaczęła bić brata. Brandon z krzykiem zeskoczył z kolan babki i wskoczył na ojca.

Sydney nie mogła oderwać oczu od rozgrywającej się przed nią sceny. Jeszcze nigdy w życiu nikomu tak nie zazdrościła, jak teraz tej szczęśliwej rodzinie.

- Zawsze kiedy gramy, musimy się pobić albo przynajmniej solidnie pokłócić - dobiegł ją głos Nataszy. Stała za nią, uśmiechając się. Cała jeszcze pachniała niemowlęciem, które przed chwilą tuliła do snu. - Masz rację, że wolisz to oglądać z daleka.

Sydney odwróciła się. W jej oczach były łzy.

- Nie przejmuj się tak. Nic im nie będzie, to tylko żarty.

- Natasza wzięła ją za rękę i pogłaskała.

- Wiem - Sydney szybkim ruchem otarła oczy - nie przejmuję się, ją po prostu... To jest piękne, naprawdę. Jak obraz albo jak muzyka, nie mogłam stąd odejść. Patrzyłam i patrzyłam...

Natasza zrozumiała. Po tym, co opowiedział jej Spence, wiedziała już, jak wyglądało dotychczasowe życie narzeczonej brata. Wiedziała, że nigdy nie było w nim miejsca na takie „głupstwa” jak gra w baseball na trawniku przed domem czy tarzanie się w trawie.

- Bardzo go kochasz? - Natasza zapytała poważnie.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale Michael jest dla mnie kimś wyjątkowym. Widzę, jak wiele dla niego znaczysz, ale on nie jest łatwy.

- Wiem.

Natasza spojrzała w stronę okna Spence z Freddie i Brandonem leżeli na trawniku, spoglądając na słońce niebem obłoki. Jeszcze nie tak dawno i jej życie nie wydawało się łatwe.

- Czy często cię rani?

Sydney chciała zbyć to pytanie, ale wbrew sobie zaczęła nagle mówić wolno i z namysłem.

- To nie tak... Jego spontaniczność, impulsywność czasem bardzo mnie razi. On nie skrywa swoich uczuć, zna siebie, rozumie, co odczuwa, i potrafi to okazać. Bywa bardzo bezpośredni i nie zawsze zastanawia się, jakie to może zrobić wrażenie na innych. Czasem nie wiem, jak zareagować.

- Jest bardzo wrażliwy. - Natasza pokiwała głową. Nagle zapytała z wyraźnym ożywieniem: - Chcesz coś zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do jednej z półek, która cała była zastawiona figurkami. Drewniane, miniaturowe postacie ludzi, zwierząt, rozmaite przedmioty... Wysoka srebrna wieża, a w jej oknie postać złotowłosej kobiety, koń, na nim rycerz, śpiąca królewna w otoczeniu płaczących krasnoludków...

- Tę przywiózł mi wczoraj. - Natasza leciutko dotknęła figurkę księżniczki w długim płaszczu i diamentowej koronie.

- Tak, wiem, że jego rzeźby są niezwykle. To taki cudowny, magiczny świat, jak w bajce.

- I taki właśnie jest on sam. Kiedy byłam mała, robił

dla mnie te figurki, żebym się szybciej nauczyła czytać po angielsku. Z bajkami szło mi łatwiej. Nieraz w jego rzeźbach jest straszny smutek, tragizm, bo Michael nie zawsze jest wesoły...

- Wiem, wiem, jaki on jest. Wrażliwy i bardzo spragniony uczuć, choć z pozoru taki silny, twardy i nieczuły.

- Widzę, że dość dobrze go już znasz. Chciałam tylko, żebyś przestała się bać, że może cię zranić.

- Nie boję się - powiedziała Sydney ze wzrokiem utkwionym w małej księżniczce - to raczej ja mogę go zranić.

- Posłuchaj, Sydney...

Trzaśnięcie drzwiami przerwało Nataszy w pół słowa. Któraś z dzieci wpadło do pokoju i nie pozwoliło im skończyć zaczętej rozmowy.

- Mamo, chodź, szybko!

Sydney została sama. Zamyśliła się. Może i lepiej się stało? Może za wcześnie na zwierzenia? Nigdy dotąd nie rozmawiała z nikim tak szczerze. Zdobyła się na to po raz pierwszy. W tej rodzinie było bowiem coś magicznego, coś, co sprawiało, że człowiek zaczynał zastanawiać się nad samym sobą i - co ważniejsze - nie wstydził się o tym mówić.

Reszta dnia upłynęła wśród krzyków, zabaw, wbiegania i wybiegania z domu, kłótni i przekomarzań. Pod wieczór Nadia wygnała wszystkich mężczyzn do ogrodu.

- Teraz będą siedzieli, pili piwo i gadali głupstwa, a my będziemy tyrać w kuchni. - Rachel z jawnym niezadowoleniem sięgnęła po kosz z kartoflami.

- Ale potem oni będą nakrywać do stołu i zmywać - pocieszyła ją matka, wkładając jaja do garnka.

- Tylko tego by brakowało, żeby w ogóle nic nie robili... - Rachel, chwilowo uspokojona, zaczęła obierać kartofle.

Widać było, że gdera jedynie po to, żeby gderać, bo tak naprawdę domowe zajęcia wcale nie są jej niemiłe.

- Gdyby Vera była tutaj, nie tknęliby niczego palcem.

- Vera to nasza gospodyni, pracuje u nas od zawsze - wyjaśniła Sydney Natasza, zasiadając przed górą jarzyn.

- Wyjechała teraz do siostry, na miesiąc. Możesz to umyć?

- Podała Sydney jarzyny. - A jak się jajka ugotują, obierz je do sałatki.

- Chętnie, tylko że... - wyjąkała Sydney - nie wiem jak,...

W kuchni zapanowała pełna zdumienia cisza. Trzy kobiety zastygły w bezruchu, a ona poczuła na sobie trzy pary wlepionych w nią oczu.

- Mama nie uczyła cię gotować? - pierwsza przerwała milczenie Nadia. Sama wyszkoliła w tym wszystkie swoje dzieci, nie bacząc na płęć i chęć do nauki.

Sydney rozpaczliwie próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała Margerite w kuchni. Bezskutecznie. Postanowiła nie udawać dłużej i powiedzieć prawdę.

- Mama uczyła mnie, jak zamawiać potrawy w restauracji - wyznała wreszcie, blado się uśmiechając.

- No dobrze. Kiedy się ugotują, pokażę ci, co dalej - przeszła do działania Nadia - i nauczę cię robić sałatkę, którą Michael lubi najbardziej.

Powiedziała coś do siebie po ukraińsku i właśnie zamierzała jeszcze coś dodać, kiedy w głośniczku interkomu rozległ się słaby płacz Katie. Natasza automatycznie ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się w progu.

- Może ty byś do niej zajrzała, Sydney? Muszę teraz to skończyć.

Sydney zamruwała oczami.

- Mam iść do małej?

- Jeśli możesz.

- Jasne. Już idę. - Niepewnym krokiem wyszła z kuchni.

W miarę zbliżania się do dzieciennego pokoju, płacz dziecka był coraz głośniejszy i coraz bardziej rozpaczliwy. Może mała źle się czuje? Dlaczego Natasza sama do niej nie pójdzie? Może jak się ma troje dzieci, to człowiek tak się nie przejmuje byle czym?

Małe „byle co” stało w łóżeczku, rączkami trzymając się poręczy i z trudem próbując utrzymać równowagę. Po nieszczęśliwej buzi płynęły łzy, włoski były mokre i zlepione.

- Małe kochane biedactwo... - Sydney po sekundzie wahania wzięła dziewczynkę na ręce. Była tak wzruszona, że nawet nie czuła strachu. - Myślałaś kruszyno, że nikt do ciebie nie przyjdzie? - Przytuliła małe ciepłe ciało. - Jesteś śliczna, wiesz? Malutka, śliczna i bardzo, bardzo kochana.

Dziewczynka przestała płakać i przekrzywiając główkę, zaczęła nasłuchiwać ciekawie. Sydney zaś mówiła dalej:

- Zupełnie jak twój wujek, też się dziwił, kiedy mu powiedziałam, że jest cudowny.

Na dole, w kuchni, trzy kobiety przerwały pracę i siedziały teraz zasłuchane w głos dobiegający z interkomu.

- Masz mokro, prawda? Dlatego jesteś taka biedna. Mama od razu by ci pomogła, ale mama jest na dole. No i co my teraz zrobimy? Chyba jakoś sobie poradzimy, prawda? - Katie wydeła usteczka i dotknęła mokrą buzią policzka Sydney. - Dobrze, zaraz spróbujemy, chociaż nigdy w życiu nie zmieniałam pieluszki. Nie grałam też w baseball ani w piłkę, ani w nic innego. W ogóle niewiele robiłam. No,

poczekaj... Gdzie one mogą być? - Rozejrzała się i zobaczyła stojący przy stole do przewijania wiklinowy koszyk. - A widzisz. Nic w przyrodzie nie ginie, znalazły się i pieluchy, poczekaj, zaraz spróbuję... - Położyła dziewczynkę na stole.

Tymczasem w kuchni na dole panowała niezmacona cisza. Przerwało ją dopiero nagłe wtargnięcie Michaela.

- Cześć, co...

- Pst! Cicho... - uciszyły go kobiety.

- Co tu się dzieje? - szepnął zmieszany.

- Cicho, Sydney zmienia pieluchę Katie. - Natasza ruchem ręki wskazała interkom.

- Co takiego? - Michael osunął się na krzesło ze wzrokiem utkwionym w nadajnik, z którego dochodził teraz radosny szczebiot i niemniej zadowolony głos Sydney.

- No, proszę bardzo, udało się, teraz trochę pudru... no, może nie aż tyle, to nic, zdmuchniemy... Teraz pielucha, co, wolisz tamtą? W porządku, weźmy tamtą, tylko się nie kręć... No, słyszysz, nie kręć się tak...

Sydney z niemałym trudem umieściła pieluchę we właściwym miejscu i wzięła maleństwo w ramiona. Pachniało cudownie, było takie śliczne, delikatne, gładziutkie... Pielucha wprawdzie nieco odstawała, ale to tylko dodawało całości uroku.

- To co? Może teraz pójdziemy do mamy? Chcesz zobaczyć mamę?

- Mama - powtórzyła malutka, podskakując jej w ramionach.

W dziecinnym trzasnęły drzwi. Słyszając to, trzy kobiety w kuchni gorączkowo rzuciły się do roboty.

- Przepraszam, że tyle to trwało - po chwili w drzwiach stanęła Sydney z dzieckiem w ramionach. Z wrażenia cała była rumiana.

Widząc Michaela, zatrzymała się, przytuliła policzek do małej główki. Ich oczy spotkały się i Sydney jeszcze mocniej się zarumieniała. Bezpieczniej było nie patrzeć na niego w obecności matki i sióstr.

- Daj. Wezmę ją. - Podszedł do nich i rozwarł ramiona. Katie całym ciałkiem rzuciła się ku niemu. Mocno przytrzymał ją jednym ramieniem, a drugim objął Sydney. - Chodź tutaj. - Zanim zdążyła zareagować, pocałował ją mocno, po czym odsunął się lekko i uśmiechnął. - Teraz pójdę do chłopaków na piwo.

Otworzył kopniakiem drzwi i zniknął w ogrodzie, unosząc popiskującą Katie.

- A teraz ja - powiedziała Nadia do osłupiałej Sydney - pokażę ci, jak się robi tę sałatkę.

Słońce już zaszło i weekend dobiegł końca, kiedy Sydney powoli otwierała drzwi do swojego mieszkania. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tyle się śmiała, co w ciągu tych dwóch dni. Michael postawił jej pakunki na kanapie i poszedł zamknąć drzwi wejściowe.

- Przywiozłaś cztery razy więcej niż wywiozłaś - stwierdził, powróciwszy do salonu z jej walizką.

- Najwyżej dwa - powiedziała, obejmując go za szyję. - Za wszystko ci bardzo dziękuję - dodała po ukraińsku.

- Nie bardzo ci to idzie, ale niech będzie. - Pocałował ją w oba policzki. - A tak się całujemy na pożegnanie, pamiętasz?

Nie musiał jej przypominać. Rodzina Stanisławskich wycalowała ją serdecznie przed wyjazdem. Tylko jeden Alex zerwał z rytuałem tradycyjnego pocałunku w policzek i musnął ustami także jej nos i włosy.

- Twój brat całkiem nieźle całuje. To u was rodzinne...

- Podobało ci się?

- Jak by to powiedzieć, jest w tym coś...

- Jest jeszcze bardzo młody.

- Głupie dwa lata różnicy - postanowiła podrażnić się z nim trochę - choć muszę przyznać, że oprócz wieku jest między wami także i inna różnica.

- Co takiego? - spytał ciekawie.

Nie przestając go obejmować, przyjrzała mu się uważnie.

- Ty jako rzeźbiarz masz... że tak powiem... mistrzowskie wyczucie ludzkiego ciała... Potrafisz się z nim obchodzić...

Poczuła jego ręce na biodrach.

- Co ty powiesz, księżniczko?

- Takie mam wrażenie...

- I uważasz, że lepiej całuję niż Alex?

- W pewnym sensie.

Przyciągnął ją do siebie. Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo sięgnął ustami do jej ust i pocałował ją gorąco.

- Wystarczy na dowód?

- Trudno powiedzieć. - Przeciągnęła się w jego ramionach.

Zaraz potem znalazła się nad ziemią, a chwilę później w sypialni. Ułożył ją na szerokim łóżu i zaczął zrzucać z siebie ubranie.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Znowu przypominasz pirata. Brakuje ci tylko szabli i przepaski na oku.

- Chcesz powiedzieć, że jestem dzikusiem? Cudownym, wspaniałym, opalonym i silnym dzikusiem z dwudniowym zarostem, pomyślała.

- Chcę powiedzieć, że jesteś niezwykły.

Z jej głosu nie mógł się zorientować, czy mówi serio.

Spojrzał na nią z góry. Leżała w białej pościeli, krucha, drobna i bezbronna, otoczona płaszczem lśniących włosów. Wyglądała jak mała dziewczynka. I jak dojrzała kobieta... Przypomniawszy sobie, jak zobaczył ją w drzwiach kuchni z Katie w ramionach. Była taka szczęśliwa; lekko zawstydzona, onieśmielona, ale bez wątplenia szczęśliwa. Przypomniawszy sobie, jak się zarumieniła, kiedy matka powiedziała później, że to właśnie ona, Sydney, przygotowała sałatkę. I jak się ucieszyła, kiedy jego ojciec na pożegnanie uścisnął ją jak córkę. Wiele takich rzeczy pamiętał z tego weekendu. Jak głaskała Brandona po głowie i jak pocałowała w czoło Freddie...

Potrzebowała uczucia, prawdziwej rodziny. Choć była dorosła, to niczym mała samotna dziewczynka najbardziej potrzebowała miłości.

Zamyślony, usiadł przy niej na łóżku.

- Co się stało? Gniewasz się? - Spojrzała na niego z niepokojem. - Powiedziałam coś nie tak?

- Nie. To ja jestem winien. - Delikatnie pocałował wnętrze jej dłoni. - Jestem zbyt mało czuły, nie pomyślałem...

Ach, tak, więc jednak go zraniła. Nie potrafiła wyczuć, że takie żarty mogą sprawić mu przykrość.

- Nie przejmuj się. Ja tylko żartowałam. To, co mówiłam o Aleksie, to nieprawda. Oczywiście, że wolę ciebie.

- Może niesłusznie.

- Słusznie - podniosła się i rozpaczliwie przytuliła się do niego - chcę tylko ciebie, nawet nie wiesz, jak bardzo ciebie pragnę. - Zaczęła całować go raz po raz, jakby się obawiała, że odejdzie. Jego usta były delikatne i cierpliwe. Jego miłość też była cierpliwa i wyrozumiała.

- Jesteś niezwykła - powiedział cicho i delikatnie zaczął zdejmować z niej ubranie. - Ten wieczór będzie tylko dla

ciebie, żebyś była szczęśliwa. Flo liczysz się tylko ty. - Spojrzał jeszcze raz na jej kruche, śliczne ciało. - Pokażę ci, czym dla mnie jesteś.

Była wszystkim. Nie było niczego i nikogo ważniejszego. Musi ją o tym przekonać, sprawić, że mu uwierzy i nigdy nie będzie miała wątpliwości ani poczucia winy.

Miłość nie potrzebuje niepewności. Miłość jest spokojem i zaufaniem. Tego właśnie ją nauczy.

- Kocham cię, Sydney, kocham tylko ciebie i nigdy nie przestanę cię kochać.

Sydney poczuła, że jej policzki są mokre od łez.

11

Było jeszcze ciemno, kiedy zadzwonił telefon. Spali wtuleni w siebie jak zmęczone dzieci. Sydney drgnęła i mocniej przyłgnęła do Michaela. Przesunął się delikatnie, żeby jej nie obudzić i sięgnął po słuchawkę.

- Słucham? To ty Alex? - Usiadł wyprostowany na łóżku. - Na miłość Boską, co się stało? - Uspokojony zapewnieniem brata, że w domu wszystko w porządku, mówił dalej: - Cholera, myślałem, że dzwonisz ze szpitala albo z więzienia, o tej porze... Co ci do głowy przyszło - zerknął na stojący na nocnym stoliku zegarek - jeszcze nie ma piątej. Co takiego? - Nerwowym mchem przełożył słuchawkę do drugiego ucha. - Cholera jasna - zaklął znowu - zaraz tam będę!

Zerwał się i sięgnął po ubranie. Sydney usiadła na łóżku. - Rodzice...? - zapytała z przejęciem.

- Z rodzicami wszystko w porządku - przysiadł obok niej i ujął ją za rękę - chodzi o dom, było włamanie w moim domu.

Nie od razu zrozumiała.

- Włamanie?

- Policjant, którego zaalarmowali sąsiedzi, zna Alexa, dlatego od razu do niego zadzwonił. Podobno są poważne szkody.

- Zniszczyli dom? - Poczowała ucisk w gardle.

- Na szczęście nikomu nic się nie stało. Wyłamali tylko framugi, poplamili sprayem ściany, puste mieszkania zalali wodą.

Otrząsnęła się z resztek snu.

- Za pięć minut będę gotowa.

Budynek był w opłakanym stanie. Kawałki połamanego drewna, stłuczone szyby i powyrywane klamki

porozrzucane były po całej klatce schodowej. Na ścianach widniały obsceniczne napisy i rysunki. Częściowo zerwano poręcze schodów, niektóre drzwi pocięto i porysowano nożami.

W pustym mieszkaniu pani Wolburg w wodzie po kostki pływały haftowane poduszki i lalki w koronkowych ubrankach.

- Zatkali zlew i umywalkę i puścili wodę - wyjaśnił Alex, którego spotkali na miejscu - lało się tak przez kilka godzin, dopiero któregoś z lokatorów obudził dźwięk wybijanych okien.

- Jak wyglądają inne mieszkania? - w głosie Sydney brzmiało przygnębienie.

- Mniej więcej tak samo - Alex ujął ją pod ramię - bardzo mi przykro. Próbujemy właśnie dowiedzieć się czegoś od lokatorów...

- .. ale było ciemno i nikt nic nie widział - dokończyła za niego.

- Niestety. - Pokiwał głową. - Pójdę teraz do nich - Alex wskazał ręką gorączkowo rozprawiającą grupę w szlafrokach i piżamach - spróbuję porozmawiać, a ty idź na górę do Michaela.

- Nie. Dom jest mój, sama z nimi pomówię.

- Swoją drogą ciekawe, że tak dobrze wiedzieli, które mieszkania są puste. Zupełnie jakby mieli spis lokatorów.

Spojrzała na niego spod oka. Nawet gdyby nie miał na sobie munduru, wyczułaby glinę.

- To przesłuchanie?

- Nie, tylko taka uwaga. Przecież musisz wiedzieć, kto ma dostęp do listy lokatorów.

- I wiem. Domyślałam się też, czyja to może być sprawa. - Dotknęła połamanej poręczy. - Nie chodzi mi oczy-

wiecie o wykonawców, tylko o tego, kto za tym stoi. Właściwie to już teraz jestem tego pewna. Nie mam tylko dowodów.

- Pomóż nam, a znajdziemy je. Objęła spojrzeniem pochłapane ściany.

- Mogę wam pomóc, ale pod jednym warunkiem - że nic nie powtórzysz Michaelowi.

- Stawiasz trudne warunki, Sydney.

- Taka już jestem.

O ósmej była w biurze. O dziewiątej, przejrzawszy dokładnie teczkę Lloyda, wykonała kilka telefonów, wypijała trzecią filiżankę kawy i ustaliła dokładny plan działania.

Po pierwsze, trzeba upoważnić Michaela do powiększenia ekipy remontowej, po drugie - porozumieć się z firmą ubezpieczeniową, po trzecie - rozpocząć wojnę psychologiczną z wrogiem numer jeden.

Osobiście połączyła się z Lloydem Binghamem.

- Słucham.

- Mówi Sydney Hayward.

- O, masz kłopoty? - Głos w słuchawce ożywił się.

- Nie tyle ja, co ty, Lloyd. Trochę się wygłupiłeś.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że nie wiesz. Następnym razem musisz wszystko lepiej przygotować.

- O co ci właściwie chodzi?

- O mój dom, moich lokatorów i o błąd, jaki popełniłeś.

- Wiesz co, chyba trochę za wcześnie na zagadki - odparł, lecz jawna satysfakcja w jego głosie sprawiła, że Sydney była już pewna, z czyjej inspiracji dokonano najścia na kamienicę. Mocniej zacisnęła palce na brzegu biurka.

- To nie jest żadna zagadka. Wszystko jest jasne. Po

prostu nie przewidziałeś, że większość mieszkańców tego domu wychodzi do pracy o świcie. Piją kawę, wyglądają przez okna, widzą wszystko, co się dzieje wokół nich. Każdy jest w stanie dać policji dokładny opis sprawców.

- Twój dom, twoja sprawa - słyszała, jak zaciągnął się papierosem - nawet nie wiem, kiedy ostatni raz byłem w pobliżu.

- Nie mówię, że byłeś tam osobiście. Zawsze potrafiłeś znaleźć ludzi do czarnej roboty. Tylko że policja prędzej czy później ich znajdzie. Sam się wtedy przekonasz, ile jest wart nielejalny pracownik.

Przez sekundę panowało milczenie.

- Wciąż cię nie rozumiem. Skończmy lepiej już tę rozmowę.

- Tak będzie najlepiej. Tylko pamiętaj, nie dawaj im premii, niezbyt starannie wywiązali się z obowiązków. Do widzenia.

Z satysfakcją odłożyła słuchawkę. Znała go dobrze. Wiedziała, że Lloyd natychmiast porozumie się ze swoimi ludźmi, a już głowa Alexa w tym, żeby policja obserwowała ich spotkanie. Wcisnęła guzik interkomu.

- Janine, umieram z głodu, może byśmy coś przekąsiły? Czeka nas ciężki dzień.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Przyszła twoja matka.

- Powiedz jej... - zaczęła Sydney, lecz zaraz zmieniła zdanie. Nie wolno tchórzyć. - Nie, nie mów nic. Po prostu poproś ją tutaj.

Wzięła głęboki oddech, wstała zza biurka i ruszyła ku drzwiom, by je otworzyć.

- Sydney, kochanie - Margerite, w szarych jedwabiach, sunęła ku niej otoczona obłokiem paryskich perfum -

chciałam cię przeprosić.

- Przeprosić? Za co? - Oszołomiona Sydney podstawiła policzek do pocałowania.

- Widzisz, przez cały weekend nie mogłam sobie znaleźć miejsca, byłam taka nieszczęśliwa... - Matka ze łzami w oczach zaczęła obracać w dłoniach maleńką złotą torebkę.

- Mogę usiąść?

- Oczywiście, przepraszam, napijesz się czegoś?

- To był najgorszy dzień w moim życiu. Trudno, trzeba się przyznać, po prostu byłam zazdrosna.

- Mamo...

- Nie, muszę to powiedzieć, tak będzie lepiej. - Ujęła córkę za rękę.

Sydney, zmieszana, usiadła obok matki.

- Nic nie mów, nie musisz się tłumaczyć. Zapomnijmy o wszystkim.

- Nie - Margerite pokręciła głową - jestem wystarczająco dojrzała, żeby przyznać się do błędu. Po prostu stale jeszcze uważam, że jestem atrakcyjną kobietą.

- Jesteś.

Matka uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Ale nie do tego stopnia, żeby umierać z zazdrości, kiedy mężczyzna, który mi się szalenie podoba, interesuje się moją córką. Bardzo żałuję, że tak się zachowałam, przepraszam cię za to, co mówiłam, i w ogóle za wszystko. Przebaczysz mi?

- Oczywiście, ja też cię bardzo przepraszam, mamo, za tamten ton.

Margerite wyjęła z torebki muślinową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

- Bardzo mnie zaskoczyłaś. Nigdy dotąd nie byłaś tak stanowcza. A Michael... On jest naprawdę bardzo przystojny,

to niezwykle pociągający mężczyzna. Doskonale rozumiem, co cię w nim interesuje, chociaż trudno mi się z tym wszystkim pogodzić. • - Schowała chusteczkę do torebki. - Ale przecież zawsze chodziło mi tylko o to, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, mamó.

- Tak się cieszę, że sobie wszystko wyjaśniłyśmy, chcę teraz coś dla ciebie zrobić.

- Nie musisz nic robić, mamó.

- Muszę, zaproszę cię dziś na kolację.

Sydney oczyma duszy ujrzała stosy papierów do przejrzania i balkon Michaela z peonią w zielonej butelce. Potem spojrzała w proszące oczy matki. Nie, tym razem nie mogła jej odmówić.

- Dobrze, mamó - zgodziła się.

- Cudownie! - Margerite sfrunęła z krzesła. - Jesteśmy umówione, o ósmej, tam gdzie zawsze.

Musnęła wargami policzek córki i zniknęła.

O ósmej Sydney, w przepisowej, wytwornej, bladoniebieskiej sukni, wysiadła z limuzyny przed rześcicie oświetlonym budynkiem restauracji.

- Dziękuję ci, Donaldzie, do domu odwiezie mnie szofer mojej matki - powiedziała kierowcy.

- Do widzenia, panno Hayward, życzę miłego wieczoru.

Maitre d'hotel poznał ją natychmiast i sam zaprowadził do stolika. Uśmiechnęła się do siebie, widząc wytworne wnętrza. Szła przez salę jednej z najelegantszych restauracji Nowego Jorku, a myślała o gulaszu w małym mieszkanku Michaela. Na pewno siedzi sobie teraz i popija piwo z puszki...

Ku jej zdumieniu, obok Margerite przy stoliku sie-

dział... Channing.

- Witaj, kochanie! - Margerite, zachwycona swoim podstępem, nie dostrzegła niebezpiecznego błysku w oczach córki. - Prawda, że jest cudownie?

- Cudownie - głos Sydney zabrzmiał martwo. Channing podniósł się i pocałował ją w policzek.

- Wyglądasz jak zwykle prześlicznie. Otworzono szampana. Z trudem przełknęła łyk.

- Mama nic mi nie mówiła, że tu będziesz.

- To miała być niespodzianka - Margerite zamruwała oczami - moja mała niespodzianka. A teraz, dzieci - odłożyła serwetkę i podniosła się z krzesła - bardzo was przepraszam, ale chyba pójdę poprawić sobie makijaż.

Kiedy zostali sami, Channing niezwłocznie przystąpił do rzeczy.

- Sydney - ujął jej rękę - bardzo za tobą tęskniłem, nie widzieliśmy się tak długo...

- Tak - cofnęła rękę - kilka tygodni. Co u ciebie słychać?

- Nic prócz tęsknoty. - Dotknął jej nagiego ramienia. - Jesteś taka piękna. Dlaczego wciąż mi umykasz?

- Nie umykam, po prostu mam dużo pracy. Westchnął. Tak, Margerite na pewno ma rację, próbował się pocieszać. Po ślubie wszystko się zmieni. Będzie miała dość zajęć, zapomni o karierze. Trzeba tylko być stanowczym i nieustępliwym.

- Kochanie, znamy się od tak dawna, myślę, że już czas, żeby zmieniło się coś w stosunkach między nami.

Sydney skinęła głową.

- Już się zmieniło.

Zachecony, ciągnął dalej. Znowu ujął jej dłoń.

- Nie chciałem działać zbyt szybko, ale teraz nadszedł

właściwy czas. Bardzo mi się podobasz, jesteś taka piękna i mądra, naprawdę jestem pełen uznania dla twojej urody, wdzięku, zdolności. Podziwiam cię, Sydney, i...

- Spełniam wszystkie warunki - odpowiedziała.

- Właśnie - ucieszył się - i dlatego chciałem cię prosić, żebyś została moją żoną. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej aksamitne pudełeczko. Otworzył. Rozbłysł wielki brylant.

- Channing...

- Jest taki jak ty, piękny i wytworny.

- Jest wspaniały - odsunęła jego rękę - ale nie mogę go przyjąć, nie mogę przyjąć twoich oświadczeń.

Spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem.

- Po co ta kokieteria? Daj spokój, jesteśmy dorośli.

- Chcę być z tobą szczerą, posłuchaj więc. - Teraz ona ujęła jego dłoń. - Nie wiem, co matka powiedziała ci na mój temat, jest mi więc głupio i przykro. Zdaje się, że oboje znaleźliśmy się w bardzo niezręcznej sytuacji, wyjaśnijmy więc sobie wszystko uczciwie. Nie wiem, być może rzeczywiście mnie kochasz, Channing, lecz ja nie Kocham Ciebie.

- Nie oświadczałbym się, gdybym cię nie kochał - w jego głosie zabrzmiała uraza.

- Oświadczyłeś się, bo ci się podobam, jestem atrakcyjna, pochodzę z tego samego środowiska i, jak to się mówi, można się ze mną pokazać. To są prawdziwe powody, nie miłość. Czy nie mam racji? - Włożyła pierścienek do pudełeczka i zacisnęła na nim jego rękę. - Już raz byłam niedobrą żoną i nie chcę tego powtarzać.

Channing nieoczekiwanie odprężył się.

- Rozumiem, masz uraz po poprzednim małżeństwie.

- Nie, nie rozumiesz. To, co się wydarzyło między mną a Peterem, nie ma nic wspólnego z moją dzisiejszą

odmową Nie kocham cię, bo bardzo kocham kogoś innego.

Poczerwieniał.

- Dlaczego wobec tego udawałaś?

- Po prostu cię lubię, ale niczego nie udawałam. Jest mi przykro, że źle mnie zrozumiałeś.

- Przeprosiny nie wystarczą - wściekły wstał z krzesła - wytłumacz mnie, proszę, przed swoją matką. Do widzenia.

Odszedł szybkim krokiem, zostawiając ją z poczuciem winy i niesmaku. Po chwili nadciągnęła Margerite. Przejęta, nawet nie zauważyła wyrazu twarzy córki. Sadząc, że Channing zniknął gdzieś jedynie na chwilę, od razu przystąpiła do pytań.

- No i co? Jak było? Wszystko mi opowiedz.

- Channing sobie poszedł, mamó.

Margerite potoczyła dokoła zdumionym wzrokiem.

- Jak to sobie poszedł?

- Po prostu, odszedł wściekły, bo odrzuciłam jego propozycję.

- Co zrobiłaś? Odrzuciłaś... jak mogłaś?

- Jak mogłam? - powiedziała nieco za głośno i zaraz ściszyła głos. - To ty ukartowałaś to wszystko, mamó.

- Oczywiście - Margerite sięgnęła najpierw po szklankę wody, a potem po kieliszek wina - od kilku tygodni próbuję coś zrobić, żebyście wreszcie się spotkali. Channing jest wymarzoną partią. Pochodzi z doskonałej rodziny, ma wspaniały dom, dobrą pracę. Nic mu nie można zarzucić.

- Nie kocham go.

- Błagam, nie mów głupstw. Bądź rozsądna.

- Zawsze byłam i to był błąd. Uwierzyłam, że przyszedł do mnie z dobrej woli, uwierzyłam w twoje przeprosiny, bo myślałam, że coś zrozumiałeś. Myślałam, że odtąd będziemy ze sobą szczerze...

Oczy Margerite zwilgotniały.

- Wszystko, co mówiłam rano, jest prawdą. Cały weekend dręczyłam się, zamartwiając się o ciebie. Jesteś moją córką, pragnę tylko twojego dobra.

Głos Sydney złagodniał.

- Mamo, wierzę ci, ale niepotrzebnie uważasz, że jedynie ty wiesz, co jest dla mnie dobre. Nie chcę cię ranić, ale zaczynam myśleć, że nigdy tego nie wiedziałaś. Zobacz, dzisiaj przez ciebie zrobiłam przykrość Channingowi, a wcale tego nie chciałam.

Po policzku Margerite spłynęła łza.

- Sydney, ja tylko myślałam...

- Nie myśl za mnie - Sydney też była bliska łez - nigdy już nie myśl za mnie. Jestem dorosła i sama muszę o sobie decydować. Możesz mi doradzać, lecz proszę, nie wyręczaj mnie. Kiedyś ci na to pozwoliłam i zniszczyłam czyjeś życie.

- Nie chcę, żebyś została sama. Samotność to straszna rzecz.

- Mamo - ujęła rękę matki - posłuchaj, bardzo cię kocham, ale nie mogę żyć tak jak ty. Pozwól mi mieć inne pomysły na szczęście. Chcę, żebyśmy były wobec siebie szczerze, nie chcę niczego udawać. Z czasem sprawy między nami ułożą się, zobaczysz, ale póki to nie nastąpi, pragnę tylko jednego: żebyś akceptowała mnie taką, jaka jestem. Nie wyjdę za Channinga. I w ogóle już nigdy nie wyjdę za męża.

- Sydney...

- Są rzeczy, o których nie wiesz. Są rzeczy, o których nie wie nikt. Zaufaj mi, wiem co mam robić. Przez ostatnie tygodnie byłam bardziej szczęśliwa niż przez resztę życia. Niczego przed nikim nie musiałam udawać. Byłam sobą i czułam się z tym wspaniale.

- Michael... - szepnęła Margerite i ciężko westchnęła.

- Tak, Michael i firma, moja firma I ja sama. Nareszcie coś robię, moje życie nabrało sensu. A teraz, mam, popraw makijaż i zjedźmy razem kolację.

Michael siedział przy stole i kończył rzeźbić głowę Sydney w różanym drewnie. Robił to już od kilku godzin, lecz mimo to nie czuł zmęczenia. Pracował w natchnieniu. Czuł się trochę jak stwórca, wywołujący z niebytu żywą istotę. Kiedy wreszcie rozboleły go ręce i postanowił chwilę odpocząć, nie pamiętał nawet, jaką techniką się posłużył, by wydobyć z martwego kawałka drewna jakże żywe ludzkie kształty.

Materiał, technika nie miały w tym przypadku żadnego znaczenia; liczył się tylko rezultat. Miał ją teraz przy sobie, była tu, piękna, żywa, należąca tylko do niego.

Miał za sobą ciężki dzień. Przedpołudnie spędził, formując ekipę, która miała naprawić szkody dokonane w budynku. Teraz, kiedy napięcie związane z pracą opadło, czuł się kompletnie wykończony. Nie zamierzał jednak się położyć. Nie chciał iść do łóżka sam.

Dlaczego tak potwornie za nią tęskni? Przecież minęło dopiero kilka godzin. Dlaczego tak się męczy, skoro wie, że Sydney jest w tym samym mieście, o kilka ulic dalej? Dlaczego nie może wyobrazić sobie jednej nocy bez niej, leżącej obok niego? Dlaczego nie jest w stanie spędzić sam kilku godzin dzielących go od następnego dnia?

Przeciagnał dłonią po włosach i zapatrzył się w ścianę. Zamiast kłaść się i próbować zasnąć, mógłby przecież zadzwonić do niej i po prostu usłyszeć jej głos. Albo pojechać i zastukać do jej drzwi...

Zerwał się i ruszył do wyjścia. W tej samej chwili rozległo się pukanie. Otworzył, zanim ustało, i na progu swego mieszkania ujrzał... Sydney.

- Jak szybko otworzyłeś - zdyszana, położyła rękę na sercu - przepraszam, że tak późno, ale zobaczyłam, że pali się światło, i postanowiłam wejść na górę...

Nie dając jej skończyć, wciągnął ją do środka i mocno przytulił.

- Właśnie chciałem do ciebie jechać.

- Do mnie? Byłam na kolacji z matką.

- Pragnąłem cię. Jest północ, co robisz w mieście o tej porze? To niebezpieczne.

- Czuję się zupełnie bezpiecznie. Przyjrzał się jej uważnie.

- Następnym razem zadzwoń, przyjdę po ciebie. Co się stało? - Zajrzał jej w oczy. - Płakałaś?

- To tylko mama. Rozpłakała się, więc i ja się trochę wzruszyłam.

- Myślałem, że już wszystko sobie wyjaśniłyście.

- Tak, ale doszły nowe elementy. Teraz jednak już wszystko jest dobrze.

Delikatnie przesunął palcem po jej wargach.

- Nie chce mnie dla swojej córki.

- Nie, chodzi o coś więcej. Dziś wieczór straciła ostatnie złudzenia.

- Opowiesz mi?

- Tak - westchnęła - za chwilę. - Podeszła do stołu i spostrzegła drewnianą rzeźbę. Przez chwilę nie mogła od niej oderwać wzroku. - Boże - szepnęła wreszcie - jakie to piękne, jesteś genialny...

- Ja tylko rzeźbię to, co widzę, to, co czuję...

- Tak właśnie mnie widzisz?

- Taka jesteś. Dla mnie jesteś właśnie taka.

Dla niego była więc nieziemsko piękna, pełna życia, ciepła i niezwykła.

- Przecież nawet ci nie pozowałam.
- Pozowałaś - dotknął wargami jej włosów - a teraz opowiedz mi wszystko.
- Matka przyprowadziła na nasze spotkanie Gianninga. Oczy Michaela niebezpiecznie pociemniały.
- To ten bankier w jedwabnym garniturku, któremu pozwoliłaś się całować? - Przygarnął ją do siebie i jakby chcąc zaznaczyć, że Sydney należy tylko do niego, wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. - Nie pozwól mu nigdy więcej.
- Nie pozwolę.
- Dobrze - posadził ją na kanapie - w takim razie daruję mu życie.
- Roześmiała się i objęła go za szyję.
- To nie była jego wina, nawet moja matka nic tu nie zawiniła, po prostu zbieg okoliczności. Mama uznała, że nadszedł właściwy czas, żeby się oświadczył.
- Oświadczył? On chce się z tobą ożenić?
- Tak mu się zdawało. Odmówiłam i pewnie już więcej go nie zobaczę. Nie przejmuj się tak tym wszystkim.
- Niech tylko spróbuje się do ciebie zbliżyć! Nikt inny się z tobą nie ożeni, tylko ja!
- Sydney zeszczywniała nagle.
- Dobrze - powiedziała i niby się uśmiechnęła, widać było jednak, że jej dobry humor gdzieś przepadł. - Nie mówmy teraz o tym, jest strasznie późno, właściwie powinnam już... - Podniosła się, jakby miała zamiar za chwilę wyjść.
- Poczekaj. - Szybkim krokiem poszedł do sypialni i wrócił po chwili z aksamitnym pudełeczkiem w ręku. - Siadaj.
- Proszę cię, Michael...

- To stój.

Odskoczyła sprężynka. Błysnął mały rubin.

- Dziadek mojego ojca zrobił to dla swojej żony. Był złotnikiem i znał się na rzeczy. Kamień jest mały, ale robota dobra. Dostałem to jako najstarszy syn. Jeśli ci się nie podoba, kupię coś innego.

- Jest bardzo piękny, ale ja po prostu nie mogę... - Schowała rękę za plecy. - Proszę cię, nie...

- Daj rękę - powiedział niecierpliwym tonem. Cofnęła się.

- Nie mogę go założyć, nie mogę wyjść za ciebie, rozumiesz?

Pokręcił głową, złapał ją za rękę i siłą włożył pierścionek na jej palec.

- Trochę za duży, trzeba będzie go zmniejszyć.

- Nie, nie wyjdę za ciebie.

Zacisnął rękę na jej dłoni, nie pozwalając zdjąć pierścionka.

- Dlaczego?

- Bo nie. Nie chcę wychodzić za mąż - powiedziała z trudem. - Nie chcę... znowu wszystkiego zepsuć.

- Miłość nie niszczy małżeństwa. Małżeństwo - miłości.

- Nic o tym nie wiesz. Nigdy nie byłeś żonaty. Ja miałam męża i już nigdy tego nie powtórzę.

Puścił jej rękę.

- Nie zawsze jest tak samo, masz złe doświadczenia, ale tu nie ma reguł...

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Jago kochałam.

Zasłoniła twarz dłońmi i rozplakała się. Michael opanował się, pogłaskał ją po głowie. Niepotrzebnie był taki

uparty. Cholera, nie chciał jej skrzywdzić...

- Przepraszam.

- Nic nie rozumiesz.

- To pomóż mi zrozumieć - zaczął całować jej łyzy - i wybaczyć mi. Nie wracamy już do tego.

- Nie chodzi o przeszłość, Michael - z trudem zaczerpnięła oddech - chodzi o nas. Wolę... wolę, żeby wszystko zostało tak jak jest.

- Ale ja cię kocham. Jesteś mi potrzebna, nie mogę bez ciebie żyć. Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść? - pytał jak dziecko, które nie chce zrozumieć skomplikowanego świata dorosłych.

- Nie chcę wyjść za nikogo. Nigdy. Mam odpowiedzialną pracę i ona pochłania mnie całkowicie.

- To pretekst, chcę usłyszeć prawdę.

- Dobrze. Nie chcę nikogo ranić, nie chcę, żeby raniono mnie. Małżeństwo zmienia ludzi.

- Ciebie też zmieniło?

- Kochałam Petera - powtórzyła. - Nie tak jak ciebie, ale kochałam go. Był moim najlepszym przyjacielem. Dorastaliśmy razem, a po rozwodzie rodziców tylko z nim mogłam o tym mówić. Rozumiał wszystko, co się ze mną dzieje, co czuję, co myślę, czego się obawiam. Mogliśmy godzinami przesiadywać razem i opowiadać sobie sekrety.

- I zakochałaś się.

- Nie, kochaliśmy się od dawna, zawsze byliśmy razem. Nawet nie wiem, kiedy postanowiliśmy się pobrać. Ktoś nam to musiał podpowiedzieć. „Jak oni cudownie do siebie pasują... Świetnie razem wyglądają... Są dla siebie stworzeni...” Wszędzie słyszeliśmy te słowa. W końcu zaczęliśmy w nie wierzyć i zrobiliśmy to, czego wszyscy od nas oczekiwali. - Wylała oczy i podeszła do półki z rzeźbami. -

Miałaś rację, mówiąc, że jestem podobna do Kopciuszka. Zawsze postępowałam w zgodzie z regułami. Chodziłam do odpowiedniej szkoły i dostawałam najlepsze stopnie, bo tego ode mnie oczekiwano. Kryłam swoje uczucia, bo tak było trzeba. Zawsze się tak zachowywałam. Wysłam za Petera, bo takie były reguły, którymi rządził się świat, w którym żyliśmy. - Znowu zwróciła twarz ku niemu. - Kiedy skończyliśmy dwadzieścia dwa lata, pobraliśmy się. Oboje sądziliśmy, że robimy dobrze. Przecież znaliśmy się, lubiliśmy te same rzeczy, te same miejsca, rozumieliśmy się bez słów. Naprawdę byliśmy w sobie zakochani. Ale nie udało się. Początek był miły, podróż poślubna do Grecji, bardzo nam się podobało... Potem wróciliśmy do Nowego Jorku. On poszedł do pracy, ja zostałam w domu. Wydawałam przyjęcia, urządziłam mieszkanie, a wieczorami siedziałam sama i patrzyłam w okno na zachodzące słońce.

- Popełniłaś błąd.

- Tak i poniosłam jego konsekwencje. Zyskałam męża, a straciłam najlepszego przyjaciela, a jeszcze przedtem jego miłość. Pozostały tylko wzajemne oskarżenia. Byłam zbyt zimna, więc musiał pójść gdzie indziej w poszukiwaniu ciepła i akceptacji. Przez pewien czas staraliśmy się zachować pozory. Tego przecież od nas oczekiwano. Nawet kiedy się rozwodziliśmy, staraliśmy się to zrobić w sposób cywilizowany. Zresztą, szkoda gadać... Po prostu nie mogę zostać twoją żoną, Michael. Rozumiesz?

- Z nami będzie zupełnie inaczej.

- Nie. Będzie tak samo. Nie mogę na to pozwolić. Pokręciła głową, ujął jej twarz w swoje dłonie.

- Wszystko się ułoży, po prostu potrzebujesz trochę czasu.

- Nie! - Gwałtownie odsunęła jego rękę. - Wszystko

znowu jest tak samo. Kochasz mnie i oczekujesz, że za ciebie wyjdę, bo ty tego chcesz, ja mam tylko spełnić twoje oczekiwania.

- Nie o to chodzi! - Potrząsnął nią gwałtownie. - Posłuchaj, tu nie chodzi o żadne reguły, oczekiwania, ambicje i co tam jeszcze. Chcę po prostu z tobą być, chcę z tobą spędzić życie, mieć z tobą dzieci, patrzeć, jak rosną, mieć szczęśliwą rodzinę...

Zrobiła kilka kroków do tyłu. Spojrzała na niego wrogo.

- A ja nie zamierzam zakładać rodziny. W tym się różnimy. Musisz się z tym pogodzić.

- Z czym mam się godzić? Przecież mnie kochasz.

Jestem wystarczająco dobry, żeby iść ze mną do łóżka, ale nie dość dobry, żeby spędzić ze mną resztę życia? W dalszym ciągu kierujesz się zasadami, a nie sercem, Sydney. Nie słuchasz, co ci podpowiada, tylko budujesz jakieś niestworzone historie i drżysz przed jakimś mrocznym przeznaczeniem, którego nie ma. Logika serca jest prosta. Posłuchaj go.

- Kieruję się zdrowym rozsądkiem - poszła w stronę drzwi - przykro mi, ale tak się nie porozumiemy. Mamy inne wizje tego, czym jest szczęście...

- Odprowadzę cię.

- To zbyt uczucie.

- Jak chcesz, ale pamiętaj - i tak będziesz moja.

Nie obejrzała się. Wyszła i taksówką wróciła do domu. Dopiero kiedy zapłakana leżała w łóżku, spostrzegła, że wciąż ma na palcu zaręczynowy pierścionek.

Sydney cały tydzień pracowała jak szalona. Praca paliła jej się w rękach. W ciągu kilku dni zebrała więcej pochwał niż kiedykolwiek przedtem. Zawarła niezwykle korzystny kontrakt, rada była zachwycona, a akcje firmy wzrosły o trzy procent. Miała powody do prawdziwej satysfakcji i zadowolenia.

W głębi duszy była jednak smutna i przygnębiona.

- Dzwoni pan Stanislawski, ten z policji - dobiegł z interkomu głos nowej sekretarki.

Sydney poruszyła się niespokojnie.

- Ten z policji... ? Dobrze, proszę mnie połączyć.
Alex?

- Witaj, księżniczko, mam dla ciebie dobre wiadomości. Moi chłopcy właśnie rozmawiają sobie z twoim starym kumplem, Lloydem Bringhamem.

A więc nie chodzi o Michaela, pomyślała zawiedziona.

- Doskonale, bardzo ci dziękuję.

- Miałaś rację. Obejrzelśmy sobie tych facetów, z którymi się spotkał, przymknęliśmy ich i zaraz zaczęli śpiewać.

- I co? Zeznali, że to Lloyd ich wynajął?

- Dokładnie tak. Nie powinnaś mieć już kłopotów z tym facetem. Możesz sobie pogratulować, gdyby nie ty, nie wpadlibyśmy na to tak szybko. Niezła jesteś. Piękna i mądra. Tylko trochę smutna, sądząc z głosu. Może byś się ze mną wybrała na morza południowe? Michael na pewno się wścieknie...

- Ma i bez tego wystarczająco dużo kłopotów.

- Dał ci popalić? Nie martw się. Wujek Alex cię pocieszy. - Ponieważ Sydney nie podjęła żartobliwego tonu, jego głos nagle spowaźniał. - Coś nie tak? - spytał. - Nie przejmuj się, on ma swoje humory, jak to artysta. Przecież wiesz, że i

tak za tobą szaleje.

- Wiem. Zadzwoń do niego, powiedz mu, że macie sprawcę włamania. Na pewno się ucieszy.

- A może powtórzyć mu coś jeszcze?

- Tak... albo lepiej nie, sama mu wszystko powiedziałam.

- W porządku, gdybyś się jednak zdecydowała na te morza południowe, jestem do usług.

Odłożyła słuchawkę. Dobrze jest być takim beztroskim i wesołym jak Alex. Westchnęła. Oto człowiek, który nie ma kłopotów, i nie wie, jak to jest, kiedy marzenia rozwiewają się jak sen.

Właściwie to nie powinna czuć żalu. Sama zdecydowała, sama zrezygnowała ze szczęścia, podpowiadał jej złośliwie jakiś wewnętrzny głos. Nie, nie, odpowiadał mu inny, po prostu powstrzymała się przed zrobieniem kolejnego błędu. Postąpiła słusznie. Małżeństwo nie zawsze jest dobrym wyjściem. Tak uczy ją doświadczenie własne i matki. Michael powinien po prostu zaakceptować jej warunki i wszystko pozostałoby, tak jak było. A on się uparł na małżeństwo.

Właściwie dlaczego?

Dlatego że nigdy nie ustępuje i że zawsze jest przekonany, że to on ma rację. Że dąży do celu, nie oglądając się na nikogo i na nic.

No dobrze, a gdyby powiedział: albo małżeństwo, albo nic? Gdyby musiała wybierać? Czy wybrałaby małżeństwo, które może wszystko popsuć, czy też może popsułaby wszystko, nie wychodząc za niego?

Dobrze byłoby móc z kimś o tym porozmawiać. Poradzić się kogoś, posłuchać czyjegoś zdania. Komu jednak mogłaby się zwierzyć? Nie ma przyjaciół, nigdy nie miała,

oczywiście poza Peterem. On z pewnością by ją zrozumiał. Kiedyś. A może...

Tak, innego wyjścia nie ma!

Wstała i szybkim krokiem przeszła do pokoju Janine.

- Wyjeżdżam na kilka dni.

- Ale...

- Wiem, że nic ci nie mówiłam, wiem, że jesteś zaskoczona i że tak się nie robi, ale muszę. Nie mamy teraz nic specjalnie pilnego. W razie czego zadzwonię.

- Jutro masz spotkanie - przypomniała Janine.

- Zastąpisz mnie, masz teczki, dokumenty, wiesz, o co mi chodzi. Porozumiem się z tobą, jak tylko dojadę na miejsce.

- Ale... dokąd właściwie jedziesz?

- Odwiedzić starego przyjaciela.

Michael wtargnął do biura w godzinę po jej wyjściu. Był zdecydowany na wszystko. Dał jej kilka dni do namysłu, czas upłynął, musiał wreszcie z nią porozmawiać.

Minął biurko nowej sekretarki i otworzył drzwi do gabinetu Sydney.

- Proszę pana, niech pan...

- Gdzie ona jest?

- Pani Hayward właśnie... Musi pan...

- Gdzie ona jest? - powtórzył złowrogo. W drzwiach ukazała się Janine.

- Zajmę się tym, Carla.

- Dobrze, proszę pani - odetchnęła z ulgą sekretarka.

- Pani Hayward nie ma. Czym mogę panu służyć?

- Adresem.

- Tego niestety nie mogę zrobić. Pani Hayward nie powiedziała, dokąd jedzie. Wiem tylko, że wróci za kilka dni.

- Wyjechała? Zostawiła tak firmę? - Spojrzał na puste

biurko.

- Owszem, ja też byłam zdziwiona. Obiecała, że zadzwoni. Mam coś przekazać?

Zaklął pod nosem i wybiegł z biura Hayward Industries.

- Cóż, będzie chyba lepiej, jeśli pan sam jej to przekáže - powiedziała Janine, jednak Michael oczywiście już jej nie słyszał.

Dwadzieścia cztery godziny później Sydney stała na chodniku przed domem Petera. Łatwiej było jej przebyć drogę z Nowego Jorku do Waszyngtonu, niż przekroczyć teraz próg tego domu.

Ostatni raz widziała Petera przed trzema laty w gabinecie adwokata. Był wobec niej bardzo uprzejmy. Uprzejmy i rozpaczliwie obcy. Teraz jego głos w telefonie brzmiał podobnie. Nie było w nim zdziwienia ani zachęty, nie było nawet zainteresowania powodem nieoczekiwanej wizyty.

Niepotrzebnie przebyła setki kilometrów, niepotrzebnie przyjeżdżała. Peter w niczym jej nie pomoże. Nikt już nie może jej pomóc.

Z ciężkim sercem weszła po schodach i zadzwoniła do drzwi. Otworzył jej osobiście, wysoki, szczupły, taki jak zawsze. Siłą powstrzymała się, żeby go nie pocałować. W jego szarych oczach nie było dawnej przyjaźni; spoglądały chłodno, obojętnie.

- Witaj, Sydney.

- Dziękuję, że zgodziłeś się na to spotkanie.

- Powiedziałaś, że to coś ważnego.

- Tak, dla mnie. - Przeszli do umeblowanego antykami salonu. - Dobrze ci się mieszka w Waszyngtonie?

- Bardzo dobrze.

Nalał wina do kieliszków. Wypił łyk. Sydney była zbyt zdenerwowana, żeby zrobić to samo. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Zbyt dobrze ją znał, żeby nie dostrzec, w jakim jest stanie. Z przykrością uświadomił sobie, jak bardzo jest piękna, i poczuł dawny ból. Najlepiej będzie od razu przejść do sedna sprawy.

- Co cię do mnie sprowadza?

Obcy, obojętny głos, pomyślała Sydney ze smutkiem. Przyjaźnili się całe życie, przez kilka lat byli małżeństwem, a teraz - obcy, obojętny głos nieznanego człowieka.

- Nie bardzo wiem, jak zacząć.

- Od początku.

- Peter, dlaczego ożeniłeś się ze mną? - zapytała, a on tylko popatrzył na nią zdumiony. - Powiedz, dlaczego się ze mną ożeniłeś.

Tego nie oczekiwał. Odchrząknął niepewnie.

- Były pewne powody.

- Kochałeś mnie?

- Wiesz, że tak.

- Ja też cię kochałam. Byłeś moim przyjacielem. Moim najlepszym przyjacielem. - Jej usta zadrżały, on pociągnął łyk wina.

- Byliśmy dziećmi.

- Kiedy się pobieraliśmy, nie byliśmy już dziećmi. Byliśmy przyjaciółmi. Dlaczego to wszystko tak się skończyło? Na czym właściwie polegała moja wina?

- Twoja wina? - Wstał z butelką w jednej i kieliszkiem w drugiej ręce. - Jaka twoja wina? O czym ty mówisz?

- Unieszczęśliwiłam cię, cierpiełeś przeze mnie. Wiem, że nie byłam dla ciebie dobra... także w łóżku...

- Po prostu nie lubiłaś, kiedy cię dotykałem. Kiedy się kochaliśmy, miałem wrażenie, że...

- ..robię to z lodowym sopłem - dokończyła za niego.
- Wiem, mówiłeś mi.

- Powiedzieliśmy sobie wiele rzeczy. Nie zawsze przyjemnych. Dlatego trochę się zdziwiłem, kiedy zadzwoniłaś.

- Wiem. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Przepraszam cię, już sobie pójdę. - Wstała i rozejrzała się bezradnie.

- Nasze małżeństwo było czymś w rodzaju kazirodztwa - powiedział nieoczekiwanie Peter. - Byliśmy jak siostra i brat. Musiałem szukać gdzie indziej.

W jego głosie był teraz wstyd i upokorzenie.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz.

Odstawił butelkę i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Nienawiść byłaby łatwiejsza niż świadomość tego, że nie potrafisz sprawić, abyś była szczęśliwa. Tego nie mogłem znieść.

- Po prostu nie było ci ze mną dobrze. Rozumiem, dlaczego poszedłeś gdzie indziej.

- Oszukałem cię, oszukałem najbliższą osobę, jaką miałem w życiu. Kłamałem i widziałem, że mną gardzisz, sam też sobą gardziłem. W końcu wolałem milczenie niż te wszystkie kłamstwa. Dlatego nigdy ze sobą o tym nie mówiliśmy. W ogóle przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Przy najmniej kiedy nikt nie patrzył.

- Pamiętam, a ja uniosłam się dumą. Straciłam najlepszego przyjaciela, bo byłam zbyt dumna, żeby się przyznać do błędu.

- Straciłem najbliższą sobie osobę i nigdy nie przestałem tego żałować. - Podeszedł do niej i ujął jej rękę. - Chcę, żebyś wiedziała, że to nie ty jesteś winna, przynajmniej nie tylko ty.

- Peter, ja teraz tak strasznie potrzebuję przyjaciela Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Jak zwykle nie masz chusteczki - uśmiechnął się, wzruszony. - Weź moją wytrzyj nos.

Ścisnęła go za rękę.

- To znaczy, że łóżko było jedyną rzeczą, która nas rozdzieliła?

- W gruncie rzeczy tak. Chociaż... - zastanowił się. - Wiesz, nieraz zadawałem sobie to samo pytanie, które ty dzisiaj mi zadałaś: dlaczego właściwie się pobraliśmy?

- Zrobiliśmy to, bo tego od nas oczekiwali inni.

- No właśnie. Chyba masz rację. Przytuliła policzek do jego dłoni.

- Czy teraz jesteś szczęśliwy?

- Chyba tak, a ty, jak tam twoja firma? Roześmiała się.

- Zdziwiłeś się, kiedy się dowiedziałeś?

- Byłem z ciebie bardzo dumny.

- Nie mów tak, bo znowu się rozplacę.

- Mam lepszy pomysł - pocałował ją w rękę - chodźmy do kuchni, zrobię coś do jedzenia i spokojnie porozmawiamy.

Nagle wszystko zrobiło się proste. Dobrze było siedzieć z Peterem w kuchni, jeść kanapkę i opowiadać o wszystkim, co istotne i nieistotne. Zupełnie tak jak przed laty.

- Byłeś kiedyś naprawdę zakochany?

- Tak, w tej rudej z czwartej klasy.

- Mieliśmy wtedy dwanaście lat.

- Nie szkodzi, z nią też mi nieszczególnie poszło - uśmiechnął się smutno.

- A gdybyś się naprawdę zakochał, ożeniłbyś się?

- Nie wiem. Na szczęście nie muszę o tym myśleć. No dobra, skończ te podchody. Powiedz lepiej, kim on jest.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się do niego. Nalała sobie kawy.

- Artysta i stolarz.

- Jedno i drugie?

- Tak, czasem rzeźbi, czasem buduje. Znamy się dopiero kilka tygodni.

- Szybka jesteś.

- Wiem. Michael też taki jest. Błyskawicznie decyduje i zaraz potem robi to, co postanowił. W pracy, w życiu... Taka jest zresztą cała jego rodzina. Nadia, Natasza, Alex...

- Jest Rosjaninem? - zapytał domyślnie.

- Ukraińcem.

- Zaraz... Czy to nie Stanislawski? Ukraiński rzeźbiarz? Widziałem jedną z jego prac w Białym Domu.

- Nic mi nie mówił, to do niego podobne. Pokazał mi swój dom, swoją rodzinę, ale o tym, że robił coś na zamówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych nie wspomniał ani słowem. Są dla niego rzeczy ważne i mniej ważne...

- Kochasz go.

- Tak, a on chce się ze mną ożenić. Miałam zresztą dwie propozycje małżeńskie w ostatnim czasie. Jak widzisz, mam powodzenie. Najpierw Channing Warfield, potem Michael.

Peter skrzywił się.

- Na Boga, tylko nie Channing!

- Dlaczego?

- W ogóle nie ma poczucia humoru, zanudzi cię na śmierć. Umie tylko chodzić na kolacje z klientami i siedzieć w biurze własnego ojca. Poza tym tak naprawdę to kocha tylko swojego krawca.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Strasznie mi ciebie brakowało, Peter. Wziął ją za rękę.

- A jaki jest ten twój artysta?

- W ogóle nie ma krawca, jego ojciec nie ma biura, on sam ma za to wspaniałe poczucie humoru. Tylko że ja... ja nie mogę za niego wyjść, nie mogę ryzykować, że znowu mi się nie uda.

- Mogę ci tylko powiedzieć jedno: nie słuchaj żadnych rad.

- Nawet twoich?

- To co innego. Przestań myśleć o tym, co było. Nasza historia nie ma żadnego znaczenia. Po prostu odpowiedz sobie na kilka prostych pytań. Czy jesteś z nim szczęśliwa? Czy masz do niego zaufanie? Jak sobie wyobrażasz życie z nim? A jak bez niego?

- A kiedy już sobie odpowiem?

- Będziesz wiedziała, jak postąpić. - Pocałował jej dłoń. - I pamiętaj zawsze, że bardzo cię kocham, Sydney.

- Ja ciebie też.

„Wystarczy odpowiedzieć na kilka prostych pytań.” Powtarzała te słowa, wchodząc do windy w domu Michaela. Minęły dwadzieścia cztery godziny od jej rozmowy z Peterem i właściwie nie musiała na żadne z nich odpowiadać. Odpowiedź znała od dawna.

Czy jest z nim szczęśliwa? Tak, jest bardzo, bardzo szczęśliwa.

Czy ma do niego zaufanie? Tak, bezgraniczne.

Jak sobie wyobraża życie z nim? Jako pasmo cudownych, codziennych i niecodziennych doznań, emocji, niespodzianek, dyskusji, wzlotów i upadków.

A życie bez niego? Pustka, kompletna, rozpaczliwa pustka.

Miałaby oczywiście swoją pracę, karierę, uznanie ludzi i pieniądze. Zaspokoiłaby własne ambicje, ale bez niego to wszystko nie miałyby sensu.

Wie zatem dobrze, co ma robić. To prostsze niż myślała. Tak jak powiedział Michael: logika serca jest prosta. Oby tylko nie było za późno.

Wjechawszy na czwarte piętro, rozejrzała się po klatce schodowej. Ślady zniszczeń zniknęły. Odmalowano ściany, naprawiono poręcze. We wszystkim znać było rękę Michaela.

Pogładziła dłonią ścianę. W ciągu kilku dni doprowadził wszystko do porządku, a dom przybrał wygląd solidnej, zasobnej kamienicy. Niemało jeszcze czasu upłynie, zanim zostanie wbity ostatni gwóźdź i tym samym zakończy się ten wielki remont, ale już teraz jego efekty były imponujące.

Ze ściśniętym gardłem zapukała do jego drzwi. Nikt nie odpowiedział. Ze środka nie dobiegał też żaden dźwięk, nie słychać było ani muzyki, ani hałasu przesuwanych kawałków drewna. Zastukała jeszcze raz. Przecież chyba nie śpi, jest dopiero dziewiąta. Przyłożyła twarz do drzwi i cicho zawołała jego imię.

Po chwili w uchylonych drzwiach obok ukazała się uśmiechnięta buzia Keely. Na widok Sydney natychmiast spoważniała.

- Nie ma go - powiedziała nieprzyjaznym tonem. Nie wiedziała, o co im poszło, ale nie mogła być miła dla kogoś, kto sprawił, że od kilku dni Michael chodził jak ściepy.

- Anie wiesz, gdzie jest?

- Wszedł.

- Widzę. - Sydney bezradnie wzruszyła ramionami. - W takim razie będę musiała poczekać.

- Bardzo proszę - Keely była niewzruszona. Nie obchodziło jej to, że ta damulka najwyraźniej zadurzyła się w Mike'u. Zraniła jej przyjaciela i tylko to miało znaczenie. Niech teraz sobie pocierpi. Mike dość się przez nią namęczył.

- Powinien niedługo wrócić - powiedziała niechętnie - dać ci

coś do picia? - spytała. Trochę jednak zrobiło jej się żal Sydney. W sumie ta Hayward nie była taka zła, a Keely zawsze miała miękkie serce.

- Nie, dziękuję, jak twoje mieszkanie? Już je odnowili?

- Zrobili, co trzeba, pomalowali jeszcze raz ściany, bo tamci idioci wszystko zachlapali... Wiesz pewnie, że już wsadzili tamtego faceta?

- Wiem. - Janine przekazała jej tę wiadomość, jak tylko zadzwoniła do biura. - Bardzo mi przykro, chciał tylko odegrać się na mnie.

- Tym bardziej jest idiotą. Najwięcej było roboty w pustych mieszkaniach, trzeba było osuszać ściany i wymieniać podłogi. Michael oczywiście wszystkiego dopilnował.

Co do tego Sydney nie miała wątpliwości.

- A mieszkanie pani Wolburg bardzo ucierpiało?

- Pływało wszystko. Lalki, poduszki, wszystko. Przyjechał tu jej syn, ona sama też niedługo wróci. Szykujemy bal powitalny w przyszłym miesiącu. Może byś wpadła?

- Nie wiem...

Przerwała, słysząc hałas nadjeżdżającej windy. Po chwili przy dźwiękach jakiejś ukraińskiej piosenki wytoczyły się z niej dwie postacie. Z niemałym trudem opuściwszy windę, zaczęły mozolną wędrówkę w stronę mieszkania Michaela. Na pierwszy rzut oka trudno było dojrzeć, kto kogo prowadzi. Sydney dojrzała ślady krwi, koszulka Michaela poplamiona była krwią spływającą z jego rozbitej wargi.

- O, Boże - jęknęła.

Na dźwięk jej głosu mężczyźni zatrzymali się jak wryci. Michael spojrzał na nią złym wzrokiem.

- A, to ty? Czego chcesz? Poczula od niego zapach

wódki.

- Co się stało? - Niezrażona powitaniem, rzuciła się ku niemu. - Mielście wypadek?

- Witaj, księżniczko - Alex uśmiechnął się mimo podbitego oka - zabawiliśmy się trochę, prawda, braciszku?

Michael zamiast odpowiedzi poczęstował go kuksańcem w bok, po czym zarechotał głośno i niezręcznie sięgnął do kieszeni po klucze.

- Alex, co się stało, kto ci to zrobił? - nie ustępowała Sydney.

- Co takiego? Ach to - dotknął spuchniętej twarzy - braciszek zawsze miał silny prawy sierpowy. - Przez chwilę z zainteresowaniem przyglądał się bratu, który bez powodzenia próbował trafić w dziurkę od klucza. - Ot, i napiliśmy się trochę i dlatego to wszystko. Chociaż gdybyśmy się nie napili, byłoby tak samo - stwierdził filozoficznie. - Cześć, Keely, pójdziesz ze mną potańczyć?

- Ani mi to w głowie - Keely wzięła go pod ramię i zaprowadziła z powrotem w stronę windy - zamówię ci lepiej taksówkę.

- No chodź, durna, nie lubisz tańczyć?

- Uwielbiam, całe życie nie robię nic innego. - Keely przez ramię zerknęła na Sydney. - Powodzenia - rzuciła w jej stronę.

Nie mając wątpliwości, że dobre życzenia bardzo się przydadzą, Sydney cierpliwie czekała, aż Michael upora się z drzwiami. Otworzył je wreszcie i szybko wszedł do środka, próbując zatrasnąć je przed jej nosem. Tym razem ona była szybsza.

- Dlaczego pobiełeś się z bratem? - spytała z wyrzutem, kiedy znaleźli się w środku.

- Bo co? - odparł zaczepnie. - Miałem się bić z obcy-

mi?

- Daj spokój, siadaj - wykorzystując swoją chwilową przewagę, popchnęła go w stronę krzesła. Usiadł, z trudem utrzymując równowagę. - Pokaż, gdzie jesteś skaleczony.

Sięgnęła po plaster i wodę utlenioną. Michael zgramolił się z krzesła, podszedł do otwartego okna i wystawił głowę, żeby przyjść do siebie.

- Źle się czujesz? Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Wódka nie zaszkodziła jeszcze nikomu ze Stanisławskich.

Z rozciętej wargi pociekła krew. Skrzywił się. Widocznie Alex też ma niezły sierpowy.

- Usiądź, przemyję ci to.

- Nie potrzebna mi pielęgniarka - powiedział, lecz usiadł posłusznie. Widocznie dłuższe przebywanie w pozycji wertykalnej przekraczało jego możliwości.

- Wiem, potrzebna ci niańka. Włóczysz się po mieście, pijesz, bijesz się z bratem... - Nie odpowiadał. Słuchał jej głosu, wdychał zapach jej ciała. Dużo by dał za to, żeby zrządzenie Sydney trwało jak najdłużej. - Dlaczego robisz te wszystkie głupstwa? - zapytała.

- Bo tak jest fajnie.

- Tak, bardzo miło mieć rozciętą wargę i podbite oko. Zwłaszcza to ostatnie będzie się jutro wspaniale prezentować. Co by twoja matka na to powiedziała?

- Nic. Przyłałaby nam obu. Zawsze jak Alex coś zbroi, wrzeszczy na nas obu, nie ma sprawiedliwości na świecie.

- Należy wam się. Obaj jesteście siebie warci. - Spojrzała na jego ręce. Kostki dłoni starte miał do krwi. - Zobacz tylko, co zrobiłeś z rękami! Przecież jesteś artystą, twoje ręce to skarb!

- Moja sprawa, co robię z rękami - powiedział ponuro,

myśląc jednocześnie, co teraz zrobiliby z nimi najchętniej.

- W porządku. A rób sobie, co chcesz, łaż po mieście, pij wódkę. Cuchniesz jak otwarta butelka.

Tego było zbyt wiele dla dumy Stanisławskich. Michael podniósł się z krzesła, spojrzął na nią wyniośle i o własnych siłach poszedł do łazienki. Po chwili usłyszała dźwięk prysznic. Przeszła do kuchni i zamyślona zaczęła wycierać ręce.

Wszystko miało być inaczej. Nie tak wyobrażała sobie to spotkanie. Myślała, że przyjdzie do niego, powie jak bardzo go kocha, a on przytuli ją, pocałuje i powie, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Zamiast tego on jest zły i pijany, a ona zrzędzi jak stara ciotka.

Ale czy nie należą mu się ostre słowa? Poczuła, jak ogarnia ją gniew. Nie myśląc wiele, z całej siły uderzyła ścierką o zlew. Tak, ulżyło jej trochę. Jeszcze lepiej będzie walnąć czymś w ścianę. Rozejrzała się. Nie, plastik kubek nie wystarczy, chodzi o to, żeby coś się roztrzaskało, głośno, z hałasem. Może by tak butem w talerz...

W drzwiach kuchni natychmiast ukazała się twarz Michaela zwabionego dźwiękiem tłuczonego szkła.

- Co ty wyprawiasz?

- Tłukę naczynia.

Schylił się, but przeleciał obok jego głowy.

- Chyba zwariowałaś! Wyjeżdżasz Bóg wie dokąd, nic j nie mówisz, a potem zjawiasz się nagle i demolujesz mi i mieszkanie.

- Właśnie tak.

Podniósł but, przez chwilę trzymał go w rękach, jakby j mierzył odległość. Po chwili odłożył go jednak na bok.

- Gdzie byłaś? Odrzuciła do tyłu włosy.

- Pojechałam do Petera. | Włożył ręce do kieszeni, jakby się bał, że jeszcze chwila i ją udusi. Pokręcił głową. Sprawiał wrażenie, jakby cały alkohol wyparował z niego w jednej sekundzie.

- Jedziesz sobie do jakiegoś faceta, a potem wracasz i rzucasz we mnie butami. Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

- Musiałam się z nim zobaczyć, porozmawiać.

- Sprawiał mi ból - dotknął dłonią zranionej wargi - to nic, nie o taki ból chodzi. Kiedy się z kimś biję, nie zwracam uwagi, czy boli, czy nie. Ty sprawiał mi inny ból. Ból, z którym nie można walczyć. Nie znoszę tego.

- Michael... - Podeszła do niego, ale czuła, że jest jeszcze za wcześnie na pojednanie. - Nie chciałam cię zranić. Pojechałam do Petera, bo jest moim jedynym przyjacielem. Zawsze tak było. Z rodzicami nigdy nie mogłam rozmawiać, nie byli tacy jak twoi. Kochali mnie, oczywiście, ale nie rozumieliśmy się zupełnie. Kupowali mi zabawki, posyłali do drogich szkół, robili wszystko, co uważali za korzystne dla mojej osoby, ale rozmawiać mogłam tylko z Peterem. - Wytarła oczy. - Myślałam już, że go straciłam, i źle mi było z tym. Ale ciebie kocham jeszcze bardziej, nie wiem więc, co bym zrobiła, gdybym straciła ciebie.

- Zostawiłaś mnie - powiedział łagodniejszym już głosem - nie straciłaś mnie, tylko zostawiłaś. Z własnej woli.

- Musiałam go zobaczyć. Żyłam w przekonaniu, że go skrzywdziłam, że zniszczyłam wszystko - przyjaźń, małżeństwo, miłość. Co by było, gdyby to samo przydarzyło się nam? - Podeszła do okna. - On jednak powiedział mi, że czuje się tak samo winny, że też miał wyrzuty sumienia i że cały czas sądził, że to właśnie on mnie oszukał. Nasza rozmowa wszystko zmieniła. Możemy nadal być przyja-

ciółmi, wiem już, że nie zniszczyłam naszej przyjaźni. I że nie muszę zniszczyć naszej, twojej i mojej...

- Bałam się, że nie wrócisz - powiedział po prostu, jakby cała ta przemowa nie zrobiła na nim wrażenia.

- Wyjechałam właśnie po to, żeby móc do ciebie wrócić. Tym razem naprawdę, no i wróciłam.

- Na zawsze?

- Tak - w jej głosie był spokój i pewność. - Kiedy szłam do tego domu, słyszałam dobiegające z niego dźwięki, odgłosy życia. Za drzwiami ludzie gotowali, rozmawiali, kłócili się, dzieci śmiały się i płakały. Chcę należeć do tego świata, chcę stać się częścią tego domu. Chcę mieć rodzinę, o której mówiłeś.

Zdjęła z szyi łańcuszek. Na jego końcu wisiał zaręczynowy pierścionek z rubinem.

- Nosisz go?

- Bałam się nosić na palcu, żeby go nie zgubić. Czy stale jeszcze chcesz mi go dać?

Podszedł i pocałował ją, nie przestając patrzeć jej w oczy.

- Już raz ci go dałem.

- Ale wtedy go nie wzięłam.

Zdjął pierścionek z łańcuszka, ujął jej rękę.

- Wszystko miało być inaczej, nie ma muzyki...

- Ja słyszę muzykę.

- Nie ma świateł ani kwiatów.

- Stale mam tamtą różę, którą mi dałeś. A poza tym jest przecież księżyc.

Ucałował jej dłoń.

- Tak, na księżyc zawsze można liczyć. Kocham cię, moje serce należy do ciebie. Moje życie należy do ciebie. - Wsunął pierścionek na jej palec. - Czy będziesz moja,

księżniczko?

- Przecież jestem.